Ks. Z. Feliński

PAMIĘTNIKI

CZĘŚĆ II.

1851 - 1883

Lwów, ul. Kopernika l. 2

PAMIĘTNIKI

Ks. ZYGMUNTA SZCZĘSNEGO FELIŃSKIEGO

ARCYBISKUPA WARSZAWSKIEGO.

CZĘŚĆ II.

1851 — 1883.

KRAKÓW.
Nakładem Zgromadzenia Rodziny Maryi.
DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.
1897.

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/pamietniki0000kszy

I.

Ogólny stan polskiego duchowieństwa w połowie obecnego wieku.

Zanim przystąpię do opisania wypadków, jakich byłem świadkiem od wstąpienia mego do stanu duchownego, t. j. od 1851 roku, sądzę, że nie od rzeczy będzie poprzedzić opis osobistych wydarzeń pobieżnym rzutem oka na ogólny stan Kościoła w rosyjskim zaborze, w epoce, kiedy moja jednostka przyłączyć się miała do zastępu sług Chrystusowych. Żeby zrozumieć stosunek rządu rosyjskiego do Kościoła katolickiego w Polsce, zwłaszcza zaś na Litwie i Rusi, nie trzeba nigdy tracić z pamięci tego względu, że nic tak skutecznie nie przeszkadzało zaborcom do połknięcia i przetrawienia we własny organizm swej ofiary, jak religia katolicka. Nawet narodowość polska nie stanowiła tak twardej między zwycięzcami i zwyciężonymi przegrody, jak religia; przekształcenie bowiem szkół na rosyjskie i wyciśnięcie stamtąd nietylko polskiego języka, ale i wszelkich narodowych tradycyj, pozwalało spodziewać się zaborcom, że w drugiej, trzeciej generacyi młodzież, na polskiej zrodzona ziemi, przyswoi sobie panującą narodowość. Ale jak zruszczyć katolicyzm? Jak wygluzować łacinę i polonizm z Kościoła? Tranzakcya tu żadna niemożebna: Doprowadzenie Polaków do prawosławia przedstawia się jako jedyne, radykalne rozstrzygnienie tej kwestyi. To też, począwszy od Katarzyny, dążność ta była główną dźwignią działalności rządowej w naszym kraju; jeśli zaś niekiedy dążność ta zdawała się słabnąć, to albo dla tego, że naglejsze sprawy

odwracały na czas w inną stronę uwagę rządu, albo że przebiegła polityka nakazywała pozorną zmianę frontu dla lepszego zamaskowania prawdziwych celów i odwrócenia rozbudzonej uwagi Europy, póki ta troszczyła się jeszcze o Kościół. W gruncie wszakże sprzysiężenie na katolicyzm było zawsze na porządku dziennym w gabinecie petersburgskim i nieprzyjacielskie podjazdy wciąż posuwały się dalej.

Ponieważ sprawa z Unitami przedstawiała mniej trudności, bo tu kwestya dogmatyczna stawała całkiem odosobniona, bez współudziału łaciny i polonizmu, na nią też najsilniej uderzono, a dzięki ciemnocie świeckiego duchowieństwa unickiego i materyalnej zależności wiejskiego parocha od swej rodziny, gdyż celibat istniał tylko u Bazylianów, dwa walne szturmy, za Katarzyny i za Mikołaja, wystarczyły do zupełnego obalenia Unii na Litwie i Rusi, pozostała zaś w Królestwie Kongresowem dyecezya Chełmska zaledwie przedłużała swoj żywot suchotniczy. Załatwiwszy się z Unią około 1840 roku, poczęto wnet przygotowywać kampanię przeciwko obrządkowi łacińskiemu. Konfiskata dóbr duchownych, zwłaszcza zaś kasata większej połowy klasztorów i zamknięcie nowicyatów w niewielu pozostałych, były rozpoczęciem ataku. Wszyscy katolicy, co dobrowolnie zaślepiać się nie chcieli, widzieli jasno, że dla nich zgotowano już los unitów; chodziło tylko o znalezienie łacińskiego Siemaszki, by ostateczny cios wymierzyć. To też od chwili doprowadzenia do apostazyi unickich biskupów, wszystkie zabiegi rządu w tę stronę zwrócone były. Jako środki przygotowawcze, oprócz wzmiankowanej już kasaty klasztorów, miało posłużyć głównie: przeniesienie Akademii Duchownej z Wilna do Petersburga i wyjęcie seminaryów dyecezyalnych z pod władzy biskupów a poddanie ich pod wyłączną zależność od rektora Akademii, który osobistą swą powagą miał prawo mianować i usuwać profesorów i układać program nauk we wszystkich seminaryach, nie zasięgając nawet w tej mierze zdania miejscowego zarządu dyecezyalnego. Przesadziwszy na grunt schyzmatycki główną

duchowną szkołę katolicką, mającą dostarczać całemu krajowi nietylko duchownych dygnitarzy, lecz i nauczycieli dla wszystkich seminaryów, zwłaszcza zaś postawiwszy na czele tego zakładu człowieka, gotowego przyjmować chętnie wszystkie natchnienia Departamentu Wyznań, rząd nie wątpił, że niebawem oplącze cały Kościół katolicki w Rosyi tak mocną siecią, że mu się żadną miarą ofiara wyrwać nie potrafi. Chodziło więc tylko o wybór tego człowieka i ku temu około roku 1840 zwrócone były główne troski rządu. Obaczmyż, w jakim stanie było wówczas nasze duchowieństwo i jakie szanse miał rząd znaleźć w jego gronie pożądanego poplecznika.

Pozbawione wszelkiego bezpośredniego stosunku z ogniskiem katolickiej jedności, gdyż Rzym od rozbioru Polski aż do 1862 r. nie oglądał ani jednego biskupa z Rosyjskiego Zaboru; nie mając nadto prawa korespondować z Ojcem Św. inaczej jak za pośrednictwem rządu i nie mogąc wysyłać kleryków na nauki do stolicy katolicyzmu, duchowieństwo nasze ówczesne dalekiem było od zarzutu ultramontańskich dążności, zwłaszcza, że i dzieła naukowe, używane z rozkazu rządu po seminaryach, pochodziły nie z Rzymu, lecz z Wiednia, zarażonego wówczas Józefinizmem. To też grupa kapłanów, szczerze przywiązanych do Stolicy Apostolskiej i z zupełnem ku niej odnoszących się zaufaniem, była niezmiernie szczupła, składająca się prawie wyłącznie z duchownych, pochodzących ze znakomitych rodzin, którym wyjątkowe położenie towarzyskie i majątkowe dawało możność wyjechania za granicę na czas dłuższy, jeszcze w świeckiej sukni, i ukończenia w Rzymie nauk duchownych. Grupę tę w Kraju Zabranym składali głównie: Ks. Szczyt, Ks. Ożarowski i Ks. Chołoniewski. W epoce wszakże, o której mówimy, wszyscy trzej mieli już podcięte skrzydła i nie mogli dłużej służyć czynnie Kościołowi.

Ks. Szczyt zostawszy w bardzo młodym wieku prałatem katedry Mohylewskiej i po śmierci arcybiskupa Cieci-

szewskiego administratorem archidyecezyi Mohylewskiej, zawezwany w latach trzydziestu do Petersburga i badany osobiście przez cesarza Mikołaja w kwestyi Unii, gdy stanowczo oświadczył, że duchowieństwo łacińskiego obrządku nie może odmówić duchownych posług Unitom, pragnącym pozostać w katolickim Kościele, został zesłany do Saratowa, gdzie spędziwszy blisko lat trzydziestu, powrócił do kraju na początku panowania Aleksandra II, złamany wiekiem i cierpieniami, na to tylko, by wkrótce męczeńskiego żywota dokonać.

Ks. Ożarowski, wstępując także dość szybko po szczeblach duchownej hierarchii, w młodym jeszcze wieku został prałatem ołyckim i rektorem Łuckiego seminaryum, którem zarządzał z równie światłą jak wytrwałą gorliwością. Łącząc niezwykłą świątobliwość z heroicznem umartwieniem i gruntowną teologiczną nauką, czerpaną u samego źródła, nietylko wpływał najzbawienniej na powierzonych swej pieczy młodych lewitów, lecz stał się wyrocznią dla wszystkich dusz pobożnych na Rusi, które kierownictwa jego szukały. Gdy jednak po rewolucyi 1831 roku rząd począł po swojemu gospodarować w Kościele, a pragnął mieć tak biskupa jak i wyższe duchowieństwo pod okiem władz gubernialnych, postanowił przenieść stolicę biskupią i seminaryum z Łucka do Żytomierza, domagając się zarazem wprowadzenia do seminaryum kilku nauczycieli schyzmatyków, ks. Ożarowski sprzeciwił się temu stanowczo, i wskutek tego usuniętym został z rektorstwa, z zabronieniem wstępu do seminaryum, nawet w tytule spowiednika. Zamieszkawszy w Żytomierzu, jako kapelan Sióstr Miłosierdzia, z tem większą gorliwością oddał się posługom duchownym w konfesyonale i na kazalnicy; gdy jednak przyjęto jałmużnę, którą miał zwyczaj corocznie posyłać do Rzymu na Propagandę, a jednocześnie oskarżono go, że nie chciał dać rozgrzeszenia katoliczce, pragnącej wyjść za protestanta bez zachowania przepisanych przez Kościół warunków, jenerał gubernator Bibików kazał go przywieźć z żandarmami do Kijowa i stawić przed

siebie. Sądząc jednak, że nie dość było tego aktu samowoli, by przerazić niekornego prałata, spotkał go na progu swego gabinetu temi słowami, wyrzeczonemi najsurowszym, na jaki mógł zdobyć się, tonem: »*Vous savez que je puis Vous pendre?*« Gdy jednak ks. Ożarowski z anielską słodyczą odpowiedział mu najspokojniej: — »*Eh bien, je me laisserai pendre*« — Bibików sam się zdetonował, a zmieniając ton rozmowy, prosił go uprzejmie siedzieć, rozmawiał jak przystało na dobrze wychowanego człowieka i pozwolił mu nawet wrócić do Żytomierza, rozkazawszy tylko jeszcze więcej zaostrzyć nad nim policyjny nadzór. Widząc kapłańską swą działalność we wszystkich kierunkach skrępowaną, ks. Ożarowski opuścił Wołyń, a odbywszy nowicyat u OO. Lazarystów w Paryżu, osiadł jako misyonarz w Krakowie, gdzie pod koniec życia wstąpił do Kamedułów na Bielanach, a wzrastając aż do późnej starości w doskonałości chrześcijańskiej, jak wielki święty dokonał żywota około 1870 r.

Ks. Chołoniewski jeszcze krócej pracował na kościelnej niwie; chociaż bowiem szybko posuwał się po szczeblach hierarchii duchownej, tak, że w kilka lat po powrocie z Rzymu, gdzie święcenia kapłańskie otrzymał, już mianowany został prałatem dyecezyi Kamienieckiej, po śmierci zaś biskupa Mackiewicza, Kapituła obrała go nawet jednogłośnie administratorem dyecezyi; odrzucony wszakże przez rząd a bardzo już zagrożony na zdrowiu, usunął się do majątku swego Janowa i tam wśród modlitwy i prac literackich zszedł dość młodo z tego świata w 1846 roku.

Było zapewne i kilku innych księży, działających w tym kierunku, wogóle jednak liczba ich była zbyt szczupła, by zdołała wywrzeć wpływ stanowczy na położenie katolickiego duchowieństwa w Rosyi, gdyż rząd, czując, iż ma do czynienia z wyjątkowemi zaledwie osobistościami, których przykład nikogo nie pociągał, lekceważył sobie ich opór, łamiąc go brutalną siłą. W masie duchowieństwa ci wielkiej wiary i zaparcia się apostołowie nie spotykali

niestety uznania, pomawiani przez jednych o fanatyzm, przez drugich o brak roztropności, a przez niektórych nawet o pańską fantazyę, pragnącą odróżnić się od innych. Trzeba ze smutkiem wyznać, że ówczesne duchowieństwo nasze nie dorosło nietylko do tego, by naśladować podobne wzory, lecz by je przynajmniej ocenić i uczcić.

Ogromna większość sług ołtarza dzieliła się na trzy wydatniejsze grupy: karyerowiczów, patryotów i niższy duchowny proletaryat. Zastanowimy się nad każdą z nich zosobna.

Partyę, zwaną pospolicie rządową, nazywamy tu z umysłu karyerowiczami, dla wykazania, że główną pobudką należących do tej kategoryi księży nie było bynajmniej przywiązanie do tronu lub cześć dla ustanowionej od Boga władzy, lecz jedynie chęć dojścia pod opiekuńczem skrzydłem rządu do infuły, a przynajmniej do tłustej prebendy. Wierność tronowi, był to po prostu wygodny płaszczyk do osłonienia szpetnej moralnej nagości tego rodzaju charakterów, co same wstydziły się w głębi serca swego sobkostwa. Gdyby biskupie stolice i kościelne beneficia zależały, jak w innych krajach, od Stolicy Apostolskiej, ci sami koryfeusze schyzmatyckiego despotyzmu głosiliby na rogach ulic bardziej ultramontańskie zasady niż najgorliwszy misyonarz, w głębi zaś duszy szydziliby sobie z tych zasad, jak szydzili i szydzą dotąd z wierności tronowi ci, co na barkach samowładnego dyrektora wyznań spodziewają się wynieść na pierwsze godności w Kościele. Za panowania Aleksandra I. możebni jeszcze byli katoliccy duchowni szczerze przywiązani do tronu, gdyż tron ten był tronem wskrzesiciela Polski, a siedzący na nim monarcha był osobiście przychylny katolicyzmowi i umiejący ocenić prawdziwą zasługę w katolickim księdzu. Całując w rękę sędziwego biskupa Cieciszewskiego i podnosząc go dla cnót kapłańskich na metropolitalną stolicę, cesarz Aleksander złożył hołd rzetelnej zasłudze i uczcił w jego osobie każdego przykładnego sługę Kościoła. To też nie dziw, że za jego panowania mogli

być duchowni katoliccy, co nie dla bojaźni lub zysku, lecz dla sumienia powagę władzy podtrzymywali. Lecz za rządów Mikołaja, zwłaszcza po rewolucyi Listopadowej, kiedy gwałtowne zniszczenie Unii, konfiskata majątków, kasata klasztorów, pociąganie przemocą do prawosławia, tych nawet, których dziadowie lub pradziadowie byli uniatami, i zsyłanie księży katolickich na Sybir za to, że nie odmawiali duchownych posług tym nieszczęśliwym męczennikom, przytem jawne urąganie z wszystkiego, co łacińskie, rzymskie, jednem słowem katolickie: tylko bezczelna obłuda mogła, obok pozorów katolickiej prawowierności, kłamać cześć i zaufanie dla władzy, która o tyle tylko cierpiała katolickie duchowieństwo, o ile znajdywała w niem powolne narzędzie do obalenia tegoż Kościoła, któremu służyć było obowiązanie. Bezwarunkowi poplecznicy rządu, co tak chętnie powtarzali: »Wszelka władza pochodzi od Boga«, nie byli ani dość prości, ani dość ciemni, by nie pamiętać, że w tejże Ewangelii powiedziano jest także, iż trzeba słuchać Boga raczej niż ludzi. Lecz bezwarunkowe posłuszeństwo rządowi, na nic ich nie narażając, zapewniało owszem ogromne materyalne korzyści, podczas gdy najlżejsze przypomnienie władzy jej obowiązków względem Boga, a nawet bierny, chociażby najpokorniejszy opór rozkazom rządu, sprzeciwiającym się sumieniu, prowadził niezwłoczną utratę posady, a niekiedy więzienie i Sybir. To też w prywatnych stosunkach owi hołdownicy władzy całkiem innych używali argumentów, dla usprawiedliwienia postępowania swego. »Cóż chcecie«, mawiali oni po spełnieniu każdej niegodziwości, »głową muru nie przebijesz; gdybym miał sto tysięcy bagnetów, tobym się oparł, ale kiedy ich nie mam, to lepiej coś poświęcić, by ocalić resztę, niż wszystko na szwank wystawić.« Gdy zaś mówiono im o przykładzie apostołów i pierwszych chrześcijan, odpowiadali wznosząc ramionami: »Cóż chcesz! nie każdy ma łaskę pójść na męczeństwo; a gdybym i poszedł, na cóżby się to przydało?« W tych zamarłych dla wiary i ostygłych dla miłości duszach nie

było, niestety, ani uczucia obowiązku, którego spełnienie całkiem nie zależy od materyalnych następstw, ani ufności w rządy Opatrzności, która nie ludzką kierując się mądrością, całkiem innemi Kościół swój do tryumfu prowadzi drogami. Ich wzrok, zbyt cielesny, nigdy otworzyć się nie mógł na ujrzenie cudu rozszerzania Chrystyanizmu przez męczeństwo.

Do obozu księży patryotów należeli znowu duchowni gorącego i szlachetnego serca, ale niedość kościelnego ducha, których głównem zadaniem było nie to, aby naród pozyskać Kościołowi, lecz aby przez katolicyzm wskrzesić ojczyznę, a przynajmniej zachować naród od zagłady. Czuli oni, że katolicyzm jest najgłówniejszą przeszkodą do naszego wynarodowienia, ale zamiast widzieć w nim jedynie zbawiający pierwiastek, co narodowi wiekuisty zapewnia żywot, oni widzieli w nim po prostu węgielny kamień polskiej narodowości, z wywróceniem którego runęłoby całe budowanie. Jakkolwiek przeto gorliwie i nieraz z narażeniem siebie bronili zasad katolickich i kościelnej w kraju organizacyi, czuć jednak było, że nie tyle chodziło im o chwałę Bożą i dusz zbawienie, ile o sprawę polską. Nie powiem, aby księża ci nie mieli wiary lub kapłańskiej gorliwości, wielu z nich owszem przykładnymi było kapłanami, ale ową Bożą rozczynę okwaszał zawsze ziemski pierwiastek, opartego na nienawiści patryotyzmu, który nie pozwalał im nigdy wznieść się na wyżyny prawdziwie chrześciańskiej miłości. Nietylko nie troszczyli się oni wcale o nawrócenie swych prześladowców, lecz zbyt swobodnie pojmując obowiązki podbitego narodu względem zaborczej władzy, nie poprzestawali oni na upoważnieniu biernego oporu w rzeczach przeciwnych sumieniu i zastrzeżeniu pogwałconych praw swoich, lecz upoważniali naród do zbrojnego przeciwko władzy powstania, a co zatem idzie, i do tajemnych sprzysiężeń, w których bez żadnego skrupułu niejednokrotnie sami czynny przyjmowali udział. Służąc przedewszyst-

kiem krajowi, a nie Kościołowi, mniej .oglądali się oni na rady i ostrzeżenia udzielane z Rzymu, niż na głos opinii publicznej w kraju, a ta chęć popularności popychała ich nieraz na bezdroża, których najwolniejsze nawet sumienie usprawiedliwić nie było w stanie. I nic dziwnego. Skoro bowiem zasady, tak zwane liberalne, coraz szerzej rozgaszczały się w krajú, musiała wraz z niemi szerzyć sie też i nieufność ku Kościołowi, zamaskowana zrazu niechęcią ku Jezuitom, a następnie objawiająca się jawnie przeciw Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza przeciw doczesnej władzy. Wobec takiego usposobienia świeckich patryotów, trudno było księdzu, dbającemu o popularność, zachować równowagę; to też nie było dziwnem spotkać między duchownymi takie zdania, które bez wahania w indeksie zamieścicby można. Czerpanie nauk teologicznych ze źródeł Józefińskich nie mało przyczyniało się do tej aberracyi, która niekiedy łączyła się z najlepszą wiarą, tak, że kapłan, wygłaszający jawne herezye, ani podejrzywał, że nie jest prawowiernym katolikiem.

Do grupy duchownych wyrobników zaliczamy ogromną większość polskiego duchowieństwa, co wyszedłszy z włościan litewskich lub zagonowej szlachty podlaskiej, przybywali do seminaryów, zaledwie umiejąc czytać i pisać, a poduczywszy się tam przez lat kilka ladajakiej łaciny i odbywszy kurs teologii, nie przewyższający dobrego katechizmu, przyjmowali kapłańskie święcenia, spiesząc wnet wrócić znowu do skromnej ludowej sfery, co ich wychowała, gdzie też przepędzali najczęściej całe swe kapłańskie życie. Zaczerpnąwszy z łona pobożnego ludu gorącą wiarę i szczere do Stolicy Apostolskiej przywiązanie, zachowywali oni te zasadnicze cnoty i w życiu kapłańskiem, a nie wdając się w szerokie rozprawy, wierzyli i żyli po katolicku, dosięgając niekiedy wysokich szczebli chrześcijańskiej doskonałości a bardzo rzadko dając z siebie zgorszenie. Tej to zwłaszcza potężnej falandze prostaczków zawdzięcza nasz naród, że dotąd pozostał szczerze katolickim, i o jego to hartowne

sumienie rozbijają się głównie wszystkie ciosy wymierzone przeciwko wierze naszego ludu. Argumenta ich są proste i nieliczne, ale poczerpnięte w głębokiej wierze i w zdrowym rozsądku ludowym i przeto trafiają łatwo do przekonania mas. Kiedy apostołowie schyzmy dowodzą im, że Litwa i Ruś były pierwej prawosławne niż katolickie, i wyciągają stąd wniosek, że oni powinni wrócić do wiary przodków, prostaczkowie nasi odpowiadają im. że jeszcze dawniej przodkowie prawosławnych byli poganami, czemuż więc oni sami nie wrócą do pierwotnej ich wiary? Kiedy jaki sprawnik lub asesor dowodzi im znowu, że to wszystko jedno katolicyzm i prawosławie to mu odpowiadają: jeśli to dla was wszystko jedno, to zostawcież nas przy naszej własnej wierze, bo dla nas to wcale nie wszystko jedno. Gdy znowu, dla zachęcenia, obiecują im darować podatki lub wypłacić pewną pieniężną nagrodę, robią naiwną uwagę, że do gorszego tylko towaru dopłacają przy zamianie, musi więc ich wiara nie wiele być warta. Jeśli zaś, jako najsilniejszy argument, powiedzą im, że sam cesarz jest prawosławnym, a więc i oni winni przyjąć tę wiarę, odpowiadają pokornie, że jakkolwiek wielki to zaszczyt być współwyznawcą ziemskiego monarchy, większym jest wszakże honorem wierzyć tak, jak Król i Królowa Niebios; Pan Jezus zaś i Matka Boska byli katolicy. Na takie argumenta trudna jest odpowiedź, dają więc pokój Bożemu ludkowi, czekając lepszej pory.

Przypatrzywszy się tym trzem głównym działom naszego duchowieństwa, nie trudno zgadnąć, w którym z nich rząd rosyjski czerpał dla Kościoła dygnitarzy. Od czasu, jak Skrypicyn został dyrektorem departamentu obcych wyznań pod ministrem spraw wewnętrznych Błudowem, t. j. w lat kilka po Listopadowej rewolucyi, cynizm rządu w tej mierze doszedł do tego stopnia, że pan Dyrektor nie wahał się wyznać w dość licznem zgromadzeniu, iż na to, aby pod jego zarządem otrzymać katolicką mitrę, trzeba być albo głupim, albo podłym, t. j. że takich tylko kandydatów rząd na biskupów

przedstawia. Jakkolwiek jednak kwalifikacye te wystarczały na zwyczajne potrzeby kościelnej administracyi, zamierzony przez rząd zamach na cały Kościół polski nie mógł wróżyć powodzenia, gdyby ten, co go miał na wzór Siemaszki dokonać, był tylko ograniczonym lub nikczemnym. Tu prosta uległość nie wystarczała. Tu potrzeba było inicyatywy i pewnego wpływu na umysły, co wymagało i wielkiej energii i niepospolitych zdolności. Poczęto się przeto oglądać po obozie rządowym, szukając człowieka, któryby łączył rozum i sprężystość z gotowością do apostazyi.

Za wielkorządztwa Bibikowa w Kijowie, zajmował katedrę nauki religii w świeżo utworzonym uniwersytecie kijowskim młody magister teologii, Ignacy Hołowiński, wychowaniec głównego Seminaryum wileńskiego a później kanonik katedry żytomirskiej. Niepospolicie zdolny, wykształcony nietylko w duchownych, lecz i w świeckich naukach, tłómacz Szekspira i autor kilku utworów wierszem i prozą, trzymał się on na uboczu w duchowieństwie, z patryotami nie łączył się wcale, żył przedewszystkiem w sferze literackiej, lecz w stosunkach z rządem okazywał zawsze wielką uprzejmość i wygłaszał publicznie cześć swą dla monarchy. W wykładach trzymał się ściśle nauki katolickiej i starał się zaszczepić w młodych sercach miłość dla Kościoła, lecz przy każdej zręczności, zwłaszcza kiedy mówił wobec władzy, przypominał śmiało młodzieży obowiązki poddanych względem rządu. Bibikowa umiał on zjednać w szczególny sposób, bez uniżoności i nikczemnych oświadczeń wprawdzie, ale w sposób jasno wykazujący, że pragnął, by zasłużyć na jego przeważną wówczas opiekę. Patrząc na wyniosłe czoło i rozumne oczy młodego księdza-literata, a widząc, iż Hołowiński wyraźnie ubiega się o jego łaski, Bibików odgadywał w nim ogromną ambicyę, a sądząc go pospolitą miarą, był pewny, że dla wyniesienia się, gotów będzie ponieść w ofierze rządowi wszystkie swe zasoby moralne i umysłowe. Nie wątpiąc, że drogocenne zrobił odkrycie, pospieszył zawiadomić o tem cesarza, którego

nieograniczone posiadał wówczas zaufanie ; cesarz zaś polecił Błudowowi, by go niezwłocznie zamianował rektorem świeżo przeniesionej do Petersburga Akademii Duchownej. Ważne to stanowisko zajmował w Wilnie prałat, Antoni Fijałkowski, dość jeszcze wówczas młody, który niczem wprawdzie nie naraził się rządowi, ale nic też nie wykazał takiego, coby w nim wróżyło upragnione narzędzie apostazyi. Miernych zdolności, mierniejszej jeszcze wymowy, był to sobie pospolity pionek, który jeśliby się dał nawet posuwać bez oporu po kościelnej szachownicy, nie wiele się mógł przyczynić do wygrania rozpoczętej partyi. Nie mając zrazu na widoku odpowiedniejszej osobistości, rząd go menażował i przyrzekał zachować na stanowisku, wydał mu nawet pasport za granicę, w celu zwiedzenia duchownych zakładów w Niemczech, zwłaszcza w Austryi, znalazłszy wszakże Hołowińskiego, zostawił go bez ceremonii na stronie i stąd bierze początek zawzięta jego niechęć do Hołowińskiego, której zgon nawet tego ostatniego przejednać nie mógł.

Przybywszy do Petersburga ks. Hołowiński, potrafił wkrótce pozyskać zupełne zaufanie ówczesnego dyrektora wyznań Skrypicyna i znalazł się w możności urządzić Akademię duchowną wedle zawczasu już obmyślanego planu. Od tej zwłaszcza chwili rozpoczyna się owa zagadkowa działalność Hołowińskiego, co przez długie lata czyniła zeń tajemniczego sfinksa, o którym najsprzeczniejsze krążyły zdania. Przedstawiciele rządu, co bezpośredni mieli z nim stosunek, byli pewni, że znaleźli w nim upragnionego człowieka, mającego im dopomódz do zadania ostatecznego ciosu polskiemu Kościołowi. Zdanie to podzielała ogromna większość duchowieństwa, zwłaszcza w obozie patryotów. Karyerowicze, co istotnie wszystko gotowi byli uczynić na żądanie rządu, byle tylko dobić się mitry i bogatego uposażenia, zadrżeli na widok tego nagłego wyniesienia, nietylko z powodu, iż był to niebezpieczny rywal do najwyższych posad, lecz, że ujrzeli się odrazu zepchniętymi do roli zupełnie podrzędnej. gdyż odtąd Hołowiński stał się

jedynym powiernikiem rządu; powiernik zaś ten tak mało był przystępny i komunikujący się z duchowieństwem rządowem, że ani rady ich nie potrzebował, ani ich wtajemniczał w swoje lub rządowe plany. Hołowiński i Skrypicyn między sobą tylko radzili i stanowili, tak, że najbliżsi nawet niegdyś władzy, wówczas najczęściej dowiadywali się o tem, co się gotuje, kiedy sam fakt dokonanym już został. Zazdrość opanowała całą rzeszę popleczników schyzmy, każdy z nich utopiłby go chętnie w łyżce wody, ale strach panował nawet nad zazdrością, gdyż jasno zrozumieli, że Hołowiński był wobec rządu wszechwładnym i że przez niego tylko można się było spodziewać awansu. Szczupła tylko liczba dawnych przyjaciół Hołowińskiego, chociaż i przed najbliższymi nie zwierzał się z swych planów, wierzyła w czystość jego chęci i uspakajała obawy dobrze myślących księży o przyszłość polskiego Kościoła. Młodzież jednak akademicka, pomimo że przed nią mniej jak przed kimkolwiek tłómaczył się ze swego postępowania, instynktem dusz czystych i prawych przeczuła w nim natychmiast prawdziwego sługę Bożego, którego głównym bodźcem była miłość Kościoła, machiawelstwo zaś było wstrętną tylko, ale niezbędną w danych okolicznościach maską, bez której nic pożytecznego sprawićby nie zdołał. Słysząc go na katedrze i w prywatnych konferencyach mówiącego ze łzami o miłości Kościoła, o przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej, patrząc na ów trud niezmordowany, z jakim wydobywał z przeszłości i stawił przed oczy młodych lewitów najpiękniejsze wzory świętych i nieustraszonych kapłanów, zwłaszcza naszych rodaków, niepodobna było zwątpić choćby na chwilę, że i w jego własnem sercu tenże gorzał ogień, gdyż najprzebieglejsza nawet obłuda akcentu miłości naśladować nie potrafi. Co zresztą za cel mógłby mieć Hołowiński w zaszczepianiu w młode pokolenie kapłańskie ducha, gotowego na męczeństwo, gdyby młodzież tę przeznaczał rzeczywiście na przyszłych apostatów? Gdyby Skrypicyn choć raz posłuchał jego wykładu w Akademii, byłby go na-

tychmiast zrozumiał, pomimo że nigdy nie rzekł ani słowa przeciwko rządowi. Od samego początku swej działalności w Petersburgu, Hołowiński założył sobie dwa główne cele: wychować zastęp kapłanów, ożywionych prawdziwie kościelnym duchem, bo od tego zależała przyszłość Kościoła, i obsadzić wszystkie ważniejsze posady duchowne, zwłaszcza zaś stolice biskupie, ludźmi szczerej katolickiej wiary, gdyż o czemś więcej naówczas nie można było marzyć. Co do młodzieży, wiedział on dobrze, znając polską naturę, że główne niebezpieczeństwo groziło jej nie ze strony schyzmy, zbyt wstrętnej dla serc szlachetnych, by je podbić mogła, lecz ze strony ponęt światowych i patryotycznej egzaltacyi. Petersburg jest stolicą, a do tego jedną z najzepsutszych pod względem obyczajów; dozwolić przeto duchownej młodzieży wychodzenia na miasto byłoby to narazić krewkość jej i niedoświadczenie na zbyt ciężką próbę, by można się spodziewać, iż z niej bez szwanku wyjdzie.

Zepsucie nadto jest rzecz zaraźliwa, dość więc, by jeden dał się usidlić, żeby stał się pokusą dla drugich. A cóż i mówić o zgorszeniu, jakieby wynikło nietylko w mieście, lecz i w kraju całym, gdyby alumn Akademii stał się bohaterem jakiejkolwiek skandalicznej sceny! To też w umyśle Hołowińskiego odrazu postanowionem było, że alumni wychodzić będą z zakładu nie inaczej, jak do kościoła lub na przechadzkę, wszyscy razem i pod przewodnictwem zwierzchników. Lecz i tego było niedość. Gdyby albowiem furta akademii otwarta była dla gości, zgorszenie wcisnęłoby się przez nią wewnątrz zakładu i udaremniłoby inne środki ostrożności. Należało więc zamknąć furtę i to nietylko dla kobiet, lecz i dla mężczyzn; tak dla tego, by nawiedziny nie zabierały zbyt drogiego czasu młodzieży, jako też, a to był wzgląd najważniejszy, aby młodzież duchowną zastrzedz od zetknięcia się z młodzieżą uniwersytecką, zarażoną duchem niedowiarswa, rozwiązłą w obyczajach i karmiącą się tylko konspiratorską egzaltacyą. Wpływ takiej młodzieży był niebezpieczny dla alumnów, nietylko pod względem

obyczajów, ale też i pod względem zasad; bo choćby nawet nie zachwiał ich wiary, osłabiłby z pewnością ich gorliwość kapłańską, zakwaszając w nich miłość Kościoła drożdżami fałszywego patryotyzmu. Samemu nadto zakładowi groziłoby niebezpieczeństwo ze strony świeckiej młodzieży; przy panującej bowiem wówczas modzie spiskowania łatwoby się stać mogło, że i wśród alumnów znalazłoby się kilku zapaleńców, coby do sprzysiężenia wciągnąć się dało, a samo wykrycie podobnego faktu wystarczyłoby do zamknięcia Akademii. Odosobnienie zakładu i tę wreszcie ważną przedstawiało korzyść, że duch kapłańskiej gorliwości, który w nim się szczepił, tem łatwiej mógł się rozszerzać wewnątrz, nie zdradzając się na zewnątrz, i nie budząc w rządzie podejrzenia, że się omylił na Hołowińskim. Raz postanowiwszy zupełne zamknięcie Akademii, nie trudno było Hołowińskiemu przekonać Skrypicyna o potrzebie tego środka. Dość mu było przytoczyć wzgląd na niebezpieczeństwo zetknięcia się alumnów ze spiskującą młodzieżą, by chętnie zatwierdzenie uzyskać. Trudniej daleko było z wyborem profesorów; nie przeto, by nowego rektora zbyt chciano krępować, lecz że niebardzo było z czego wybierać. Księży patryotów Hołowiński unikał z zasady, ultramontanie zbyt byli nieliczni, a i ci wobec rządu byli już skompromitowani. Robił wprawdzie starania o sprowadzenie z wygnania ks. Szczyta, natrafiwszy wszakże na opór, nieśmiał zbyt nalegać, by nie stracić zaufania, i poprzestał na dawnych wileńskich profesorach, w gronie których było kilku znakomitszych, zwłaszcza zaś uczony i pobożny Gaspar Borowski, późniejszy biskup łucko-żytomierski. Sam Hołowiński, oprócz rektorstwa objął też katedrę zrazu teologii dogmatycznej a następnie homiletyki, aby mieć częstą okazyę przemawiania do młodzieży i przelewania w nią swych przekonań i poglądów. Jedyną ciemną stroną nowo uorganizowanej Akademii było wprowadzenie do niej kilku profesorów schyzmatyków, a mianowicie: filozofii, rosyjskiej historyi i literatury, a także literatury łacińskiej, greckiej i hebrajskiej. Wszystkie te

przedmioty wykładały się nadto po rosyjsku. Było to naprzód przeciwko prawu kanonicznemu, a powtóre udaremniało całkiem te katedry, bo i uczniowie nic się nie uczyli i profesorowie lada jako wykładali. Wpływu wprawdzie szkodliwego profesorowie ci nie mieli, bo żadnego nie posiadali zaufania, ale filozofia była w zupełnym upadku, starożytne zaś języki wyjątkowych tylko miały słuchaczów, zwłaszcza grecki i hebrajski. Smutna ta innowacya była już wprowadzona przedtem do seminaryów, Hołowiński zaś zgodził się wprowadzić ją i do Akademii, bo inaczej musiałby z rektorstwa ustąpić.

Załatwiwszy się w ten sposób z urządzeniem Akademii zabrał się z całą gorliwością do kształcenia młodzieży, nie opuszczając wszakże okazyi wpływania na ogólny zarząd Kościoła w Rosyi. Po zniesieniu Unii i kasacie klasztorów, stosunki rządu ze Stolicą Apostolską były bardzo naprężone: Rzym nie dowierzał w niczem petersburskiemu gabinetowi, a Grzegórz XVI, wytknąwszy w ogłoszonej z tego powodu encyklice wszystkie nadużycia, jakich się względem Kościoła w Rosyi dopuszczano, podejrzliwem okiem spoglądał na każdą czynność cesarskiego rządu, obawiając się na każdym kroku zasadzki. Nie dziw, że w takiem usposobieniu szczególnie baczną uwagę zwracano na przedstawianych na wakujące biskupie stolice kandydatów, odmawiając zatwierdzenia, ilekroć kandydat nie budził zaufania. Wskutek tak nienormalnego położenia, katedry biskupie w Rosyi opróżniały się jedna za drugą, tak, że około roku 1840 dwóch zaledwie było biskupów w Cesarstwie. Stolica metropolitalna mohylewska wakowała od śmierci arcybiskupa Cieciszewskiego, t. j. od 1831 roku; następnie zawakowały żmudzka, mińska, wileńska i wreszcie łucka. Kiedy w r. 1840 rząd przedstawił koadjutora kamienieckiego Pawłowskiego na metropolitę mohylewskiego, ks. Rawę na biskupa mińskiego, ks. Gedrojcia na żmudzkiego a ks. Łaskiego na jakiegoś sufragana, Stolica Apostolska odmówiła wszystkich, jako nie posiadających jej zaufania.

Cesarz Mikołaj chcąc obejść Rzym, ale nie śmiejąc jeszcze duchowieństwa katolickiego do jawnego zawezwać odszczepieństwa, kazał zawezwać do siebie pomienionych nominatów i oświadczył im, że Papież zgadza się na ich nominacyę, a chociaż bulle prekonizacyjne jeszcze nie nadeszły, upoważniał ich wszakże do niezwłocznego przystąpienia do konsekracyi, gdyż zwłoka mogłaby się stać szkodliwą dla Kościoła. Na to ks. Pawłowski odpowiedział bez wahania:

— Najjaśniejszy Panie, gdybyśmy to uczynili, przestalibyśmy być katolickimi biskupami.

— Czy tak?—zawołał, udając zdziwienie cesarz,—no to poczekamy na bulle.

Śmiała odpowiedź Pawłowskiego, odniesiona do Rzymu, zjednała mu zatwierdzenie na stolicę metropolitalną, na której wszakże rok zaledwie siedział, przeniósłszy się do wieczności 1842 r.

Odtąd do wakujących stolic przybyła jeszcze łucka przez śmierć Piwnickiego, tak, że w r. 1847, kiedy rząd postanowił ponowić przedstawienie na biskupów już do Piusa IX, potrzeba było obsadzić naraz pięć stolic. Skrypicyn wybrał i tym razem wszystkich kandydatów w obozie rządowym, że jednak niezwykł był nic stanowczego przedsiębrać bez rady Hołowińskiego, zakomunikował mu więc ułożoną listę; Hołowiński pochwalił wybór, podniósł zasługi umieszczonych na liście prałatów, zrobił wszakże uwagę, że prawie wszyscy byli już raz odrzuceni przez Grzegorza XVI, obawiać się przeto należy, by i jego następca nie poszedł w jego ślady, co byłoby wielką kompromitacyą dla rządu, niemniej jak dla odrzuconych powtórnie prałatów. Radził przeto, aby obok umieszczonych już imion, przedstawić innych jeszcze kandydatów, za których wierność ręczył, a którzy nie byli źle notowani w Rzymie, aby przedstawienie w każdym razie miało skutek. Skrypicyn przyjął propozycyę, a Hołowiński zarekomendował biskupa *in partibus* Dmóchowskiego na metropolitę, Borowskiego na stolicę łucko-żytomierską, Zylińskiego na wileńską, Wołończew-

skiego na żmudzką, a Wojtkiewicza na mińską. Wdzięczny Skrypicyn dodał jeszcze Hołowińskiego na koadjutora *cum futura successione* arcybiskupa mohylewskiego. Ostrzeżony przez Hołowińskiego drogą prywatną Papież, zatwierdził wyłącznie przez niego podanych kandydatów i tym sposobem na długie lata wszystkie prawie biskupstwa w Cesarstwie osadzone zostały przez szczerze przywiązanych do Stolicy Apostolskiej pasterzy. Był to już wprawdzie krok ważny ku lepszemu i nie mała rękojmia na przyszłość, niebezpieczeństwo wszakże grozić nie przestało, nietylko ze strony rządu, który spostrzegłszy pomyłkę, nie zawahałby się usunąć przemocą nowomianowanych biskupów, ale i ze strony zawiedzionych w nadziejach swoich karyerowiczów, co trzymając już niemal tyle upragnioną zdobycz, ujrzeli wydartą ją sobie w jednej chwili, i to przez ludzi, co nie zaprzedawszy sumienia, nic nie uczynili w ich mniemaniu, czem zasłużyćby mogli na tyle względów u rządu. Mało oni wprawdzie mieli szansy, aby przez Rzym przyjęci zostali, mniej im wszakże chodziło o to, skoro *de facto* zarządzali dyecezyami, pobierali odpowiednią pensyę, a nawet niektórzy z nich, z upoważnienia rządu, nosili fiolety, przywłaszczając sobie tytuł biskupa nominata. Z przybyciem prawych biskupów tracili oni odrazu zajmowane stanowisko, prawie bez nadziei odzyskania go kiedykolwiek. To też wnet to pojęli, że jedynym dla nich środkiem wyjścia znowu na wierzch było przekonanie rządu, że na nich jednych może bezpiecznie polegać w przeprowadzeniu swych zamiarów, gdyż potężny faworyt oszukiwał. Żadnej też nie opuszczali zręczności, żeby podchwycić nowych pasterzy w braku gorliwości o dobro rządu, a raczej o pożytek schyzmy, wykazując przytem na każdym kroku swą bezwarunkową na wszystko gotowość.

Jednym z najwstrętniejszych okazów tych poronionych apostatów był prałat Łaski, po kilkakroć odrzucony przez Stolicę Apostolską jako kandydat do infuły, ostatni raz z wyraźnem zastrzeżeniem, aby nigdy więcej przedstawia-

nym już nie był. Rządząc przez czas długi z ramienia świeckiej władzy archidyecezyą mohylewską, przyczynił się on najwięcej do gwałtownego zniesienia Unii, nietylko wzbraniając księżom katolickim administrowania Sakramentów tym chwalebnym wyznawcom katolickiej jedności, lecz układając wspólnie z popami listy osób, oddawna już obrządku łacińskiego, które winne były przejść na schyzmę, przeto że ich ojcowie lub dziadowie byli obrządku unickiego. Wykreślał on niemiłosiernie z liczby katolickich parafian całe tysiące zrozpaczonych ofiar, odpychając je od Kościoła i Sakramentów, a za to, jak powszechna niesie fama, brał od rządu po pół rubla od duszy. Potwór ten, co dla pozoru nawet nie chciał przywdziać owczej skóry, sądząc, że przy pomocy rządowego knuta i w wilczej pasterzować potrafi, przedstawił raz księciu Galicynowi, mohylewskiemu gubernatorowi, długi spis katolickich kościołów, zdaniem jego niepotrzebnych, które należałoby zabrać na cerkwie. Szlachetny z natury rosyjski arystokrata, zrobił uwagę, że ludność katolicka pozbawiona przez to zostanie w wielu miejscach pomocy religijnej; gdy jednak Łaski nastawał Galicyn zawołał ze zdziwieniem: »Księże prałacie, my, jak widzę, zmieniamy rolę: ty nastajesz na to, na co właściwiej byłoby nastawać przedstawicielowi rządu, ja zaś staję w obronie tego, co twoje powołanie tobie raczej bronićby nakazywało«. Słowa te, co powinnyby wywołać rumieniec wstydu nawet na miedziane czoło, przyjęte zostały z ironią przez mohylewskiego Judasza, który odrzekł z pogróżką: »Obaczym, komu z nas przyzna słuszność P. Minister.« Jakoż nie zawiódł się: Łaski otrzymał nowy order, a Gubernator został zmieniony. A jednak Łaski nie był odosobniony wśród duchowieństwa! Większa część wyższych posad duchownych była obsadzona podobnymi jemu zaprzańcami. Jednym z najszkodliwszych był sekretarz Duchownego Kollegium w Petersburgu, prałat Kossowski, trzymający się za ręce z Łaskim i czuwający u samego źródła władzy, by żadnej nie opuścić zręczności do posunięcia siebie i swoich.

Każda dyecezya miała mniej więcej swoich Łaskich i Kossowskich, z którymi biskupi musieli się liczyć, niechcąc się skompromitować wobec rządu. Wystąpić przeciwko nim w imię gorliwości katolickiej, byłoby to umocnić owszem ich stanowisko a zachwiać swoje; w kraju bowiem, gdzie w papierach oficyalnych rząd używał wyrazu: szkodliwy prawosławiu, jako zaskarżenia dostatecznego na to, by księdza katolickiego usunąć od zajmowanej przezeń posady, łatwo domyśleć się, jaki los spotkałby biskupa, coby się ośmielił skarcić księdza za sprzyjanie widokom rządu. Zjadliwą tę truciznę trzeba było cierpieć do czasu, cała zaś gorliwość pasterska musiała się wówczas ograniczyć do paraliżowania jej zgubnej działalności, czujnością i roztropnością.

W końcu 1848 roku nowo mianowani biskupi zostali konsekrowani i wkrótce potem objęli zarząd swych dyecezyj. Położenie Hołowińskiego umocniło się z jednej strony, z drugiej wszakże stało się jeszcze trudniejszem. Jako koadjutor miał on prawo przyjmować udział w zarządzie swej przyszłej dyecezyi, a wiek podeszły arcybiskupa Dmóchowskiego i zaufanie, jakiem go zaszczycał, co chwila go zmuszały do mięszania się w sprawy kościelne i do przyjęcia za nie znacznej części odpowiedzialności. Młody koadjutor, ze zwykłą sobie przenikliwością ocenił trudność stanowiska, ale też i korzyści jego wyrozumiał. Wyższy nad pospolitą próżność, co chwałę sobie, a ciężary chętnie oddaje drugim, Hołowiński rad się owszem ukrywał za purpurą Metropolity, robiąc wszystko, co było w jego mocy, aby mu dopomódz do sumiennego wywiązania się ze swych trudnych obowiązków, lecz zostawiając mu przed ludźmi całą odpowiedzialność i zasługę. Była to jedyna zdrowa polityka na owe czasy; z jednej bowiem strony Hołowińskiemu niezmiernie o to chodziło, by się przed czasem nie skompromitować wobec rządu jawną gorliwością katolicką, z drugiej zaś nie chciał dopuścić, aby zarząd duchowny, w którym miał udział, uczynił cokolwiek na rzeczywistą szkodę Kościoła. Trzeba więc było tak się urządzić, by

nie wyprowadzając rządu z mylnego mniemania, że znalazł w nim przyszłego Siemaszkę, dopomódz skutecznie Dmóchowskiemu do obronienia się od wszelkich podstępów i napaści rządu. Osobisty charakter sędziwego Metropolity nadawał się doskonale do powyższego planu. Pełen czystej i gorącej wiary, a stojący już jedną nogą w grobie, Dmóchowski miał przedewszystkiem przed oczami sąd Boży, na którym rychło stanąć się spodziewał; ilekroć przeto jasno widział swój obowiązek, spełniał go bez wahania, nie oglądając się wcale na mogące stąd wyniknąć dlań doczesne nieprzyjemności. Zbyt wszakże ufający a za mało przebiegły, łatwoby się dał uwikłać w zastawiane nań na każdym kroku sieci przez tak biegłych jak Skrypicyn i poplecznicy jego kusicieli. Potrzebował więc koniecznie bystrego oka Hołowińskiego i trafnej jego rady, by grożące niebezpieczeństwo spostrzedz i w porę mu zaradzić. Widząc pokrzyżowane swe zamiary, rząd kładł to na konto uporu, porywczości lub fanatyzmu zacofanego w swych pojęciach starca, względem którego nie chciał wszelako do ostatecznych uciekać się środków, wiedząc, że to złe chwilowe, które śmierć nie omieszka usunąć, otwierając pole młodej i zgodnej z jego dążeniami działalności Hołowińskiego. Kiedy po śmierci metropolity petersburskiego schyzmatyckiego Skrypicyn przyjechał do Hołowińskiego, wzywając go, aby z alumnami i profesorami Akademii udał się do cerkwi, gdzie wystawione były jego zwłoki, dla uczczenia pamięci zmarłego i wykazania, że między katolickiem i prawosławnem duchowieństwem najlepsza panuje harmonia, Hołowiński nie odmawiając stanowczo, przypomniał tylko Skrypicynowi, że jako rektor Akademii ma zwierzchnika w metropolicie i bez jego zgody nie może rozporządzać się w tak ważnej kwestyi, radził mu przeto udać się do Metropolity i skłonić go, aby razem z Kollegium, Akademią i całem duchowieństwem katolickiem nawiedził nieboszczyka, co miałoby nierównie większą doniosłość, niż nawiedziny jednej Akademii i to jeszcze bez wiedzy głównego zwierzchnika. Tak postawiona

propozycya była zbyt rażąca, by przy gołębiczej nawet prostocie Arcybiskup mógł ją przyjąć. To też gdy Skrypicyn przedstawił mu swe żądanie, staruszek tak się rozgniewał, że mu drzwi pokazał, a zmieszany Skrypicyn wrócił do Akademii, żaląc się na doznaną niegrzeczność. Hołowiński nie omieszkał okazać mu serdecznego współczucia, ale oświadczył zarazem, że nie pójdzie nigdy przeciw tak wyraźnie wypowiedzianej woli swego zwierzchnika, i rzecz na tem się skończyła.

Trudniejsze nierównie było położenie Hołowińskiego kiedy mu cesarz osobiście oświadczył, że chce skasować Duchowną Akademię warszawską i przyłączyć ją do petersburskiej; i tu wszakże nie opuściła młodego koadjutora zwykła mu przytomność umysłu, tak, że potrafił odwrócić cios grożący polskiemu Kościołowi, nie zdradzając swych rzeczywistych pobudek.

— Czy Wasza Cesarska Mość, zapytał on monarchę, zadowolona jest z kierunku nadanego przezemnie tutejszej duchownej młodzieży?

— Właśnie dla tego, odrzekł car, że rad jestem z tego kierunku, chciałbym poddać pod tę samą dyrekcyę i młodź warszawską.

— Ośmielę się wszakże przedstawić Waszej Cesarskiej Mości—ciągnął dalej Hołowiński—że w razie zlania obu zakładów, ja nie odpowiadam za ogólny kierunek, lękam się bowiem, że nowo przybyli zamiast przejąć się miejscowemi zasadami wszczepionemi tylko przy pomocy zupełnego odosobnienia, zarażą raczej moją młodzież swemi przewrotnemi teoryami, a wówczas cały owoc mej długoletniej pracy będzie zmarnowany.

Cesarz uznał słuszność tej uwagi i zaniechał zamiaru. Zbliżała się jednak chwila stanowczej próby dla Hołowińskiego. Zdrowie sędziwego Metropolity rujnowało się coraz więcej, tak, że po dwóch zaledwie latach zarządu legł na łoże bez nadziei wyzdrowienia. Skoro wieść o śmiertelnej chorobie Dmóchowskiego doszła do sfer rządowych,

minister dał rozporządzenie do Kollegium, aby wnet po zgonie Metropolity wszystkie jego papiery zostały opieczętowane i odesłane do Departamentu wyznań. Hołowiński, wiedząc o tem rozporządzeniu, przybył do umierającego z swym kapelanem i nie odstąpił od jego łoża, aż śmierć zawarła mu powieki. Odprawiwszy modlitwy nad konającym i zamknąwszy oczy dostojnemu swemu poprzednikowi, prawny jego następca zwrócił się do swego kapelana i kazał mu wnet zabrać wszystkie papiery zmarłego i wynieść do karety. Kossowski, sekretarz Kollegium, oświadczył wnet, że wolą ministra jest, by papiery wnet były opieczętowane i złożone w ministeryum. »Od tej chwili władza jest przy mnie, odrzekł Hołowiński, ja sam rozmówię się z ministrem«, i wsiadł do powozu, zabrawszy papiery. Jako pomocnik i powiernik zgasłego Pasterza wiedział on dobrze, że w liczbie prywatnych jego papierów było wiele próśb i listów w kwestyi prześladowanych Unitów, którzy uciekali się pod jego opiekę, a także proboszczów i wiernych, odkrywających różne rany Kościoła, którym gorliwy Pasterz starał się wedle możności zaradzić, nie szczędząc ani zabiegów ani pieniędzy, by zmiękczyć surowość popów i urzędników. Nie mało osób mogło być skompromitowanych przez te listy, czego Hołowiński postanowił uniknąć. Przewertowawszy przeto sam pozostałe papiery i spędziwszy całą noc na tej pracy, dopiero nazajutrz opieczętował nieszkodliwą pozostałość i odesłał do Departamentu. Trzymając się nadto przepisanego prawem kanonicznem porządku, jako *Coadjutor cum futura successione,* wystosował wnet do Ojca św. prośbę o paliusz, i prośbę tę przesłał ministrowi przy liście urzędowym, w którym prosi go o wyprawienie przyłączonego dokumentu do Rzymu, dokąd na wszelki wypadek wyprawił drugi egzemplarz prośby drogą prywatną. Lękał się zapewne Hołowiński, aby przy osobistej rozmowie z ministrem nie postawiono mu pewnych warunków, których zdecydowany był nie przyjąć, a jednak nie chciał rozbić swej nawy w chwili,

kiedy dobijać się już zdawała do portu. Przebieg późniejszych wypadków przekonał, że i tu się nie omylił i rzeczywiście obrał jedyną drogę, co nie kompromitując sumienia, mogła go postawić u celu. Zrazu wszakże zdawało się, iż krok ten śmiały tak pokrzyżował interesa, że karyera Hołowińskiego mogła się całkiem zwichnąć. Minister obrażony, że ten, którego przyszłość, zdaniem jego, całkiem od niego zależała, śmiał go traktować niemal jak prostego pośrednika, udał się do cesarza i zdał mu sprawę z tego, co zaszło, dodając, że snać Hołowiński spodziewa się otrzymać najwyższą w Cesarstwie duchowną władzę, nie prosząc nawet o to cesarza. »On będzie metropolitą, odrzekł Cesarz, kiedy ja tego zechcę« i kazał złożyć do archiwów prośbę jego o paliusz. Odpowiedź cesarza stała się wkrótce głośną w całym kraju. Przyjaciele Hołowińskiego ubolewali, zazdrośnicy cieszyli się, ciżba dworska nie śmiała się doń zbliżyć, on zaś zamknięty w ciasnem kółku swych akademickich obowiązków, zajmował się kształceniem młodzieży nie mniej spokojnie i gorliwie jak zawsze. Nikomu się nie tłómaczył, niczyjej nie szukał protekcyi, żadnych do sfer rządowych nie czynił awansów; zdał się całkiem na Opatrzność i czekał. Minęły tak długie dwa miesiące. Tymczasem doszedł do Rzymu drugi egzemplarz prośby jego o paliusz a wkrótce potem sprawozdanie o rozmowie ministra z cesarzem. Ojciec św. zrozumiał już był Hołowińskiego z prywatnych relacyi, jakie od niego o stanie Kościoła odbierał, a oceniwszy go należycie, pragnął gorąco, by on a nie kto inny stanął na czele duchowieństwa w Cesarstwie. To też, nie czekając na otrzymanie prośby drogą oficyalną, jakby z własnego natchnienia, wysłał do Petersburga przez Ambasadę rosyjską paliusz i bullę dla Hołowińskiego. Była to niemiła niespodzianka w Pałacu i w ministeryum, i zrazu nie wiedziano, co z tym fantem zrobić; stosunki wszakże ze Stolicą Apostolską były wówczas takie, że lękano się narazić Papieżowi, z którym świeżo zawarto konkordat i nie miano powodów do nieporozumień. Wszystko przeto

zważywszy, Cesarz postanowił wręczyć Hołowińskiemu paliusz, zamykając oczy na zbyt śmiałe jego znalezienie się po śmierci Dmóchowskiego. Wezwano go przeto do Carskiego Sioła, ówczesnej rezydencyi Dworu, Cesarz zaś łaskawością swoją chciał zagładzić chwilowe nieporozumienie i ostatecznie skaptować sobie młodego Arcybiskupa. Wręczając mu paliusz, uścisnął go serdecznie, ująwszy w ramiona, wyznał, że starano się go uprzedzić przeciwko niemu, lecz on, wiedząc, że każdy ma nieprzyjaciół i zazdrośników, kładzie to na karb niechęci osobistych i ufa, że znajdzie w Hołowińskim nietylko wiernego poddanego, lecz szczerego doradcę i chętnego współpracownika w dziele zarządu krajem, gdzie władza świecka bezpiecznie postępować może, tylko ręka w rękę idąc z władzą duchowną.

Nie mamy potrzeby mówić, jak radykalną zmianę podobne przyjęcie u cesarza sprawiło we wszystkich sferach rządowych. Wszyscy zwrócili się znowu ku niemu z rozpromienionem obliczem, a najzawziętsze wrogi najniżej się kłaniały i najnikczemniej pochlebiały. Skrypicyn, co najwięcej liczył na Hołowińskiego, nie postradał był jeszcze całkiem nadziei, że się na nim nie zawiedzie. Śmiałe znalezienie się jego w sprawie paliusza kładł on częścią na karb nieświadomości zwyczajów, częścią niepomiernej ambicyi, co mu zawróciła głowę, tak, że zapomniał na chwilę, jak dalece zależnym jest od łaski rządu. Spodziewał się wszakże, iż obłęd wkrótce minie, a Hołowiński zrozumie, że tylko na rządowym wózku dojechać może tam, gdzie go pędzi jego ambicya. To też wkrótce po audyencyi u cesarza, przybył do nowego arcybiskupa w konfidencyonalnej niby misyi i zaproponował mu w imieniu cesarza, że otrzyma niezwłocznie 60.000 rubli na urządzenie się odpowiedne swej wysokiej godności, jeśli poda rządowi spis księży katolickich, gotowych przyjąć prawosławie. Nie wątpił on, że Hołowiński umieści na czele swe własne nazwisko, a następnie swoich najbliższych przyjaciół. Lecz cóż za bolesny był jego zawód, gdy Hołowiński, podnosząc rękę do jego twarzy,

rzekł sucho groźnym głosem: »Pamiętaj, że byłem pierwej szlachcicem niż księdzem, a wiesz, czego od szlachcica masz spodziewać się za podobną propozycyę.« Była to stanowcza i ostatnia próba. Wróciwszy zmięszany do ministra, powiedział mu tylko: »Oszukał nas Hołowiński!«

Odtąd stanowisko Hołowińskiego zmienia się całkowicie: znika w nim nietylko zagadkowa dwuznaczność, lecz i wszelka światowość, nawet żyłka do świeckiej literatury zamiera. Ojcowie Kościoła i nasi najznakomitsi biskupi: Szczepanowscy, Oleśniccy, Karnkowscy stają się dla niego jedynym wzorem postępowania, a miłość Kościoła potęguje się w nim jeszcze z dniem każdym, pożerając swą świętą gorliwością i tak już nadwątlone zbyteczną pracą siły. Zarzucają niektórzy Hołowińskiemu w pierwszej epoce jego kapłańskiej działalności wallenrodyzm, a przynajmniej obłudę. Ci, co tak sądzą, zapominają, że Wallenrod przyjął obcą wiarę, obcą narodowość na to, by zyskawszy zaufanie, zdradzić sprawę, której mu powierzono kierunek. Cóż podobnego widzimy w Hołowińskim? Kiedyż zaparł on się swej wiary, lub swej narodowości? Kiedyż stawał na czele nienawistnej sobie sprawy na to, by ją zgubić? Gdyby Siemaszko oszukał schyzmę i wprowadził ją do papieskiego obozu, słusznie porównaćby go można z Wallenrodem; lecz tego rodzaju ludzie zdradzają zwykle na dobre, zwłaszcza w sprawach tyczących się Boga i religii. Hołowiński wyznawał zawsze, że jest Polakiem i gorliwym katolikiem i takim okazał się rzeczywiście; potępiał środki rewolucyjne i bunt przeciwko istniejącej władzy i nigdy też do żadnych knowań ani jawnych, ani tajnych nie należał. Jedyna rzecz, co zakrawała na obłudę, było to, że kiedy po nim spodziewano się apostazyi, on z błędu nie wyprowadzał, chociaż się tego domyślał, ale ani jednem słowem nie utwierdził nigdy tego przekonania; jeśli więc ci, co milczenie jego brali za potakiwanie lub przyzwolenie, zostali w rachubach swoich zawiedzeni, to wina spada na nich, a nie na Hołowińskiego, który nie był obowiązany wypowiadać co chwila

swojego wewnętrznego przekonania, zwłaszcza w tak wyjątkowych okolicznościach. Broniąc Hołowińskiego, nie podaję bynajmniej postępowania jego za wzór do naśladowania dla wszystkich kapłanów; wolałbym owszem, by duchowieństwo nasze naśladowało raczej ostatni peryod jego pasterskiej działalności. Utrzymuję tylko, że był on zawsze dobrym i gorliwym kapłanem, że szczerze miłował Kościół i niezmordowanie dla dobra jego pracował. Że był człowiek wielkiego rozumu i wielkiego serca, człowiek prawdziwie opatrznościowy, który oddał nieobliczone usługi polskiemu Kościołowi, bo jak drugi Dawid z procą i pasterskim kijem zwalczył Goliata. Misya jego była wyłączna, jak wyłączne były jego zdolności i wyłączne okoliczności, wśród których był postawiony. Tylko Opatrzność mogła mu natchnąć ten niezwykły a tak niebezpieczny plan postępowania, bo Jej tylko cudowne zrządzenie mogło plan ten do szczęśliwego doprowadzić końca, zaślepiając oczy nieprzyjaciół i podając mu zawsze dobrą radę w najtrudniejszych nawet wypadkach. Zuchwalstwem byłoby chcieć naśladować Hołowińskiego bez szczególnego ku temu Bożego natchnienia, ale pewny jestem, że jeśli Kościół nasz, w co najgoręcej ufam, oczyści się, umocni i o własnych stanie siłach, to Hołowińskiemu wdzięczna potomność wzniesie tak dobrze zasłużony pomnik.

II.

Moje duchowne wychowanie.

Wstąpiłem do Seminaryum żytomierskiego w tym samym roku, kiedy Hołowiński przywdział arcybiskupi paliusz, t. j. r. 1851, w końcu października.

Dyecezyą łucko-żytomierską zarządzał już wówczas od lat trzech prawie, biskup Gaspar Borowski, wyniesiony na tę godność za staraniem Hołowińskiego, z profesora akademii duchownej.

Uczony, pobożny, zamiłowany w pracy i gorliwy w pełnieniu swego pasterskiego obowiązku, łączył on pod względem duchownym wszystkie przymioty, jakich wysokie stanowisko jego w Kościele wymagało. To też w innym kraju, lub w innych czasach zasługi jego byłyby niezawodnie ocenione, a miłość i szacunek wiernych otoczyłyby go niezawodnie. Na Wołyniu wszakże inny los spotkał biskupa Borowskiego, przynajmniej w pierwszej połowie jego pasterskiej działalności. W uciemiężonej i znękanej prześladowaniem Polsce, ceniono przedewszystkiem patryotyzm i to głośny, manifestujący się; Borowski zaś, wyszedłszy ze szkoły Hołowińskiego, manifestował owszem na każdym kroku swoje wiernopoddańcze uczucia dla tronu. Hołowiński nadto, niezmiernie bystry i przebiegły, umiał zawsze trafnie obrać chwile wypowiedzenia uprzejmych wyrazów dla rządu, tak, że okoliczność usprawiedliwiała niejako zawsze niemiłe dla polskiego ucha pochlebstwa; Borowski zaś, z natury gołębiczej prostoty, raz przyjąwszy system zalecony mu przez przyjaciela, którego praktyczny rozum wysoko poważał, rąbał po żołniersku na prawo i na lewo, nie oglądając się bardzo, gdzie zadawane cięcia (ciosy) trafiały. Raz uwierzywszy Hołowińskiemu, że tylko kadząc rządowi, można co zrobić dla Kościoła, przyjął on sobie za prawidło przy każdej zręczności wyrazić swą cześć dla władzy.

Wnet po jego przybyciu do Żytomierza, obywatelstwo chcąc uczcić swego pasterza, a zarazem poznać go bliżej, wydało dlań obiad bez żadnego oficyalnego charakteru, tak, że żaden z wyższych urzędników koronnych nie był nań zaproszony. Starano się nadać zebraniu charakter całkiem swojski, domowy, żeby czuć było, że wielka katolicka rodzina ugaszcza swego duchownego ojca. W czasie obiadu najpoważniejszy z grona obywateli wniósł zdrowie Pasterza, które przyjęte zostało hucznymi wiwatami i wszyscy pospieszyli do ucałowania błogosławiącej jego ręki. Lecz jakież było zdziwienie, gdy Borowski wznosząc swój kielich, zamiast podziękować zgromadzonemu obywatelstwu za jego

serdeczne przyjęcie, wzniósł toast na cześć cesarza, zachęcając w swem przemówieniu obecnych do wdzięczności za odbierane od rządu dobrodziejstwa. Głuche milczenie odpowiedziało na ten toast, a nić sympatyczna, co już poczęła się zawiązywać między owczarnią i pasterzem, przerwała się od razu i zaledwie po wielu latach i wielu ofiarach związała się na nowo, aby się już więcej nie przerwać. To pierwsze wystąpienie, żadną nieusprawiedliwione koniecznością, zatrwożyło nietylko patryotów, lecz i gorliwych katolików, którzy nie mogli pojąć, z jakiego tytułu wzywać do wdzięczności serca katolickie względem monarchy, co tyle skasował klasztorów, tyle kościołów zamienił na cerkwie i tyle milionów unitów gwałtem pociągnął na schyzmę. Nawet świątobliwy ks. Ożarowski, bawiący jeszcze wówczas w Żytomierzu, pomimo całą swą uległość dla władzy duchownej, ustanowionej przez papieża, zatrwożył się w głębi sumienia, lękając się, by nie sprawdziły się rzeczywiście przepowiednie patryotów, wróżących, że tak Hołowiński jak i wszyscy wysadzani przezeń biskupi, trzymają w kieszeni brody, które przyczepią na pierwsze skinienie cara. Zatrwożona opinia publiczna nie szczędziła ani fioletowej sutanny, ani sędziwego wieku biskupa, wołając wszędzie, że jest Moskal i schyzmatyk. Zabolało na te krzyki pasterskie serce, tłómaczyć się jednak nie myślał, ufny, że czas wyświeci prawdę; względem ks. Ożarowskiego jednak, którego odrazu ocenił, zrobił wyjątek, gdyż zbyt byłoby mu boleśnie być niepojętym przez niego. Zrobił to wszakże w sposób godny dwóch świętych: obrał go sobie za spowiednika i aż do wyjazdu jego z Żytomierza, nic bez jego rady nie poczynał. Powoli serca katolickie ochłonęły z trwogi, a chociaż patryoci zawsze powstawali na Biskupa za jego przywiązanie do tronu, przestano się wszakże obawiać schyzmy.

W takim stanie były rzeczy, kiedym przybył do Żytomierza z zamiarem wstąpienia do Seminaryum. Biskup przyjął mię uprzejmie, bez trudności zgodził się na zaliczenie mię do kleru i odesłał do rektora. Rektorem Semina-

ryum był wówczas prałat Kulikowski, niegdyś kapelan Krzemienieckiego Liceum, sędziwy i poważny starzec, energiczny w zarządzie i nieco szorstki w obejściu się. Z zasady traktował on młodzież garnącą się do stanu duchownego z góry, upokarzając jej miłość własną. Gdym się mu przedstawił, jako aspirant do stanu duchownego, oznajmując zarazem, że otrzymałem już pozwolenie Pasterza, rozpytał mię dość szczegółowo o moją przeszłość, a dowiedziawszy się, że miałem już lat przeszło 28, że byłem w moskiewskim uniwersytecie a świeżo wracałem z kilkoletniej podróży za granicą, pokiwał głową i powiedział sucho: »Już to z tych włóczęgów, co z wielu pieców chleb jedli, rzadko bywa pociecha, ale skoro Pasterz przyjął, to nie ma co robić. Przedstaw się ks. Inspektorowi i zasiadaj na rekolekcye«.

Dziwnym trafem zdarzyło się, że inspektorem był wówczas ks. Kruszyński, kolega mój z pierwszej klasy, który wstąpiwszy później do Seminaryum, został wysłany do Akademii Duchownej do Petersburga i jeden z pierwszych ją ukończył. Biskup znał go jeszcze z Akademii, a ceniąc jego zacność i gorliwość, mimo młodego wieku zrobił go inspektorem i profesorem teologii moralnej. Pomimo koleżeńskie wspomnienia, ucałowałem w rękę ks. Inspektora, który zaprowadził mię do przeznaczonej dla mnie celi i kazał się gotować do rekolekcyj. Uprosiłem, aby mi pozwolono było odbyć je u ks. Ożarowskiego, co bez trudności otrzymałem i przez całe życie wdzięczny jestem Panu Bogu za tę łaskę. Owe kilka dni spędzone na rozmyślaniu pod kierownictwem tak światłego i świątobliwego przewodnika, wtajemniczyły mię daleko głębiej w niedostępne dla światowej mądrości kwestye powołania, niżby to uczynić mogło przeczytanie najuczeńszych teologicznych traktatów. Tu dopiero pojąłem i uwierzyłem całą potęgą upokorzonej duszy, że powołanie jest łaską Bożą, większą niż jakabądź inna łaska; czyni nas bowiem współpracownikami Chrystusa w dziele Odkupienia, co jest najważniejszą sprawą na świecie. Że nie my obieramy Zbawcę, ale On nas obiera; od nas przeto należy

Mu się nieskończona za to dobrodziejstwo wdzięczność; a chociażbyśmy mieli anielską czystość i świętość Cherubinów, jeszcze drżeć byśmy powinni wobec tak niesłychanego zaszczytu, jakim jest Boga w swych rękach piastować i bliźnim naszym wrota do Królestwa Niebieskiego otwierać. A cóż dopiero jeśli poczuwamy się do ciężkich grzechów, i przynosimy z sobą przywary i nieumartwione złe skłonności, co w tak rażącej stoją sprzeczności ze świętością obranego powołania? Poznawszy w świetle wiary tak skażone źródło mego powołania, jakoteż i brak cnót odpowiednich obranemu stanowi, począłem się trwożyć o prawdziwość powołania mego, a myśl, że nie wchodzę do Świątyni przeze drzwi, lecz samowolnie wdzieram się do niej przez okno, poczęła mię tak dręczyć, iż wahałem się, czy nie powinienem zaniechać przedsięwzięcia. W jednej z takich chwil zwątpienia, kiedy padłszy na kolana błagałem Pana o światło, usłyszałem jakby głos w głębi duszy: »Pokój z tobą. Jam jest«, i jednocześnie opanowała mię taka błogość i takie rozrzewnienie, że wylewałem łzy wdzięczności za dobrodziejstwo powołania, którego tak bardzo czułem się niegodnym. Wlana wówczas w serce moje ufność, iż powołanie moje pochodziło rzeczywiście od Boga, była tak wielka i niezachwiana, że nigdy odtąd wątpliwości pod tym względem nie miałem, a jeśli kiedy sumienie mię dręczyło, to za to jedynie, że powołaniu memu nie byłem wierny, lecz nigdy nie oskarżało o to, żem się samowolnie wdarł do Świątyni.

Po skończonych rekolekcyach i spowiedzi z całego życia, przywdziałem duchowną suknię i rozpocząłem nauki w Seminaryum. Alumnów było wówczas około czterdziestu; pomimo, że koszt skarbowy był tylko na 18, reszta utrzymywała się kosztem biskupa i z pobożnych składek, takich bowiem kleryków, co mogli sami łożyć na swe utrzymanie, było bardzo nie wielu. Ogromna większość alumnów składała się z młodzieży od lat szesnastu do dwudziestu trzech, tak, że ja byłem znacznie starszy od wszystkich i odrazu otrzymałem od kolegów małorosyjskie przezwisko: »Batko«.

Publiczne wychowanie w Rosyi było wówczas obrachowane tylko na służbę wojenną i kancelaryjną: nie rozwijano ani samoistnej myśli, ani sztuki oratorskiej, ani dyalektycznej wprawy w pisaniu. Języki zaś starożytne były w wielkiem zaniedbaniu, a filozofii nie uczono nawet po uniwersytetach. Łatwo wyobrazić sobie można, z jakiem naukowem przygotowaniem postępowała wówczas młodzież do seminaryów, zwłaszcza, że wyjątkowo chyba który alumn kończył gimnazyum, pospolicie zaś wstępowali z czwartej lub piątej klasy, t. j. zaledwie umiejąc deklinacye i konjugacye łacińskie, a nawet i po polsku niewiele więcej, gdyż ojczystego języka wcale nie wykładano po szkołach. Jakkolwiek skończyłem uniwersytet na matematycznym wydziale, po łacinie wszakże umiałem bardzo mało. Znalazłem się przeto w tychże, co inni warunkach, a nawet w gorszych, gdyż ze stępioną już znacznie pamięcią. Powszechna nieumiejętność łaciny między młodzieżą duchowną, zmusiła biskupów do przyjęcia po seminaryach metody, ubliżającej studyom teologicznym; poduczano bowiem z grubego gramatyki i wnet kazano uczyć się na pamięć po łacinie historyi kościelnej, a następnie i przedmiotów teologicznych. Wprawdzie w niektórych seminaryach utworzono kursa przygotowawcze, gdzie wykładano tylko język polski i łaciński i obszerny katechizm, ale na kursa te uczęszczali tylko bardzo młodzi i całkiem nieprzygotowani alumni, starsi zaś w pierwszym już roku słuchali wykładów po łacinie i w tymże języku odpowiadać musieli. Metoda owa, koniecznością narzucona, tę miała wszakże dogodność, że w ciągu czteroletniego seminaryjskiego kursu, klerycy tyle przynajmniej nabierali wprawy w użyciu języka łacińskiego, iż mogli z łatwością czytać dzieła teologiczne, zdolniejsi zaś mogli się nawet jakkolwiek wysłowić.

Nie zważając na moje słabe przygotowanie w łacinie, mając wzgląd na mój wiek i ogólne rozwinięcie umysłowe, głównie zaś przez wzgląd na potrzebę naglącą kapłańskiej posługi parafialnej, awansowano mię tak prędko, że we dwa

miesiące przeprowadzono mię na kurs drugi, a w pół roku na trzeci. W rok po mojem wstąpieniu do Seminaryum, potrzeba było wysłać do Akademi Duchownej jednego alumna z Żytomierza; władza więc duchowna mnie tam wyprawiła, chociaż nie spodziewałem się tego wcale. Tym sposobem w końcu 1852 roku znalazłem się w Petersburgu, pod bezpośredniem kierownictwem arcybiskupa Hołowińskiego, który zostawszy nawet metropolitą, nie opuścił Akademii, zachowując i nadal obowiązki rektora i profesora homiletyki. Snać do wykształcenia kleru przywiązywał on większą wagę, niż do załatwiania bieżących interesów administracyjnych, które zresztą szły drogą tak skomplikowaną, iż bezpośredni jego w nich udział był prawie niemożebnym. Archidyecezya mohilewska miała swą katedrę w Mohylewie, ale arcybiskup nigdy przy niej nie mieszkał, gdyż jako prezes Kolegium musiał przesiadywać stale w Petersburgu. Stąd w Mohylewie zarządzał bezpośrednio oficyał i załatwiał w konsystorzu wszystkie bieżące sprawy, pod ogólną tylko kontrolą arcybiskupa. Lecz za czasów cesarza Mikołaja i ta nawet kontrola była nominalna raczej niż rzeczywista; postawiony bowiem z wyboru rządu oficyał Łaski, wiedząc, iż rząd zawsze go podtrzyma, nie troszczył się o rozporządzenie swego duchownego zwierzchnika, a nawet były zdarzenia, iż zaskarżał je do ministra. Kiedy po śmierci Łaskiego rząd zaproponował Hołowińskiemu zamianować na jego miejsce sekretarza Kollegium Kossowskiego, tejże co i Łaski wartości, Hołowiński użył swoim zwyczajem fortelu; odpowiedział, że Kossowski tak mu był potrzebny w Kollegium, gdzie nierównie ważniejsze rozstrzygają się sprawy, że obejść się bez niego nie potrafi. Zajęcie zaś w Mohylewie przedstawił jako rzecz podrzędną i umieścił tam jako wice-oficyała ks. Kiełkiewicza, zacnego i sumiennego kapłana, który wiernie rozporządzenia jego wypełniał. Kollegium znowu, gdzie metropolita jest prezesem, ma organizacyę tak dla interesów kościelnych niekorzystną, że przy najlepszych chęciach i przy największej czujności arcybiskup może tylko przeszkodzić

złemu i nie dopuścić szkodliwego rozporządzenia, odmawiając swego podpisu. Jeśli jednak z powodu choroby lub wyjazdu nie będzie przytomny na posiedzeniu, wiceprezes go zastępuje i decyzyi przezeń zatwierdzonej metropolita nie ma już prawa obalić, chociażby życzeniom jego wbrew się sprzeciwiała. Kollegium bowiem jest ciało zbiorowe, przez rząd ustanowione, niby jako instytucya pośrednicząca między rządem a biskupami, rzeczywiście zaś jako najwyższa instancya duchowna w państwie, we wszystkich sprawach, które wedle krajowych ustaw państwowych nie należą do kompetencyi Stolicy Apostolskiej, chociażby prawo kanoniczne inaczej w tej mierze orzekało. Kollegium składa się z prezesa, którym jest metropolita, z dwóch członków mianowanych przez rząd bezpośrednio i z tylu assesorów, ile jest dyecezyi, mianowanych przez biskupa lub zarząd dyecezyalny. Oprócz tego jest przy Kollegium rządowy prokurator, urzędnik mianowany przez władzę, który czuwa nad tem, by działania Kollegium zgadzały się we wszystkiem ze zbiorem praw państwowych i przy którym jest cała inicyatywa, gdyż on jeden ma prawo wnosić w imieniu rządu projekta nowych postanowień. Rola zaś zasiadających w Kollegium, nie wyłączając metropolity, ogranicza się do wyrażenia swego zdania bądź to w sprawie apelacyjnej, przychodzącej z jakiej dyecezyi, bądź w przedmiocie uczynionej przez rząd propozycyi. Przy poparciu swego zdania zasiadający nie mają prawa zsyłać się na prawo kanoniczne lub rozporządzenia Stolicy Apostolskiej, gdyż powagi tych dokumentów rząd nie uznaje, ilekroć prawu krajowemu się sprzeciwiają; za legalny zaś argument poczytuje tylko cytatę ze »Swodu Zakonów«. Żadne postanowienie uczynionem być nie może bez zgody prokuratora, chociażby zyskało jednomyślną zgodę duchownych członków Kollegium; jeśli zaś rząd co proponuje, prokurator wzywa z kolei asesorów do wyrażenia swego zdania; jeźli zaś który oponuje, nie wdaje się z nim w dyskusye, lecz podaje mu papier i pióro i każe mu podpisać, że on się nie zgadza na to, czego cesarz pragnie. Każdy zaś wie, że takie oświadczenie jest pasportem na Sybir. To też

najodważniejsi ograniczają się podaniem się do dymisyi, a i to jest fakt prawie niesłychany. Jeden metropolita, jeśli nie zechce podpisać, może udaremnić postanowienie Kollegium, to też z nim układają się zwykle naprzód, by uniknąć kompromitacyi, albo korzystają z jego nieobecności.

Tak, kiedy w roku 1828 metropolita Cieciszowski dla bardzo podeszłego wieku otrzymał pozwolenie mieszkania w Łucku, miejsce zaś jego w Kollegium zastępował pierwszy członek, biskup sufragan Piwnicki, rząd zaproponował, aby z powodu śmierci cesarzowej matki, Kollegium dało rozporządzenie do wszystkich dyecezyi, iżby wszędzie po kościołach odprawione zostało nabożeństwo żałobne za jej duszę. W pierwszej chwili członkowie odpowiedzieli, że z tem odnieść się trzeba do metropolity i rzeczywiście przesłali mu propozycyę rządu. Nazajutrz wszakże, gdy minister nalegał, aby wydali rozporządzenie natychmiast, gdyż kwestya ta nie cierpi zwłoki, Piwnicki odezwał się, że jeśli kto podpisze drugi, to on gotów podpisać pierwszy. Znalazł się usłużny naśladowca, a skoro oni podpisali, podpisali też i inni, lękając się odpowiedzialności; chociaż w parę tygodni nadeszła odmowna odpowiedź Metropolity, postanowienie Kollegium pozostało w swej sile i dotąd służy za podstawę do wymagań rządowych przy śmierci każdego z członków cesarskiej rodziny. Trzeba bowiem wiedzieć, iż Kollegium redaguje swe rozporządzenia w formie ukazu, poczynając od słów: »Z rozkazu Jego Cesarskiej Mości...«, tak, iż odmówienie posłuszeństwa rozporządzeniom Kollegium uważa się za pogwałcenie Najwyższego rozkazu i winno być karane jako bunt przeciwko władzy. Tym sposobem kilku prałatów, z których każdy jest w kanonicznej zależności od swego biskupa, razem połączeni posyłają swym biskupom rozkazy, za niewypełnienie których byliby karani jak przestępcy stanu. Najobfitsze żniwo dla rządu nastręcza się w czasie wakującej metropolitalnej stolicy; wówczas bowiem zastępujący go członek, mianowany przez rząd i podniecony obietnicą otrzymania najwyższej w kraju duchownej godno-

ści, zatwierdza wszystko, czego tylko rząd zapragnie, pociągając swym przykładem innych. Takim to sposobem udało się rządowi otrzymać od Kollegium ukazy o konfiskacie duchownych majątków, kasacie klasztorów i zamknięciu lub oddaniu na cerkwie mnóstwa kościołów; tak, że co tylko było zrobionego na zagładę katolicyzmu w Rosyi, wszystko to uczyniono rękami Kollegium. Przy takiej organizacyi Kollegium, łatwo pojąć, w jak trudnem znajduje się położeniu arcybiskup. Jeśli nie zechce wcale zasiadać w tej tak przeciwnej katolickiemu duchowi instytucyi, nie powstrzyma to bynajmniej jej zgubnej działalności, gdyż zastąpi go pierwszy członek, a podpisane przezeń postanowienia są prawomocne i obowiązujące dla samego nawet metropolity. Jedyny więc praktyczny środek zaradzenia złemu jest ustawiczna obecność i niezmęczona czujność, by nie dopuścić złemu zapanować, gdyż o przeprowadzeniu czegobądź dobrego za pośrednictwem Kollegium nawet mowy być nie może.

Tego właśnie systemu trzymał się Hołowiński, nie opuszczając ani jednego posiedzenia, wzbraniając sobie wydalania się ze stolicy nietylko dla zdrowia lub przyjemności, lecz nawet dla objazdu dyecezyi, gdyż dobro, jakieby przez to mógł uczynić, byłoby niczem w porównaniu zła, jakiegoby mogło narobić Kollegium w czasie jego nieobecności. Tym sposobem czas Hołowińskiego był podzielony między Akademię i Kollegium, chociaż przeważnie przebywał on w Akademii. Był to człowiek niezmiernej pracowitości. Wstawał o godzinie czwartej; o piątej odprawiał mszę św. i potem zajęty był bez przerwy aż do godziny dziewiątej wieczorem; a i później często pracował, jeśli robota była pilna. Oprócz administracyi i wykładów naukowych z katedry, miewał jeszcze co sześć tygodni długie i bardzo opracowane kazania w kościele św. Katarzyny, które zostały po śmierci jego wydrukowane, a jeszcze znajdywał czas na tłómaczenie hymnów kościelnych i naszych starych łacińskich kaznodziejów. Przy każdej też zręczności miewał improwizowane przemowy do alumnów, pełne gorliwości i na-

maszczenia. W towarzystwach za to nie bywał zupełnie, chyba z urzędu lub z interesem; u siebie zaś, oprócz duchownych, przyjmował tylko kilku poważnych literatów i uczonych. Jedyny wyjątek stanowiła pani Stanzani, Dziekońska z domu, sędziwa i niezmiernie wysoko wykształcona dama, a przytem bardzo gorliwa katoliczka. U niej bywał niekiedy wieczorami, ale czas ten użyty bywał na bardzo ważne sprawy; ona bowiem była pośrednikiem między nim i Rzymem i na tych to wieczorach redagowały się sprawozdania do Stolicy Apostolskiej. W chwili przybycia mego do Petersburga, Hołowiński przechodził nowe przesilenie w stosunkach z rządem. Po zawarciu konkordatu, cesarz Mikołaj poddał pod decyzyę Rady ministrów pytanie: Czy należy dokument ten ogłosić i zamieścić w zbiorze praw obowiązujących? czy też lepiej uważać umowę ze Stolicą Apostolską za dokument natury dyplomatycznej i pozostawić go do własnego tylko użytku w archiwach ministeryum spraw zagranicznych? Pomimo, że Błudow, który prowadził rokowania z Rzymem, był za ogłoszeniem, przeciwne zdanie przeważyło i to dzięki argumentom, przedstawionym przez ministra dla Królestwa Polskiego, Turkułła, który odradzał ogłoszenie. Następstwem tego postanowienia rządowego było to, że w oficyalnych stosunkach z rządem duchowieństwo katolickie nie miało prawa zsyłać się na konkordat, który nie został opublikowany. Jeden z artykułów tej umowy dozwalał proboszczom restaurować kościoły, bez poprzedniego proszenia o pozwolenie rządu, ilekroć restauracya nie zmienia planu budynku i dawnych ścian nie rujnuje, podczas gdy pierwej nawet o poprawienie pękniętego tynku trzeba się było zgłaszać do urzędu, gdzie z umysłu tak długo zaciągano tego rodzaju sprawy, aż zagrożony ruiną kościół musiał być zamknięty.

Dowiedziawszy się, że konkordat ogłoszonym nie będzie, Hołowiński dał od siebie rozporządzenie do wszystkich dziekanów, aby upoważniali nie kapitalne restauracye kościołów bez odnoszenia się do rządu. Lecz zaledwie kilku pro-

boszczów przystąpiło do odnowienia swych świątyń, wnet policya miejscowa wstrzymała roboty, zapytując, na mocy jakiego prawa to czynią? Dowiedziawszy się o okólniku Metropolity, władze miejscowe odniosły się wyżej i niebawem Minister otrzymał skargę od gubernatorów, na samowolne rozporządzanie się Hołowińskiego; minister zaś spraw wewnętrznych, chociaż sam podpisywał konkordat, wystosował wnet odezwę do Arcybiskupa, wzywając go do wytłómaczenia się, na jakiej podstawie wydał swój okólnik? Hołowiński wnet zrozumiał, że spór ten należało przenieść na inny grunt, gdyż na drodze przepierania się z ministrem nie było szansy wygrania. Zamiast odpowiedzieć ministrowi, Hołowiński z oskarżonego stał się oskarżycielem i wystosował do cesarza list na pięciu arkuszach, gdzie oddawszy naprzód hołd jego troskliwości o zaspokojenie duchownych potrzeb swych katolickich poddanych, czego dał świeży dowód, zawierając konkordat ze Stolicą Apostolską, żali się następnie na ministra, że ten, albo nie rozumiejąc woli monarchy, albo ją lekceważąc, postępuje tak, jak gdyby jedynym celem jego zarządu było ostateczne zniszczenie katolickiego Kościoła w Rosyi. Tu przechodząc od ogólników do szczegółów, przytacza cały szereg rozporządzeń ministeryalnych, na szkodę Kościoła wydanych, cytując wnet artykuły »Swodu Zakonów« lub konkordatu, którym rozkazy te całkiem się sprzeciwiają i konkluduje prośbą, aby Najjaśniejszy Pan ukrócił samowolę ministra i polecił mu stosować się nadal wierniej do woli sprawiedliwego dla wszystkich monarchy. Wyprawiając to pismo do cesarza, czuł Hołowiński, że takie przyparcie go do muru musiało się skończyć albo zupełnym tryumfem, albo zupełną przegraną; i na obie też alternatywy był przygotowany, tak, że miał nawet w pogotowiu podróżne przybory, na przypadek wywiezienia na Sybir. Na ten raz wszakże względy wyższej polityki nie radziły cesarzowi zrywać świeżo zawiązanych dobrych stosunków z Rzymem, co musiałoby nastąpić, gdyby w sprawie tak słusznej potępił Hołowińskiego, wydał przeto wy-

rok na jego stronę, chociaż wyraził się przytem o jego postępowaniu w tych dwóch trudnych do przetłómaczenia wyrazach: »скверно да право!« (niegodnie, lecz legalnie). Że zaś z innych powodów rad był zmienić Błudowa, powierzył przeto tekę spraw wewnętrznych jenerałowi Bibikowu, dawnemu opiekunowi Hołowińskiego.

Stosunki z nowym ministrem były na pozór niezmiernie uprzejme i przyjacielskie, w gruncie jednak całkiem sobie nie dowierzali. Bibikow, dla przekonania się o wewnętrznym duchu Akademii, przyjechał na egzamin z rosyjskiej historyi. Hołowiński przyjął go bardzo uprzejmie i posadziwszy obok siebie, wezwał jednego z alumnów i dał znak profesorowi, aby rozpoczął egzamina. W Akademii istniał tradycyonalny zwyczaj, iż na publicznych popisach z rosyjskich przedmiotów, arcybiskup wyzywał alumnów w porządku alfabetycznym, profesor zaś zadawał z kolei pytania począwszy od pierwszego, tak, że każdy kleryk wiedział zawczasu, na jakie pytanie będzie odpowiadać i na jedno się przygotowywał. Lecz skoro zapytany płynnie wyrecytował swą odpowiedź, Minister nie dopuścił przedłużania się tej komedyi, lecz rzekł do Arcybiskupa z przebiegłym uśmiechem: »Niech mi dostojny Pasterz pozwoli bliżej poznajomić się z swymi wychowańcami; ja sam chcę z nimi o naszej historyi pogwarzyć, gdyż te oficyalne pytania i odpowiedzi przypominają mi szkolne czasy, kiedyśmy zwierzchność w ten sposób oszukiwali, że każdy odpowiadał na ukazany mu zawczasu przez nauczyciela bilet. Nie przypuszczam, by i między duchowną młodzieżą puszczano się na podobne figle, wolę jednak usunąć wszelkie w tej mierze podejrzenie«. Po tych słowach wywołał na środek jednego z alumnów i kazał mu opowiedzieć panowanie Piotra Wielkiego. Na nieszczęście natrafił na tak trwożliwego a przytem mało z rosyjską historyą obeznanego młodzieńca, że zalękniony i prawie bezprzytomny powiedział tylko, że Piotr Wielki był założycielem rosyjskiej floty i powtarzając po

kilka razy: »pływał... pływał...« — nic więcej odpowiedzieć nie umiał.

— I zapewne utonął? — przerwał Minister i wyzwał innego, którego zapytał o panowanie Katarzyny.

Ten lepiej się wywiązał ze swego zadania, lecz czy to rzeczywiście przez zapomnienie, czy, by uniknąć drażliwej kwestyi, opowiedziawszy inne wojny i zabory, o rozbiorze Polski ani wspomniał. Bibikow nic nie rzekł, lecz badawczo spojrzał na Hołowińskiego i prosił go, by mu wskazał którego alumna, z którym mógłby pomówić nie jako z uczniem, lecz jako z młodzieńcem, przedstawiającym ducha Zakładu. Hołowiński, nie zawahawszy się ani na chwilę, wyzwał drugoletniego kleryka, rumianej twarzy i pięknej postawy, niezmiernie pilnego i ogromną obdarzonego pamięcią, dla którego uczenie się co do słowa i recytowanie lekcyj prawdziwą rozkosz stanowiło, w żadne zaś samoistne badania ani chciał, ani mógł się wdawać. Wyzwany posiadał niezmiernie sympatyczną fizyonomię, przytem bardzo mu pochlebiało to, że na niego padł tak zaszczytny wybór, stanął więc niezmięszany i z jaśniejącym radością wzrokiem przed Ministrem, a że cały kurs historyi Ustriałowa umiał jak pacierz, na wszystkie przeto pytania odpowiadał dokładnie i w tym właśnie duchu, jakiego pytający pragnął. To poprawiło nieco humor p. Ministra. Zadał wszakże jeszcze jedno pytanie, które wprowadziło w ambaras odpowiadającego. Zapytał bowiem: »Jakie było największe odszczepieństwo w rosyjskim Kościele?« Na odpowiedź, że »odszczepieństwo starowierów za patryarchy Nikona«, Bibikow odrzekł, że tego odszczepieństwem nawet nazwać się nie godziło, gdyż było to małe tylko nieporozumienie w rodzinie, które bynajmniej wzajemnej miłości nie zakłóciło; lecz że było prawdziwe i daleko groźniejsze odszczepieństwo, które dopiero za szczęśliwie dziś panującego monarchy usunięte zostało. Gdy zaś zapytany alumn nie mógł się domyśleć, do czego Minister zmierza, on sam odpowiedział: »Najgroźniejsza w naszym Kościele schyzma, jest to właśnie, co wy Unią zowiecie. Od-

szczepieństwo to bowiem oderwało od prawosławia kilka milionów wyznawców. Na szczęście, co chytrość i fanatyzm Jezuitów dokonały niegdyś, to mądrość i sprawiedliwość opiekuńczego rządu za naszych czasów naprawiła, tak, iż dawna jedność w Kościele prawosławnym zatkwiła na nowo«.

Szczegóły te mogą się wydać dla obojętnych za błahe, by figurować w pamiętnikach; dla osób jednak, które interesują się szczerze losem katolicyzmu w Rosyi, dadzą one lepszą miarę rzeczywistego stanu rzeczy niż najbardziej uwydatniające się fakta; z tego bowiem obejścia się i z tych rozmów ministra, w przytomności najwyższego dostojnika katolickiego w Rosyi, można widzieć, z jak niesłychanem lekceważeniem rząd traktuje tu duchowieństwo i samą naukę naszego Kościoła. Jak nieograniczona musiała być arbitralność ministra, kiedy taki przedstawiciel duchownej władzy jak Hołowiński, nic nie odrzekł na podobne odezwy, żeby jeszcze więcej nie rozdrażniać potworu. Przed odejściem z sali, Bibikow kazał przedstawić sobie kleryków z żytomierskiego i kamienieckiego Seminaryum, jako pochodzących z podwładnych mu niedawno prowincyi. Gdyśmy stanęli przed nim, spojrzał na jednego z ogromnym nosem i niezmiernie wysokim czołem i rzekł, ukazując na niego: »Poszedłbym w zakład, że ten będzie biskupem. Już ja niejednemu tak wywróżyłem karyerę«, i popatrzył znacząco na Hołowińskiego. Następnie zapytał, zwracając się do przedstawionych mu alumnów: »Cóż tam o mnie mówią w moich dawnych guberniach?« Jeden z kamienieckich kleryków wystąpił z komplementem: »Bardzo tam żałują, że stracili opiekę Waszej Excellencyi«.—»Nieprawda! — odrzekł szorstko— tam mię cierpieć nie mogą i bezrękim czartem nazywają« (Bibików stracił jedną rękę wwojnach Napoleońskich i stąd często mawiał: »U mnie jedna ręka, ale żelazna«). Po tych wyrazach wyszedł, nie skłoniwszy się nawet, w otoczeniu całej duchownej hierarchii.

Mówiąc o Akademii, wspominam o jednym tylko Hołowińskim, gdyż rzeczywiście z ówczesnych przełożonych

on jeden przedstawiał dodatnią pod każdym względem siłę, w innych zaś profesorach bardzo niedołężnych miał współpracowników, od chwili kiedy najlepszych przedstawił na biskupów. Że jednak niektórzy z nich dość ważną następnie odegrali rolę, dam przeto zawczasu choć pobieżne ich określenie. Inspektorem był prałat Lipski, który był razem profesorem rubryk i kościelnego kantu. Bardzo zacny i kochający młodzież staruszek, ale niemieszający się wcale ani do moralnego, ani do naukowego przewodnictwa młodzieży. Pilnował przedewszystkiem porządku zewnętrznego, resztę zaś pozostawiał innym. Był wszakże szczerze życzliwy Hołowińskiemu i miał tę zaletę, że nie szukał rozrywek po za domem, ani na krok prawie nie wydalając się z Zakładu. Po nim najpoważniejszy wiekiem i stanowiskiem był prałat Jakobielski, profesor teologii dogmatycznej i kapelan Akademii. Oczytany i wiele posiadający w przedmiocie swoim wiadomości, był jednym z lepszych profesorów. Jako kapelan nie odznaczał się gorliwością, ale był akuratnym w pełnieniu swych obowiązków i co niedziela miewał konferencye, suche wprawdzie i nie rozgrzewające serca, ale ściśle katolickie. Górującą cechą jego charakteru był brak szczerości i prostoty, a wielka podejrzliwość i nieufność względem drugich. W każdej rzeczy widział on co innego niźli to, czem się wydawało; nigdy nie zbliżał się do celu najbliższą drogą, lecz kręcił zawsze i matał, ufając, że przechytrzy innych. Dla Hołowińskiego miał pewien rodzaj czci, lecz nie z powodu jego zacnych dążności, które w gruncie mało go obchodziły, tylko dla dziwnej jego przebiegłości i przytomności umysłu, co mu pozwalały szczęśliwie lawirować wśród najniebezpieczniejszych szkopułów, nie naraziwszy swej nawy na rozbicie. Był on dla niego ideałem, ale tylko pod względem wyprowadzania w pole swych przeciwników. O stan Kościoła troszczył się mało, położenie zaś kraju nie obchodziło go wcale. Profesorem Pisma św. był prałat Bagieński, zdolny i niegdyś zamiłowany w nauce. W młodości wydał parę prac egzegetycznych bardzo piękną łaciną, ale

przybywszy z Wilna do Petersburga, widząc, iż tu praca naukowa nie popłaca, a nie mając dość ambicyi, by drogą intryg dążyć do mitry, polubił namiętnie grę w karty i przy zielonym stoliku spędzał wszystek czas, pozostający mu od lada jako spełnianych obowiązków. Teologię moralną wykładał kanonik Iwaszkiewicz, młody i zdolny, ale opanowany przez ambicyę i stąd troszczący się daleko więcej o ziemskie niż o Niebieskie Królestwo. Następca wreszcie świątobliwego i uczonego Kaspra Borowskiego na katedrze historyi kościelnej i kanonicznego prawa był najmłodszy ze wszystkich profesorów ks. Niemeksza, obdarzony obszerną pamięcią, łatwą wymową i klasyczną mówiący łaciną, ale niemający ani iskierki ducha kapłańskiego, a skłonność do kieliszka. Do tego składu profesorów dodać jeszcze należy młodziutkiego prefekta Kiewlicza, który był pomocnikiem inspektora w dozieraniu młodzieży, i prokuratora zwykle zwanego ekonomem, do którego zarząd gospodarczy należał. Oba oni żadnego nie mieli wpływu na młodzież.

Z tego pobieżnego szkicu łatwo już pojmie czytelnik, że do głębszych celów swoich Hołowiński żadnej nie miał pomocy w gronie profesorów, tak, iż pod względem zaszczepienia ducha kościelnego w sercach uczącej się młodzieży tyle tylko uczynionem było, co on sam uczynił. Dla zaradzenia temu niedostatkowi żywego przewodnictwa, gorliwy pasterz starał się nas zachęcać do czytania jak najlepszych dzieł ascetycznych, teologicznych i polemicznych, wychodzących za granicą, które też skwapliwie sprowadzał do akademickiej biblioteki, młodzież zaś najchętniej je czytała. Lecz i po za murami Akademii nie miał Hołowiński w łonie petersburgskiego duchowieństwa żadnego szczerego i umiejętnego pomocnika. W Kollegium zasiadało kilku niezłych ludzi, niezłych nawet kapłanów, ale, jak widzieliśmy, rola najlepszego nawet ograniczała się do biernego oporu; nie mając zaś bezpośredniego zetknięcia z wiernymi, nawet w posługach duchownych gorliwości swej wykazać nie byli w stanie. Parafia św. Katarzyny, licząca wówczas z górą

trzydzieści tysięcy wiernych, zostawała pod zarządem XX. Dominikanów, których kilkunastu mieszkało przy kościele. Sprowadzeni do Petersburga jeszcze za panowania Aleksandra I, dla zastąpienia wygnanych wówczas Jezuitów, objęli oni zarząd parafii i sześcioklasowej szkoły, która pod dyrekcyą Jezuitów tak wysoko stała, iż najpierwsi dygnitarze państwa starali się tam umieszczać swych synów. Dominikanie ani w jednym, ani w drugim zawodzie nie wyrównywali swoim poprzednikom. Szkoła stała o wiele niżej niż najpospolitsze gimnazyum, duchowne zaś potrzeby parafii zaledwie jako tako zaspokojone być mogły. Mieli oni wprawdzie kaznodziei dla każdej narodowości, ale kiedy u Jezuitów byli rodowici Włosi, Francuzi i Niemcy, i to ludzie z niepospolitym talentem, u Dominikanów w każdym języku mówili Polacy, którzy własną najczęściej pracą i to w późniejszym wieku zdobywali umiejętność obcej mowy; cóż tu więc i mówić o akcencie i wymowie. Dominikanie nadto, całkiem zaprzątnięci posługą parafialną, rozwolnili zupełnie swą zakonną regułę, tak, że prócz habitu nic już nie mieli zakonnego. Było jeszcze wśród nich kilku gorliwszych, co radziby powrócić do pierwotnej ścisłości, chociażby gdzie w ustronnym, wiejskim klasztorku; znaczna wszakże większość rada była z obecnego stanu, tego jedynie pragnąc, by utrzymać się w stolicy przy swoim kościele. Nie mając nowicyatu, zasilali się oni młodszymi zakonnikami z innych klasztorów, starając się sprowadzać najzdolniejszych do stolicy.

Na parę lat przed mojem przybyciem do Petersburga, kiedy przeorem dominikańskim był ks. Józefowicz, bardzo pobożny i zacny kapłan, z Rzymu zażądano, z powodu rozpoczętego procesu kanonizacyjnego św. Andrzeja Boboli, dokładnych wiadomości o stanie ciała tego błogosławionego męczennika, którego relikwie przechowują sie w połockim dominikańskim kościele. Ks. Józefowicz spełnił gorliwie to polecenie i przesłał do Stolicy Apostolskiej żądane dokumenta, ale rząd się o tem dowiedział, wysłano więc na wy-

gnanie przeora i chciano wydalić z Petersburga wszystkich Dominikanów i tylko wstawiennictwu księcia Leuchtenberskiego do cesarza udało się odwrócić na ten raz cios na klasztor wymierzony. Przerażeni Dominikanie wybrali wówczas na przeora ks. Staniewskiego, a na jego pomocnika ks. Stacewicza, którzy obaj duszą i ciałem oddani byli rządowi. Łatwo więc pojąć, iż od takich współpracowników nie mógł się spodziewać Hołowiński serdecznej pomocy. Parafia wreszcie św. Stanisława, nie liczna i uboga, zostawała pod zarządem dwóch czy trzech dogorywających Pijarów, prawie niedołężnych już staruszków, którzy o grobie już tylko myśleli. Wszędzie przeto dawał się czuć brak gorliwego i chętnego do pracy duchowieństwa, coby zastąpiło rozkładające się już dominikańskie i pijarskie zgromadzenia. Brak nowicyatów w całym kraju i nieubłagany system rządowy, dążący do zupełnej zagłady życia zakonnego, nie pozwalały spodziewać się nawet odrodzenia dawnych klasztorów, zwykła zaś organizacya parafialna w takiem mieście, jak Petersburg, zdawała się Hołowińskiemu niedostateczną do rozwinięcia należytej gorliwości kapłańskiej. W parafii, wymagającej kilkunastu kapłanów do obsługi, taka zależność, jaka istnieje zwykle, wikaryuszów od proboszcza, nie jest zdolna wytworzyć dostatecznej jedności w zarządzie i sprężystości w wykonaniu; każdy tu bowiem w zakresie swoim działa po swojemu i w gruncie żadnej tam solidarności być nie może. Nie widział wszakże Hołowiński środka zaradzenia tej potrzebie i nieraz powtarzał: »Dajcie mi Jezuitów, a ja w dziesięć lat odnowię Kościół nasz cały«.

W takim stanie były katolickie interesa w Petersburgu, gdy przybył tam, wracający od zesłanego do Kurska ojca, ks. Konstanty Łubieński i zaofiarował swe usługi Hołowińskiemu. Bardzo jeszcze młody, bo trzydziestu lat niemający, bystrego i niezmiernie ruchliwego umysłu, gorliwy i całem sercem do Stolicy Apostolskiej przywiązany, dostatecznie obeznany z teologią, po świecku zaś wykształcony nierównie wyżej niż wszyscy petersburscy księża, Łu-

bieński nie mógł nie podobać się Arcybiskupowi; to też zbliżyli się niebawem do tyla, że Hołowiński nietylko przyjął jego kapłańskie usługi, lecz zwierzył mu się nadto z swych planów i trudności pod względem odrodzenia duchowieństwa w Rosyi. Duch inicyatywy i tworzenie odpowiednich do sytuacyi planów stanowiły najsilniejszą stronę charakteru ks. Łubieńskiego. Zostawiony sam sobie, nie byłby w stanie urzeczywistnić masy poruszonych projektów, tem bardziej, że zanadto wrażliwy jego charakter nie mógł długo wytrwać przy jednem zajęciu, coraz to nowymi porywany pomysłami. Ale pod ręką tak praktycznego, a zarazem energicznego przewodnika, jak Hołowiński, Łubieński był prawdziwym skarbem. Na początek zaofiarował on w dwóch kierunkach swoją pomoc: w Akademii, jako nadzwyczajny spowiednik alumnów; u Dominikanów zaś jako francuski kaznodzieja. Obie te działalności powiodły mu się jak najlepiej. Mając krewnego na drugim kursie Akademii, ks. Henryka Kossowskiego, nawiedzał go za pozwoleniem Arcybiskupa i wkrótce za jego pośrednictwem poznajomił się z większą częścią kleryków, a że był serdeczny i pełen życia, pozyskał niebawem ich zaufanie i zachęcił do gorliwszego uczęszczania do św. Sakramentów. Gdy przeto co sobota począł przychodzić wieczorem do kaplicy dla spowiadania, konfesyonał jego coraz więcej był oblegany i wkrótce większa połowa kleryków przystępowała co tydzień do spowiedzi. Nie mniej świetnie poszło mu na kazalnicy. Mówiąc po francusku lepiej może jak po polsku, a przytem obdarzony łatwą wymową i niezwykłą gorącością ducha, zajmował on słuchaczów i trafiał do ich serca, pomimo, że nie był wcale znakomitym mówcą i nie przygotowywał nawet swych kazań, spuszczając się na improwizatorski talent. To też gdy natchnienie mu nie dopisało, robił niekiedy zupełne fiasco, ale go to nie zrażało i nie detonowało nawet, a słuchacze, znając jego naturę, chętnie mu to przebaczali, tak, iż kościół zawsze na kazaniach jego był pełny. Niebawem nietylko rodowici Francuzi, lecz i ci wszyscy, co mówili po

francusku, t. j. całe wyższe towarzystwo katolickie w Petersburgu zgromadzało się około jego konfesyonału, z czego on korzystając, począł urządzać różne ćwiczenia duchowne z naukami, jak rekollekcye, nabożeństwo majowe a także miłosierne i pobożne stowarzyszenia, jak św. Wincentego dla wspierania ubogich, opatrywania biednych kościołów, Ustawicznej Adoracyi; a że osoby, należące do tych zgromadzeń, zajmowały po większej części wysokie stanowisko w hierarchii społecznej, rząd przeto nie przeszkadzał tej działalności, zwłaszcza, że i sam ks. Łubieński był spokrewniony przez Potockich z kilku najznakomitszemi rodzinami rosyjskiemi, jak Naryszkinych, Szuwałowych i Bobryńskich.

Działalność ta wszakże, jakkolwiek sama przez się mogłaby już aż nadto wystarczyć do zapełnienia najczynniejszego kapłańskiego życia, miała stanowić zaledwie pierwszą cegiełkę tego gmachu, jaki czynny ten i niezmordowany misyonarz miał wznieść przy pomocy Hołowińskiego. Główny plan jego zmierzał do założenia w Petersburgu Zgromadzenia księży świeckich, związanych zakonnymi ślubami, którzyby żyjąc pod odpowiednią regułą, rozszerzali się coraz dalej po całym kraju, zakładając coraz to nowe domy i opasując powoli nietylko polskie, ale i rosyjskie prowincye siecią misyonarzy, którzyby nie przestając zajmować się pieczą dusz, zastąpili też zakony pod względem życia wewnętrznego. Pierwszy i główny dom tego Zgromadzenia miał zawiązać się przy kościele św. Katarzyny, a to w ten sposób, aby w miarę ubywania Dominikanów, którym niewolno było sprowadzać nowych zakonników z prowincyi, zastępować ich członkami kształcącego się Zgromadzenia, które rekrutować się miało głównie w gronie alumnów Akademii. Jako spowiednik najlepszej cząstki młodego kleru, Łubieński najłatwiej mógł zbadać specyalne każdego powołanie i pociągnąć do siebie tych, co więcej ducha zaparcia się posiadali. Ja byłem wówczas na trzecim kursie i należałem także do penitentów Łubieńskiego, że zaś wiekiem i światowem doświadczeniem znacznie byłem starszy od innych,

na mnie więc padł pierwszy wybór. Hołowińskiemu tak było pilno doprowadzić co najprędzej do skutku, choć pierwszy zarodek instytucyi, po której bardzo wiele spodziewał się dla Kościoła, że pomimo, iż mi cały rok zostawał jeszcze do skończenia nauk, napisał, nic mi o tem nie mówiąc, do biskupa Borowskiego, prosząc, by mię mu ustąpił, i dopiero, otrzymawszy jego przyzwolenie, wezwał mię i objawił, że jest jego życzeniem, aby dzieło, do którego się zabieramy z Łubieńskim, mogło niezwłocznie się rozpocząć, że już ma moją dymisyę i chce mnie natychmiast wyświęcić i umieścić u św. Katarzyny. Było to w sierpniu 1855 roku. Hołowiński czuł się już chorym, nie przerywał jednak swej różnorodnej działalności i nie przeczuwał blizkiego jej końca. Do święceń kazał mi się przygotować na Święto Narodzenia M. B., a chociaż w dzień ten bardzo już był osłabiony, wyświęcił mię jednak na rannej mszy swej w akademickiej kaplicy i tegoż dnia zległ do łóżka, aby już zeń nie powstać więcej. Była to ostatnia jego msza w życiu, a ja byłem ostatnim wyświęconym przezeń kapłanem. To przerwanie mego naukowego wykształcenia teologicznego, przy niedostatecznem pierwiastkowem podgotowaniu, odbiło się bardzo szkodliwie na dalszej działalności mojej na polu naukowem, pozbawiając mię zwłaszcza swobodnego użycia łacińskiego języka, w którym, przy braku filologicznych zdolności, nie miałem czasu nabrać wprawy. Ale nie odemnie zależał wybór.

Dalszy ciąg pamiętnika.

Wnet po wyświęceniu opuściłem Akademię i przeniosłem się na stałe mieszkanie do Dominikanów, gdzie dano mi celę obok mieszkania Łubieńskiego. Położenie tu moje było dość dziwne. Jako członek przyszłej kongregacyi za-

leżałem od ks. Łubieńskiego, jako od rzeczywistego przełożonego i byłem w sumieniu obowiązany względem niego do posłuszeństwa; jako pomocnik znowu Dominikanów wstępowałem do ich grona, na tych samych prawach jak wszyscy członkowie Zgromadzenia, t. j. musiałem słuchać przeora, nie brałem żadnej gaży, musiałem co tydzień odprawić trzy msze wedle intencyi Konwentu, za to zaś miałem zupełne utrzymanie, nawet bieliznę i odzienie, i prawo odprawienia pozostałych mszy w tygodniu na własną intencyę, co miało mi dostarczyć funduszu na drobne wydatki, zwłaszcza zaś na książki. Podwójna ta wszakże zależność nie spowodowała nigdy ani zawikłań sumienia, ani nawet praktycznego ambarasu, dzięki wielkiej dyskrecyi, z jaką ks. Łubieński używał swej władzy. Z powodu, że skończyłem wydział matematyczny w uniwersytecie, przeor polecił mi wykład tego przedmiotu w dominikańskiej szkole; kapłańska zaś moja posługa, ograniczała się do odprawienia mszy św. o godzinie siódmej i wygłoszenia polskiego kazania, gdy na mnie przychodziła kolej; do posług parafialnych używano mię chyba nawiasowo. Lecz zaledwie począłem urządzać się na mem nowem stanowisku, gdy przedwczesny i do ostatniej niemal chwili nieprzewidywany zgon Hołowińskiego zadał cios bolesny nietylko memu sercu, lecz i najdroższym mym kapłańskim nadziejom; łatwo bowiem przewidzieć było można, iż następca jego nie wesprze zamiarów naszych tak skutecznie, jak ten wielki sługa Boży. Z rozdartem sercem i pod wpływem złowieszczych przeczuć szedłem do Akademii dla oddania ostatniej posługi temu ukochanemu zwierzchnikowi, co był jakby ojcem mego kapłaństwa, nietylko z powodu, iż namaścił ręce moje schyzmem, lecz że ducha mego namaścił ową miłością Kościoła i ufnością w czuwającą nad nim Opatrzność, co przyświecały mi odtąd jak gwiazdy przewodnicze w ciągu całego kapłańskiego zawodu mojego. Wtem, przechodząc most na Newie około cesarskiego pałacu, usłyszałem jakby głos wewnętrzny, przemawiający do mnie w duszy, w ten sam dla zmysłów nie-

pojęty sposób, jak w czasie pierwszych rekolekcyj: »Teraz twój czas nadchodzi«. Jednocześnie zaś w umyśle rodzi się pojęcie, że słowa te znaczą, iż powinienem dalej prowadzić rozpoczęte przez Hołowińskiego dzieło. W naturalnym porządku rzeczy, myśl podobna tak daleką była od mego obecnego usposobienia, iż gdy głos ten odezwał się w duszy, wnet odparłem jakby przerażony: Jakżeż ja niedołężny karzeł zastąpić zdołam tego olbrzyma? Lecz wnet wstyd mię ogarnął, poczułem bowiem, iż tu nie pokora, lecz małoduszność przemawiała. Wszak przez Chrystusowego ministra nie ludzka ale Boża moc działa, cała zaś zasługa narzędzia na jego powolności zależy. Czemużby Pan, pomimo całą mą nieudolność osobistą, nie mógł użyć mię za narzędzie Wszechmocności Swojej, jak użył biednych rybaków z Galilei? Oddałem się przeto bezwarunkowo do Pańskiego rozporządzenia, prosząc, by umacniać tylko i oświecać raczył, a uczynię wszystko, czego odemnie zażąda, chociażby z motyką na słońce porwać mi się kazał.

Mając na względzie przy pisaniu mych pamiętników nie publiczność czytającą dla rozrywki, ale przedewszystkiem dusze ściślej zjednoczone z Bogiem, co radeby poznać owe dziwne niekiedy wewnętrzne drogi, jakiemi Pasterz Niebieski sługi swe prowadzi, opowiadam z całą szczerością i prostotą to nawet, co roztropność ludzka zataićby radziła, trzymając się raczej wyroku Archanioła Rafaela, który głosi, iż »tajemnicę królewską taić dobrze jest, ale sprawy Boskie objawiać i wyznawać poczciwa rzecz jest«. (Tob. XII. 7). Kiedy niedługo później działy się ze mną rzeczy tak zdumiewające, iż na chwilę przed ich spełnieniem sennem marzeniem wydawaćby się mogły, wówczas pamięć tego głosu objaśniała mi je i uspakajała me trwogi, tak, iż powtarzałem sobie tylko w duszy: »Od Pana to stało się, a jest dziwne w oczach naszych«. (Ps. CXVII. 23).

Przybywszy do Akademii, zastałem już zwłoki ukochanego przewodnika naszego na katafalku, otoczone wieńcem głęboko zasmuconej młodzieży, która sercem przeczuwała,

iż z śmiercią jego ponosi niepowetowaną stratę. W gronie starszego duchowieństwa, zamiast szczerego żalu, widać było raczej źle ukrywaną radość, że się otwarły szranki dla ambicyi, i gorączkową jakąś działalność, co chwili jednej stracić się lękała. Jeszcze umierający nie zamknął oczu, kiedy przy łożu jego rozpoczęły się ambitne intrygi tych, co na duchowny spadek jego liczyli. Skoro doktor Mianowski zapowiedział bliższym Hołowińskiego, iż niechybnie musi umrzeć, wnet prałaci, których godności jego nęciły, udali się do przyjaciół umierającego, nalegając na nich, by dla dobra Kościoła skłonili Hołowińskiego do podania prośby do cesarza, aby zamianował wskazane przezeń osoby na godność metropolity i rektora Akademii. Przeor Dominikanów ks. Staniewski, wielki przyjaciel wileńskiego biskupa Żylińskiego, chciał mu się przysłużyć i otrzymać dlań metropolię, zawarł przeto przymierze z prałatem Jakobielskim, profesorem Akademii, że wspólnemi siłami popierać będą tę kandydaturę, za co ten ostatni miał zostać rektorem Akademii; że zaś obydwa mieli dość rozległe stosunki i pewne zaufanie w kółku świeckiem, najbliższem Hołowińskiego, nie trudno im przeto było skłonić tych, co doń przystęp mieli, do poparcia ich zamiarów. Mianowski nie miał zwyczaju wcześnie ostrzegać chorych o niebezpieczeństwie, to też gdy oznajmił Hołowińskiemu, iż trzeba na wszelki wypadek urządzić swe interesa, gdyż zgon jest możebny, siły chorego były już tak wyczerpane, iż po odbyciu spowiedzi i ułożeniu testamentu z notaryuszem, zaledwie już mógł pojedyncze wymawiać słowa. Tę chwilę wybrali Przecławski, Sztyrmer i Mianowski, by mu zaproponować podpisanie listu do cesarza, zawczasu przez nich ułożonego, którym poleca Żylińskiego na arcybiskupa, Jakobielskiego zaś na rektora Akademii. Chory tak już był osłabiony nie tylko fizycznie lecz i umysłowo, że kazał potrzymywać rękę z piórem i dyktować pojedyncze litery podpisu. I w ten to sposób został podpisany ów dokument, co miał posłużyć za podnóżek do wyniesienia się całej klice intrygantów, dlatego tylko pro

wadzących Żylińskiego na metropolię, by go użyć za narzędzie do wykonania swych planów.

Przeciwko tej partyi organizowała się też druga, która za wodza swego obrała prałata Fijałkowskiego, najzaciętszego wroga nieboszczyka. Zdawało się, że śmierć sama, zamiast rozbroić tę nienawiść, jeszcze ją więcej zaostrzyła; skoro bowiem sędziwy członek Kollegium dowiedział się o zgonie swego przeciwnika, wnet pospieszył do Akademii i wchodząc do mieszkania zmarłego, zapytał z ironicznym uśmiechem służącego: »A co, czy choć teraz można bez meldowania się wejść do twego pana?« Do partyi jego przyłączyli się profesorowie Bagiński i Iwaszkiewicz, obaj prałaci mohylewscy i mający pewien wpływ w Kapitule, tak, że gdy udali się na wybór administratora do Mohylewa, zdołali tam przeważyć wpływy stronników Żylińskiego i rządcą dyecezyi na czas opróżnionej stolicy metropolitalnej obrany został Fijałkowski. Wybór ten wszakże, zamiast przerazić przeciwników, rozjątrzył ich jeszcze więcej, tak, że oba stronnictwa wystąpiły do zawziętej walki. Jak jednym tak i drugim chodziło głównie o zjednanie wyższych sfer rządowych, nie zaniedbywali wszakże i Stolicy Apostolskiej, której, zwłaszcza zwolennicy Żylińskiego, pragnęli pozyskać względy. Korzystając z tego, że nuncyusz Chigi przybył do Moskwy na koronacyę, jako poseł nadzwyczajny Stolicy Apostolskiej, przyjaciele Żylińskiego skłonili go, aby udał się do Moskwy dla widzenia się z nim i zjednania jego względów. List Hołowińskiego i wpływy przyjaciół Żylińskiego przemogły w Petersburgu i kandydatura tego ostatniego została przez rząd przyjęta i do Rzymu przedstawiona, chodziło więc tylko o pozyskanie przyzwolenia Stolicy Apostolskiej, co spodziewano się otrzymać przez Nuncyusza.

Żyliński miał wiele dobrych przymiotów i był człowiekiem dobrej woli, ale nie był to umysł wyższy, a co najważniejsza, brakowało mu ducha kościelnego. Wierzył on po katolicku i był przywiązany do swej wiary; cieszył się

z każdego powodzenia Kościoła i radby się do jego tryumfu przyczynić, ale tryumf ten pojmował po ludzku i za pomocą ludzkich tylko środków dążyć do niego umiał: tajemnica krzyża była dlań zakryta, i stąd ofiarę bez materyalnych rezultatów za błąd poczytywał. Nie pojmował tego, że tam, gdzie obowiązek jest jasny, trzeba raczej dać się złamać niż ustąpić; on opierał się, póki miał nadzieję zwycięstwa; skoro zaś przychodził do przekonania, że dłuższy opór na nic się nie przyda, że przeciwnik w każdym razie na swojem postawi, nie poczuwał się do obowiązku poświęcenia się dla zasady, wolał ugiąć się, byle na stanowisku pozostać. Kościelne *non possumus* było dlań niezrozumiałym hieroglifem, i teoryę absolutnego oporu nazywał z przekąsem rzymską polityką, możebną tylko dla niepodległego monarchy, a nie dla zależnego od fantazyi despotycznego rządu biskupa. Całe jego petersburskie otoczenie trzymało się tej teoryi i coraz więcej go na tej drodze umacniało; i gdyby Kościół takich tylko jak ta koterya miał ministrów, nie posiadałby nigdy męczenników. Obowiązki pasterskie przedstawiały się Żylińskiemu ze strony czysto administracyjnej, na równi z obowiązkami gubernatora lub ministra, gdzie stosunki, roztropność i doświadczenie były jedynymi, niezbędnymi dla pasterza przymiotami, a że te kwalifikacye posiadał, nie wątpił, że uczyni dla Kościoła wszystko, co w obecnych okolicznościach uczynić dlań można. I rzeczywiście, w zewnętrznym zarządzie udawało mu się nieraz dokonywać takich rzeczy, o jakie napróżno starali się inni biskupi; ale w kwestyach zasad i wewnętznego ducha w duchowieństwie, nietylko wiele pozostawiał do życzenia, lecz popełniał niekiedy takie błędy, których naprawić nawet było niepodobna. W Wilnie Żyliński mniej był narażony na tego rodzaju próby, nie będąc w bezpośrednim z rządzącemi sferami stosunku, i stąd sam nawet nie zdawał sobie dokładnie sprawy z ogólnych zasad, jakich zamierzał się trzymać na stanowisku metropolity, o którego obijają się bezpośrednio wszystkie wymagania rządu w zakresie kościelnym. Jako

człowiek dobrej woli jechał na spotkanie z Nuncyuszem, ze szczerym zamiarem zastosowania się do udzielonych przezeń instrukcyj, o ile to od niego zależeć będzie. Do podtrzymania go w tem dobrem usposobieniu nie mało przyczyniła się ta okoliczność, iż za towarzysza podróży z tytułem swego kapelana wziął z Wilna księdza Ważyńskiego, głośnego kaznodzieję, którego Żyliński uwolnił z wygnania i przywiązał do swej osoby. Prawy i szlachetny jako człowiek, światły zaś i pełen kościelnego ducha jako kapłan, Ważyński był przy boku przyszłego metropolity prawdziwie dodatnim i niezmiernie pożytecznym czynnikiem, tem bardziej, że charakter Żylińskiego łatwo poddawał się tak złym jak i dobrym wpływom. Umocniony i zachęcony przez Ważyńskiego, Żyliński nietylko przyjął bez oporu udzieloną mu przez nuncyusza instrukcyę we wszystkich spornych z rządem kwestyach, lecz gorąco wziął ją do serca i szczerze oświadczył się, że wedle niej postępować będzie; lecz gdy przybył do Petersburga dla objęcia rządów metropolitalnych, ujemny wpływ Jakobielskiego, Staniewskiego i Stacewicza tak zdołały niebawem zachwiać jego zaufanie do rad nuncyusza, że powziął nawet niechęć do Ważyńskiego, za to, że ciągnął na tę drogę. Zrobił go wprawdzie prałatem i inspektorem Akademii Duchownej, ale usunął mu swe zaufanie i z liczby doradców swoich go wyłączył, dawszy się wyłącznie opanować wpływom Jakobielskiego, wówczas już rektora Akademii, i Staniewskiego, którego przedstawił na swego sufragana. Od tej chwili wszelka wyższa idea w zarządzie kościelnym w Petersburgu upada, a intrygi i walki osobiste wchodzą na porządek dzienny.

Kiedy po koronacyi, Nuncyusz przybył na dni kilka do Petersburga, ks. Łubieński stał się prawie nieodstępnym jego towarzyszem i pozyskał całkiem jego zaufanie, ale okoliczność ta, zamiast go zalecić w oczach duchowieństwa, powiększyła jeszcze i tak już obudzaną ku niemu nieufność partyi stojącej u władzy. Kiedy kilku z nas, młodszych księży, przedstawiliśmy się Nuncyuszowi, zalecał nam prze-

dewszystkiem, abyśmy tak wiernie w duchu kościelnym postępowali, iżby w razie konfliktu z rządem Stolicy Apostolskiej przychodziło bronić tylko naszego postępowania; gdyż nic dla Ojca św. nie może być boleśniejszego, jak gdy widzi, iż rząd rękami duchowieństwa najdotkliwsze zadaje ciosy Kościołowi, a Najwyższy Pasterz, coby rad zawsze rękę pomocy nam podać, zmuszonym się widzi własnych potępiać ministrów.

Podczas pobytu Nuncyusza ks. Łubieński doprowadził do skutku ideę, którą od dawna już miał w głowie, jako jedną z naglących potrzeb katolików petersburskich, mówię o założeniu Zgromadzenia Rodziny Maryi. Po zamknięciu nowicyatów we wszystkich zgromadzeniach, tak męskich jak i żeńskich w cesarstwie, osoby, czujące w duszy powołanie zakonne, nie miały prawie możebności pójść za swem wezwaniem, gdyż wyjazd za granicę mógł być dostępnym chyba dla bardzo zamożnych. Mężczyźni mogli przynajmniej wstępować do seminaryum i tym sposobem choć w części odpowiedzieć swemu powołaniu, ale dla kobiet nie pozostawało nic prócz zagranicy. W celu zaradzenia tej potrzebie, ks. Łubieński postanowił sformować choć mały zawiązek klasztornego życia w Petersburgu, gdzie kilka jego penitentek pragnęło poświęcić się Bogu, a nie miały za co wyjechać za granicę. W chwili przyjazdu nuncyusza do Petersburga było ich trzy: Marya Mann, nawrócona z protestantki katoliczka, osoba z wyższem wykształceniem i przedsiębiorczym charakterem, która zajmowała się wychowaniem dzieci w zamożnych domach i miała nawet fundusz na wyjazd za granicę; dla urzeczywistnienia wszakże idei, której pojmowała doniosłość, gotowa była pozostać w Rosyi i przyłączyć się do zawiązującego się Zgromadzenia. Drugą jej towarzyszką miała być Zofia Horoszewska, także guwernantka, mniej utalentowana ale najlepszej woli osoba. Trzecia zaś, Katarzyna Szymańska, mało wykształcona umysłowo, lecz gorącej pobożności i chętna do umartwień dusza. Pragnąc, by nuncyusz apostolski mógł pobłogosławić skro-

mne początki tego Zgromadzenia, ks. Łubieński najął parę pokoików w obrębie tegoż dominikańskiego domu, gdzieśmy sami mieszkali, kupił piękną marmurową statuę Niepokalanego Poczęcia, pod którego wezwaniem zawiązywało się Zgromadzenie, a opatrzywszy skromny ten lokal w niezbędne sprzęty, zainstalował w nim trzy pierwsze założycielki pod przełożeństwem Maryi Mann. Jako zewnętrzne zajęcie i racya bytu na zewnątrz miało służyć Zgromadzeniu wychowanie biednych katolickich sierót, których też przygarnięto wnet dwoje i umieszczono razem z przyszłemi ich opiekunkami. Tak uorganizowaną Rodzinę Maryi pobłogosławił w imieniu Stolicy Apostolskiej arcybiskup Chigi i pełnem namaszczenia słowem zachęcił je do wierności swemu powołaniu i mężnego znoszenia przeciwności. Reguła dla nowego Zgromadzenia miała być napisana dopiero później, środki zaś utrzymania spodziewano się znaleść w miłosierdziu licznie zamieszkałych w Petersburgu katolików; tymczasem zaś dostarczał ich ks. Łubieński, któremu rodzina wypłacała trzy tysiące rubli rocznej pensyi, nie licząc małych dochodów, jakie mógł mieć z swych kapłańskich posług. Cała przeto przyszłość rodzącego się Zgromadzenia opierała się właściwie na osobie ks. Łubieńskiego, gdyż wśród wyższego duchowieństwa nikt się niem nie interesował, ani dbał o nie, tak dalece wszyscy zajęci byli ambitnemi intrygami. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność, która nadała całkiem inny kierunek rozwojowi nowego Zakładu.

Nie wspomniałem dotąd, że o ile na polu kościelnem zgadzaliśmy się zupełnie z ks. Łubieńskim w naszych poglądach, o tyle różniliśmy się całkowicie w pojęciu kwestyi narodowej. Poprzedzające opowiadanie dostatecznie dało poznać czytelnikowi, jak dalekim byłem od idei zjednoczenia i wspólnej pracy z Rosyą, i to nie przez jakąś instynktową plemienną nienawiść, lecz wskutek głębokiego przeświadczenia o różności narodowych charakterów i dziejowego powołania. Przechowanie i udoskonalenie swej indywidualności narodowej, w oczekiwaniu przyszłej niepodległości państwo-

wej, było od dawna moim zasadniczym i niezmiennym programem politycznym, który nie inaczej dawał się wykonać w praktyce, jak przez staranne i systematyczne odosobnianie się od obcych żywiołów i wyrabianie w sobie samoistnego polskiego i katolickiego życia. Syn wygnanki i niedawny powstaniec, nie mogłem pojąć nawet, jak Polak kojarzyć się może z Moskalami i marzyć o jakiejś wspólnej przyszłości. Nieufność moja nietylko do rządu, lecz i do narodu rosyjskiego posuwała się tak daleko, iż więcej lękałem się ich uprzejmości i życzliwych oświadczeń, niż nienawiści i jawnego prześladowania, gdyż byłem pewny, iż w tych ustach miodowych kryje się zatrute żądło, co czeka tylko dogodnej zręczności, by śmiertelną ranę zadać. Ks. Łubieński był w całkiem innem położeniu. Jakkolwiek ojciec jego i stryj ważne zajmowali stanowisko w Listopadowem powstaniu, pozostali wszakże w kraju i pogodzili się z rządem, wychowując i dzieci w tychże zasadach chętnej uległości. Zrodzony nadto z Potockiej, ks. Łubieński spokrewniony był przez matkę z kilkoma znakomitemi rodzinami rosyjskiemi, jak: Naryszkinych, Szuwałowych, Bobryńskich i Kisielowych, nie mówiąc już o tem, że miał wuja hr. Leona Potockiego, członka Rady państwa i wysokiego urzędnika cesarskiego Dworu. Te stosunki familijne, dodane do osobistych przymiotów ks. Konstantego, były powodem, że młody kapłan katolicki doznawał najserdeczniejszego przyjęcia w sferach najbliższych tronu, a przypisując swej duchownej sukni uprzejmość, jakiej doznawał powinowaty hr. Łubieński, przyszedł do tego mylnego przekonania, że tak w rządzie, jak i w narodzie rosyjskim nie ma niechęci, ani do katolicyzmu ani nawet do polonizmu, tylko do ducha rewolucyjnego, panującego między polską młodzieżą; i gdybyśmy tylko zaniechali spisków i rewolucyj a zgodzili się lojalnie na obecny stan polityczny, Rosyanie nietylko pozwoliliby nam swobodnie uprawiać religię i narodowość naszą, lecz że sami nawet chętnieby przyjęli katolicyzm, a wówczas niby już nie stało na przeszkodzie do zupełnego zje-

dnoczenia się dwóch pobratymczych narodów. Świeżo wydana wówczas przez Jezuitę ks. Gagaryna broszura, pod tytułem: *La Russie sera-t-elle catholique?* w której autor dowodzi, iż przyszłość obu narodów tego wymaga i że to, niechybnie nastąpi, skoro Polacy przestaną marzyć o politycznej niepodległości, utwierdziło jeszcze więcej ks. Łubieńskiego w jego przekonaniu. Napróżno dowodziłem, że nie mamy prawa zrzekać się w imieniu narodu praw politycznych, które nie podlegają zadawnieniu i do odstąpienia których naród nas nie upoważnił; że gdyby nawet naród cały zrzekł się tych praw dobrowolnie, to wnet za wcieleniem politycznem nastąpiłoby wyzucie nas z praw narodowych i religijnych, a zaborcy nasi potemby się nie uspokoili, ażby nam narzucili swój język i swoje prawosławie. Przeciw dowodom Gagaryna o możebności i pożytkach ryczałtowego nawrócenia Rosyi zapomocą Unii, zawartej ze Stolicą Apostolską, cytowałem listy Démaistra, pisane z Petersburga, gdzie, jako gruntownie znający rosyjskie społeczeństwo, głęboki ten myśliciel powiada, iż pod względem religijnym Rosya jest to trup zmarznięty, który trzyma się w całości póty tylko, póki chłód i mrok ciemności rozmarznąć się mu nie daje; lecz skoro słońce cywilizacyi silniej nań pogrzeje, wnet zgnilizna się objawi i trup rozłoży się na żywioły, które pojedyńczo chyba dadzą się wcielić w inny jakiś żyjący organizm. Dysputy te wszakże, z obu stron w najlepszej prowadzone wierze, nie zmodyfikowały naszych przekonań i każdy pozostawał i nadal przy swem zdaniu.

Początki panowania Aleksandra II, odznaczające się większą dla nas względnością, jeszcze więcej umocniło w Łubieńskim owo jego przekonanie, że w zjednoczeniu z Rosyą czeka nas najszczęśliwsza przyszłość, byleśmy stanowczo zerwali z konspiracyami i rewolucyą. W tym właśnie czasie poznał się on w salonie hr. Szuwałowa z niejakim p. Arsenjewym, rodzajem nieurzędowego adwokata, który dzięki licznym stosunkom w najwyższych sferach, podejmował się za grube pieniądze przeprowadzenia rozmaitego ro-

dzaju interesów, gdzie potrzeba było wpływów i protekcyi. Otóż ten p. Arsenjew zjawił się kiedyś u ks. Łubieńskiego, zawiadamiając go poufnie, że cesarz ustanowił komisyę, która ma wypracować projekt do prawa o publicznem wychowaniu w całem państwie, z uwzględnieniem szczególnych potrzeb w Królestwie Polskiem, Kurlandyi, Finlandyi i innych prowincyj z mięszaną narodowością. Dodał, że jest w najlepszych stosunkach z prezesem tej Komisyi i mógłby wpłynąć przez niego na kierunek powierzonej mu pracy; ale, że w Rosyi nic się nie dzieje bez pieniędzy, należałoby więc, aby Polacy korzystali ze zręczności i złożyli ze sto tysięcy, a on ręczy, że mogliby przeprowadzić program, jakiby tylko zechcieli. Na zapytanie, kto był prezesem Komisyi? Zrazu nie chciał dać bliższych objaśnień, lecz gdy ks. Łubieński oświadczył, że pod tym tylko warunkiem może podjąć się pośrednictwa w tym interesie, powiedział mu pod wielkim sekretem, że był nim profesor uniwersytetu Nikitenko, znany z swej prawości i dobrego dla Polaków usposobienia. Po tem objaśnieniu ks. Łubieński zgodził się objechać zamożniejszych naszych magnatów i zaproponować im składkę, uprzedzając, iż podróż ta wymaga miesiąca lub półtora czasu. Arsenjew przysłał na ten termin, ale żądał przynajmniej parę tysięcy rubli zadatku i choć główne punkta programu, jaki należy przeprowadzić dla polskich prowincyj. Ks. Łubieński nie mógł mu dać więcej nad 500 r., które on wszakże przyjął, program zaś ks. Łubieński ułożył naprędce w głównych zarysach i doręczył Arsenjewu. Nie tracąc czasu, ks. Łubieński wyruszył do kraju, przyrzekając, iż nie dalej jak za sześć tygodni będzie z powrotem. Rodzinę Maryi zostawił bez żadnych zasobów, poleciwszy ją opiece księżnej Galicyn pod względem materyalnym, mnie zaś oddawszy dyrekcyę duchowną. W parę dni po wyjeździe jego, Arsenjew zjawił się u mnie, żądając, żebym koniecznie dostał na rachunek ks. Łubieńskiego z tysiąc rubli, gdyż projekt, wypracowany wedle jego wskazówek, ma być niezwłocznie odesłany do Moskwy, pod krytykę

tamtejszego kuratora, i on przeto musi tam niezwłocznie jechać, żeby nie popsuć całego interesu, na podróż zaś tę potrzebuje najmniej 1000 r. Gdym mu odpowiedział, że swoich pieniędzy nie mam, na konto zaś ks. Łubieńskiego nie jestem upoważniony do zaciągania pożyczki, odszedł zawiedziony i nie zjawił się już później nigdy. Okazało się, że cała ta sprawa była wymyślona i obrachowana na oszukaństwo, gdyż komisyi żadnej nie było i nikt nie myślał o pisaniu programów. Dobrze, że się skończyło na 500 rublach. Tymczasem ks. Łubieński zabrawszy się do kraju, z swoim ruchliwym i przedsiębiorczym charakterem znalazł tam tysiąc interesów do załatwienia, tak, że tygodnie i miesiące mijały, a on nie wracał do Petersburga. Po odjeździe ks. Łubieńskiego alumni Akademii, którzy się u niego spowiadali co sobota, prosili mię, abym go zastąpił, na co gdy Rektor zezwolił, wszedłem do Akademii jako spowiednik nadzwyczajny. Wszyscy też niemal penitenci ks. Łubieńskiego w kościele św. Katarzyny zwrócili się do mnie, tak, że zakres kapłańskiej działalności mojej odrazu bardzo się rozszerzył. Lecz największe trudności czekały mię z Rodziną Maryi.

Wspomniałem już, że umieszczony zostałem u Dominikanów na prawach zakonnika, t. j. że zaspokojono moje potrzeby w naturze, ale nie płacono żadnej pensyi, a chociaż otrzymywałem niekiedy obligacye na msze, stanowiło to zbyt mały zasiłek, bym mógł dostarczyć nowemu Zgromadzeniu środków do najskromniejszego nawet utrzymania. To też wnet po odjeździe założyciela, brak najpierwszych potrzeb zmusił mię udać się do księżnej Galicyn, jako wskazanej przezeń opiekunki. Księżna była nawróconą katoliczką, bardzo gorliwą i dobrej woli osobą, ale z powodu zmiany religii poniosła tak wielkie majątkowe straty, że starczyło jej zaledwie na skromne utrzymanie. Okazało się więc, że nie była w stanie udzielić małej nawet pomocy, stan zaś jej zdrowia nie pozwalał podjąć się kwesty na korzyść Zakładu, tak, że z tej strony zupełnego doznaliśmy zawodu. Udałem się następnie do przeora Dominikanów, ks. Staniew-

skiego, prosząc, by z funduszów parafialnych podtrzymywał Zakład do powrotu ks. Łubieńskiego, ale ten naradziwszy się z syndykami kościelnymi, oświadczył, że parafia nie może obarczać się nowym ciężarem, mając już ich tyle. Radził przeto, by rozwiązać Zgromadzenie i rozesłać wszystkie osoby tam, gdzie były przedtem. Ta rada nie przypadała mi wcale do smaku; boleśnie mi było opuścić tak pożyteczną instytucyę w samym jej zarodku i zawieść zaufanie przyjaciela, który z pewnością umiałby ją podtrzymać, gdyby był na miejscu. Postanowiłem przeto dołożyć wszelkich starań, by podtrzymać Zakład i ustąpić chyba w razie absolutnej niemożności. Gdym oznajmił Siostrom, jak stały rzeczy, przełożona, Marya Mann, stanowczo odmówiła dalszego przewodniczenia Zgromadzeniu i zapowiedziała, że niezwłocznie wyjedzie za granicę, by tam wstąpić do jakiego porządnie uorganizowanego klasztoru. Dwie drugie Siostry zgadzały się w prawdzie pozostać, ale żadna z nich nie posiadała przymiotów niezbędnych dla przełożonej. Snać wszakże Pan Bóg postanowił dać wzrost temu drobnemu ziarnu, gdyż Opatrzność Jego tak zrządziła, że niemal w chwili odjazdu przełożonej, przybyła do Petersburga inna penitentka ks. Łubieńskiego, panna Florentyna Dyman, która czując także powołanie zakonne, spieniężyła w kraju otrzymaną po śmierci matki spuściznę i z tym kapitalikiem wróciła do Petersburga, by wziąść pasport za granicę i wstąpić tam do klasztoru. Pragnąc zasięgnąć bliższych wiadomości o ks. Łubieńskim, udała się do mnie, ja zaś, rzecz wyrozumiawszy, zaproponowałem jej, by doczekała się jego powrotu i stanęła tymczasowo na czele powierzonego mi przezeń Zakładu. Ponieważ chodziło tylko o kilka tygodni, panna Dyman zgodziła się na moją propozycyę i wnet objęła tymczasowy zarząd Domu. Była to osoba niezmiernie praktyczna i energiczna, tak, że od razu wprowadziła wzorowy ład i porządek w Zakładzie; chodziło już tylko o środki materyalne. Nie chciałem nadwerężać jej kapitaliku, co stanowił niejako rękojmię jej powołania i zabezpieczał przyszłość, trzeba więc było gdzie-

indziej szukać niezbędnych funduszów. W liczbie penitentek, które przeszły do mnie po odjeździe ks. Łubieńskiego, była p. Teodoryna Millot, młoda osoba, zostającą pod opieką ówczesnego ministra dróg i komunikacyi, Czewkina, którego żona była także katoliczką, ale nie była mi jeszcze znana. Panna Teodoryna miała dość znaczny fundusz, ale w ręku swego opiekuna, który z dochodów zaspakajał jej potrzeby, ale bardzo mało dawał pieniędzy do rąk, tak, że ona sama nie wiele mogła nam dopomódz; ale miała liczne stosunki w wyższych sferach katolików cudzoziemców, a to był skarb najcenniejszy. Podjęła się chętnie tymczasowej opieki nad Zakładem, dopókiby nie znalazł się kto odpowiedniejszy, i na pierwszy raz urządziła loteryę fantową w stu biletach po rublu, które w parę dni rozdała, dostarczając tym sposobem znaczną stosunkowo sumę na utrzymanie Zakładu. Rozdając bilety, młoda opiekunka zaproponowała przyjęcie stałej nad Zakładem opieki poważnej i pobożnej matronie, pani Bałabin, wdowie po wysokim dworskim urzędniku, a matce znanego Jezuity rosyjskiego w Paryżu O. Bałabina. Ta pani odmówiła wprawdzie, z powodu wieku i zdrowia, osobistego zajęcia się Zakładem, ale przyrzekła znaleść nierównie pożyteczniejszą opiekunkę, tak pod względem stosunków, jak i środków materyalnych. Jakoż niebawem przywiozła do Zakładu książnę Gagarin, z domu Walewską, możną i wpływową u Dworu damę, która zgodziła się wziąść pod swą opiekę rodzący się katolicki Przytułek. Księżna Gagarin urządziła loteryę na większą skalę, co dało możebność rozszerzyć Zakład i przyjąć do piętnastu sierót, gdyż na więcej szczupłość pomieszczenia nie dozwalała. W tem też czasie jedna z moich penitentek, Aneta Malcow, młoda bezdzietna wdowa, wstąpiła do Rodziny, tak, że było już cztery Siostry i kilkanaście sierót. Wyjazd za granicę ks. Gagarin nową wprowadził zmianę do zarządu Przytułku, uprosiła ona bowiem na swoje miejsce na opiekunkę baronowę Meyendorff, z domu hr. Boul-Schauenstein, córkę austry-

ackiego ministra, a żonę prezesa gabinetu cesarza Aleksandra II, osobę nietylko bardzo wpływową, lecz niezmiernie gorliwą katoliczkę i niemniej celującą rozumem jak pobożnością. Dla powstającego Zakładu stała się ona prawdziwem narzędziem Opatrzności i jej to głównie opiece zawdzięcza on swą późniejszą pomyślność. Z przenikliwością osoby, znającej świat i ludzi, oceniła ona natychmiast wartość Siostry Florentyny i położyła w niej nieograniczone zaufanie pod względem wewnętrznego urządzenia Domu, który przybierał coraz wyraźniej charakter przytułku dla sierót, pod dyrekcyą osób, poświęcających się ich wychowaniu.

Tak stały rzeczy, kiedy ks. Łubieński po półrocznej z górą nieobecności wrócił do Petersburga. Przez ten czas nowy porządek hierarchiczny w duchownym zarządzie już się ustalił: Arcybiskup Żyliński przyjął paliusz i objął rządy metropolii, Staniewski został jego sufraganem, Stacewicz przeorem Dominikanów, Fiałkowski biskupem kamienieckim, w Akademii zaś rektorem był Jakobielski, inspektorem Ważyński. Arcybiskup był całkiem pod wpływem swych trzech głównych doradców: Staniewskiego, Jakobielskiego i Stacewicza, którzy podawszy sobie ręce, żadnego innego wpływu nie dopuszczali. Umocnieni tak silną protekcyą Dominikanie, otrzymali pozwolenie sprowadzenia z prowincyi kilku młodych zakonników do Petersburga, przez co pomoc świeckich księży stała się im całkiem niepotrzebna, a tem samem zawiązanie się naszej kongregacyi całkiem na teraz upadało. Widząc, iż dłuższy pobyt u Dominikanów żadnego już nie miał celu, ks. Łubieński postarał się przez hr. Borcha, protektora Maltańskiego kościoła o kapelanię przy tej świątyni, co zapewniało mu przynajmniej niezależne stanowisko i pozwalało rozwinąć swobodnie swą kapłańską gorliwość. Arcybiskup łaskawie przyjął Łubieńskiego i traktował go bardzo uprzejmie, tak, że nietylko nie sprzeciwiał się nominacyi jego na kapelana Maltańskiego, lecz chętnie go widywał u siebie i zwierzał mu się z wielu projektów. To zaufanie zaniepokoiło rządzący tryumwirat i skłoniło członków

jego do baczności. Ani podejrzewając niebezpieczeństwa, ks. Łubieński począł organizować swym zwyczajem coraz nowe pobożne i miłosierne instytucye, urządzał rekolekcye wielkopostne, nabożeństwo majowe, katechizmowe nauki, założył Towarzystwo św. Wincentego dla pieczy nad ubogimi, Bractwo adoracyi, połączone z opatrywaniem biednych kościołów, a zaufanie, jakie posiadał między katolikami, zwłaszcza cudzoziemcami, było tak wielkie, że wszystko mu się udawało i z najwyższych sfer dochodziły do Arcybiskupa pochwały jego kapłańskiej działalności. Tylko w Rodzinie Maryi z powrotem jej założyciela wyniknęły nieporozumienia i rozdwojenie kierunku coraz wyraźniej uwydatniać się zaczęło. Najpierwsze dwie Siostry, Katarzyna i Zofia, poczęły uskarżać się przed ks. Łubieńskim, że pierwiastkowy cel Zgromadzenia został zapoznany, że życie czynne zabiło całkiem życie kontemplacyjne, że praca wewnętrzna poświęcona jest dla zewnętrznej, że celem Zakładu nie jest obecnie Zgromadzenie Sióstr, ale wychowanie sierót; prosiły przeto, aby założyciel sprostował to zwichnięcie i powrócił instytucyi pierwotny jej charakter. Ks. Łubieński uwzględnił te ich żądania i zabrał się do napisania reguły w duchu pierwotnej myśli swojej. Po ukończeniu tej pracy naznaczył Siostrom rekolekcye i po odbytej spowiedzi przedstawił im nową regułę, zamieniającą Zakład w klasztor kontemplacyjny: wychowanie zaś bardzo ograniczonej liczby sierót miało podrzędny tylko stanowić dodatek do wewnętrznej pracy Zgromadzenia. Po odczytaniu tej reguły siostra Florentyna i Aneta oświadczyły, że czują raczej powołanie do życia czynnego i że opuszczą Zgromadzenie i odjadą za granicę. Nie zachwiało to wszakże ks. Łubieńskiego; udał się owszem do baronowej Meyendorff i zawiadomił ją o zaszłych zmianach. Lecz skoro Baronowa dowiedziała się, że siostra Florentyna opuszcza Zakład, oświadczyła także stanowczo, że i ona umywa ręce i do niczego odtąd mięszać się nie będzie. Ks. Łubieński został pomimo to niezachwianym w swem postanowieniu i chciał szukać innej opiekunki

dla Zgromadzenia. Wówczas i ja też wystąpiłem z nowym planem, który wszystkie wymagania mógł pogodzić. Zaproponowałem ks. Łubieńskiemu, aby zabrał z Przytułku obie aspirantki do życia kontemplacyjnego i pod swoją dyrekcyą zawiązał nowe Zgromadzenie na zasadzie ułożonej reguły, Zakład zaś istniejący ja przyjmę pod swe duchowne przewodnictwo i pod opieką baronowej Meyendorff i zarządem siostry Florentyny, dalej prowadzić będę w tymże co i dotąd duchu. Ks. Łubieński zgodził się na ten plan, najął inne mieszkanie dla dwóch Sióstr, które ustępowały i napisał wnet do znajomej sobie w Wilnie bogobojnej wdowy, pani Sawicz, aspirującej do Wizytek, zapraszając ją na przełożoną nowego Zgromadzenia; co też ona przyjęła i przybywszy wkrótce do Petersburga, stanęła na jego czele. Ja z mej strony nie pozostałem bezczynnym. Zapewniwszy się o opiece baronowej Meyendorff, skłoniłem ją do najęcia obszerniejszego mieszkania gdzieby można więcej pomieścić sierot, a przeniósłszy tam Zakład, napisałem dla Rodziny Maryi regułę, odpowiednią do obecnego jej przeznaczenia; żeby zaś powiększyć liczbę Sióstr, napisałem do Panien Wizytek do Wilna, k o m u n i k u j ą c im regułę i prosząc, by między aspirantkami, których nie mogą przyjąć, wyszukiwały takie, coby do nowego Zgromadzenia wstąpić chciały, a my je chętnie przyjmiemy. Wskutek tej odezwy przybyło nam rzeczywiście kilka aspirantek, które uczyniły możebnem dalsze prowadzenie Zakładu bez sług i nauczycielek najemnych, czemu sprzeciwiała się reguła.

W tym czasie zmieniło się też i moje osobiste położenie. Rektor Jakobielski, widząc zaufanie, jakiem mię otaczali alumni, a potrzebując osadzić wakującą posadę kapelana, zaproponował mi jej przyjęcie; że to zajęcie odpowiadało mym upodobaniom, u Dominikanów zaś nie miałem po co dłużej siedzieć, chętnie więc zgodziłem się na uczynioną mi propozycyę i przeniosłem się na mieszkanie do Akademii. Nowe obowiązki moje ograniczały się do bardzo nielicznych zajęć: Zrana o w pół do szóstej powinienem był

prezydować na wspólnych pacierzach i medytacyi alumnów, o szóstej odprawić dla nich mszę św., następnie zaś odmawiać modlitwy przed i po jedzeniu, prowadzić po obiedzie alumnów na adoracyę Przenajśw. Sakramentu do kaplicy i asystować przy wieczornych pacierzach. W sobotę nadto wieczorem wysłuchać ich spowiedzi, w niedzielę zaś i święta powiedzieć przed mszą duchowną konferencyę i wreszcie dwa razy do roku odprawić z alumnami czterodniowe rekolekcye, miewając po dwie nauki codzień. Resztę czasu miałem wolną i mogłem go poświęcić bądź pracy naukowej, bądź interesom Przytułku i moich miejskich penitentów, którzy odtąd szukali mię w kaplicy Zakładu.

Na krótko przed mojem przeniesieniem się do Akademii, przybył do Petersburga z okazyi zaślubin jednego z Łazarewych, katolika obrządku ormiańskiego, z jakąś francuską hrabianką, O. Soillard, znakomity dominikański kaznodzieja, duchowny przewodnik i przyjaciel rodziny narzeczonej. Na życzenie panny młodej, aby on błogosławił ich związek, rodzina Łazarewych, niezmiernie bogata i wpływowa, otrzymała pozwolenie rządu na jego przyjazd do Rosyi, następnie zaś ułatwiła francuskiej kolonii otrzymanie zgody ministra na miewanie przezeń francuskich kazań w kościele św. Katarzyny. Kazania wymownego Dominikanina, wypowiadane najwytworniejszą francuzczyzną i w sposób tak porywający, o jakim pojęcia nawet nie miano w Petersburgu, zelektryzowały całą rosyjską arystokracyę, która tłumami uczęszczała na jego konferencye poobiedne, tak, że Rosyan bywało na nich daleko więcej niż katolików. Lękając się prozelityzmu, rosyjskie duchowieństwo urządziło także rodzaj konferencyi w kaplicy uniwersyteckiej i w jednej cerkwi najwięcej uczęszczanych, nie odciągnęło to wszakże słuchaczów od kościoła św. Katarzyny, czynione zaś porównania nie wyszły wcale na korzyść krajowych kaznodziei. To też rząd nalegał o co najrychlejsze ukończenie tych nauk, w których kaznodzieja nie krępował się bynajmniej zwykłemi miejscowego duchowieństwa obawami i rozwijał

z całą swobodą pełną żywotności i harmonii naukę katolickiego Kościoła.

Lecz jakkolwiek opowiadanie Słowa Bożego ważne stanowiło zadanie dla gorliwego syna św. Dominika, miał on wszakże i inne, ważniejsze jeszcze do spełnienia w Rosyi posłannictwo. Korzystając z otrzymanego dla O. Soillard pozwolenia zabawienia przez czas dłuższy w Petersburgu, troszczący się o stan swego Zgromadzenia w Rosyi i Polsce jenerał Dominikanów, O. Jeandel, upoważnił O. Soillard do odbycia kanonicznej wizyty we wszystkich klasztorach swojej reguły, jakie napotka na swej drodze i do wprowadzenia w nich potrzebnych reform, wedle udzielonej mu instrukcyi. Na dowód tego upoważnienia O. Jenerał dał mianowanemu przez się wizytatorowi list własnoręczny, w którym poleca swym synom duchownym zamieszkałym w Rosyi, aby uznali władzę wysłanego delegata i zastosowali się do uczynionych przezeń postanowień. O. Soillard, przybywszy do Petersburga, zamieszkał w klasztorze Dominikanów, a kiedy się wszyscy zebrali dla jego powitania, odczytał im i pokazał list Jenerała, lecz dla uspokojenia ich obaw spalił wnet w ich oczach to pismo, by nie mogli być odpowiedzialni przed rządem za prowadzenie korespondencyi z Rzymem. Wylegitymowawszy się tym sposobem, zawezwał ich, jako upoważniony przez Jenerała wizytator, aby zebrali się nazajutrz na kapitułę dla naradzenia się nad niezbędnemi reformami. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz ani jeden z braci nie zjawił się na kapitułę; zapytany zaś o przyczynę przeor Stacewicz odpowiedział, że póki im nie przedstawi oficyalnego dokumentu od Jenerała, to oni nie uznają też w nim oficyalnego charakteru wizytatora. Jakkolwiek O. Soillard nie wątpił już o złej woli Stacewicza, dla usunięcia wszakże wszelkiego pozoru do nieposłuszeństwa, napisał wnet do O. Jenerała i za pośrednictwem francuskiej ambasady, otrzymał opatrzony wszelkiemi formalnościami dokument, mianujący O. Soillard wizytatorem i polecający uległość zupełną jego rozporządzeniom. Po ukazaniu

przeorowi tego dokumentu, O. Soillard wręczył mu kopię zaświadczoną w ambasadzie, by nie miał żadnej wymówki w swym oporze, oryginał zaś złożył w ambasadzie. Wówczas Stacewicz oświadczył otwarcie, że te tylko zagraniczne rozporządzenia może uznać, które mu wręczone będą drogą rządową przez ministra; jeśli więc chce być uznanym za wizytatora, to niech się postara, by pismo Jenerała zostało zatwierdzone w Departamencie Wyznań, inaczej zaś on ani wiedzieć nie chce. Widząc, iż dłuższy pobyt w Rosyi przy takiem usposobieniu miejscowych Dominikanów żadnego nie może mieć praktycznego celu, O. Soillard opuścił Petersburg, Stacewicz zaś przedstawił natychmiast rządowym władzom zostawioną mu kopię listu Jenerała, przez co niemało przyczynił kłopotu ambasadzie, ale też i sam zabił się ostatecznie w oczach wszystkich dobrych katolików, którzy przed tem wierzyli w jego pozorną gorliwość.

W tymże samym czasie zdarzyła się inna, też duchownej natury sprawa, która niezmiernie ważne pociągnęła za sobą następstwa. Chcę mówić o sprawie Dziernowickiej. Jakkolwiek Unia na Litwie zdawała się całkiem zniesiona i prawosławie natomiast wkorzenione, w głębi wszakże sumienia byłych unitów pozostało głębokie do dawnej wiary przywiązanie i wszędzie, kędy okoliczności na to pozwalały, unici garnęli się do katolickiego kościoła, szukając potajemnie zaspokojenia swych duchownych potrzeb.

Po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II rozniosła się wieść po całym kraju, że nowy monarcha jest nieprzyjacielem religijnych prześladowań i dozwala każdemu iść za swem wewnętrznem przekonaniem. Mniemanie to opierało się na tem, że względem starowierów rzeczywiście cesarz kazał zaniechać prześladowania, gdyż tu chodziło o dogmatyczne tylko, nie zaś o polityczne różnice, co dla państwa było rzeczą całkiem obojętną. Ale z unitami i katolikami rzecz miała się całkiem inaczej, jak tego niebawem najlepiej dowiodły wypadki. Gdy pomieniona wieść o tolerancyi religijnej doszła na Białoruś, gdzie najwięcej niegdyś było unitów,

gmina Dziernowicka, licząca około dwóch tysięcy parafian, podała prośbę do cesarza, błagając go, aby jej pozwolił wrócić do jedności z kościołem katolickim, bądź w słowiańskim, bądź też w łacińskim obrządku. Otrzymawszy tę prośbę, cesarz wysłał natychmiast komisyę pod prezydencyą senatora Szczerbinina, z poleceniem, by ten ruch niebezpieczny przytłumić, źródła jego zbadać i winnych przykładnie ukarać. Wierny otrzymanej instrukcyi senator uwięził natychmiast główniejszych przywódców ruchu, a gdy groźby i rózgi do odstąpienia od swego przekonania skłonić ich nie mogły, wysłał ich na Sybir, pokorniejszych zaś zapędził jak bydło nahajkami do cerkwi, gdzie każdemu gwałtem dawano pożywać Komunię schyzmatycką, a jeśli się kto wzbraniał, usta otwierano bagnetami. Po tak chrześcijańskiem uspokojeniu niemiłego dla rządu ruchu, Szczerbinin zdał raport cesarzowi ze swej misyi, gdzie ostrzegając, że niebezpieczeństwo wcale nie zostało usunięte, że ruch może się wznowić, skoro przyjazne zdarzą się okoliczności, doradza swemu monarsze, by kazał pozamykać bliższe tej miejscowości katolickie klasztory i zobowiązał katolickich biskupów, by dali niezwłocznie rozporządzenie do swego duchowieństwa, wzbraniające jak najsurowiej administrowania wszelkich Sakramentów i posług duchownych byłym unitom. Cesarz pochwalił całe postępowanie Szczerbinina i zatwierdził wszystkie podawane przezeń administracyjne środki, zapobiegające na przyszłość podobnym wypadkom, a że zdarzyło mu się wkrótce spotkać w przejeździe przez Wilno, bawiącego tam wówczas arcybiskupa Żylińskiego, osobiście przeto nastał na niego, nie szczędząc surowych pogróżek, by niezwłocznie wydał żądany do duchowieństwa okólnik. Wierny swej zasadzie ulegania tam, gdzie opór mógłby sprowadzić katastrofę, Arcybiskup wydał rzeczywiście żądaną odezwę, przesłał do ministeryum jej kopię i rozesłał wszystkim dziekanom, tylko polecił sekretarzowi, aby do każdej ekspedycyi dodał od siebie przyjacielską na osobnej karteczce radę, by dokument ten schował pod sukno i nikomu go nie

pokazywał, żeby nie narażać Arcybiskupa na krzyki opinii publicznej. Ufny, iż sekret został wiernie dochowany, Arcybiskup po powrocie do Petersburga, najbliższym tylko swoim zwierzył się z tego, co zaszło z Cesarzem i co on wskutek tego uczynił. Gdy zaś przybył doń ks. Łubieński, skarżył się przed nim tylko, że nań minister nalega, aby dał poniecnione rozporządzenie, od którego on nie wie, jak się ma wymówić. Ks. Łubieński począł mu przedstawiać powody kanoniczne, dla których nie powinien zgodzić się na żądanie ministra, wykazał mu też smutne następstwa praktyczne podobnego kroku, który wyrządziłby niepowetowane szkody nietylko unitom, pozbawiając ich pomocy religijnej, do której mają prawo, lecz i samym kapłanom, co zechcą być wiernymi pasterskim obowiązkom swoim, gdyż pełniąc swą powinność, sprzeciwiać się będą rozporządzeniom własnej zwierzchności swojej i ściągną na się zarzut lekceważenia tak świeckiej, jak i duchownej władzy. Gdy jednak Arcybiskup sprowadzał ciągle kwestyę na grunt odpowiedzialności osobistej, ks. Łubieński prosił go, by przed powzięciem ostatecznego postanowienia pozwolił mu rozmówić się z senatorem Hube, który jako biegły i w kanonicznem i w krajowem prawie, najlepsze w tej kwestyi może dać objaśnienia. Gdy Arcybiskup przyzwolił, ks. Łubieński pospieszył do Hubego, który był zdania, że niespełnienie żądania ministra, nie może być poczytane za przestępstwo stanu, lecz będzie tylko sporem dwóch władz, działających w sferze swego zarządu. Że cesarz, rozkazując ministrowi zobowiązać duchowieństwo katolickie do odmawiania pomocy religijnej unitom, nie wskazał, jaką ma ku temu obrać drogę, jeśli zaś sam minister wolał zwrócić się do proboszczów raczej za pośrednictwem władzy duchownej, niż organów władzy wykonawczej, to jest już jego osobiste rozporządzenie, i można bez mięszania do sporu najwyższej władzy prosić ministra, by obrał inną drogę dla obwieszczenia woli rządu.

Uradowany tem objaśnieniem znakomitego prawnika, ks. Łubieński zakomunikował je niezwłocznie Arcybiskupowi, ale ten nie zdawał się być zeń zadowolonym i zapragnął osobiście rozmówić się z Senatorem. Ks. Łubieński zaprosił niezwłocznie Hubego, ale gdy ten, który i sam był niepospolitym tchórzem, spostrzegł, że Arcybiskupowi nie chodzi o to, aby znaleźć podstawę legalną do oporu, lecz że radby on raczej, by mu wykazano konieczność zastosowania się do życzenia rządu, wnet stanął na innem stanowisku, utrzymując, iż bez wątpienia najlepiej będzie, jeśli Arcybiskup ustąpi, pierwszą zaś radę podawał on tylko, jako legalny wykręt w razie, gdyby należało się opierać. Po odjeździe Senatora, Arcykiskup rzekł do ks. Łubieńskiego: »A co, widzisz, że i on utrzymuje, że trzeba wydać żądany okólnik. Co to pomoże walczyć z siłą, która nas może w każdej chwili zdruzgotać?« Słysząc to ks. Łubieński, upadł do nóg Arcybiskupowi, prosząc go o kilka godzin zwłoki, co otrzymawszy, przybiegł do mnie do Akademii i poczęliśmy wnet układać motywowany memoryał w kwestyi okólnika, przytaczając teksta kanonów i bul papieskich, mające związek z tą kwestyą i wykazując zgubne podobnej uległości następstwa. Memoryał kończył się zaklęciem pełnem synowskiej miłości, ale też i kapłańskiego męstwa, aby Pasterz zastawił się śmiało za powierzone pieczy jego owce, pokładając nieograniczoną w Boskiej Opatrzności ufność. Po ułożeniu tego dokumentu zaprosiłem jeszcze do siebie ks. Ważyńskiego i Iwaszkiewicza, aby oni przejrzeli też to pismo przed wręczeniem go Arcybiskupowi i wydali o nim swe zdanie. Obaj znaleźli, że nie było w niem nic ubliżającego godności duchownego zwierzchnika, dla którego było przeznaczone i że wyrażało jedynie ściśle kościelną w poruszonej kwestyi naukę. Po tej deklaracyi, zupełnie kompetentnych w tej mierze sędziów, ks. Łubieński wrócił raz jeszcze do Arcybiskupa, ale zastawszy u niego ks. Staniewskiego i Jakobielskiego, zostawił tylko memoryał, z prośbą o przejrzenie i sam się oddalił. Zaledwie próg przekroczył, zazdro-

śni wpływów jego doradcy, rzucili się na podany dokument jak sępy na zdobycz, a udając zgorszenie i oburzenie na tak niesłychaną zuchwałość podwładnego i to jeszcze młodzika, co śmie swemu zwierzchnikowi i duchownemu ojcu dawać napomnienia i groźby, tak się poczęli unosić nad niewdzięcznością za okazywaną mu dobroć i zarozumiałością prostego księdza, co nie miał nawet żadnego stopnia naukowego i zaledwie liznął teologii, że tak oburzyli Arcybiskupa, iż rozkazał lokajowi raz na zawsze nie przyjmować ani ks. Łubieńskiego, ani nikogo z jego rodziny. I tego wszakże niedość było zawziętym doradcom. Chcieli oni pozbyć się go z Petersburga, gdyż stosunki jego w wyższych sferach solą w oku im były i obawiali się, by ich nie uprzedził do mitry. Radzili przeto Arcybiskupowi, by go wydalił z swej dyecezyi, a przynajmniej ze stolicy; a że to uśmiechało się obrażonemu zwierzchnikowi, szukano więc tylko pretekstu do urzeczywistnienia zamiaru. Nie długo też potrzeba było czekać na okazyę.

W kilka dni po przedstawieniu memoryału, zakrystyan Maltańskiego kościoła dopuścił się jakiejś malwersacyi i został za to przez ks. Łubieńskiego oddalony. Szukając innego miejsca, udał się on do kościoła św. Katarzyny, proponując swe usługi przeorowi. Stacewicz, który był razem dziekanem dekanatu petersburgskiego, wtajemniczony w zamiary ligi, co zgubę ks. Łubieńskiego zamierzyła, postanowił skorzystać z tej okoliczności i rozpytawszy się o szczegóły wydalenia, sam zaproponował zakrystyanowi, aby podał do metropolity skargę na ks. Łubieńskiego i sam ją mu nawet podyktował. Na mocy tej skargi Arcybiskup polecił dziekanowi wyprowadzić śledztwo i zdać mu sprawę z rezultatu. Stacewicz udał się w oficyalnym charakterze do Malty i w sposób najbardziej ubliżający dla kapłańskiej i osobistej godności Łubieńskiego począł badać tak zakrystyana, jak i innych służących, ośmielając ich do sądzenia i wyrokowania o charakterze i postępowaniu swego pasterza; po przesłuchaniu zaś skarżącego i świadków, oświadczył bez

ogródki oskarżonemu, że powinien usunąć się z Malty i że Arcybiskup nie życzy sobie go mieć nawet w swej dyecezyi, najlepiej więc zrobi, gdy powróci do Warszawy.

Ks. Łubieński przed powzięciem ostatecznego postanowienia chciał się zapewnić, czy to postąpienie jego w kwestyi okólnika istotnie było naganne; opisał przeto całe zajście, dodawszy, o czem się później dowiedział, że okólnik dawno już był wydany, i relacyę swoją przesłał do Rzymu Podsekretarzowi Stanu Berardi. Co do Malty zaś, udał się do hr. Borcha, zapytując, jak ma sobie postąpić. Hr. Borch był równie zgorszony jak zdziwiony całą historyą z zakrystyanem, ale prosił go, aby pozostał na swojem stanowisku, z którego bez jego wiedzy i zgody, jako reprezentującego głównego kolatora, cesarza, nikt go ruszyć nie może. Tak przeszło parę tygodni, w ciągu których ks. Łubieński był przedmiotem głośnych napadów sprzymierzonej kliki, do której w ostatnich czasach dołączył się ks. Niemeksza, profesor Akademii, posłuszny poplecznik Jakobielskiego, który znalazłszy w nim powolne narzędzie, wysuwał go przy każdej zręczności naprzód i już w myśli przeznaczał go na następcę ks. Łubieńskiego w Malcie. Tymczasem nadeszła odpowiedź z Rzymu, adresowana do ks. Łubieńskiego, w której Berardi oświadcza w imieniu Stolicy Apostolskiej, że postępowanie ks. Łubieńskiego nie miało w sobie nic nagannego, że spełnił on tylko swą kapłańską powinność, za co zasługuje owszem na pochwałę. Jednocześnie otrzymał też list drugi Arcybiskup z ostrą wymówką za swe postępowanie i z upomnieniem, by złe wyrządzone starał się co rychlej naprawić. List ten był niezmiernie bolesnym dla Arcybiskupa ciosem. Jakkolwiek bowiem nie przytrzymywał się pozostawionej mu przez Nuncyusza instrukcyi, w przekonaniu jednak swojem czynił on, co było możebnem dla dobra Kościoła i bardzo troszczył się o zachowanie dobrej reputacyi w Rzymie. Zaślepiony przez ciągłe pochlebstwa swych doradców, nie chciał on otrzymanego ciosu położyć na karb własnej winy, lecz przypisywał go oczerniającym

relacyom ks. Łubieńskiego i stąd niechęć ku niemu wyrosła prawie na nienawiść. Korzystając z tego nieprzyjazna mu liga, otoczyła go czujnem szpiegostwem, by znaleźć podstawę ostatecznej jego zguby. Domyślano się, że to on pisał do Rzymu, ale nie miano dowodu; przypuszczano wszakże, że i on otrzymał zapewne odpowiedź na swą relacyę, chodziło więc tylko o to, by się o tem zapewnić. Zaszczytne to posłannictwo polecono Niemekszy. Jakoż, skoro ks. Łubieński po otrzymaniu listu przybył do mnie, aby mi go zakomunikować, Niemeksza podkradł się pode drzwi i podsłuchawszy treść jego, zawiadomił wnet o tem Jakobielskiego. Że jednak pochwycenie listu i wręczenie go policyi mogło ich samych skompromitować tak w oczach katolików, jak i Stolicy Apostolskiej, uradzono przeto, że Niemeksza zwierzy się konfidencyonalnie z tego, co podsłuchał, prałatowi Kosowskiemu, o którym byli pewni, że wnet zakomunikuje rządowi. Tak też się i stało. Dyrektor Wyznań został zawiadomiony o korespondencyi i wnet pospieszył do Arcybiskupa, by się naradzić, co z nim zrobić. Pierwiastkowo zamierzał zesłać go na Sybir, z pozbawieniem praw, ale przyjaciele i krewni ks. Łubieńskiego zmitygowali u ministra ten wyrok, tak, że skończyło się na tem, że został zamianowany przez Arcybiskupa wikaryuszem do Charkowa, władza zaś świecka czuwała nad tem, by natychmiast tam wyjechał i nie zboczył nigdzie w drodze. Przybyła z Wilna przełożona zawiązanego przezeń Zgromadzenia tak się zgryzła tym gwałtownym wyjazdem, iż zachorowała i wkrótce umarła, po jej zaś śmierci siostra Zofia wróciła do Rodziny Maryi, Katarzyna pozostała w świecie, i tak rozchwiało się to Zgromadzenie wprzód, nim się zdołało uorganizować.

Po wydaleniu ks. Łubieńskiego przyszła kolej na wspólników jego zbrodni. O mnie żadnej nie było wątpliwości, że byłem wtajemniczony we wszystkie jego sprawy; wyrok też mój został wnet ferowany, a wydalenie moje z Akademii było już tylko kwestyą czasu. Że jednak z jednej strony uważano mię za zbyt małą figurę, by się o mnie warto

było troszczyć; z drugiej zaś, ponieważ nie chciano zniechęcać kleryków, którzy mi wielkie okazywali zaufanie i mogliby stracić serce do sprawców mego wydalenia, postanowiono więc doczekać się wakacyi, by wówczas pozbyć się mnie nieznacznie. Na pierwszy zaś plan wystąpiła wojna przeciw Ważyńskiego i Iwaszkiewicza, o których dowiedziano się przez służących, że byli u mnie razem z Łubieńskim przy układaniu memoryału. Wpływ Ważyńskiego u Arcybiskupa dawno już był obalony, ale pozostawała zawsze pewna życzliwość i szacunek, co niepokoiło ligę, zwłaszcza, że i w Akademii obecność jego przeszkadzała samowładnemu panowaniu rektora, gdyż wedle akademickiej ustawy inspektor miał prawo mięszać się do wszystkich rozporządzeń tak naukowych jak i administracyjnych, co krępowało rektora. Jakobielski pragnął zastąpić go Niemekszą, z którymby się nie żenował i którego wpływu nie lękał się wcale. Do Iwaszkiewicza mniej miał niechęci, ale był to znowu osobisty wróg Niemekszy, trzeba go więc było poświęcić dla swej kreatury. Dla zmuszenia Iwaszkiewicza do opuszczenia Akademii, Arcybiskup odjął mu katedrę Teologii moralnej a zostawił tylko archeologię, co tak szczupłe dawało utrzymanie, że sądzono, iż się poda do dymisyi; ale się zawiedli. Następnie Staniewski wręcz mu powiedział, że dlań nie ma miejsca w Akademii i że powinien prosić o dymisyę; on wszakże z żmudzką cierpliwością odpowiedział, że jak go mianowano bez prośby, niech go też bez prośby i usuną. Następnie udał się do Arcybiskupa i oświadczył mu, że jeśli istotnie jest to jego życzeniem, to natychmiast się usunie; lecz jeśli to są tylko intrygi akademickich kolegów, to udaje się pod opiekę swego pasterza, w którego sprawiedliwości najzupełniejsze pokłada zaufanie i prosi go o ścisłe zbadanie pobudek, dla których pragną się go pozbyć. Ten krok poprawił bardzo jego położenie. Arcybiskupowi ciężyła już dyktatura tryumwiratu i rad był zachować po za jego wpływami duchownych, mających pewne znaczenie i wpływ na opinię. Zapewnił też Iwaszkiewicza,

że nic niema przeciwko niemu i życzy, aby na swem stanowisku pozostał.

Tymczasem po wyjeździe ks. Łubieńskiego, hr. Borch począł oglądać się za następcą jego w Malcie. Uczęszczające tam zwykle osoby, należące do wyższych sfer społecznych, zwłaszcza zaś damy Towarzystwo św. Wincentego pod prezydencyą pani Czewkin, mojej od roku już penitentki, pragnęły, aby mnie zaproponował kapelanię, co też on uczynił. Ja jednak odmówiłem, nie chcąc opuszczać Akademii, gdzie wpływ na młodzież zdawał mi się najważniejszem mojem posłannictwem. Zapytany, kogobym na to miejsce zalecił, ukazałem Iwaszkiewicza, który chociaż dalekim był od zastąpienia ks. Łubieńskiego, stosowniejszy był wszakże od innych możebnych wówczas kandydatów. Hr. Borch poszedł za tą radą, a chociaż Arcybiskup próbował zalecać mu Niemekszę, gdy spostrzegł, że sobie tego nie życzy, zatwierdził bez trudności Iwaszkiewicza, który też wnet wyniósł się z Akademii, zachowując w niej wszakże katedrę archeologii. Odtąd tryumwirat zwrócił swój główny atak przeciw Ważyńskiemu, który obok obowiązków inspektora był też profesorem homiletyki. Rektor postanowił wykazać nieudolność jego w obu tych obowiązkach.

Pewnego razu Ważyński obchodząc opróżnione gabinety w czasie odbywających się w audytoryach wykładów, zastał tam jednego alumna, który nie poszedł na wykład. Wystrofowawszy go za to dyscyplinarne wykroczenie, Inspektor kazał mu natychmiast udać się na lekcyę. Gdy jednak wróciwszy po kwadransie, znowu go zastał w gabinecie, skazał go za nieposłuszeństwo na czterodniowe rekolekcye i zawiadomił mnie o tym wyroku. Obżałowany alumn począł się uskarżać przed kolegami na surowość wyroku i tak podburzył ich przeciw Inspektorowi, że ci całem gronem udali się do Rektora, niby z prośbą o ułaskawienie dla skazanego, rzeczywiście zaś ze skargą na Inspektora. Była to upragniona dla Jakobielskiego okazya do wykonania swych planów. To też zamiast uspokoić alumnów i stanąć w obronie zapo-

znanej zwierzchności, on chętnie słuchał zaskarżeń i sam o najdrobniejsze rozpytywał szczegóły, dowodzące nietrafności postępowania Ważyńskiego. Nareszcie przyrzekł, że rozpatrzy tę sprawę i przedstawi Arcybiskupowi na decyzyę. Między alumnami był wówczas kleryk Czarnocki, liczący już lat około trzydziestu, który ukończywszy uniwersytet w Dorpacie poczuł powołanie do stanu duchownego, a odbywszy rekolekcye pod kierunkiem ks. Ważyńskiego, wstąpił do seminaryum w Wilnie i następnie za staraniem samegoż ks. Ważyńskiego przysłany został do Akademii. Arcybiskup znał go jeszcze jako świeckiego i wysoko cenił jego wykształcenie i szlachetny charakter, Rektorowi przeto wiele o to chodziło, by go mieć po swej stronie. To też gdy alumni odchodzili, zatrzymał go u siebie i rzekł, gdy zostali sami: »Zwracam się do ciebie nie jako przełożony do podwładnego, lecz jako ojciec duchowny do syna, jako minister Chrystusowy do przyszłego współbrata, jedynie w interesie Kościoła i jego zakładu, któremu przewodniczę, powiedz mi tak szczerze jak na spowiedzi, jakie są niedostatki wykładu ks. Ważyńskiego i jakie są wady jego zarządu. Zaklinam cię pod sumieniem, abyś był ze mną otwartym, boć tu mówisz jak na spowiedzi«. Zaskoczony tak niespodzianie i nie podejrzewając żadnej złej intencyi w przełożonym, Czarnocki wypowiedział z całą szczerością wszystko, co myślał o Ważyńskim, tak na korzyść jak i na niekorzyść jego. Rektor skrzętnie ponotował te zeznania, ale tylko stronę ujemną, a dodawszy do tego to, co mówili inni, ruszył z relacyą do Arcybiskupa, któremu jako ostateczny argument nieudolności Ważyńskiego przytoczył zdania o nim Czarnockiego, którego sam Ważyński tak wysoko cenił.

Podczas gdy Rektor bawił u Arcybiskupa, ja dowiedziawszy się o tem, co zaszło, zebrałem alumnów do jednej z sal i przedstawiłem im ze stanowiska chrześcijańskiego całą niewłaściwość ich postępowania. Wykazałem im, że ukarany kolega był rzeczywiście winnym lekceważenia obowiązków stanu i nieposłuszeństwa władzy; że wymierzona

mu kara nietylko jest zgodna z duchem naszego powołania, nietylko nie ubliża w niczem osobistej godności skaranego, lecz że dla wielu byłaby prawdziwą nagrodą i gdybym tylko ogłosił, że będę dawać czterodniowe publiczne rekolekcye, to tłumy dusz pobożnych pośpieszyłyby niezwłocznie na te ćwiczenia, uważając je sobie za prawdziwą ucztę duchowną. Jeśli zaś takie jest zapatrywanie na rekolekcye świeckich osób, to czyż nie dziwna, że duchowni za ubliżenie je sobie poczytują. Zaleciłem przeto, aby wszyscy razem przeprosili Inspektora, winny zaś, aby sam prosił o rekolekcye, które z pewnością bedą dlań pożyteczne. Gorące przemówienie moje odniosło pożądany skutek: alumni udali się wnet z przeprosinami do Ważyńskiego, a następnie winny prosił mię ze szczerą skruchą o rozpoczęcie z nim rekolekcyj.

Wróciwszy od Arcybiskupa, Rektor, nic jeszcze nie wiedząc o zaszłej w usposobieniach alumnów zmianie, oświadczył sam Ważyńskiemu, że wniósł na sąd Arcybiskupa zażalenia kleryków, przy czem nie omieszkał powtórzyć mu wyłudzonych od Czarnockiego zeznań. Dotknięty do żywego Ważyński, postanowił opuscić nareszcie zajmowaną dotąd w stosunku do ligi bierną pozycyę i oświadczył, że wobec tak stanowczej napaści, musi się bronić przed swoim duchownym zwierzchnikiem. Jakoż udał się niezwłocznie do Arcybiskupa, a wychodząc ze zwykłej apatyi, która go czyniła ociężałym i powolnym w mowie, odzyskał swą dawną wymowę i z werwą właściwą szlachetnemu a oburzonemu sercu, przedstawił Arcybiskupowi z jednej strony dowody swego bezinteresownego dlań przywiązania i gotowości do służenia mu wszędzie bez żadnych osobistych widoków, z drugiej zaś system ciągłej eksploatacyi obecnych jego doradców, którzy o sobie tylko pamiętając, doprowadzili go do tego, że stracił zaufanie Stolicy Apostolskiej i naraził się na surową krytykę najgorliwszych katolików i postradał nawet tę niezależność postępowania, tak niezbędną w spełnianiu urzędu pasterskiego. »Prawda, rzekł na zakończenie, że zawdzięczam W. Arcyb. Mości wiele, bardzo wiele, bo moją

wolność, moje stanowisko, moje utrzymanie; to też nigdy wdzięczność moja nie wygaśnie, gdybym nawet wszystko to utracił znowu; ale proszę przypomnieć, czym przymówił się kiedy choć słowem o te wszystkie łaski? i proszę też przypomnieć, czy przyjmując mą służbę i pytając o zdanie, został Arcypasterz choć raz narażony, nie mówię już na takie jak teraz, lecz na jakiebądź upokorzenia, bądź ze strony Stolicy Apostolskiej, bądź publicznej opinii w kraju?« Ten ostatni argument, zdaje się, najsilniej podziałał, gdyż była to bijąca w oczy prawda. To też uściskał serdecznie dawnego swego doradcę i upewnił go, że nie stracił dlań serca i nie pozwoli, aby mu uczyniono krzywdę. Ale na tem się na ten raz skończyło: Tryumwirat nie został jeszcze zachwiany, chociaż utracił już wiele z pierwotnego uroku. Skompromitowany w sprawie zażaleń alumnów, Rektor przycichł czas jakiś, lecz niechęć jego ku mnie wzmogła się odtąd widocznie, tak, że przerwał prawie towarzyskie stosunki ze mną.

W tym właśnie czasie przybył do Petersburga Benedyktyn O. Pitra, znakomity już wówczas pisarz kościelny i uczony, a późniejszy kardynał, w celu poszukiwania po bibliotekach i archiwach rosyjskich starożytnych, zwłaszcza greckich manuskryptów. W chwilach wolnych od prac naukowych odwiedzał on czasem Akademię, gdzie Rektor starał się go wszelkiemi sposobami skaptować, ale że nie miał daru ujmowania ludzi, obudził więc tylko podejrzenie, że ma w tem jakieś wyrachowanie. Jakoż przekonał się o tem niebawem. Jakobielskiemu chodziło o skaptowanie go jako pośrednika ze Stolicą Apostolską, gdzie chciał sobie zjednać dobrą opinię, w razie rychłego, jak spodziewał się, przedstawienia go na biskupa; tymczasem zaś chciał wyjednać przez niego aprobatę Stolicy Apostolskiej dla ułożonej przezeń nowej ustawy akademickiej, za porozumieniem z rządem, która to ustawa, na przekór brzmieniu konkordatu, usuwała bezpośredni wpływ arcybiskupa na zarząd Akademii, a oddawała rzeczywistą władzę w ręce rektora, jak to było przed zawarciem konkordatu. Na kilka dni przed wyjazdem O. Pitry, Jakobielski doręczył mu

kopię tej ustawy wraz z listem swoim do Ojca św., ale uczony Benedyktyn, nie obeznany z miejscowemi warunkami, chciał powziąść dokładniejszą o stanie rzeczy wiadomość, nimby się podjął pośrednictwa, i w tym celu za radą znajomych sobie Francuzów udał się po objaśnienia do mnie; zrozumiawszy zaś, o co rzecz idzie, zwrócił Rektorowi pakiet, tłómacząc się tem, że nie chce nielojalnością odpłacić się rządowi rosyjskiemu za doznaną w misyi swej uprzejmą pomoc.

Wkrótce potem wypadały imieniny Rektora, który obchodził je 13 czerwca na św. Antoniego Padewskiego. Zwykle alumni przychodzili mu winszować zrana zaraz po mszy, na ten raz wszakże kazał im oznajmić, iż sam ich wezwie we właściwym czasie. Był to plan ukartowany, jak się okazało później. Czekał on na przyjazd Arcybiskupa, będąc pewnym, iż zechce mu osobiście powinszować. Jakoż skoro przybył Metropolita, wnet wezwał alumnów i kazał ich wprowadzić do salonu, gdzie go przyjmował. Po odśpiewaniu *Plurimos annos*, Rektor zabrał głos wobec Arcybiskupa, a podziękowawszy im za życzenia, przeszedł do najdrażliwszej kwestyi i z dziwnym brakiem taktu począł przed niedojrzałą młodzieżą usprawiedliwiać postępowanie najwyższego dostojnika duchownego w kraju i to w jego przytomności. »Ufam, rzecze, młodzi Lewici, iż gdy przyjdzie na was kolej pełnienia czynnej służby w Chrystusowym Kościele, nie zechcecie wstępować w ślady pewnych zuchwałych kapłanów, co zapomniawszy, co winni swym prawym przełożonym, ośmielają się krytykować ich postępowanie, podawać im nieproszone rady, a nawet potwarzać ich przed wspólnym Ojcem wiernych. Zapominają oni, że Duch św. stanowi pasterzy i tenże Duch św. daje im natchnienie, co, jak i kiedy mają czynić. Jako na polu pokrytem bujnem zbożem, gdy wiatr powieje, wszystkie kłosy się uginają na chwilę, ale na to tylko, by tem majestatyczniej powstać, gdy zacichnie wicher: tak i biskupi, którym powierzony ster rządów w Kościele, wedle udzielonej im z nieba roztropności,

uginają się niekiedy przed naciskiem zewnętrznej siły, ale na to, by odzyskać znowu całą swą niezależność, skoro przemoc ustanie. Zaufajcie przeto mądrości waszych pasterzy, a strzeżcie się pilnie tych pysznych faryzeuszów, co pod maską gorliwości rozprzęgają tylko dyscyplinę kościelną i nowe na Kościół wyzywają prześladowania. Strzeżcie się ich tem pilniej, że niektórzy z nich nie wahają się nawet używać za narzędzie sakramentalnej spowiedzi, wpajając penitentom w konfesyonale najprzewrotniejsze pod tym względem zasady«. Ta ostatnia alluzya była tak wyraźnie skierowana do mnie, że wszyscy ją odrazu zrozumieli. Na szczęście nie byłem przytomny przy tej mowie i później mi ją tylko powtórzono. Arcybiskup siedział przez cały czas milczący i posępny, ale i po wyjściu alumnów nie odzyskał humoru i nie podziękował solenizantowi za tak gorliwą obronę i widocznem było, że silnie uczuł jej niewłaściwość.

Nieszczęściem Jakobielskiego było to, że zaufawszy swej przebiegłości, której wcale nie miał, chciał koniecznie naśladować Hołowińskiego, nie w jego miłości dla Kościoła i gorliwej jego obronie, lecz w wymijaniu prostej drogi i łowieniu w matnię swych przeciwników, co mu się wcale nie udawało. Gdy nadeszły wakacye, Arcybiskup wyjechał jak zwykle na Litwę, gdzie w okolicach Wilna miał letnie mieszkanie. Miejsce jego na wileńskiej stolicy zajął był niedawno biskup Krasiński, którego sam Żyliński rządowi zalecił i sam konsekrował. Przy odjeździe nowego pasterza z Petersburga, Arcybiskup prosił go, aby należący do biskupa folwark, który on wydzierżawił swemu krewnemu, pozostawił mu na tych samych warunkach do oznaczonego w umowie terminu, co Krasiński chętnie przyrzekł. Gdy jednak ów dzierżawca, zaufany w opiekę Arcybiskupa, w niczem nie uwzględniał praw i życzeń nowego pasterza, Krasiński rozgniewał się i odjął mu dzierżawę, na którą nie miał kontraktu. Postąpienie to Biskupa, niezgodne z danem przyrzeczeniem, bardzo obeszło Arcybiskupa i obraziło, tak, że zerwał nawet listowne z nim stosunki, otaczający go zaś pochlebcy

zamiast mitygować ową niechęć, podniecali ją jeszcze, krzycząc na niewdzięczność i nierzetelność Krasińskiego. W takiem usposobieniu Arcybiskup wyjechał do Wilna, gdzie mieszkając niemal w jednem mieście, dwaj pasterze nie nawiedzali się wcale.

Tymczasem do Petersburga przybył pewien kapłan z Nowgorodu, który pochodząc pierwiastkowo z wileńskiej dyecezyi, przeniósł się następnie do mohylewskiej, teraz zaś pragnął znowu powrócić w ojczyste strony; wiedząc zaś, iż Arcybiskup nie lubił, jeśli księża opuszczają jego dyecezyę dla innej, udał się pod opiekę Jakobielskiego, prosząc go, by mu tę translokatę ułatwił. Rektor podjął się tego pośrednictwa przez wzgląd na koleżeńskie z proszącym stosunki i wystosował w tym interesie dwa listy: jeden do Arcybiskupa, drugi do Biskupa wileńskiego, ale swoim zwyczajem, uwzględniając ich nieporozumienie, każdemu pochlebiał kosztem przeciwnika. Przy odesłaniu tych listów zaszła okoliczność, która nigdy nie objaśniła się ostatecznie, chociaż miała niezmiernie ważne następstwa. Rektor miał zwyczaj wysyłać swe listy do osób oficyalnych pod skarbową pieczęcią i pod numerem, wypisywał przeto na kopercie adres ołówkiem i odsyłał listy do kancelaryi, gdzie adresowano już atramentem, a wycierano ołówek. Otóż owe dwa listy zostały przemieszane, tak, że Arcybiskup otrzymał to, co było przeznaczone dla Krasińskiego i nawzajem; ale czy listy przemieszał sam Rektor, adresując ołówkiem? czy też sekretarz uczynił to na figle?—o tem wie tylko sekretarz. Gdy chybione pochlebstwa dostały się nie wedle przeznaczenia, rozśmieszyło to tylko Krasińskiego, który lepiej znał piszącego, ale niezmiernie boleśnie zraniło Żylińskiego, który wierzył jeszcze w szczerość życzliwości dla siebie Rektora. To też cios ten nietylko zabił dawne zaufanie, lecz przemienił w jednej chwili do zbytku powolnego przyjaciela w nieubłaganego wroga. Wyrok Jakobielskiego został już od tej chwili w sercu Arcybiskupa podpisany i żadne wymówki lub wstawiennictwa nie były w stanie go odmienić, gdyż

pod względem zawziętości Arcybiskup miał żelazną wolę. Nie skarżył się jednak, ani odgrażał, tylko milczał i czekał. Za powrotem swym do Petersburga nie unikał Rektora, nie robił mu wymówek, ale traktował go zimno, oficyalny tylko zachował z nim stosunek i szukał okazyi, by stanowczy cios wymierzyć. Z Ważyńskim przeciwnie wrócił do dawnej serdeczności i traktował go z zupełnem zaufaniem. Znając naturę rosyjskiego rządu, wiedział on, że za uchybienia kościelne nie uda mu się strącić Rektora z miejsca; uderzył przeto na stronę ekonomiczną i począł śledzić, czy nie ma jakich malwersacyj pieniężnych. Był to właśnie czas, kiedy przedsiębiorcy dostarczają drew na rok cały, gdy więc stosy były złożone i zarząd akademicki zaświadczył, iż umówiona ilość sążni została dostarczona, Arcybiskup polecił zaufanym ludziom sprawdzić rzecz na miejscu i okazało się, że zamiast ośmiuset sążni, wystawionych na papierze, rzeczywiście było tylko pięćset. Odpowiedzialność zwalił Rektor na ekonoma, który wnet stracił miejsce. Następnie zrobiona została rewizya książek, nabytych w ostatnich latach dla biblioteki, i okazało się, że najdroższe dzieła, sprowadzone nibyto z zagranicy, figurowały tylko w rachunkach, a nie w bibliotece. Za to nadużycie odpowiedzialnym był bezpośrednio bibliotekarz, ks. Niemeksza, i jemu więc Arcybiskup dał natychmiast dymisyę, nietylko z bibliotekarstwa, ale i z profesorstwa i kazał mu wyjechać z Petersburga. Nareszcie Arcybiskup zapotrzebował ogólnego rachunku z akademickich wydatków od zarządu, który, wedle ustawy, składać się winien z rektora, inspektora, dwóch starszych profesorów, ekonoma i sekretarza, lecz za rządów Jakobielskiego znajdował się całkowicie w ręku jego i mianowanego przezeń ekonoma, który obecnie został oddalony. Otrzymawszy wezwanie Arcybiskupa, by przedstawił rachunki za ubiegłe lata swego zarządu, Rektor zabrał do siebie księgi, wezwał z kancelaryi zaufanego pisarza i ułożył z nim rachunek, który podał do podpisania członkom zarządu. Gdy jednak Ważyński stanowczo odmówił stwierdzenia swym podpisem wyda-

tków, których we właściwym czasie nie upoważniał i o których nic nawet nie wiedział, inni członkowie zarządu odmówili także podpisu, nie chcąc podzielać odpowiedzialności za administracyę, w której żadnego nie przyjmowali udziału. Skończyło się więc na tem, że podpisał tylko Rektor i za sekretarza pisarz z kancelaryi. Otrzymawszy taki rachunek Arcybiskup, przyjechał mocno rozgniewany do Akademii, udał się wprost do kancelaryi i sam począł rewidować księgi i sprawdzać pokwitowania, że zaś buchalterya nie była mu obcą, wykrył wkrótce tyle nadużyć i fałszów w rachunkach, że usprawiedliwienie się Rektora było niemożebne. Wezwany do tłumaczenia się Jakobielski, starał się uniewinnić tem, że musiał fałszować rachunki dla pokrycia niektórych dość znacznych i niezbędnych wydatków, do których oficyalnie przyznać się nie można; jak n. p. prezenta dawane urzędnikom Departamentu Wyznań, którego to zwyczaju, od dawna już wprowadzonego, wyprowadzić on nie mógł, wydatek zaś ten musiał podciągnąć pod inne rubryki i stąd powstał nieład w rachunkach. Nie zważając na to tłumaczenie się, Arcybiskup kazał natychmiast spisać protokół odbytej rewizyi i wykrytych nadużyć, który podpisał sam i innym członkom zarządu podpisać kazał.

Przeczuwając cios stanowczy, Jakobielski wnet po odjeździe Arcybiskupa udał się do hr. Sieversa, błagając o protekcyę i przedstawiając rzecz całą jako intrygę Ważyńskiego, który pobudził przeciwko niemu Arcybiskupa; fałszowanie zaś rachunków objaśniał tem, że musiał pokryć wydatki na sute przyjęcia Arcybiskupa i czynione mu prezenta. Na dowód zaś przytoczył, że niedawno z powodu imienin, za pieniądze akademickie kupiony był dla Arcybiskupa żyrandol, za 400 rubli, który i obecnie wisi w jego sali. Rzeczywiście zaś rzecz się tak miała, że w wilię imienin Arcybiskupa, kiedy go nie było w domu, Rektor przywiózł ów żyrandol i kazał przy sobie zawiesić w sali, poleciwszy służącemu, żeby powiedział, że jest to pamiątka od profesorów Akademii, którzy się nań złożyli. Dyrektorowi Wy-

znań nie tyle chodziło o osobę Rektora, którą w innym razie chętnieby poświęcił, ile o zasadę kompetencyi władzy Arcybiskupa do jego usunięcia; jakkolwiek bowiem wedle konkordatu arcybiskup ma prawo usuwać i mianować wszystkich profesorów i zwierzchników Akademii, Jakobielski jednak mianowany był przez samego cesarza w czasie wakującej arcybiskupa stolicy; wedle ogólnego zaś państwowego prawa, urzędnik mianowany przez cesarza, najwyższym tylko rozkazem może być usunięty z miejsca. Ta okoliczność skłoniła hr. Sieversa do bronienia Rektora. Pojechał przeto do Arcybiskupa, a gdy ten oznajmił mu swój zamiar dania dymisyi Rektorowi, z powodu krzyczących nadużyć w administracyi, na co ukazał mu dowody, hr. Sievers rzekł z ironicznym uśmiechem: »Wasza Excellencya wie dobrze, że podwładni zmuszeni są czasem do robienia prezentów swym przełożonym, na co nie starczy własna kieszeń; nie słusznieby więc było, by ci, co z tego korzystają, pociągali do odpowiedzialności darzących«. A ukazując na żyrandol, dodał: »Wszak i to cacko podobno za akademickie pieniądze nabyte?« Tego już było zanadto. Żyliński pod względem pieniężnym był nieposzlakowany i brzydził się wszelkiego rodzaju wenalnością. Zarzut przeto tego rodzaju oburzył go do tego stopnia, że zerwał się z siedzenia i chwytając się za głowę zawołał: »Więc on i mnie robi złodziejem? Jeśli tak, to daję Panu Hrabiemu słowo honoru, że jeśli Rektor nie ustąpi w przeciągu tygodnia, nietylko z Akademii ale i z Petersburga, to ja sam wyjadę do Mohylewa i stamtąd rządzić będę dyecezyą. To jest moje ostatnie słowo«. Poczem pożegnał Dyrektora, a wezwawszy natychmiast sekretarza, podyktował mu dwa dokumenta, z których jeden usuwał Jakobielskiego z rektorstwa, drugi zaś polecał Ważyńskiemu natychmiastowe objęcie zarządu Akademii. Oba pisma tegoż dnia wręczone zostały interesowanym osobom, a chociaż Jakobielski nie tracił jeszcze nadziei, że go Minister obroni, nie śmiał jednak opierać się rozporządzeniu Arcybiskupa, zwłaszcza, że ani żywa dusza nie stanęła po jego

stronie w Akademii. W taki sposób Ważyński objął tymczasowy zarząd, co wnet i alumnom zostało oznajmionem.

Dowiedziawszy się od hr. Sieversa o tem, co zaszło, minister spraw wewnętrznych, Łanskoj, dobry i spokojny człowiek, nie bardzo przyjął do serca sprawę Jakobielskiego; żeby jednak przekonać się, czy warto prowadzić o niego wojnę z Arcybiskupem, zapytał o zdanie baronowej Meyendorff, z którą był w codziennych stosunkach i bardzo cenił jej zdanie; gdy zaś ta machnęła ręką i rzekła: »Pozwólcie mu odjechać, nikt po nim nie będzie płakać«, oświadczył Sieversowi, aby mu wydał pasport i pieniądze na drogę i polecił co najrychlej wyjechać do swej dyecezyi. Jakoż tydzień nie minął, kiedy Jakobielski był już w drodze do Kamieńca, gdzie w lat parę życia dokonał.

Odtworzyłem tu ze wszystkimi szczegółami cały ten wstrętny i bolesny dla katolickiego serca dramat, gdyż mieści on w sobie głęboką naukę tak dla intrygantów, co nauczą się cudzem doświadczeniem, dokąd ostatecznie doprowadzają nieuczciwe drogi, jak i dla wiernych swemu powołaniu kapłanów, których Opatrzność z najgroźniejszych nawet niebezpieczeństw wyprowadzić potrafi i na przekór ludzkim zabiegom postawi tam, gdzie postawić ich zamierzyła. Palec Opatrzności jest tu tak widoczny, że chyba dobrowolnie zaślepiony dopatrzyć go nie zdoła.

Po usunięciu Jakobielskiego, Arcybiskup wezwał na rektora żmudzkiego sufragana biskupa, Bereśniewicza, którego, równie jak Ważyńskiego, sam wydobył z kategoryi skazanych na bezczynność kapłanów. Będąc w bardzo młodym wieku rektorem seminaryum w Worniach, ks. Bereśniewicz został przez rząd od swej posady usunięty i skazany na mieszkanie w Wilnie, bez żadnego kościelnego obowiązku. Arcybiskup Żyliński, będąc w bardzo dobrych stosunkach z jen. gub. Nazimowem, otrzymał dlań naprzód posadę kapelana w jakimś naukowym zakładzie, a gdy sam został przeniesiony na metropolitalną stolicę, przedstawił go na sufragana żmudzkiego i sam konsekrował go na biskupa.

Obecnie nie trudno mu było uzyskać zgodę rządu na zamianowanie go rektorem Akademii, a z jego instalacyą rozpoczyna się bodaj czy nie najświetniejsza epoka istnienia Akademii Duchownej. Nie dorównywał on wprawdzie wyższością umysłu Hołowińskiemu, ale równie był prawy, gorliwy i dbały o prawdziwe interesa Kościoła. Przytem Hołowiński był w Akademii sam jeden, mając przeszkodę raczej, niż pomoc w swych kolegach profesorach; Bereśniewicz zaś mógł otoczyć się całem gronem ludzi dobrej woli i dostatecznie uzdolnionych, którzy szczerze i w jednym duchu z nim współpracowali. Ważyński, osobisty jego jeszcze z Wilna przyjaciel, pozostał i nadal inspektorem i profesorem homiletyki; teologię dogmatyczną objął po Jakobielskim Iwaszkiewicz, historyę i prawo kanoniczne, po Niemekszy, niezmiernie zdolny i zacny kapłan Majewski, mnie dostała się katedra filozofii, inni zaś profesorowie pozostali na swoich miejscach. Jedność ducha między zwierzchnikami przyczyniła się też nie mało i do umorzenia koteryj, na jakie dzielili się alumni, biorąc stronę tego lub owego profesora. Arcybiskup odzyskał też swobodę działania i utraconą godność, gdyż i Staniewskiego wyprawił wkrótce do Mohylewa; Stacewicz zaś odosobniony i spłoszony przykładem przyjaciół, nie śmiał rościć pretensyi do przewodniczenia. Tym sposobem czynnym był tylko wpływ Akademii, a że tu jedynem pragnieniem było dobro Kościoła, wpływ ten więc zbawienne tylko wydawać mógł owoce. Stąd i w zarządzie archidyecezyi epoka ta do najświetniejszych może być zaliczona, gdyż zrobiło się wiele dobrego, a nie popełniono żadnego, godnego pożałowania błędu.

Rodzina też Maryi w ciągu tych lat paru rozwinęła się nad wszelkie spodziewanie. W miarę przybywania funduszów przyjmowaliśmy coraz więcej sierót, a że znalazło się też kilka staruszek bez żadnej opieki i środków utrzymania, daliśmy więc osobny wydział dla nich, tak, że niebawem i nowy lokal, chociaż mieszczący do pięćdziesięciu osób, okazał się za szczupły i trzeba było myśleć o innym. Wów-

czas zaproponowałem baronowej Meyendorff, aby, korzystając z swych licznych stosunków i z chętnej szczodrobliwości osób, interesujących się Zakładem, rozpoczęła kwestę na kupienie domu na przytułek; i wyszukałem nawet dom drewniany z ogródkiem, w jednej z oddalonych części miasta, który możnaby nabyć za dziesięć tysięcy rubli. Baronowa uśmiechnęła się i tak była pewna, że to jest urojenie całkiem niemożebne, że gdy w czasie tej rozmowy weszła jedna jej krewna, ona mnie jej prezentowała żartobliwie, jako marzyciela, który wyobraża sobie, że w Petersburgu można ukwestować na zakład katolicki dziesięć tysięcy rubli. Gdy jednak, pomimo tę jej nieufność, nie przestałem nalegać, zgodziła się otworzyć kwestę, ale nie biorąc pieniędzy, tylko zbierając podpisy, z tem, że jeśli nie zbierze się potrzebna suma, to lista się rozedrze i nikogo nie będzie obowiązywać. Zaprotestowałem przeciwko temu zamiarowi, twierdząc, że kto ofiaruje dla biednych, ten chce rzeczywiście im dopomódz, nie godzi się przeto pozbawiać go tej zasługi. Że należy zbierać bezwarunkowo, a jeśli zebrana suma nie wystarczy na kupienie domu, to posłuży na opłacenie przez lat kilka mieszkania najętego, a i to już wielkie dobrodziejstwo dla biednych. Dała się nareszcie uprosić i otworzyła listę składek, dając od siebie tysiąc rubli. Księżna Gagarin podpisała tyleż, księżna Worońcow, Branicka z domu, dała dwa tysiące, baronowa Sztyglic także dwa, księżna Koczubej tysiąc pięćset, pani Naryszkina, Potocka z domu, oświadczyła, że chce przy fundującym się zakładzie zarządzić własnym kosztem szpital na piętnaście łóżek dla chorych kobiet katolickiego wyznania; dalej poszedł długi szereg ofiar po pięćset rubli, tak, że w przeciągu dwóch miesięcy baronowa Meyendorff miała już zebranych gotówką czterdzieści trzy tysiące, nie licząc przyrzeczonej przez panią Naryszkinę fundacyi. Rezultat był tak świetny i niespodziany, że widzieliśmy w tem wszyscy wyraźny dowód, iż Opatrzność Zakładem się naszym opiekuje, co podwoiło naszą gorliwość.

Podczas, gdy baronowa Meyendorff zajmowała się wyszukaniem, kupieniem i urządzeniem domu, już nie drewnianego, ale murowanego, ja, korzystając z wakacyi, pojechałem do Wilna, dla przypatrzenia się świeżo urządzonemu tam przez panią Dąbrowską przytułku dla zgrzybiałych i niedołężnych, pod zarządem Siostrzyczek Ubogich, a także dla zwerbowania i do naszego Zakładu kilku osób z powołaniem, gdyż w Petersburgu chyba wyjątkowo znaleźć się mogły aspirantki. Przybywszy do Wilna, udałem się naprzód do Panien Wizytek, z któremi byłem już i dawniej w korespondencyi, i prosiłem o pozwolenie odprawienia w ich kościele rekolekcyj dla osób, pragnących się oświecić o swem powołaniu, co też bez trudności otrzymałem. Wiadomość o mających się odbyć duchownych ćwiczeniach, przeznaczonych specyalnie dla osób myślących o wyborze stanu, ściągnęła dość znaczną ilość osób, pragnących przyjąć w nich udział, a i same zakonnice chciały być obecne na naukach. Rezultatem tych rekolekcyj było zgłoszenie się kilku aspirantek do Rodziny Maryi, które też wyprawiłem do Petersburga i zaproszenie przez Panny Wizytki na spowiednika nadzwyczajnego, na co pozwolenie same już u biskupa wyjednały. Odtąd pozostawałem w ciągłym duchownym stosunku z wileńskiem zgromadzeniem Wizytek, aż do ich wygnania przez Murawiewa za granicę, a miały one w swem gronie wiele dusz niezmiernie świątobliwych i głęboko w życie wewnętrzne wtajemniczonych, z któremi stosunek był prawdziwą szkołą i dźwignią dla samego spowiednika. Nie bez pożytku też było dla mnie bliższe zetknięcie się z panią Dąbrowską i założonem przez nią Zgromadzeniem, gdyż jej wielka wiara, nieograniczona ufność w Opatrzność i bezwzględne poświęcenie, budowało i podnosiło ducha; świetne zaś rezultaty, jakie otrzymała przy nadzwyczaj ograniczonych środkach, przekonywały, że ufność taka nie jest czczą egzaltacyą i dodawała otuchy do najśmielszych nawet przedsięwzięć, byle zgodnych z wolą Bożą. I to tak pożyteczne dla społeczeństwa Zgromadzenie, co kilku-

set biedakom zapewniało moralną i materyalną opiekę, Murawiew w parę lat później rozpędził, domy zaś z dobroczynnych wzniesione składek, na rzecz skarbu skonfiskował, bez żadnego innego powodu, prócz obawy, by wpływ tych Sióstr świątobliwych, również jak Wizytek, nie przeszkadzał rządowi do wprowadzenia schyzmy w łono litewskiego ludu.

Wakacye te przyniosły jeszcze jeden przyrostek Rodzinie Maryi, zaradzający ważnej potrzebie, której zaspokojenia stolica dać nie mogła. Od czasu jak działalność Rodziny rozszerzyła się i stała się więcej znaną uboższym warstwom katolickiej ludności Petersburga, coraz częściej zaczęły się ponawiać wypadki podrzucania dzieci, już to niemowląt, już dwu i trzechletnich, od których o rodzicach i pochodzeniu nic dowiedzieć się nie było można. Utrzymanie takich dzieci w stolicy było nietylko zbyt kosztowne, ale i niezmiernie dla nich niedogodne, tak z powodu surowości klimatu, braku miejsca i powietrza, jako też z powodu trudności znalezienia piastunek dla niemowląt. To też tak opiekunka Zakładu, jak i miejscowa przełożona bardzo pragnęły mieć jakąś wiejską kolonię, w lepszym klimacie, gdzieby można było wysyłać dzieci przy piersi i te, których delikatna konstytucya nie mogła znosić surowości petersburskiego klimatu. Tej ważnej potrzebie sama Opatrzność zaradziła. Jeden z alumnów Akademii, który znał nasz Zakład, wyświęcony na kapłana, odwiedził swego wuja, będącego proboszczem w Iłukszcie nad Dźwiną, o kilkanaście werstw od Dynaburga, ale już w Kurlandyi i w żmudzkiej dyecezyi. Powiatowe to miasto, otoczone majątkami hr. Zyberg Platerów, posiadało szpital, pomieszczony w dość obszernym, ale zrujnowanym budynku murowanym, i nawet pewien fundusz stały na jego utrzymanie, ale z powodu trudności znalezienia uzdolnionych i sumiennych osób do zarządu, instytucya ta pozostawiała bardzo wiele do życzenia i znajdowała się w stanie zupełnego upadku. Młody kapłan podał myśl wujowi skomunikowania się ze mną i zapro-

szenia do zarządu szpitalem Siostrzyczek Rodziny Maryi, co też on niezwłocznie uczynił. Nie śmiałem mu nic przyrzekać, nie wiedząc, jak mi się powiedzie w Wilnie sprawa zasilenia Zgromadzenia; lecz gdy do dziesięciu nowych aspirantek odjechało do Petersburga, mogłem już bez obawy rozpocząć rokowania o nową fundacyę w Iłukszcie. Zacny ksiądz Tamulewicz, pełen gorliwości poświęcenia, gotów był wszystko uczynić, co było w jego mocy, żeby ułatwić Siostrzyczkom osiedlenie się w jego parafii, gdyż oprócz posługi w szpitalu, liczył na ich pomoc w wychowaniu dzieci ubogich, zwłaszcza zaś w przygotowaniu ich do pierwszej spowiedzi i Komunii. Wprowadził on u siebie bardzo praktyczny i godny naśladowania zwyczaj, iż w jesieni, skoro roboty rolne kończą się w polu, zbierał do obszernego, umyślnie na ten cel zbudowanego domu, dzieci wiejskie swojej parafii, które, zmieniając się partyami co sześć tygodni, mieszkały przy kościele i uczyły się pod jego przewodnictwem katechizmu. Rodzice dostarczali tylko wiktuałów w naturze na ich przekarmienie, stosunkowo w bardzo nie wielkiej ilości, od biednych zaś i tego nie wymagano, stała zaś gospodyni przyrządzała dla nich jedzenie i czuwała nad ich potrzebami, mając parę sług do pomocy. Osoba ta wszakże, chociażby najuczciwsza, nie mogła mieć na dzieci moralnego wpływu, ani dopomagać im w nauce, Siostry zaś i jedno i drugie doskonale uskutecznićby mogły, stając się przez to prawdziwą opatrznością dla ubogich dziatek. Zachodziła tylko jedna trudność, którą należało usunąć, a mianowicie: znalezienie pomieszczenia dla Sióstr, gdzieby one niezależnie od administracyi szpitala i szkół, mogły urządzić się wedle potrzeb swego powołania i umieścić przesyłane im z Petersburga dzieci. Tę trudność finansową podjęła się załatwić pobożna rodzina hr. Zyberg Platerów, która bardzo sobie życzyła osiedlenia się Siostrzyczek w Iłukszcie. Baronowa Ropp, rodzona siostra hrabiów, przyjęła na siebie opiekę nad mającym powstać zakładem, dla którego, skoro stanęła ugoda, nabyto niezwłocznie dom drewniany z ogrodem

i sporym kawałkiem gruntu, aby dzieci miały gdzie wprawiać się do zajęć gospodarskich, co wchodziło w program Rodziny Maryi, mającej na celu wychowanie praktyczne, zastosowane do przyszłego stanu dzieci. Skoro wszystko zostało ułożone i przygotowane, przełożona, którą Siostry poczęły zwać mateczką, przybyła z kilku Siostrami i dziećmi dla zainstalowania się i objęcia swych nowych obowiązków, a odtąd dom ten, niemniej jak petersburski, nigdy nie przestał prosperować.

Gdy strona faktyczna przedsięwzięcia tak szczęśliwie się rozwijała, podstawa jego legalna nie istniała jeszcze wcale, a tylko osobisty wpływ baronowej Meyendorff osłaniał nową instytucyę od wszelkich ze strony policyi napadów. Skoro jednak dom został nabyty w Petersburgu, a drugi w Iłukszcie, Rodzina nie mogła pozostawać dłużej w tym stanie prowizorycznym, gdzie śmierć jednej osoby mogłaby zagrozić ruiną całej instytucyi... To też sama dostojna Opiekunka postanowiła zaradzić temu niebezpieczeństwu. Zaczęliśmy od ułożenia ustawy, odpowiedniej do potrzeb instytucyi. Na czele miał stanąć komitet dam pod prezydencyą głównej opiekunki, obieranej w razie śmierci lub wydalenia przez sam komitet, również jak i damy, wchodzące do jego składu. Zarząd wewnętrzny i finansowy kontrolowany jest tylko przez komitet, który sam wzywa też osoby do pilnowania chorych, staruszek i dzieci. Fundusze czerpane być mają z dobrowolnych składek, loteryi fantowej i sprzedaży robót, wykonanych w zakładzie. Zakład miał nosić nazwę »Katolickiego Przytułku«. Chodziło o wyjednanie tej ustawie najwyższego zatwierdzenia. Wedle krajowego prawa, tego rodzaju ustawy winny być przedstawione cesarzowi, za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych. To też stosując się do tego postanowienia, baronowa Meyendorff zwróciła się do p. Łanskoja z ułożoną już ustawą, prosząc o uzyskanie dla niej monarszego przyzwolenia. Minister, chcąc uniknąć kłopotu, radził jej, aby widując tak często cesarza, sama

mu swój interes przedstawiła; lecz bieglejsza od niego w znajomości praw Baronowa, odrzekła mu naprzód żartem: »To odmów mi Pan naprzód, a wówczas ja udam się do Cesarza«. Zrozumiał Minister, że byłaby to na niego skarga, a że w gruncie zacny był człowiek, podjął się więc interesu i niebawem Zakład otrzymał prawo istnienia z woli samego monarchy. To zatwierdzenie, ogłoszone w gazetach, zwróciło uwagę wyższych sfer petersburskiego towarzystwa na nową instytucyę i coraz częściej poczęto ją odwiedzać, dla obznajomienia się z wewnętrzną jej organizacyą.

Wówczas panowała właśnie moda w Petersburgu na samorodne Siostry miłosierdzia. Pierwsza, o ile wiem, co uczyniła w tym kierunku próbę, była księżna Boratyńska, która założyła stowarzyszenie żeńskie, złożone z osób wszelkiego wyznania, poświęcających się pielęgnowaniu chorych. Nie było tam ani ślubów, ani żadnych stałych zobowiązań się, płacono nawet pensyę wchodzącym do stowarzyszenia, które zresztą wolno było opuścić w każdej chwili, lecz póki się w niem pozostawało, trzeba było nosić pewien jednostajny kostium i poddać się ustanowionym dla Domu prawidłom. Drugą tego rodzaju instytucyę założyła wielka księżna Marya Leuchtenberska, dla opatrywania rannych w czasie wojny Krymskiej. Ostatnią zaś urządziła wielka księżna Helena Pawłówna, przy pomocy swej zaufanej damy dworu, baronowej Raden, z którą była prawie nieoddzielna. Wojażując z nią za granicę, Wielka Księżna poleciła jej w Berlinie wystudyować jak najdokładniej urządzenie wewnętrzne Zgromadzenia Sióstr św. Karola, które tak wzorowie zawiadywały jednym z największych szpitalów pruskiej stolicy. Baronowa Raden, pragnąc wywiązać się należycie z danego jej polecenia, przeniosła się całkiem na mieszkanie do domu Sióstr i przez dwa tygodnie dzieliła wszystkie ich zatrudnienia, robiąc jak najszczegółowsze notatki, wedle których za powrotem do Petersburga urządziła Zgromadzenie Sióstr Heleny Pawłównej, swą zewnętrzną organizacyą najwięcej zbliżone do katolickich Sióstr Miłosierdzia, ale wewnątrz bez

żadnego charakteru zakonnego, gdyż nie na powołaniu i nie na ślubach oparte. Otóż baronowa Raden zwiedzała też bardzo szczegółowo i nasz Zakład i przyznała, że pod względem ducha zaparcia się i wierności w obowiązkach, Siostry nasze stały nierównie wyżej od rosyjskich, przy najtroskliwszej nawet czujności opiekunek i najstaranniejszym wyborze przyjmowanych do zgromadzenia osób, tak dalece nic wewnętrznego powołania zastąpić nie jest w stanie. Przy Zakładzie zorganizowało się też Bractwo opatrywania biednych kościołów w niezbędne do nabożeństwa aparaty. Należące do tego Bractwa damy zbierały się co czwartek z rana na mszę do kaplicy Przytułku, po wysłuchaniu której zasiadały na kilka godzin do szycia ornatów lub kościelnej bielizny, podczas gdy jedna z nich czytała jaką budującą religijnej treści książkę. Z bogatych dworskich sukien, gdzie najdychtowniejsze jedwabne materye łączyły się ze srebrną i złotą lamą, wychodziły, przy dodaniu bogatych galonów, przepyszne kapy i ornaty, z których co roku robiono wystawę i jedne sprzedawano, dla powiększenia funduszów Bractwa, inne zaś rozsyłano do biednych kościołów, o potrzebach których dowiadywano się za pośrednictwem konsystorzy.

Tak stały interesa katolickie w Petersburgu, kiedy niespodziana okoliczność sprowadziła tam znowu ks. Łubieńskiego. Hr. Leon Potocki ciężko zachorował i lekarze oświadczyli, że musi umrzeć. Nikt z krewnych nie śmiał mu tego powiedzieć, a jednak lękano się, aby nie umarł bez spowiedzi. Wówczas przypomniano sobie ks. Łubieńskiego, który jako blizki krewny i gorliwy kapłan, najlepiej mógłby się z tej smutnej misyi wywiązać. Że zaś hr. Leon zajmował bardzo wysokie w oficyalnym świecie stanowisko, udano się przeto do ministra z prośbą o wyjednanie ks. Łubieńskiemu pozwolenia przybycia na dni kilka do Petersburga, poczem znowuby powrócił na swe stanowisko do Charkowa. Ponieważ wina ks. Łubieńskiego była nie politycznej, lecz czysto

kościelnej natury, Minister uległ naciskowi osób wpływowych i zatelegrafował wygnańcowi pozwolenie przyjazdu. Mimo największego pospiechu ks. Łubieński przybył już po śmierci wuja, ale z wielką pociechą dla kapłańskiego serca dowiedział się, że zmarły odbył jak najprzykładniej spowiedź i odszedł z tego świata zasilony św. Sakramentami, jeszcze przy zupełnej przytomności. Korzystając ze swego przybycia do stolicy i dzięki zmianom. zaszłym w usposobieniu Arcybiskupa, ks. Łubieński ze zwykłą sobie ruchliwością począł się krzątać około swego uwolnienia, poruszając wszystkie wpływowe sprężyny w ministeryum i u Arcybiskupa; że zaś wysłanie jego na wikaryusza do Charkowa odbyło się bez żadnego rządowego dekretu, tylko zwykłem rozporządzeniem władzy duchownej, dość więc było ustnego porozumienia się Ministra z Metropolitą, by dawniejsze postanowienie uchylić. Że jednak nie chciano go od razu powrócić do Petersburga, zamianowano go przeto proboszczem w Rewlu, gdzie liczna parafia potrzebowała właśnie pasterza. Naprzeciw Rewla, na drugiej stronie Fińskiej zatoki, leży Helsingfors, stolica Finlandyi, gdzie jenerał-gubernatorem był wówczas hr. Berg, późniejszy namiestnik w Królestwie Polskiem, ożeniony z pobożną katoliczką, która niezmiernie była rada znaleść w nowym rewelskim proboszczu równie światłego, jak gorliwego kapłana. Chociaż bowiem Rewel nie podlegał juryzdykcyi Berga, że jednak nie było bliższego katolickiego kościoła, stosunki przeto z ks. Łubieńskim były częste i coraz serdeczniejsze, tak, że niebawem młody kapłan pozyskał zupełne zaufanie obojga Bergów, nie potrzebując nawet używać żadnej obłudy, gdyż pod względem politycznych poglądów wyrażał tylko rzeczywiste swoje przekonania. Zaufanie to doszło z czasem do tego stopnia, że hr. Berg, korzystając z udzielonego wojennemu gubernatorowi przywileju udzielania pasportów za granicę bez odnoszenia się do ministrów, wydał ks. Łubieńskiemu pasport do Rzymu na własną odpowiedzialność, pomimo, że w Warszawie rozpoczęły się już manifestacye patryotyczne,

które rząd zaniepokoiły. Chociaż ks. Łubieński nigdy mi się z tego nie zwierzył, znając moje całkiem przeciwne pod tym względem przekonania, sądzę jednak, że podróż ta do Rzymu miała odrazu cele polityczne i była ukartowana z hr. Bergiem, nie bez wiedzy rządu centralnego. Skoro bowiem przybył do Rzymu, wnet się udał do ambasadora rosyjskiego, hr. Kisielowa, za jego pośrednictwem otrzymał audyencyę u Papieża i znosił się z nim przez cały czas pobytu swego w Rzymie. Sam mi też mówił, że na posłuchaniu prywatnem u Piusa IX starał się przekonać Ojca św., że rząd rosyjski prześladuje polski separatyzm a nie katolicyzm i że Kościół używałby w Rosyi nierównie większych swobód, gdyby rząd nie lękał się, aby go patryoci nie używali za polityczne narzędzie. Natrafił wszakże na grunt nie bardzo dowierzający pod tym względem, gdyż Ojciec św., wskazując ręką na dzieło ks. Lescoeur: »L'Eglise Catolique en Pologne«, odpowiedział na to: »A więc ten kłamał?« Lecz jakkolwiek Ojciec św. nie podzielał złudzeń ks. Łubieńskiego, których utratę on sam tak drogo później opłacił, nie był wszakże dalekim do wejścia na drogę większego zbliżenia się z gabinetem petersburskim, który w interesie oddziaływania na rozpoczynający się ruch polski, okazywał widoczne pragnienie silniejszego ścieśnienia węzłów, zawiązanych już przez konkordat. Myśl ustanowienia nuncyatury w Petersburgu po raz pierwszy poruszoną wówczas została, a nawet wskazano osobistość, któraby chętnie widzianą była nad Newą, mianowicie Podsekretarza Stanu, Berardi. Kwestya zachowania się duchowieństwa katolickiego tak w stosunku do rządu, jak i w stosunku do sprawy narodowej stała się wówczas nietylko żywotną, lecz tak naglącą, że koniecznie praktycznego i to niezwłocznego rozstrzygnienia wymagała; byłato bowiem właśnie epoka religijnych manifestacyj w kraju. Żeby jednak znaczenie tego, dotąd niepraktykowanego objawu patryotyzmu należycie pojąć, musimy rzucić okiem na stan kraju od śmierci Mikołaja I.

Upokorzenie Rosyi przez niekorzystny przebieg wojny Krymskiej odbiło się przedewszystkiem na usposobieniu wykształconych klas rosyjskiego społeczeństwa względem tronu. Urok wielkości i potęgi, jaki otaczał zmarłego monarchę przez ćwierć wieku jego panowania, pobladł niezmiernie, gdy się przekonano, że ta mniemana potęga mogła być złamana w tak krótkim czasie i tak stanowczo. Każdy, co zdawał sobie sprawę z rzeczywistego położenia rzeczy, wołał w oburzeniu: »I na toż to poświęciliśmy tak publiczne, jak i prywatne swobody nasze, na toż złożyliśmy u nóg cara mienie i życie nasze, by tak sromotnego doczekać końca owych zapasów, które sami wywołaliśmy, będąc pewni, iż ceną krwi naszej i wewnętrznej pomyślności staniemy przynajmniej u mety, do której nas gna konieczność dziejowa, i zatkniemy nad Bosforem nasz sztandar i krzyż na Sofijskim kościele? Nie lepiejż poświęcić ambitne wszechwładztwa marzenia, a zwrócić usiłowania nasze na polepszenie wewnętrznego ustroju państwowego, aby zdobyć te warunki społecznej pomyślności, bez których szczęście narodu jest niemożebne, a na których zbywa nam zupełnie?«

Korzystając z tego usposobienia najznakomitszy wówczas publicysta rosyjski Hercen, wydający w Londynie dziennik »Kołokoł« (dzwon) pod pseudonimem Iksandera, zasypywał Rosyę gradem artykułów, pisanych z wielkim ogniem i niemniejszą ścisłością dowodzenia, w których wykazuje, że zdobycie praw społecznych i politycznych dla narodu nierównie pożądańszą jest rzeczą dla Rosyi, niż ciągłe rozszerzanie granic i mnożenie wojska, co umacnia tylko samowładztwo cara. Młodzież zwłaszcza, tak w cywilnych jak i w wojskowych zakładach naukowych, chciwie połykała te zasady, tak, że idee liberalne niezmiernie szybko szerzyć się poczęły w samej Rosyi, zwłaszcza zaś w Petersburgu, gdzie stek kształcącej się młodzieży był największy i największa też łatwość dostawiania zabronionych książek.

Tymczasem w Warszawie wypadki rozwijały się w przeciwnym niemal kierunku. W czasie trwania wojny, skoja-

rzone przeciwko Rosyi państwa zachodnie, lękając się poruszyć przeciwko sobie Prusy i Austryę, zalecały jak najusilniej przez swych ajentów Polakom, aby nie robili powstania, gdyż i bez tego o nich nie zapomną przy zawarciu pokoju. Rząd rosyjski zaręczał też ze swej strony, że skoro spokojnie się zachowają, mogą być pewni ustępstw na szeroką skalę. Polacy też tak cicho siedzieli, że na całej przestrzeni rosyjskiego zaboru najmniejszego nawet nie było pokuszenia, dążącego do powstania. Gdy po wzięciu Sebastopola, cesarz posłał do Paryża Orłowa z poleceniem traktowania o pokój, ówczesny minister francuski spraw zagranicznych, Walewski, chciał włączyć do traktatu niektóre stypulacye, tyczące się Polski, Orłów jednak zaręczył, że cesarz więcej nawet zrobi dla Polaków, ale chce, aby mógł to uczynić z własnej inicyatywy, jako nagrodę za ich dobre zachowanie się w czasie wojny. Obietnica ta została uwzględniona i Polska pozostawiona została na dyskrecyę cara. Zawiadomiono wszakże potryotów w Warszawie o uczynionych przez dwór petersburski przyrzeczeniach, a że i bez tego Polacy spodziewali się od nowego monarchy znacznego polepszenia losu, umysły przeto w ogóle usposobione były przychylnie dla nowego monarchy i z upragnieniem oczekiwano przybycia jego do Warszawy. To też, gdy nareszcie nawiedził polską stolicę, witano go prawie z entuzyazmem i prześcigano się w okazywaniu mu tej ufności, jaką we wspaniałomyślności jego pokładano. Gdyby wówczas Aleksander II uczynił to dla Królestwa, co uczynił w kilka lat później, nadając krajowi autonomię administracyjną z polskim językiem w szkołach, sądownictwie i cywilnym zarządzie, niemasz wątpliwości, że wszystkichby zadowolił i ani myślanoby o rewolucyi. Lecz jakże bolesny był zawód i jakie rozczarowanie, gdy zamiast oczekiwanych ulg i ulepszeń, usłyszeli z ust cesarza owe sławne: »*Pas de rêveries!*« co stało się prawdziwą elektryczną iskrą, mającą rewolucyjną minę podpalić. Od tej chwili rozwarła się przepaść między monarchą i narodem, którą dzień każdy roz-

szerzał, postawienie zaś nad nią mostu, coby zbliżenie ułatwiło, stawało się coraz trudniejsze, z powodu, że tajemne roboty spiskowe coraz więcej grunt podkopywały. Prawa narodów do niepodległego bytu są tak święte i niewątpliwe, a wrodzona miłość ojczyzny tak głęboko wyryła je na sercu każdego prawego obywatela, iż żadne sofistyczne rozumowania nie są w stanie wygluzować ich w masie narodu. Skażone lub obałamucone jednostki mogą wprawdzie zrzec się tych praw dobrowolnie, łudząc zaborców, że to czynią w imieniu całego narodu, głosy takie wszakże nie odbiją się nigdy żywem echem w sercu ludu; brzmieć owszem będą zawsze jak fałszywa i wstrętna nuta, ci zaś, co ją głoszą pozostaną zawsze w sumieniu narodu podłymi tylko zdrajcami. Wszyscy prawi Polacy nietylko chcą być wolni i niezależni we własnym kraju, ale wszyscy są przekonani, że mają do tego niezaprzeczone prawo i nie wątpią, że pierwej czy później u celu swych pragnień staną i będą znowu samoistnym narodem. Kto nie żąda niepodległości lub o możebności odzyskania jej zwątpił, ten nie jest polskim patryotą, tego ta umęczona i bolejąca, ale pełna życia matka nie zna już za swego syna. Ale w gronie tych miłujących i wiernych swej rodzicielce dziatek ileż to jest rozmaitych poglądów? ilą dróg rozmaitych do tegoż zmierzają one celu? a każdemu się zdaje, że jego pogląd najtrafniejszy, jego droga najprościej prowadzi do celu. To też pod tym względem i miłość braterska wyrozumiałą być winna, a mając wzgląd na ludzką omylność, nic więcej od innych nie wymagać, nad dobrą wiarę i prawdziwe dla ojczystej sprawy poświęcenie, t. j. żeby każdy, co chce służyć ojczyźnie, głęboko w sercu był przeświadczony, że obrana przezeń droga jest dobra, i żeby z zupełnem zaparciem się osobistych korzyści gotów był wytrwale drogą tą postępować. Nie znaczy to bynajmniej, bym stawał w obronie indyferentyzmu pod względem zasad; owszem — uważam to za święty każdego prawego człowieka obowiązek, by szukał z całym zapałem i z niezmordowaną troskliwością prawdy, a znalazłszy

ją, chwytał jako skarb najdroższy, opuszczając błąd wzgardzony; ale chcę tylko, by, przy ocenianiu osobistej zasługi, nie mierzyć człowieka miarą swych zasad osobistych, potępiając każdego, co inaczej był przekonany, a tych tylko wynosząc, co do jednego z nami należą obozu, lecz by uczcić każdego, co szedł za przekonaniem i dla umiłowanego celu samego siebie poświęcił. I ja też życie całe skrzętnie zbierałem każdą okruszynę prawdy, nie tylko w dziedzinie wiary objawionej, ale też i w zakresie światła przyrodzonego, i za żadne w świecie skarby nie poświęciłbym najdrobniejszej iskierki zdobytej już prawdy; a jednak, wyrokując o moralnej wartości ludzi, nierównie wyżej cenię najzaciętszego przeciwnika mych przekonań, co w dobrej wierze poświęca się dla wyznawanych zasad, niż głosiciela tychże teoryj, skoro ich ani miłować, ani w czyn wprowadzać nie umie. Dobrej wiary prześladowca może, jak Szaweł, stać się najgorliwszym apostołem, gdy raz pozna prawdę; nikczemny zaś i samolubny Judasz zdradzi w końcu Pana, chociaż w gronie apostołów chodzi. Wypowiadając tu te ogólne uwagi, chciałem jasno zarysować stanowisko moje w wielkim narodowym dramacie, którego stałem się uczestnikiem, zawczasu ostrzegając, że co do ostatecznego celu, którym jest niepodległość kraju, nie różniłem się wcale od innych patryotów, żądając tegoż, co i oni żądali, tylko, że do celu tego innemi, niż oni, drogami zmierzać pragnąłem i z tego powodu w zupełnem znalazłem się odosobnieniu. Jeśli zaś w sądzie moim o głównych działaczach tej epoki dziwić to kogo będzie, że sympatye moje w różnych częstokroć umieszczam obozach, to niech czytelnik nie upuszcza z pamięci tej ważnej okoliczności, iż wyrokuję tu nie o zasadach, lecz o ludziach, t. j. o ich względnej cnocie, opartej na dobrej wierze i zacności charakteru.

Pod względem przekonań politycznych, patryotów naszych podzielićby można na cztery główne obozy, a mianowicie: powolnych progresistów, zwolenników samoistnego rozwoju, zwolenników narodowego powstania i wreszcie

zwolenników rewolucyi społecznej. Zastanówmy się nad każdą z tych grup z kolei. Powolnymi progresistami nazywam ową część naszych patryotów, co zapatrując się na kwestyę narodową nie ze stanowiska oderwanych zasad prawa i obowiązku, lecz po prostu ze strony praktycznej możliwości, uważają za czas stracony marzyć o tem, coby było lepszem i upragnionem, skoro brak nam środków do osiągnięcia tego celu. Nie wdając się przeto w teoretyczną stronę kwestyi narodowej, sądzą oni, iż dobrze zrozumiany patryotyzm zależy na zużytecznieniu na korzyść narodu tych wszystkich środków, jakie w obecnej posiadamy chwili, chociażby, względnie do pragnień a nawet do praw naszych, środki te zdawały się zbyt ograniczonymi. Praca organiczna, w zakresie możebności, oto jest ich polityczny program. Że zaś nic tak nie przeszkadza pracy takiej, jak wszelkie gwałtowne przewroty, rewolucyę przeto, w jakiejkolwiek wywołaną formie, uważają oni za największą narodową klęskę i wszystkie nieszczęścia kraju przypisują tym peryodycznym wstrząśnieniom, co dawniejsze nabytki narodowej pracy rujnują i rozsądnych patryotów w coraz to gorszych warunkach stawiają. Rozwijając dalej swoją zasadę, powiadają oni, że praca organiczna możebna jest tylko przy współdziałaniu rządu, że zaś to współdziałanie inaczej otrzymanem być nie może, jak przez danie rządowi pewnych gwarancyj, że podjęta praca nie obróci się na jego szkodę, lecz i jemu owszem pożyteczną będzie, przez zapewnienie spokojności w kraju, należy przeto rzeczywiście i z przekonania wyrzec się wszelkich nielegalnych zachcianek, a za to coraz dalej posuwać program pokojowego rozwoju, tak, żeby naród odzyskiwał stopniowo na drodze legalnej to, co na rewolucyjnej utracił. Granice rozwoju stanowić tu będzie tylko możebność, której znowu szranki mądrość kierowników zawsze rozszerzyć potrafi, skoro cały naród z zaufaniem współpracować z nimi będzie. Na tem stanowisku stali, za czasów Aleksandra I, ks. Adam Czartoryski, hr. Stanisław Zamoyski i kilku innych, niewątpliwych patryotów,

co w rozwoju krajowych instytucyj i skupianiu pod ich opieką coraz to obszerniejszych obszarów rozćwiertowanego kraju widzieli na ostatecznym krańcu całą i niepodległą, chociażby pod obcą dynastyą Polskę. Na tem też stanowisku, o ile przynajmniej wyrozumieć go mogłem, stał w epoce, o której opowiadam, margrabia Aleksander Wielopolski.

Zwolennicy znowu samoistnego rozwoju stają na gruncie historycznego i międzynarodowego prawa, a nie uznając legalności rozbioru Polski, nie uznają też za legalny i najezdniczego rządu, i stąd żadnych względem tego rządu zobowiązań zaciągać nie chcą, ani też współpracować z nim, aby wszelkiej od niego uniknąć zależności. Nie wynika stąd wszakże, by tego obozu patryoci chcieli siedzieć z założonemi rękami, lub kusili się o tajemne przeciwko rządowi spiskowanie. Owszem, są oni największymi zwolennikami jawności, tak daleko ją posuwając, że wręcz objawiają, iż praw swoich narodowych nie zrzekają się, że chociaż obecny stan rzeczy znoszą, ale go wcale nie aprobują, że od rządu niczego się nie spodziewają i zasługiwać się mu nie myślą; że chociażby rząd zrobił co dla prowincyi, w której oni mieszkają, a nie zrobił dla innych części rozszarpanego kraju, to oni tem się nie zadowolnią i na tem nie poprzestaną, gdyż miłują kraj cały niepodzielnie i wydanie braci swych na pastwę wynarodowienia za zdradęby uważali. I oni też zwolennikami są pracy organicznej, ale całkiem od rządu niezależnej, w zakresie prywatnej obywatelskiej działalności, który to zakres starają się wszelkimi legalnymi środkami rozszerzać i cały kraj siecią działalności takiej opasać. Działania rewolucyjne uważają oni za niewłaściwe ; nie przeto, by zaprzeczali podbitemu narodowi prawa odebrać siłą to, co mu siłą odjęto, lecz, że zważywszy na nierówność walki i poczerpnięte z przeszłości doświadczenie, uważają tego rodzaju zapasy, co muszą ostatecznie porażką się skończyć, za szkodliwe dla tego właśnie samoistnego, organicznego rozwoju, który główny cel ich pracy stanowi, Najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku był w osta-

tnich czasach hr. Andrzej Zamoyski, co w ciągu trzydziestoletniego obywatelskiego zawodu swego był prawdziwym wzorem godności i szlachetności charakteru, obok niezmordowanej i wytrwałej około moralnego i materyalnego podniesienia kraju pracy. Jego to usiłowaniom i poświęceniu Królestwo Kongresowe zawdzięcza Towarzystwo Rolnicze, co stało się, można powiedzieć, szkołą prawych obywateli i ogromną moralną potęgą w kraju; pod względem zaś ekonomicznego postępu, jemu zawdzięcza parową nawigacyę na Wiśle i fabrykę machin, która nietylko kraj wzbogaciła swymi wyrobami, lecz, co jeszcze ważniejsza, stała się szkołą moralności dla pracującej w jej warsztatach młodzieży, gdyż przyjmując tylko młodych ludzi, co ukończyli przynajmniej sześć klas gimnazyalnych. Zamoyski tak podniecał poziom oświaty swych wyrobników, iż najlepiej wychowany młodzieniec mógł bez obawy między takich kolegów się zapisać.

Do zwolenników zbrojnego powstania należy ta część polskich patryotów, co nienawidząc najazdu i pragnąc pozbyć się go co najprędzej, nie przypuszcza, by to inaczej nastąpić mogło, jak przez wyparcie siłą najezdników. Wolni od wszelkich skrupułów co do godziwości podniesienia broni przeciw najezdniczemu rządowi, rozbierają oni tylko szanse wygranej i radziby tak wybrać czas i okoliczności powstania, by możebność zwycięstwa była jak największa. Oczekując zaś na dogodną chwilę, zasadzają patryotyzm na przygotowywaniu środków do rozpoczęcia walki narodowej, t. j starają się werbować co najwięcej młodzieży do swego obozu, przygotowują broń i amunicyę i zaprawiają się do życia obozowego. Jedyną dźwignią moralną tego stronnictwa jest patryotyzm, który starają się rozbudzać we wszystkich polskich sercach, wierząc w niezłomną potęgę poświęcenia. Kobiety z żywem uczuciem i niemniej żywą wyobraźnią grają tu wielką, jeśli nie przeważną rolę. Żadne nizkie i nieszlachetne uczucie nie ma tu przystępu, i stąd użycie niegodziwych środków, chociażby w najwznioślejszym celu, jest tu potępione. Obok rycerskiej waleczności, stronnictwo

to odznacza się też rycerską szlachetnością, tak, że nie pojmuje innej walki, jak otwartą, przez rycerskie zwyczaje uświęconą i z narażeniem własnego życia. Sztylet i trucizna są dla nich tak wstrętną bronią, iż woleliby raczej od niej zginąć, niźli nią walczyć, chociażby z największem powodzeniem. Wiersz Krasińskiego: »Kto przekuje w nóż kajdany, a nie w szable, ten przeklęty!« znajduje w ich sercach sympatyczne echo i gotowiby słowa te za swe godło przyjąć. Być może, iż faktycznie obóz ten rekrutuje się przeważnie wśród osiadłej szlachty, przekonania te wszakże nie są bynajmniej kastowym przesądem, lecz potrzebą dusz szlachetnych, i stąd wszystkie wznioślejsze natury wśród mieszczan i włościan dzielą te przekonania, chociaż nie poczerpnęły ich z tradycyi rodowej, jak wielu znowu ze szlachty od nich odstępuje, idąc za popędem bardziej skażonych instynktów.

Zwolennicy wreszcie społecznej rewolucyi wychodzą z tej zasady, iż tylko masy posiadają dostateczną siłę, by obalić despotyzm i złamać te krocie bagnetów, którymi oni się posługują. Że zaś do poruszenia mas nie widzą innego środka nad materyalną przynętę polepszenia bytu, przez zagarnięcie własności klas zamożniejszych, stąd główną podstawą ich programu jest oddanie na użytek mas ziemi i kapitału, by zachęcony tą przynętą miejski i wiejski proletaryat porwał za broń i wywrócił istniejący porządek tak polityczny, jak i społeczny. Partyi tej właściwie chodzi już nie tyle o niepodległość Polski, ile o rewolucyjny przewrot w społeczeństwie. Rzeczpospolita z wszechwładztwem ludu i socyalistycznemi instytucyami stanowi nieodzowną część ich programu, tak, że odbudowanie Polski pod innymi warunkami uważaliby za równą klęskę, jak pozostanie jej pod obcem jarzmem. Hołdując wyłącznie teoretycznym utopiom, nie wspartym ani na doświadczeniu dziejowem, ani na powadze objawienia, ani na duchu narodowym, ani nawet na przyrodzonym głosie uczucia godziwości i słuszności, nie przyjmują oni żadnych bądź religijnych,

bądź moralnych zasad, wszelkie środki uważając za dobre, skoro do zamierzonego celu prowadzą. Nazwawszy swą socyalną mrzonkę imieniem ogólnego dobra, nie wahają się oni dążyć do swego celu ohydniejszemi jeszcze drogami niż te, jakich najdzikszy używa despotyzm. Potępiając ze strony ukonstytuowanych rządów wszelki przymus i wszelką arbitralność, w stosunku do siebie poczytują terroryzm za jedyną zbawienną formę władzy, skrytobójstwo zaś i wszelkiego rodzaju samowolne spoliacye za najwłaściwsze środki zarządu. Jeśli rozmawiając z adeptem tej doktryny, postawisz mu czysto teoretyczne pytanie: czy godzi się n. p. wieszać, strzelać i ogołacać z mienia swych politycznych przeciwników, to ci nie da stanowczej odpowiedzi, póki mu nie powiesz, czy chcesz mówić o rządzie legalnym, czy też o ich stronnictwie? Jeśli bowiem chodzi o barbarzyńskie egzekucye, wykonywane przez państwowych urzędników, w imię wszechwładztwa cara, to nie znajdzie dość silnych wyrazów, by podobne zbrodnie napiętnować; lecz jeśli chodzi o ocenienie postępowania rządu podziemnego, katującego swych przeciwników w imię wszechwładztwa ludu, to chociaż lud ten biedny nie domyśla się nawet, kto tam w jego imieniu tak hojnie krwią szafuje, wszelki ostracyzm staje się godziwym, a ktoby temu śmiał zaprzeczyć, ten za to już jedno godzien stryczka na szyję. Dzikie te teorye nie wylęgły się na szczęście w polskich głowach i zbyt są wstrętne polskim sercom, by mogły kiedykolwiek u nas zapanować; na nieszczęście jednak, więcej z powodu właściwej młodzieży naszej lekkości umysłu, niż istotnego skażenia serca, znajduje się w społeczeństwie naszem nibyto oświeconem, pewna liczba głów przewróconych, co niekiedy w dobrej nawet wierze głoszą te niedorzeczne teorye, co żadnej poważniejszej krytyki nie wytrzymują. W epokach zaś zaburzenia i chaosu, szaleńcy ci odegrywają nawet wybitną rolę, dla tego właśnie, że nie przebierając w środkach, nie wahają się wprowadzać w praktykę teoryj, przed któremi niejeden dziki nawet wzdrygnąłby się i zawahał. Nie

przeczę, że obłęd ten może opanować niekiedy nawet ludzi dobrej wiary, zwykle jednak są to ludzie bez serca, niezdolni do miłości, z umysłem paradoksalnym, co niosąc nawet życie własne w ofierze, poświęcają je dla swej idei, a nie z miłości Boga lub bliźniego.

Na takie to żywioły padły groźne słowa cara: *Pas de rêveries. Je saurai sévir.* Łatwo też domyślić się, jakie w każdym obozie sprawiły wrażenie. Najumiarkowańsi patryoci, co radzi byli dopomagać rządowi do zleczenia ran, zadanych krajowi przez długoletnie mikołajowskie prześladowania, spuścili głowy i posmutnieli, widząc, iż rząd sam wyzywa do walki i rozjątrza rany, zamiast wzywać do ufności i pojednania. To też przedstawiciele tego obozu usunęli się znowu na bok, wyczekując stosowniejszej pory. Najmniejsze wrażenie wywarły carskie słowa na samoistnych patryotów. Nie ufając rządowi, nie spodziewali się oni od niego żadnych rzeczywistych ustępstw; woleli więc tę brutalną otwartość od obłudnych przyrzeczeń, co podstęp tylko ukrywają. Jak dalece Zamoyski nie podzielał rozbudzonych w kraju nadziei z powodu zmiany panującego, stąd się najepiej wykazuje, że na czas przyjazdu jego do Warszawy wyjechał za granicę i nie przyjął żadnego udziału w przygotowanem dlań przyjęciu. To też dowiedziawszy się o tem, co zaszło, ani się zdziwił, ani się zmartwił, tylko zabrał się z dawną gorliwością do organicznej pracy w kraju, nie zważając na zmieniające się u góry prądy. Lecz całkiem inaczej rzecz się miała z gorącą młodzieżą obu ostatnich obozów. Okrzyk oburzenia i zemsty wyrwał się ze wszystkich piersi, a konieczność walki stanęła przed oczami patryotów jako nieunikniona, z tą wszakże różnicą, że gdy obóz rycerski gotował szable i rumaki, socyaliści odwołali się po hasło za granicę, do tradycyjnego wodza swego Mierosławskiego, co mimo tylu dowodów swej praktycznej nieudolności, wciąż zuchwałą swą blagą obałamucał łatwowierną młodzież, a swą afiszowaną przyjaźnią z bohaterem dnia,

Garibaldim, imponował tym, co własnemi oczami przejrzeć nie byli w stanie.

Zagadnięty w ten sposób domniemany wódz powstania, nie omieszkał też dać żądane wskazówki swym wielbicielom. Jakkolwiek sam w nic nie wierzył i przed wyznawcami swych idei szczycił się swym ateizmem, nauczony wszakże poznańskiem doświadczeniem, iż lud religijną tylko ideą pociągnąć się daje, podał plan kościelnych demonstracyj, na których jego adepci patryotyczne pieśni śpiewać mieli. Wkrótce po wszystkich świątyniach zabrzmiały: Boże coś Polskę i z Dymem pożarów, a nabożeństwa żałobne po głośnych patryotach i pamiątkowe obchody z procesyami weszły na porządek dzienny. Nietylko lud, lecz i duchowieństwo wciągnięto łatwo do tych manifestacyj, które, mając pierwiastkowo tylko religijno-patryotyczny charakter, niczyjego sumienia nie trwożyły. Organizatorowie wszakże zagraniczni na tem nie poprzestawali, lecz przygotowując w kraju palny materyał, przysposabiali jednocześnie na obcej ziemi narzędzia eksplozyi, co go do wybuchu doprowadzić miały. Mierosławski założył w Genui szkołę powstańczych organizatorów, do której zgromadził kilkudziesięciu młodych oficerów z rosyjskiej, austryackiej i pruskiej służby, których zaprawiał nietylko w sprawie wojennej, ale też w spiskowej organizacyi, wedle wypróbowanych we Włoszech planów. Szkoła ta została następnie przeniesiona do Cuneo i ona to dostarczyła głównych przyszłego powstania organizatorów.

Strzały, co położyły trupem pięciu bezbronnych uczestników demonstracyi, zelektryzowały patryotów, a przeraziły rząd najezdniczy. Poruszyli się wszyscy i każdy obóz starał się po swojemu wyzyskać przyjazną chwilę. Umiarkowani patryoci obu odcieni zebrali się dla ułożenia adresu do monarchy. Wielopolski, co od ostatniego powstania trzymał się zdala od spraw publicznych i raz tylko wystąpił z rodzajem politycznego programu w liście polskiego szlachcica do ks. Metternicha, teraz począł się czynnie

krzątać i przedstawił swój projekt adresu, ograniczający się ustępstwami dla Kongresówki, który został odrzucony, przyjęto zaś inny, bardziej ogólnikowy, ale przemawiający w imieniu wszystkich Polaków. Odtąd Wielopolski nie próbował już zbliżyć się do któregobądź z narodowych stronnictw i począł na własną rękę traktować z rządem. Program jego, nic nie wspominając o Litwie i Rusi, dążył do powrócenia Królestwu Kongresowemu stanu przedrewolucyjnego; lecz gdy rząd oświadczył stanowczo, że ani konstytucyi, ani sejmu, ani wojska powrócić nie może, poprzestał na administracyjnej autonomii. Namiestnik, ks. Gorczakow, nie poprzestał wszakże na układach z Wielopolskim, lecz wezwał też Zamoyskiego, by własny przedstawił program. Zamoyski obstawał przedewszystkiem przy konstytucyi zaprzysiężonej zarówno przez monarchę, jak i przez naród, i przy rządzie reprezentacyjnym, gdyż wszelki inny porządek państwowy w każdej chwili mógł być zmieniony samowolą panującego. Co do wojska narodowego, gdy mu Namiestnik objawił, że to jest rzecz niemożebna, Zamoyski mu odrzekł: »Więc niech wojska rosyjskie kraj opuszczą, a ja ręczę, że i bez siły zbrojnej porządek w kraju będzie utrzymany«. Opowiadano mi w Petersburgu, że gdy oba programy przedstawione zostały i rada ministrów roztrząsała je w przytomności cesarza, Gorczaków, minister spraw zagranicznych, brat namiestnika, oświadczył się za Wielopolskim, Czewkin zaś przekładał Zamoyskiego, popierając swe zdanie tym głównie argumentem, że Wielopolski przynosi rządowi tylko własną osobę, będąc bardzo niepopularnym, podczas gdy Zamoyski reprezentuje rzeczywiście potężną partyę, która go poprze i powagę jego ustali. Gorczaków zarzucił mu: *Mais Zamoyski veut nous mettre dehors!* Czewkin zaś odparł: *Et Wielopolski veut nous mettre dedans.* Zdanie jednak Gorczakowa przemogło: usługi Wielopolskiego zostały przyjęte; został on mianowany Dyrektorem głównym Komisyi Oświecenia i Wyznań, Zamoyski zaś pozostał na stronie. W swej przemowie do duchowieństwa,

gdzie w rodzaju pogróżki zapowiedział, iż nie ścierpi stanu w stanie, wykazał już ową absorbującą i centralizacyjną dążność, która późniejsze jego rządy cechowała i która wówczas już poczęła budzić obawy o wszystkie instytucye krajowe, które jakąkolwiek samoistność wyrobić sobie zdołały.

Z kolei Margrabia otrzymał jeszcze tekę spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, a obawy niwelacyjnej jego ręki ziściły się wkrótce na Towarzystwie Rolniczem, które rozkazał zamknąć, nie zważając na wzburzenie, jakie stąd przewidzieć było łatwo. Nawet Towarzystwu Dobroczynności zagrażało niebezpieczeństwo, tak dalece Margrabia nie lubił samoistnych w kraju instytucyi. Napróżno ostrzegano go, że koncentrując w ręku władz rządowych wszystkie nerwy narodowego organizmu, czyni kraj cały zależnym od osoby, piastującej władzę, a chociażby on sam miał najlepsze chęci i najkorzystniej umiał władzy swej używać, za następców wszakże swoich zaręczyć nie może; gdy zaś u steru władzy stanie człowiek dla interesów narodu nieżyczliwy, kraj nie będzie już posiadał żadnych samoistnych do bronienia swych interesów instytucyi. Margrabia odpowiadał na to, że państwo wówczas tylko normalnie rozwijać się może, kiedy wszystkie jego organa harmonijnie, wedle ogólnego planu się rozwijają; dozwolenie zaś każdemu organowi rozwijać się samoistnie, sprowadziłoby koniecznie ten wynik, że niektóre części organizmu wybujałyby jak pasożytne narośle ze szkodą innych, któreby całkiem nierozwinięte pozostały. Teorya ta może być słuszna w państwie niepodległem, gdzie nigdy obca ręka nie staje u steru rządu; ale u nas jest ona co najmniej nieoględną, a rezultaty, na które dziś patrzymy, najlepiej dowodzą, że przy całym swym politycznym rozumie, Margrabia źle ocenił sytuacyę kraju, zaufawszy tak bardzo w trwałość ówczesnego kierunku rządu. Za to projekta jego, tyczące się urządzenia krajowej oświaty, powszechne zyskały uznanie, a kraj z upragnieniem na ich urzeczywistnienie oczekiwał.

Tymczasem umarł ks. Gorczaków, a po krótkiem przejściowem sprawowaniu rządów przez jen. Suchozaneta, zamianowanym został namiestnikiem hr. Lambert, katolik i bardzo ludzki człowiek. Ten nowy dowód pojednawczych dążności rządu zaniepokoił zagranicznych menerów, którzy postanowili wywołać powstanie w każdym razie; nie na rękę im było przeto to wszystko, co zadawalniało i uspakajało ludność. Woleliby oni, by rząd prześladował i dręczył, gdyż zadanie ich byłoby wówczas nierównie łatwiejsze. Postanowili przeto zmusić rząd do nowych okrucieństw, by roznamiętnić uspakajające się tłumy. Manifestacye były najskuteczniejszym ku temu środkiem. Śmierć arcybiskupa Fijałkowskiego, zaszła 10 września 1861 r., dostarczyła do tego bardzo dogodnej zręczności, z której nie zaniedbano też skorzystać. Nietylko poruszono wszystkie warstwy społeczeństwa w samej Warszawie, lecz postarano się też o delegacye ludowe z prowincyi, tak, że pogrzeb był nadzwyczajnie tłumny, a co najwięcej uderzało, nie miał wcale charakteru katolickiego żałobnego obrzędu. Patrząc na ten olbrzymi kondukt, przybyły świeżo cudzoziemiec nie domyśliłby się nigdy, że odprowadza on na wieczny spoczynek pierwszego dostojnika kościelnego w kraju. Tuż za trumną postępowało duchowieństwo żydowskie w swych obrzędowych religijnych ubraniach, co oznaczać miało zjednoczenie patryotyczne wszystkich warstw społeczeństwa, na zasadzie równouprawnienia i tolerancyi religijnej; a nikomu z uczestniczących w tej manifestacyi nie przyszło na myśl, że takie zmieszanie się obrzędowe wszystkich wyznań było dowodem religijnego indyferentyzmu raczej, niż tolerancyi. Pierwiastkowe źródło manifestacyi coraz wyraźniej się zdradzało: Mierosławski zacierał zapewne ręce, patrząc, jak łatwo udało mu się wyprowadzić w pole tak słynny z przywiązania swego do religii lud polski. Tu przychodzi uderzyć się w piersi i wyznać, że nie lud w tem zawinił, ale duchowieństwo. Jak dziwić się wiernym, że z ufnością i bez obawy postępowali w ślady swych pasterzy? Lecz już nie-

tylko ze wstydem, ale i z głębokim żalem wyznać należy, gdyż historyczna prawda tego wymaga, że nie na tem kończy się zaślepienie, czy dziwna słabość duchowieństwa, iż pozwóliło użyć się za narzędzie przez najbardziej wrogie Kościołowi stronnictwo do czysto politycznych manifestacyj; że na skinienie powolnych zauszników Garibaldego urządzało nabożeństwa i procesye; że dozwalało jawnym częstokroć bezbożnikom gospodarować w kościołach, intonować pieśni, nie mające nic wspólnego z odbywającem się nabożeństwem, które zakłócały owszem religijne ceremonie, a wiernych od prawdziwej modlitwy odwodziły. Część naszego duchowieństwa posunęła się, niestety, na tej drodze dalej, i to nierównie dalej... Byli duchowni, co weszli do spisku, co wykonali przysięgę na posłuszeństwo tajemnej władzy i lud do tej przysięgi doprowadzali; co niezależnie i pomimo ustanowionych przez widomą Głowę Kościoła biskupów, obierali wpośród siebie tak zwanych mężów zaufania, co wobec rewolucyi mieli przedstawiać zwierzchność duchowną; co odłożywszy na stronę brewiarz i święte naczynia ołtarza, przypasali szable i ująwszy w poświęcone dłonie rewolwery, na mord prowadzili tę trzodę, którą Cichy Baranek pasterskiej ich pieczy powierzył; co zamiast karmić swe duchowne dzieci chlebem Bożego Słowa i ŚŚ. Sakramentów, karmili ich serca jadem nienawiści i zemsty, podżegając najniższe instynkta skażonej ludzkiej natury. A i wówczas nawet, gdy rozpoczęły się skrytobójstwa na rozkaz owej podziemnej władzy, kiedy sztylet, stryczek i trucizna dosięgały częstokroc ludzi, którzy tem chyba zawinili, że nie podzielali szalonych zasad demagogów, obłąkani ci pasterze nie opamiętali się, nie uznali swej winy, lecz z całą świadomością swego położenia pozostali pod sztandarem tak obficie już krwią i błotem obryzganym. Na pociechę zbolałego serca możnaby wprawdzie przytoczyć ten fakt niezaprzeczony, że księża, co się dali uwikłać w spisek, stanowili małą tylko liczebnie cząstkę całego duchowieństwa naszego; doniosłość wszakże tego argumentu

osłabia niezmiernie postawa pozostałej części duchowieństwa, która większość stanowi.

Większość tę możnaby rozdzielić na trzy kategorye, a mianowicie stronników rządowych, kapłanów przejętych duchem kościelnym i wahających się, a raczej idących za prądem opinii. Liczba jawnych zwolenników rządu, co ufni w jego siły nie wątpili, że pierwej czy później odniesie zwycięstwo i ukróci burzące się dziś żywioły, postanowili pozostać mu wierni, w nadziei przyszłych nagród i awansów, była bardzo niewielka, gdyż w owym czasie potrzeba było wielkiej odwagi, by jawnie po stronie rządu stanąć. To też na tem stanowisku pozostali ci tylko, co tak już byli skompromitowani swą przeszłością, że wycofanie się było prawie niepodobne, gdyż żadne ze stronnictw narodowych nie przebaczyłoby im dawnych grzechów, ani też zaufało w szczerość ich nawrócenia. W Warszawie do tej kategoryi należeli członkowie kapituły: Zwoliński, Naruszewicz, Topolski i Siekludzki, a i ten ostatni nawet probował na dwóch stołkach siedzieć, gdyż porozumiawszy się z rządem, sam prosił, aby go aresztowano, spodziewając się, że uzyskana przez to popularność pozwoli mu dostać się do władzy po śmierci Fijałkowskiego, czego i rząd sobie życzył. Ale mimo aresztowanie, spekulacya się nie udała, gdyż nikt o niego się nie troszczył, i gdyby go sam rząd nie uwolnił, mógłby zgnić w cytadeli, nie doczekawszy się choćby jednego sympatycznego okrzyku na ulicy. Partya ta przeto tak pod względem liczebnym, jak i wpływu moralnego, była najmniej znacząca.

Wierni kościelnemu duchowi kapłani, czyli tak zwani ultramontanie, byli znacznie liczniejsi, pod względem zaś moralnego wpływu nieskończenie wyżej stali od pierwszych, gdyż za ich głosem szli najlepsi i najgorliwsi katolicy. W kapitule godnie przedstawiał to stronnictwo prałat Rzewuski, profesor Duchownej Akademii, niemłody już, ale pełen energii i zapału, a przytem głębokiej nauki i prawdziwie ascetycznego życia kapłan. Śmiało można powiedzieć, iż była to

najdroższa perła duchowieństwa świeckiego w Warszawie, a kapłani, stanowiący jego najbliższe kółko, jak ks. Nowodworski, Sotkiewicz, Marciński, Welonski i kilku innych, stanowili czoło ministrów Chrystusowych. Pod względem narodowym byli to wszystko szczerzy patryoci, gorąco kochający Polskę, ale jak najmocniej przekonani o tem, że na bezbożnych i niegodziwych drogach pożytecznie krajowi służyć niepodobna, gdyż wszelkie w tym duchu czynione usiłowania, zamiast rozerwać jego więzy, w coraz to cięższe okuwają go kajdany. Takież niemal stanowisko, jak Rzewuski w świeckiem, w zakonnem duchowieństwie zajmował O. Prokop, kapucyn, znany niegdyś w świecie pod nazwiskiem Leszczyńskiego. Wstąpiwszy do klasztoru z prawdziwego powołania, a przytem z wyższem świeckiem wykształceniem i niezmiernie szlachetną naturą, pozyskał on nietylko w Warszawie, lecz i w całym kraju wielką cześć i zaufanie, tak, iż go za świętego niemal uważano. Był on wówczas prowincyałem Kapucynów polskiej prowincyi, a przykładem swym i wpływem tak korzystnie zreformował swe Zgromadzenie, iż śmiało rzec można, że Kapucyni najwyżej wówczas stali, pod względem zakonnego ducha, ze wszystkich polskich zakonów. Najbliższym mu duchem i sercem towarzyszem był O. Honorat, także Kapucyn, pod którego dyrekcyą duchowną zostawały Siostry Felicyanki, Zgromadzenie przed kilku zaledwie laty założone przez O. Benjamina Szymańskiego, późniejszego biskupa podlaskiego, które niezmiernie szybko wzrastało i niemałe już Kościołowi i krajowi oddało usługi, zajmując się wychowaniem biednych dzieci tak w Warszawie, jak i na prowincyi. Inne Zgromadzenia nie miały wprawdzie tak wybitnych osobistości, jak dwaj wyżej wymienieni Ojcowie, w każdem wszakże prawie ścisłość zakonnej reguły, choć słabo, była reprezentowana.

Z tego opisu łatwo już czytelnik wywnioskuje, że w porównaniu z masą duchowieństwa warszawskiego, które kilkuset liczyło członków, obóz ultramontanów, co do liczby przynajmniej, małą zaledwie cząstkę jego przedstawiał. Ogro-

mną zaś większość stanowili wahający się, co nie mieli ani dość żywej wiary, by zapalić się duchem kościelnym, ani dość odwagi, by jawnie potępić chociażby to, co w sumieniu potępiali, skoro opinia publiczna w przeciwnym zwróciła się kierunku; stąd postępowanie chwiejne i połowiczne i coraz wyraźniejsze ronienie pasterskiej powagi, tak, że większa część kapłanów, tych nawet, co nie należeli do sprzysiężenia, zamiast być gospodarzami w kościele, stali się powolnymi tylko służalcami ulicy. Nie dziw też, że rewolucya coraz śmielej i bezwzględniej gospodarowała w kościołach, ci zaś, co opierać się śmieli, rażeni wnet byli najstraszniejszym ze wszystkich dla serc polskich ciosem: ogłaszano ich przed ulicą zdrajcami ojczyzny. Mając do wyboru tylko między tą straszną dylemą: rewolucya lub zdrada, nie dziw, że charaktery słabsze i niedość w rzeczach kościelnych oświecone umysły, wolały narazić się władzy kościelnej, co sięga tylko do sumienia, niż uzbrojonej w sztylet i stryczek ulicy.

Po świetnem udaniu się pogrzebowej demonstracyi, która jednak nie wywołała tak pożądanej dla rewolucyonistów kolizyi, nastąpiła we dni kilka druga manifestacya, pod tytułem żałobnego nabożeństwa za Kościuszkę, które odbyć się miało jednocześnie we wszystkich kościołach Warszawy. Skoro rząd dowiedział się o tem nowem wyzwaniu go na rękę, począł naradzać się nad tem, co mu czynić wypadało, i z tego powodu w samem jego łonie powstały nieporozumienia. Hr. Lambertowi, który przedstawiał żywioł szlachetny i pojednawczy, przydano z umysłu w Petersburgu, w urzędzie jenerał-gubernatora warszawskiego, jenerała Gersztencwejga, zwolennika bezwzględnej represyi i nienawidzącego Polaków. Gdy przeto wierni napełnili tłumnie kościoły, pomimo policyjnego zakazu, i zwyczajem przyjętym poczęli śpiewać patryotyczne pieśni, Gersztencwejg był zdania, iż potrzeba niezwłocznie rozpocząć aresztowania i rozpędzić tłumy z kościołów; czemu znowu Lambert był przeciwny, pragnąc uszanować kościoły. Po długiej dyskusyi

skończyło się na tem, że postanowiono otoczyć kościoły wojskiem i aresztować przy wyjściu ze świątyni. Wykonaniem tego rozkazu zajął się Gersztencwejg i wnet ścisłe kordony żołnierzy opasały wszystkie świątynie, gdzie się odprawiały nabożeństwa. Ale tu zaszedł nieprzewidziany przez władzę wypadek: lud, nie chcąc narażać się na brutalstwo żołdactwa, postanowił wcale nie wychodzić z kościołów. Wojsko przestało dzień cały, lecz nikt nie wychodził; minęła i połowa nocy, a wierni trwali w swym uporze. Gersztencwejg zniecierpliwił się i poleciał do zamku, nalegając na Lamberta, by nie dał urągać się tłumowi nad wojskiem i pozwolił aresztować po kościołach, gdy zaś Namiestnik na to się nie zgadzał, jenerał-gubernator oświadczył w gniewie, że bierze wszystkie następstwa na swą odpowiedzialność, ale nie ścierpi takiego sponiewierania władzy. Jakoż kazał niezwłocznie wtargnąć żołnierzom do kościołów i wszystkich tam obecnych odprowadzić do cytadeli. Okazało się, że tylko w Katedrze i u Bernardynów lud rzeczywiście pozostał wewnątrz, u św. Krzyża zaś i w innych świątyniach skorzystano z nieznanej wojsku komunikacyi i wypuszczono powoli tłumy. W tych więc tylko dwóch kościołach nastąpiły aresztowania, a że niektórzy z tam obecnych poczęli stawiać opór żołnierzom, przyszło więc do bójki i krew przelaną została. Oczyściwszy kościoły, Gersztencwejg pospieszył do Zamku ze sprawozdaniem, pewien aprobaty z Petersburga, lecz tu ciężkiego doznał zawodu, gdy Lambert pokazał mu telegram Monarchy, rozkazujący szanować świątynie. Pewny, że decyzyę tę wywołało niekorzystne przedstawienie Lamberta, Gersztencwejg począł mu czynić wymówki, stąd wywiązała się sprzeczka, zakończona amerykańskim pojedynkiem; gdy zaś los skazał na ofiarę wykonawcę napadu na kościoły, Jenerał-gubernator wrócił do swego mieszkania i trzema wystrzałami z rewolweru życie sobie odjął. Przerażonemu i zgryzionemu Lambertowi krew rzuciła się gardłem, a nazajutrz, nie czekając nawet na uwolnienie, wyruszył za granicę, zdawszy tymczasową władzę

Suchozanetowi, który powtórnie objął zarząd kraju. Niedługo trwały jego rządy, gdyż wkrótce przysłany został na jego miejsce jenerał Lüders; w tym krótkim jednak przeciągu czasu poróżnił się z Margrabią za to, że ten ostatni ogłosił w »Dzienniku Powszechnym« swoje projekta o wychowaniu i oczynszowaniu włościan, wprzód nim uzyskał ich zatwierdzenie w Petersburgu. Margrabia podał się do dymisyi ze wszystkich zajmowanych przez się urzędów i chciał wyjechać do Petersburga, lecz Suchozanet odmówił mu paszportu i zabronił nawet telegraficznemu zarządowi przesyłać jego depesze. Dopiero za pośrednictwem syna udało mu się skomunikować z najwyższemi sferami i otrzymać wezwanie do przybycia nad Newę.

Tymczasem kapituła wybrała na administratora ks. Białobrzeskiego, ten zaś, naglony przez opinię publiczną, naznaczył komisyę do przeprowadzenia śledztwa o pogwałceniu kościołów. Na prezesa tej komisyi powołał ks. Rzewuskiego, który ze swej strony odniósł się do Namiestnika, by wyznaczył też do śledztwa komisarza ze strony rządu, czego wszakże Namiestnik nie uczynił. Komisya, nie zważając na to, przesłuchała kilkudziesięciu przysięgłych świadków i, opierając się na ich zeznaniach, uznała dwa kościoły: św. Jana i Bernardyński, za sprofanowane. Wedle prawa kanonicznego, w podobnych razach nabożeństwo w takich świątyniach winno być zawieszone aż do ich rekoncyliacyi, t. j. nowego poświęcenia. Oba też kościoły zostały zamknięte. Lecz dla przywódców rewolucyi zbyt to była dobra okazya do wywołania zaburzeń, by na tem poprzestać chcieli. Dwie świątynie zamknięte, na kilkadziesiąt kościołów warszawskich, nie sprawiłoby takiego wrażenia, jakiego do planów swoich potrzebowali; domagano się przeto, aby zamknąć wszystkie, a że ks. Białobrzeski nie odznaczał się ani samoistnością przekonań, ani siłą charakteru, uległ przeto naciskowi ulicy i wydał rozporządzenie, aby zamknięto wszystkie kościoły w Warszawie, z obawy, jak głosił w swym okólniku, by inne nie stały się widownią scen ró-

wnie gwałtownych jak te, które miały miejsce u św. Jana i u Bernardynów. Zamknięcie to zaś miało trwać póty, póki rząd nie da dostatecznych gwarancyi, że świątynie zostaną uszanowane.

W tym właśnie czasie, kiedy kwestya zamknięcia kościołów debatowała się w Warszawie, przybył tam w powrocie z Rzymu ks. Łubieński i swoim zwyczajem przyjął natychmiast żywy udział w zajmującej wszystkie umysły sprawie. Tak ze stanowiska kościelnego, jak i ze swych przekonań politycznych był on stanowczo przeciwny zamknięciu kościołów, a że miał zawsze odwagę swych przekonań, głośno je przeto wypowiadał tak w Zamku, jak i w konsystorzu. Zdanie jego, jako duchownego, umocniło niezmiernie stanowisko Namiestnika w tej sprawie, który miał podstawę do potępienia postępku Białobrzeskiego, nietylko ze stanowiska rokoszu przeciwko rządowi, lecz i samowoli kościelnej. To też oburzenie przeciw ks. Łubieńskiemu było tak wielkie, że nawet w gronie najgorliwszych księży nie znalazł ani jednego obrońcy. I rzeczywiście, zdaniem mojem, tu zbłądził. Nie przez to, że był przeciwny zamknięciu kościołów, gdyż miał w tem racyę, lecz że, znając usposobienie rządu, dostarczał mu broni przeciw duchowieństwu, nie będąc wcale do tego obowiązanym, a nawet bez wyraźnego powodu; gdyż, nie należąc do duchowieństwa warszawskiego, nie był objęty wydanem rozporządzeniem. Wmieszanie się przeto w tę sprawę, zwłaszcza zaś pośredniczenie między Zamkiem i konsystorzem było co najmniej mylką, spowodowaną tą niepohamowaną żywością charakteru, co nie opuści na swej drodze żadnego interesu, żeby się doń nie wmieszać. Jeśli sumienie nakazywało mu ostrzedz błądzących i ukazać szkodliwe następstwa błędu, to należało wypowiedzieć swe uwagi samemu tylko duchowieństwu i to prywatnie, ponieważ sam prywatną tylko w Warszawie był osobą. Tymczasem zajście o zamknięcie kościołów omal nie skończyło się krwawem rozwiązaniem. Za przybyciem Lüdersa, na wszystko gotowego siepacza, Białobrzeski został

uwięziony i, na mocy stanu oblężenia, oddany pod sąd wojenny, który skazał go na rozstrzelanie. Gdy jednak wyrok poszedł na konfirmacyę do Petersburga, kazano go zamienić na osadzenie w twierdzy Bobrujskiej. Otrzymawszy to rozporządzenie miejscowe warszawskie władze, wyzyskały je w ten sposób, że przyrzekły ks. Białobrzeskiemu darowanie życia w takim tylko razie, jeśli własnoręcznie napisze, iż zamknął kościoły dlatego tylko, że je sprofanowali rewolucyoniści swemi śpiewami i demonstracyami, i że nie chciał narażać świątyń na większe jeszcze z ich stron zniewagi. Słaby i zlękniony staruszek uległ pod naciskiem rządu, jak uległ niedawno przed naciskiem ulicy; napisał, co mu podyktowano i został wywieziony do Bobrujska; rząd zaś, poleciwszy naprzód sekretarzowi konsystorza, ks. Czajewiczowi, zaświadczyć autentyczność pisma, którego treści mu nie pokazano, ogłosił ów smutny dokument w dziennikach, jakby na urągowisko z upokarzającej słabości duchowieństwa. Tak to wypłaca się zawsze małoduszność.

Ale przenieśmy się już do Petersburga, gdzie podążył margrabia Wielopolski, a wkrótce za nim i ks. Łubieński. Niepospolite przymioty Margrabiego, przy bezpośredniem zetknięciu się jego z najwyższemi rządzącemi sferami, nie mogły nie wywrzeć silnego wrażenia na Dwór i najbliższe jego otoczenie. Przekonano się tu niewątpliwie, że jest to czynnik potężny, którego warto zapewnić sobie współdziałanie, chociażby ofiarą pewnych tradycyjnych poglądów na dalszy rozwój polityki rosyjskiej. Chodziło tylko o to, żeby się porozumieć co do ostatecznego jej celu. Rosya, jak wiadomo, dąży przedewszystkiem do pochłonięcia całej Sławiańszczyzny, a następnie do zagarnienia całej dziedziny dawnego Cesarstwa Wschodniego, po którem razem z dwugłowym orłem odziedziczyła ambicyę panowania nad całym Wschodem. Póki zachodnia Europa, zwłaszcza zaś Austrya, obojętnie patrzała na rezultaty rosyjsko tureckich zapasów, gabinet petersburski nie zdradzał swych ogólnosławiańskich dążności, okazując tylko chęć rozwiązania kwe-

styi wschodniej przez wyciśnięcie Turcyi do Azyi i opanowanie Bałkańskiego półwyspu, pod tytułem opieki nad chrześcijanami wschodniego obrządku. Gdyby Rosya mogła być i nadal pewna neutralności Austryi, dotąd nie byłoby mowy o panslawizmie, ażby Turcya ostatecznie się rozpadła i rosyjski sztandar zatknięty został nad Bosforem. Krymska wojna zmieniła stan rzeczy i zmieniła go, jak zdaje się, radykalnie, tak, że ponowne uśpienie czujności Austryi stało się niemożebnem. To też dłuższe udawanie celu już nie miało, postanowiono więc zdjąć maskę i wystąpić jawnie z pretensyami swemi do całej Sławiańszczyzny.

Odkąd, po upokarzającym Paryskim pokoju, rozległ się nad Newą bojowy okrzyk: »Droga do Konstantynopola prowadzi przez Wiedeń«, śmiało poczęto pisać i mówić, że jarzmo niemieckie cięższe jest jeszcze dla Sławian, niż bisurmańska niewola, i że zadaniem Rosyi, jako naturalnej opiekunki Sławian, jest wyzwolenie ich nietylko z pod panowania półksiężyca, lecz i z pod gniotu germanizmu. Zrywając tradycyjny związek z Austryą, Rosya musiała starać się o innego sprzymierzeńca, mniej interesowanego w kwestyi sławiańskiej; dążność zaś Napoleona III do rozbicia Świętego Przymierza i rozdarcia traktatu Wiedeńskiego, jako wymierzonego przeciwko Francyi i napoleońskiej dynastyi, ułatwiło to zadanie. Jeszcze krew, wylana pod Sewastopolem, nie wsiąkła w ziemię i ruble kontrybucyjne nie zasiliły skarbu sprzymierzonych, a już hr. Orłów położył węgielny kamień tego porozumienia, które, za widzeniem się osobistem dwóch władców, zamieniło się w przyjaźń. Przez wzgląd na stałą sympatyę, jaką Francuzi okazywali zawsze dla sprawy polskiej, Napoleon doradzał swemu nowemu sprzymierzeńcowi, aby starał się załatwić w sposób polubowny kwestyę polską, gdyż pod tym tylko warunkiem przymierze rosyjsko-francuskie może stać się popularnem nad Sekwaną. Oto, jak sądzę, była bliższa pobudka, która zjednała u dworu petersburskiego powolne ucho dla rad Wielopolskiego. Lecz była i druga, głębsza nierównie, choć mniej bezpośrednia.

Mając na względzie tylko Sławian tureckich, przywiązanych do obrządku wschodniego, Rosya śmiało wywieszać mogła sztandar prawosławia, nie lękając się nawet jawnie prześladować katolicyzmu, gdyż nie zrażało to bynajmniej naturalnych jej sprzymierzeńców za Dunajem; lecz przy zmienionej polityce i rozszerzonej sferze działania, należało dobrze zważyć szanse dotychczasowego powodzenia, a jeśli okażą się niedostateczne, zmienić całkowicie taktykę.

Do zjednoczenia Sławian pod rosyjskiem berłem dwie główne doprowadzić mogą drogi, a mianowicie: droga asymilacyi i droga federacyi. Pierwsza, tradycyjna i zgodna z zaborczymi instynktami rosyjskiego narodu, zasadza się na stopniowem podbijaniu i wcielaniu w organizm państwowy ujarzmionych przez inne plemiona ludów sławiańskich, narzucając im natychmiast język i religię plemienia panującego, tak, by jak najprędzej zatrzeć ślady wszelkiej odrębności narodowej. System ten przedstawia więcej korzyści dla panującej narodowości i jej dynastyi, ale też wymaga i większych nierównie wysiłków. Póki chodziło tylko o Sławian tureckich, system ten był niezaprzeczenie możebnym, ułatwiała go bowiem jedność religii i nizki niezmiernie stopień wykształcenia tych ludów, względem których rosyjska cywilizacya stoi w każdym razie wyżej, tak, że z czasem nie omieszkałaby zaasymilować i wcielić w swój narodowy organizm tych na wpół dzikich plemion, co są państwowym raczej materyałem niż narodem. Ale całkiem inaczej rzecz się ma z Sławianami austryackimi. Tu żyją prawdziwe narody, mające nietylko historyczne wspomnienia z zamierzchłej przeszłości, lecz posiadające obecnie własny państwowy organizm, swoją konstytucyę, swoje sejmy i częstokroć równie piękną, jak bogatą literaturę. Narodowe te organizmy, których nie spożyły wieki wyższej nierównie, niż rosyjska, cywilizacyi, i które ocknąwszy się w naszych czasach z wiekowego letargu, z całą energią młodości i siły zabrały się do społecznej i literackiej pracy, nie skażą się dobrowolnie na samobójstwo narodowe z pobudek platoni-

cznej jakiejś plemiennej miłości; a cóż i mówić o wyrzeczeniu się religii, przez tysiąc lat wyznawanej, która tak głęboko puściła swe korzenie na gruncie narodowym i tak ściśle z życiem całego społeczeństwa się zrosła? Przypuściwszy nawet, że Austrya zostanie rozbita i wschodzące w skład jej sławiańskie narody wejdą w skład olbrzymiego kolosu, co i dziś już więcej na kuli ziemskiej zajmuje obszaru, niż niegdyś Państwo Rzymskie w największym swoim rozwoju; to czyż walka z przyłączonymi ludami na polu religijnem i narodowem, i to gdzieś na krańcach państwa w sąsiedztwie cywilizowanych i wrogich, a zawsze dość silnych po przegranej nawet germańskich plemion, może obiecywać ostateczną wygranę? Dość spojrzeć nieuprzedzonem okiem na stuletni już zabór Polski, by zwątpić o skuteczności asymilacyjnego systemu, w stosunku do żywotnych i wyżej ukształconych ludów.

Jeśliby przeciwnie Rosya przyjęła system federacyjny i pozwoliła Polsce urządzić się zgodnie z historycznym rozwojem i narodowym charakterem swoim, przy zupełnej swobodzie sumienia, wówczas stałaby się ona żywą a niezmiernie ponętną pokusą dla sławiańskich ludów Austryi, które niezawodnie zaciężyłyby ku Rosyi całą siłą, nietylko już plemiennego lecz i narodowego uczucia, które w rodzinnym sławiańskim związku znalazłoby państwowe bezpieczeństwo obok całkowitej autonomii narodowej. Nie byłem nigdy wtajemniczony w treść rokowań Margrabiego z rządem, sądzę wszakże, iż te zwłaszcza ostatnie argumenta, przeważyły szalę na jego stronę i skłoniły rząd do udzielenia Polsce administracyjnej przynajmniej autonomii. Niektóre późniejsze wyrażenia Wielkiego Księcia Konstantego i nadane synowi jego imię Wacława, umocniły mię w tem przekonaniu, że reformy nad Wisłą więcej obliczone były na zjednanie sobie Czechów i innych Sławian austryackich, niż samych Polaków. W każdym razie, późniejsze wypadki przekonały, że pobudki, jakie skłoniły gabinet petersburski do przyjęcia planu Wielopolskiego nie wypływały z własnego, głębokiego

przekonania rosyjskich polityków, iż system ten jest istotnie pożyteczny dla samej Rosyi, lecz że była to raczej próba, do której zmuszeni zostali chwilowemi okolicznościami i z której z wielką wycofali sie radością, korzystając z pierwszej nadarzającej się zręczności. Margrabia, przystępując do reform, nie wątpił o dobrej wierze rządu, i to mu nadawało ową pewność siebie w stosunku do narodu; mnie się wszakże zdaje, że to zbytne zaufanie petersburskiemu gabinetowi było z jego strony polityczną myłką, gdyż dość było rozpatrzyć się w dziejach, by przekonać się, że gabinet ten łamał bez żadnego skrupułu nietylko prywatne przyrzeczenia, lecz najuroczystsze nawet międzynarodowe traktaty i zaprzysiężone podbitym narodom prawa. Tak Piotr Wielki, osaczony nad Prutem, podpisuje warunki pokoju, a odzyskawszy tym sposobem wolność, każe wnet Senatowi unieważnić zawarty traktat, przeto, że podpisując go nie był całkiem swobodny. Polityka Katarzyny II z Polską była jakby ciągłem urąganiem dobrej wierze króla i stanów, gdyż postępowanie jej sprzeciwiało się zawsze temu, co głosiły umowy. Jeden Aleksander nie dopuścił się jawnego sprzeniewierzenia się przyjętym względem narodu zobowiązaniom, to też za jego tylko panowania możebne było współpracowanie Polaków z rządem na polu pracy narodowej; ale on sam powiedział o sobie, iż jest tylko szczęśliwym wyjątkiem między despotami. Mikołaj I odrazu oświadczył, że panuje dla Rosyi i dla Rosyi tylko panować będzie. Jeszcze przed rewolucyą ks. Adam Czartoryski widział się zmuszonym podać się do dymisyi z kuratorstwa, na którem nie mógł już być pożytecznym krajowi przy jawnych antynarodowych dążeniach Cesarza. Przez całe jego panowanie ani jednego nie widzimy patryoty polskiego, coby się pokusił o współpracowanie z rządem w nadziei przyniesienia ulgi krajowi; bo czyż było to możebnem wobec własnego wyznania monarchy, iż gardzi Polakami, co mu służą. Zaprzysiężona przy koronacyi konstytucya została bez żadnego skrupułu narodowi odjęta po powstaniu, na tej zasadzie, że

dla tych, co złamali prawo, prawo nie istnieje; a jednak w chrześcijańskiem pojęciu przysięgi, sprzeniewierzenie się nawet jednej strony nie rozwiązuje od swych obowiązków drugiej, bo tu każda strona Bogu ślubuje i przed Bogiem odpowiadać będzie. Stąd i w małżeństwie sakramentalnem niewierność jednego z małżonków, nie upoważnia do niewierności drugiego.

Panowanie Aleksandra II wprawdzie zaczynało się zaledwie, ale zaczynało się od publicznego przyjęcia na siebie solidarnej odpowiedzialności za postępowanie z Polakami ojca, którego politykę pochwalał. Zachowanie się nowego władcy w sprawie Dziernowickiej mogłoby także rzucić światło na rzeczywiste jego względem nas usposobienie, ale Margrabia nie czytywał »Kołokoła« i nie przywiązywał żadnej do jego rewelacyi wagi. Gdyby telegraficzna korespondencya Cesarza z Namiestnikiem po pierwszych strzałach w Warszawie, ogłoszona w 1882 r. w Ruskiej Starynie, znana była Margrabiemu, możeby mniej dowierzał życzliwym usposobieniom monarchy, co rozkazuje bez wahania zbombardować z cytadeli miasto, skoroby się na ulicy rozruchy pojawiły. Ale Margrabia pierwszy raz zetknął się z petersburskim Dworem, a trzeba przyznać, że nikt nie umie być tak uprzejmym i słodkim, jak carscy dworacy, skoro hasło od tronu otrzymają. Jakkolwiekbądź, nie masz wątpliwości, że Margrabia zabierał się do pracy w najlepszej wierze i z głębokiem przekonaniem, iż pracuje dla dobra kraju. I rzeczywiście, program jego byłby niezmierne oddał narodowi usługi, gdyby ze strony monarchy było tyleż szczerości i dobrej woli, ile jej było ze strony przyszłego naczelnika cywilnego zarządu. Przyjąwszy polityczne zasady programu Wielopolskiego, Cesarz zostawił mu zupełną swobodę, co do wyboru ludzi, przeznaczonych do obsadzenia wszystkich ważniejszych stanowisk w krajowej administracyi, na których potrzebował zdolnych, sumiennych i w tymże co i on duchu działających współpracowników. Zamknięcie kościołów i wyrodzony stąd anormalny stan stosunków religijnych, czyniło z ob-

sadzenia wakującej stolicy metropolitalnej w Warszawie jedną z najbardziej naglących kwestyi administracyjnych. Chodziło tylko o znalezienie odpowiedniego kandydata na arcybiskupa, a to nie łatwe było w obecnej chwili zadanie. W gronie kapituły warszawskiej żaden z prałatów nie posiadał zaufania Margrabiego; całe przytem duchowieństwo było pod wpływem miejscowych stosunków i pod względem politycznym należało do jednego ze stronnictw narodowych, co utrudniałoby stosunek z naczelnikiem zarządu, którego żadne stronnictwo nie popierało. Jenerał Suchozanet, w ciągu krótkiego zarządu swego, przedstawił na arcybiskupa ks. Łubieńskiego, zachowanie się zaś jego w Rzymie i w Warszawie przy zamknięciu kościołów, zjednało w wyższych sferach dość życzliwe tej kandydaturze przyjęcie, tak, iż w Petersburgu powszechne było mniemanie, że metropolia warszawska dostanie się Łubieńskiemu. Z Margrabią był on także w dobrych, nawet poufnych stosunkach, gdyż polityczne jego przekonania harmonizowały z poglądami Margrabiego. Jedyną trudność stanowiły stosunki familijne: Margrabia nie lubił rodziny Łubieńskich, miał podobno z jednym z jej członków jakieś osobiste zajście, a nawet mówiono, iż związał się kiedyś słowem honoru, że żadnemu z Łubieńskich nigdy nie poda ręki. Czy to więc uprzedzenie do rodziny, czy obawa zbyt ruchliwego i przedsiębiorczego charakteru ks. Konstantego, czy może, co najmniej prawdopodobne, wzgląd na wielką niepopularność jego w Warszawie, dość, że Margrabia zwlóczył z uczynieniem stanowczego kroku pod względem osadzenia wakującej metropolii. Raz nawiedziłem ks. Łubieńskiego, który zatrzymał się w tymże co i Margrabia hotelu, i zabierałem się do wyjścia, kiedy on zaproponował mi niespodzianie, że chce mię przedstawić Margrabiemu. »Z jakiej racyi?« zapytałem go zdziwiony.

— Jest to w każdym razie człowiek historyczny — odrzekł mi — i może ci się nie zdarzy druga podobna zręczność, aby go poznać, a ja ci ręczę, że nie będziesz źle przyjęty. Zresztą mam do niego mały interes, a chciałbym

być później z tobą razem u baronowej Meyendorff, nie odmów mi więc tych kilkochwilowych nawiedzin.

Nie mając słusznych powodów dłuższego opierania się, pozwoliłem zaprezentować się Margrabiemu, który przyjął nas obu zimnym ukłonem i z bardzo obojętną miną zawiązał ze mną rozmowę o Akademii, o Przytułku, o katolickiej parafii w Petersburgu, a gdyśmy po kilku minutach powstali, aby go pożegnać, uczcił nas raz jeszcze zimnym ukłonem i na tem skończyły się nawiedziny. Wyszedłszy z hotelu, zrobiłem wymówkę Łubieńskiemu, że mię namówił do tej wizyty, która, sądząc z zachowania się gospodarza, musiała mu się wydać natrętną. »Nie znasz go, odrzekł, i dla tego dziwi cię owa chłodna sztywność, ale to jego zwykłe zachowanie się ze wszystkimi«. Na tem skończyła się rozmowa o Margrabim i nie myślałem już więcej o nim. Nazajutrz przyszedł do mnie Łubieński i oświadczył, że może mi przyjdzie pojechać do Warszawy. Sądząc, iż kandydatura jego już się zdecydowała i że wstępując na stolicę arcybiskupią, myśli zabrać mię z sobą jako kapelana lub sekretarza, odrzekłem, że nie na wiele mu się przydam na tem stanowisku, nie władając dość dobrze żadnym językiem prócz polskiego. Na to mi odparł: »Jeśli który z nas pojedzie na sekretarza, to chyba ja przy tobie, bo cię już Wielopolski przedstawił cesarzowi na arcybiskupa warszawskiego. Widząc z tonu jego mowy, że nie żartuje, takem się zdumiał, że uczucie zdziwienia przytłumiło wszystkie inne wrażenia. Zdało mi się, że rzecz tak nieprawdopodobna, która przez myśl mi nawet nigdy nie przeszła, nie mogłaby się uskutecznić bez wyraźnego wdania się Opatrzności. To też nie dowierzając, aby to istotnie do skutku przyjść mogło, zawołałem wzruszony: »A! jeśli rzeczywiście Pan Bóg ten cud uczyni, to ufam, iż uczyni też i ten drugi, że mi da łaskę potrzebną do godnego spełnienia tak bardzo siły moje przewyższających obowiązków«. Wówczas dopiero przyznał się Łubieński, że go Margrabia pytał, kogoby mu radził przedstawić na wakującą stolicę metropolitalną, i że on zalecił mu trzech kandydatów: ks. Janiszewskiego z Poznania, O. Prokopa z Warszawy i mnie.

Ks. Janiszewski miał to przeciwko sobie, że znany już był jako człowiek polityczny z działań swych na sejmie pruskim i miał już swój program jasno wytknięty, a niezupełnie z programem Margrabiego zgodny. O. Prokop, jako dawny mieszkaniec Warszawy, wpleciony już był w pewne kółka tamtejszego towarzystwa, tak, iż trudnoby mu było od ich wpływów się wyzwolić. Moja wreszcie osoba była to biała karta, na której, jak sądził, pod względem politycznym nic nie było jeszcze napisano, spodziewał się przeto, iż program jego znajdzie we mnie szczere poparcie, i to właśnie przechyliło szalę na mą stronę. Żeby zaś mieć prawo powiedzieć cesarzowi, że mię zna osobiście, sam żądał, abym mu był przedstawiony, i tegoż dnia na audyencyi u cesarza postawił moją kandydaturę. Cesarz polecił mu, aby pomówił o tem z ministrem spraw zagranicznych, ks. Gorczakowem, ten zaś zwołał radę ministrów, a że w ich gronie miałem dwóch znajomych: Czewkina i Meyendorffa, którzy przychylnie o mnie się odezwali, inni zaś nie mieli powodów do stawiania opozycyi, kandydatura więc moja przeszła bardzo łatwo, a że sprawa była nagląca, wysłano więc niezwłocznie przedstawienie do Rzymu, gdzie także źle notowany nie byłem, a nawet w sprawozdaniach nuncyusza Chigi, O. Soillard i O. Pitry zaliczony byłem do rzędu gorliwszych kapłanów. To też i Stolica Apostolska trudności nie czyniła, a że rosyjski ambasador naglił, wyjątkowo przeto uwolniono mię nawet od kanonicznego procesu, tak, że w parę tygodni już mię Ojciec św. prekonizował i wnet wysłano odpowiedne bulle. Wszystko to nastąpiło tak prędko, że sam kardynał Antonelli, mówiąc o mojej nominacyi, wyraził się: »*C'est le premier evêque, que nous avons fait à la vapeur*«. W przedstawieniu mnie przez księdza Łubieńskiego Margrabiemu, spotkałem nowy dowód, jak w duszy jego wzgląd na pożytek Kościoła przeważał wszystkie inne względy. Mógł się on mylić w ocenieniu mojej wartości moralnej, ale sądził, że zarząd mój będzie pożyteczny dla dyecezyi warszawskiej, i z tego powodu nie wahał się mnie za-

lecić, pomimo różnicy naszych politycznych przekonań, o których nie wspomniał nawet Margrabiemu, lękając się, by go to nie zraziło od wyboru. Lecz co mię znowu najwięcej zdziwiło ze strony Margrabiego, to całkowite jego zamknięcie się w swej zagadkowej jaźni politycznej nawet i po zapewnieniu mojej nominacyi. Widywaliśmy się wprawdzie dość często, rozmawialiśmy o wypadkach, ludziach i specyalnych interesach, nigdy jednak nie wystąpił przede mną z swoim politycznym programem i nigdy nie zapytał mię nawzajem, jakie są moje zapatrywania i plany. Raz powiedział mi w ciągu rozmowy: »Nazywają mnie politycznym sfinksem i to jest najlepsze położenie dla każdego, co ma praktyczne zadanie do spełnienia«. W czem widziałem radę dla siebie, by nie występować z żadnymi programami. Gdyby współpracowanie moje z Margrabią przypadło na czasy spokojne, to nie wątpię, że przy normalnym rozwoju stosunków społecznych, nie przyszłoby między nami do żadnych zajść nieprzyjemnych, a interesa państwowe i kościelne rozwijałyby się normalnie, nie ścierając się i nie przeszkadzając sobie nawzajem; różniliśmy się bowiem nie tyle w poglądach na to, co trzeba robić w kraju, którego potrzeby on dobrze pojmował, ile w pojęciu stosunku do centralnej władzy, której on lojalnie zaufał, ja zaś nie dowierzałem jej nigdy i zawsze byłem tego przekonania, że każdego sprzymierzeńca używa tylko ona za narzędzie do spełnienia swych planów; i póki to narzędzie powolnie używać się pozwoli, będzie się niem posługiwać bez skrupułu nawet do najbrudniejszych robót; skoro zaś waży się sprzeciwić, z mniejszym jeszcze skrupułem odrzuci je lub zdruzgocze. I dlatego nigdy nie chciałem związać się solidarnie z takim rządem, woląc być z nim zawsze na baczności i zawsze gotowym do wojny.

Co do osoby znowu Margrabiego, przy całej jego angielskiej nieruchomości i wyniosłem obejściu się, była mi ona dość sympatyczna i nigdy nie miałem do niego żadnej osobistej niechęci, wówczas nawet, kiedy polityczne drogi

nasze ostatecznie się rozeszły. Nie ubliżył on nigdy ani mej osobie, ani mej duchownej godności, nie nastawał ani groził w kwestyach, w których byłem przeciwnego zdania; nie skarżył się też, ani wypominał, że się na mnie zawiódł, co wielu innych uczyniłoby niezawodnie na jego miejscu. Być może, iż pańska duma i wyniosły charakter miały w tem pewien udział, głównie wszakże było to wypływem wysokiego wykształcenia i dziwnie szlachetnego charakteru, który budził we mnie cześć dla człowieka wówczas nawet, kiedy potępiałem męża stanu. Co do nadziei wreszcie, budowanych na jego wielkich zdolnościach i niemniejszej sile charakteru, wyznaję, iż nie łudziłem się nigdy pod tym względem zbyt różowemi marzeniami. Nie przeto, bym wątpił o jego politycznym rozumie, szczerych dla kraju chęciach i niestrudzonej energii, ale z jednej strony nie ufałem rządowi i przewidywałem, że przy pierwszej zręczności sam mu podstawi nogę, z drugiej zaś, znając łatwo zapalny a nieoględny charakter nasz narodowy, mało miałem nadziei, by rozigrane już i wciąż podniecane patryotyczne uczucia, a w części i namiętności rewolucyjne dały się opanować i od wybuchu powstrzymać.

Dziwnem się zapewne wyda niejednemu z czytelników, że ja, niekwalifikowany na męża stanu, ani nawet na publicystę, ośmielam się wydawać sądy o ludziach i wypadkach, które wytrawny tylko historyk należycie ocenić jest w stanie; nie tłómaczę się z tego, tylko przypominam, że nie piszę historyi, ale proste pamiętniki, nie za to więc odpowiadam, czy tak jest rzeczywiście, tylko za to, czy rzeczywiście tak mi się wówczas zdawało.

Nie będąc brany na egzamin przez Margrabiego, sądziłem, że petersburscy przynajmniej ministrowie zechcą się upewnić, że się w wyborze nie pomylili, lecz i tu równa spotkała mię niespodzianka. Skoro otrzymano wiadomość o przyzwoleniu Rzymu, dyrektor Departamentu Wyznań, hr. Sievers, zawiózł mię do ministra Spraw wewnętrznych, Wałujewa, który winszował mi tylko bardzo uprzejmie i oświad-

czył w ogólnych wyrazach, że spodziewa się, że wspólnie pracować będziemy nad zjednaniem dwóch poważnionych niesłusznie bratnich plemion, w duchu wzajemnych usług i wzajemnych ustępstw; ale o nic się mnie nie pytał i nic nie zalecał.

Na kilka dni przed konsekracyą zostałem wezwany na audyencyę do Wielkiej Księżny Heleny Pawłówny, wdowy po W. Ks. Michale a matki Wielkiej Księżny Meklemburgskiej. Była to osoba niezmiernie wpływowa, połowa ministrów jej zawdzięczała swe teki i stąd dwór jej nazywano »*la petite cour*«. Posłuchanie trwało z godzinę i tyczyło się głównie dwóch kwestyi, a mianowicie: Unii i wyboru osoby namiestnika. W. ks. Helena należała do szczupłej liczby osób, które w Rosyi były zwolennikami Unii wschodniego z zachodnim Kościołem. Myśl tę poruszył w owym czasie baron Haxthausen, który za błogosławieństwem Stolicy Apostolskiej założył nawet bractwo specyalne, którego głównym obowiązkiem było modlić się o zjednoczenie Kościołów i wedle sił nad uskutecznieniem tej myśli pracować. Zapraszał on też listownie i biskupów prawosławnych, aby ze swej strony podobne modlitwy w Rosyi zalecili, ale nietylko żaden z nich rady nie usłuchał, lecz żaden nie odpisał mu nawet. W ich imieniu, chociaż przez nikogo nie upoważniony, odpowiedział Murawiew, tak zwany rosyjski teolog, autor »Listów z Rzymu«, ale w tonie tak niechętnym i zjadliwym, że w elukubracyi tej nie było nawet pozorów dobrej woli. Haxthausen bardzo trafnie i gruntownie a i nie bez wytwornego dowcipu zbił jego zarzuty i tak przyparł do ściany, że zuchwały zwykle szermierz wolał zamilknąć, niż w dalszą zapuszczać się polemikę. Całą tę korespondencyę w litografowanych odbitkach, z polecenia Wielkiej Księżny, gorliwej protektorki Haxthausena, rozpowszechniano w Petersburgu między oświeceńszą klasą, ale z bardzo małym skutkiem.

Wielka Księżna powiedziała mi otwarcie, że unię Kościołów uważa za najpożądańszy wypadek dla Sławiańszczy-

zny, nietylko pod względem religii, która odzyskałaby w Rosyi i innych odszczepionych od środka jedności narodach swą utraconą żywotność, lecz i pod względem politycznym, gdyż na tym tylko gruncie ścisłe i trwałe sławiańskich ludów zjednoczenie nastąpićby mogło. Oświadczyła przytem, że pojedyńcze nawrócenia prawosławnych na katolicyzm uważa owszem za szkodliwe, jako siejące rozterki w rodzinach i narodzie; że przeto należałoby z obu stron pracować nad ułatwieniem tego niesłychanej doniosłości dziejowego faktu, który, gdyby nastąpił, wytworzyłby całkiem nowe, a niezmiernie dla ludów sławiańskich korzystne kombinacye polityczne. Zdaniem jej, początki takiego zbliżenia się dwóch Kościołów mogłyby nastąpić daleko łatwiej w Warszawie, gdzie prawosławie mniej się czuje panem sytuacyi i łatwiej ocenić może wyższość katolickiego kościelnego ustroju, niż w Petersburgu lub w Moskwie, gdzie fanatyzm i uprzedzenia przecinają wszelki promień światła, przenikającego z Zachodu. Wyraźnem było, że W. Księżna mówiła to z głębokiego przekonania, ale, niestety, był to głos wołającego na puszczy, co nietylko stronnictwo, ale szczupłego nawet kółka zwolenników zgromadzić około niej nie zdołał, pomimo, że w innych sprawach przeważnego używała wpływu. O ile dążenie to, szerzone w dobrej wierze, największego godne jest uznania, o tyle stałoby się ono zgubną zasadzką, gdyby nie z oświeconego prawdą sumienia, lecz z politycznej rachuby płynęło. Nie jest rzeczą niemożebną, iżby gabinet petersburski, przywdziawszy maskę nawróconego, rozpoczął rokowania ze Stolicą Apostolską na podstawie sławiańskiej liturgii i wschodniego obrzędu w nabożeństwie, przyrzekając przyjąć Unię pod warunkiem, by Stolica Apostolska nakazała Sławianom łacińskiego obrządku przyjąć ryt sławiański; co skoroby Rosya otrzymała, odszczepiłaby się znowu od Kościoła, pociągając za sobą oderwane już od łacińskiego ludy. Póki więc nie będzie w Rosyi zupełnej wolności sumienia, wszelkie dążenia do oficyalnej, t. j. ukazem dokonanej Unii są więcej niebezpieczne niż pożądane,

gdyż takimże ukazem jeszcze łatwiej zapanować może znowu oficyalna schyzma.

Kwestya wyboru Namiestnika, która wówczas nie była jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta, była czysto osobistą dla W. Księżny kwestyą. Pragnęła ona widzieć na tem stanowisku zięcia swojego, ks. Meklemburgskiego, ale dyplomatycznym zwyczajem przeniosła kwestyę na grunt dobra publicznego, zwłaszcza zaś pożytku kraju, którym miał zarządzać. Dowodziła, że Niemcy są z natury umiarkowani, wyrozumiali i miłujący legalizm; podczas gdy Rosyanie są popędliwi i arbitralni, nie uwzględniający ani narodowego charakteru, ani zwyczajów polskich. Wątpię, żeby W. Ks. przypuszczała, że osobiste moje zdanie wpłynąć mogło na wybór namiestnika; sądzę raczej, że chciała ona tylko zapewnić zięciowi życzliwe przyjęcie w Warszawie, w razie gdyby na niego padł wybór monarchy.

Skoro wiadomość o prekonizacyi mojej nadeszła z Rzymu i czekano już tylko na bulle, zabrałem się do napisania listu pasterskiego, przewidując, iż obowiązkowe zajęcia nie pozostawią mi później dość wolnego czasu na tę sprawę. A nie była to rzecz łatwa; tu bowiem musiałem wystąpić z programem publicznym nietylko wobec rządu, ale też wobec Kościoła i w obliczu całego narodu, podzielonego wówczas na tyle różnorodnych stronnictw. Klucza tej trudnej zagadki nie chciałem wszakże szukać w zawiłych tajnikach dyplomacyi, wyszukując form najwłaściwszych do ukrycia własnej myśli, a wprowadzenia w błąd cudzej, ale ufny w to, że Bóg, co mię tak dziwnie na tem stanowisku postawił, nie odmówi mi też natchnienia, jak się mam z włożonych na mnie obowiązków wywiązywać, postanowiłem błagać przedewszystkiem Ducha św. o światło i siłę, i w tym celu zasiadłem na czterodniowe rekolekcye. W ciągu modłów i rozmyślań, najsilniej przemawiały do serca i umysłu mego te słowa Zbawiciela: »Jam jest Prawda«. Zdało mi się, że przedewszystkiem domaga się ode mnie Pan, abym, zrzuciwszy wszelką obłudę, stanął wobec Boga i ludzi takim, jakim

rzeczywiście byłem, śmiało oddając świadectwo prawdzie i nie troszcząc się o zewnętrzne następstwa mego postępowania. Natchnienie to, otrzymane w czasie rekolekcyj, stało się odtąd przewodnią nicią mego postępowania, od której w żadnym wypadku nie odstąpiłem później z samowiedzą. Stanąwszy na gruncie prawdy objawionej i wedle jej światła rozstrzygając wszystkie zadania indywidualnego i społecznego życia, śmiało wypowiadać swe przekonania bez względu na usposobienie słuchaczy; być zawsze jednym i tym samym, czy to wobec rządu, czy rewolucyi, czy partyi umiarkowanej, — oto droga, której niezachwianie trzymać się postanowiłem, i tylko z tego stanowiska może być zrozumiane dalsze postępowanie moje. Ludzie przywykli do stronnictw i tendencyjnego trzymania się raz obranego sztandaru, pojąć nie mogli mego wyłamującego się od zwykle przyjętych form postępowania, które nie pozwalało mię do żadnego stronnictwa zaliczyć. Jedni przypisywali to słabości charakteru, inni niedojrzałości politycznej lub nieobeznaniu z dworskimi i parlamentarnymi zwyczajami; ja zaś mówiłem tylko zawsze to, co myślałem i czyniłem to, co sądziłem być moim obowiązkiem. W oczach ludzkich mogłem się łatwo mylić, jako człowiek, i często też pewno myliłem się, ale nigdy nie poszedłem przeciw przekonaniu, ani powiedziałem tego, co za fałsz poczytywałem. Wielki Książę Konstanty powiedział raz o mnie: »*L' Archevêque dit des choses impossibles, mais il les dit avec la candeur d' un enfant;*« i było to może najtrafniejsze ocenienie. Nie miałem żadnej pretensyi do zostania mężem stanu; jedyną moją ambicyą było pozostać zawsze w prawdzie, być moralnie jak brylant przeźroczystym, a jeśli być może — i czystym jak brylant. Nie mówię, żeby mi się to udało przy wielkiej indywidualnej nędzy, ale taki był mój ideał, moje marzenie, w zastosowaniu zaś praktycznem tej zasady mogę tylko zaręczyć, iż nigdy nie grałem komedyi i nic nie uczyniłem przez wyrachowanie, lecz szedłem zawsze za tem, co poczytywałem za prawdę lub obowiązek. W duchu tej przewodniczej za-

sady napisałem list mój pasterski, w którym wyrażam z jednej strony wdzięczność Monarsze za otwarcie przed narodem nowej ery swobodnego rozwoju religijnego i narodowego życia, z drugiej wypowiadam miłość mą dla kraju i jego przeszłości, i gotowość poświęcenia wszystkich sił moich na organiczną pracę nad jego podźwignieniem i uszczęśliwieniem. Dodałem wszakże na końcu, że gdyby w łonie narodu objawiły się prądy, dążące do zakłócenia lub wywrócenia społecznego ustroju, to wszystkiemi też siłami sprzeciwiać się będę tym usiłowaniom, jako niegodziwym i szkodę tylko przynoszącym narodowi. Inne ustępy listu tyczyły się więcej specyalnych potrzeb duchowieństwa i narodu, ze wskazaniem środków zaradczych, jakie przedsięwziąć zamierzałem.

Spostrzegłszy ten dokument w pierwszym rzucie i nie ogładzony jeszcze nawet, ks. Łubieński zabrał go z sobą i przetłómaczywszy na język francuski, zakomunikował ks. Gorczakowowi, ten zaś przedstawił go Cesarzowi, u którego uznanie pozyskał. Tymczasem nadeszły bulle z Rzymu i konsekracya moja naznaczona została na 14/26 stycznia 1862 r., w wilię zaś dnia tego wezwany zostałem na audyencyę do Cesarza. O godzinie jedenastej zrana jenerał-adjutant służbowy, ks. Suworów, wprowadził mię do gabinetu Monarchy. W sali poprzedzającej spotkaliśmy wychodzącego sekretarza Stanu do spraw polskich, Płatonowa. Oficyalnie liczył on się tylko pomocnikiem polskiego ministra, Tymowskiego, rzeczywiście jednak on jeden zawiadywał interesami sekretaryatu Stanu i robił przedstawienia cesarzowi, a to z następującego powodu. W czasie zarządu namiestnika Gorczakowa, zakonnice katolickie z Prasnyża, nie mogąc pomieścić się dogodnie w swym klasztorze, prosiły o pozwolenie przeniesienia części Zgromadzenia do innego klasztoru swej reguły, a nie otrzymawszy na to przyzwolenia Namiestnika, wyprawiły dwie Siostry do Petersburga, by tam interes ten poparły. Przybywszy do stolicy, udały się one do ks. Łubieńskiego, ten zaś przedstawił je Ministrowi,

który tę jedyną podobno miał zaletę, że był pobożny. Wzruszony łzami biednych zakonnic Tymowski, przyrzekł im swą protekcyę i kazał w kancelaryi Stat-sekretaryatu przygotować odpowiednie przedstawienie. Gdy jednak Płatonów, jako pomocnik Ministra, przepatrywał wszystkie przygotowane do podpisu Ministra referata, znalazł, że sprawa zakonnic nie kwalifikuje się do przedstawienia Cesarzowi, przeto, że przyszła drogą nielegalną, pomijając Namiestnika. Rozdarł więc papier i do kosza wrzucił. Dowiedziawszy się o tem Tymowski, rozgniewał się i postanowił postawić na swojem, a że już nie było czasu nowego napisać papieru, ustnie przeto wstawił się do Cesarza w sprawie zakonnic. Cesarz kazał im wydać 300 r. na drogę i polecił zapytać o zdanie Gorczakowa. W tem nadjechał sam Namiestnik do Petersburga, a dowiedziawszy się od Płatonowa o tem co zaszło, udał się oburzony do Cesarza ze skargą na Ministra, który zamiast być pośrednikiem między nim a Monarchą, prowadzi własną, przeciwną poglądom jego politykę, i w błąd wprowadza Monarchę. Cesarz usunął za to Tymowskiego od zarządu ministeryum, przekazując go Płatonowi, Tymowskiemu zaś pozostawił tylko pensyę i czczy tytuł ministra, bez żadnego udziału w interesach państwowych. Tymowski jednak zniósł cierpliwie to poniżenie i nie podał się do dymisyi, z obawy utracenia zbytkowego utrzymania, do jakiego przywykł. Takich to ludzi stawiano na czele polskiej administracyi i tak się z nimi obchodzono.

Wyjście Płatonowa z cesarskiego gabinetu kazało mi się domyślać, że sekretarz Stanu musiał oświadamiać Monarchę o szczegółach tych interesów, o których Cesarz zamierzał ze mną traktować. Jakoż treść rozmowy utwierdziła mię w tem przekonaniu, okazał się bowiem tak obeznanym z wypadkami i osobami, jak gdyby sam był na miejscu. Wprawdzie i ja znałem stosunki warszawskie tylko z cudzej relacyi, gdyż nigdy przedtem tam nie byłem, tak, że oba opieraliśmy się tylko na wiarogodności świadków. Ks. Suworów usunął się do audyencyonalnej sali, tak iż pozostałem

z Monarchą sam na sam. Cesarz podał mi rękę i, uścisnąwszy serdecznie, wskazał mi na krzesło naprzeciw siebie. Rozdzielał nas duży stół do pisania, na środku pokoju stojący; ja siedziałem twarzą obrócony do okien, tak, iż Cesarz mógł śledzić każdą zmianę mojej fizyonomii. Począł mówić po rosyjsku, ale że nie miałem dość wprawy w tym języku, zwłaszcza zaś w przedmiotach kościelnych, prosiłem przeto o pozwolenie mówienia po francusku, tak, iż rozmowa w tym języku się odbywała. Cesarz począł od oświadczenia, że pragnąc położyc koniec nieprzyjaznym stosunkom, jakie, wskutek dziejowych wypadków, wywiązały się między polskim i rosyjskim narodem, postanowił zaspokoić wszystkie słuszne aspiracye Polaków, nadając im administracyjny samorząd i pozwalając im rozwijać na drogach legalnych tak religijne, jak i narodowe instytucye, zapewniając tym sposobem moralny i materyalny postęp. »Powierzając w twe ręce, mówił dalej, najwyższy duchowny zarząd w Królestwie, ufam, że zechcesz współpracować ze mną w duchu pojednania i zbliżenia obu narodów na podstawie zaspokojenia wszystkich słusznych i możebnych żądań Polaków. Pierwszem zadaniem tak świeckiej, jak i duchownej władzy jest dziś uspokojenie umysłów, powrócenie wzajemnego zaufania między rządzącymi i rządzonymi, i zwrócenie ludności ku praktycznym i pożytecznym pracom; czego niepodobna dokonać, nie usunąwszy, a przynajmniej nie osłabiwszy wpływu szalonych warchołów, co czy to świadomie, czy przez nieoględne zaślepienie dążą do społecznego przewrotu, który kraj cały w odmęt najzgubniejszych nieszczęść wtrącić nie omieszka. Pierwszem praktycznem, jakie cię czeka, zadaniem będzie wybór pomocników do kościelnego zarządu, a że sam nie jesteś dostatecznie obeznany z wydatniejszemi osobistościami miejscowego duchowieństwa, chciałem ci przeto ukazać tych księży, których radbym widział na wyższych stanowiskach, jako sufraganów i oficyałów, przeto, że uprzedniem postępowaniem swojem dali mi rękojmię swych lojalnych dążności. Do takich zaliczam prze-

dewszystkiem Zwolinskiego, proboszcza z Pragi, Topolskiego, profesora Akademii, Naruszewicza, proboszcza S. Aleksandra, i Siekludzkiego, członka kapituły. Ten ostatni był wprawdzie czasowo uwięziony, ale to stało się przez nieporozumienie, gdyż jest on owszem dobrze u rządu widziany. Co do Zwolińskiego i Naruszewicza, są to jedyni dwaj proboszczowie, co się oparli niedorzecznemu rozporządzeniu Administratora o zamknięciu kościołów, i radbym, aby zostali za to wynagrodzeni«.

— Pozwoli mi Wasza Cesarską Mość, odrzekłem na to, rozwinąć mój pogląd na wybór pomocników moich. Skoro postanowieniem W. C. M. jest z jednej strony pojednanie zwaśnionych narodów, z drugiej zaś zaspokojenie słusznych religijnych i narodowych aspiracyi Polaków, to już sam wybór powołanych do spełnienia tego zadania osób powinien dążność tę uwydatniać, gdyż dla mas zrozumialszym jest nierównie programem żywy człowiek, niż drukowana karta. Dla uwydatnienia swej dążności W. C. M. raczyła powołać do cywilnego zarządu margrabiego Wielopolskiego, męża znanego z swych cnót obywatelskich i przywiązania do kraju. W tej też myśli, wprawdzie nie z powodu mych zasług, lecz tylko przekonań, na jego przedstawienie podobało się W. C. M. i mnie też zlecić wysokie posłannictwo w zarządzie duchownym. Ale mnie w Warszawie nikt nie zna. Moje imię nie jest żadnym programem i o dążnościach przeto moich sądzić będą przedewszystkiem z charakteru mego otoczenia. By zyskać zaufanie najumiarkowańszych nawet patryotów, powinienem zbliżyć do siebie najbardziej poważane w duchowieństwie osoby, tak dla swych cnót kapłańskich, jak i dla prawości charakteru. Oni staną się prawdziwą dla kraju rękojmią, że chcę być prawdziwym dla wiernych pasterzem, a nie powolnym tylko urzędnikiem rządowym. Głos mój, poparty opinią ludzi poważanych w kraju, może trafić przynajmniej do przekonania wierzących i umiarkowanych ludzi, w których znajdę poparcie w przeprowadzeniu pojednawczego planu W. C. M. Jeśli zaś przeciwnie, otoczę się

ludźmi, źle widzianymi i w narodzie i w Rzymie, ludźmi, których jedyną zasługą była powolność dla rozporządzeń rządu i to płynąca nie z zasady, lecz z bojaźni lub interesu, ludźmi, nie mającymi ani cnót, ani ducha kapłańskiego, wówczas odrazu zdyskredytuję się w oczach narodu, uniemożebnię wszelki wpływ nietylko na wiernych, lecz i na duchowieństwo, stracę zaufanie Stolicy Apostolskiej, a zabiwszy swą przyszłość, udaremnię przez to samo błogie zamiary W. C. M. i te nadzieje, jakie we współdziałaniu mojem pokładać dziś raczy. Niech mi przeto W. C. M. pozwoli pozostawić na stronie narzędzia zużyte w minionym systemie, co tyle smutnych pozostawił w kraju wspomnień, a powołać do współdziałania ludzi, nowych wprawdzie dla rządu, ale dobrze znanych narodowi, co najlepiej przekonają Polaków, iż religia i narodowość znalazły w W. C. M. potężnego opiekuna, co im swobodny rozwój chce i potrafi zapewnić.

— Więc kogóż, zapytał Cesarz, pragnąłbyś wezwać na oficyała?

— Księdza Rzewuskiego, odrzekłem. To jedyny członek kapituły, zarówno szanowany przez lud, jak i przez duchowieństwo, i rzeczywiście cnotami swemi zasługuje na ten szacunek.

— Ależ Rzewuski prezydował w komisyi śledczej, która zadecydowała profanacyę kościołów?

— Komisya ta, odparłem, była legalna, nakazana przez prawo kanoniczne, nie mógł przeto Rzewuski odmówić należenia do niej; mając zaś przed sobą zeznania kilkudziesięciu świadków, nie mógł znowu zawyrokować, że to, co oni stwierdzają przysięgą, jest fałszem. W Komisyi Rzewuski spełnił tylko sumiennie swą powinność, na ten raz wprawdzie przeciwko rządowi; ale jestem pewny, że tam gdzieby rząd miał słuszność, a błądzili patryoci, miałby on równie odwagę dać świadectwo prawdzie i nie uląkłby się nacisku ulicy, chociażby miał życie narazić. Takich nam właśnie potrzeba dziś ludzi, gdyż tacy tylko walczyć mogą

skutecznie przeciw rozszalałym i ślepym namiętnościom rewolucyjnym.

— Jeśli tak sądzisz, ciągnął dalej Monarcha, to pozostawiam całkiem wybór pomocników twemu własnemu uznaniu. Ale jakże zrobisz z otwarciem kościołów?

— Wnet po przybyciu do Warszawy otworzę wszystkie, dokonawszy wprzód rekoncyliacyi w dwóch sprofanowanych.

— Ależ profanacyi nie było! zawołał Cesarz. Mnie Lüders telegrafuje, że żaden rozlew krwi nie miał miejsca, że to jest czysty wymysł rewolucyonistów.

— Najjaśniejszy Panie! odrzekłem. Ja przyjadę do Warszawy, jako kościelny dygnitarz, i obejmę kierownictwo dość obszernej administracyjnej machiny, mającej swą kancelaryę, archiwa i wieloletnią tradycyę. Jako urzędnik, ja muszę oprzeć się na danych, pozostawionych przez moich poprzedników w zarządzie. W kwestyi profanacyi kościołów znajdę urzędowe akta, stwierdzone przysięgą świadków, i żadnego z żadnej strony zaprzeczenia. Gdybym więc chciał fakt ten podać w wątpliwość, to na jakiej podstawie mogę to uczynić? Komisya wzywała przecie władze rządowe, by przysłały na śledztwo swego przedstawiciela, i gdyby Namiestnik uwzględnił to wezwanie, komisarz rządowy mógłby zaprotestować przeciw rezultatom śledztwa, ja zaś mógłbym zarządzić nowe doznanie. Lecz skoro to nie uczyniono, pozostaje mi tylko uznać ważność działań Komisyi i na zasadzie jej decyzyi spełnić to, co w takich razach prawo kanoniczne nakazuje, t. j. poświęcić sprofanowane kościoły.

— Po przybyciu na miejsce rozpatrzysz bliżej tę kwestyę, rzekł Monarcha, i uczynisz, co uznasz za właściwe. Lecz jakichże środków zamierzasz użyć dla powstrzymania tych szaleńców, co kraj w odmęt rewolucyi pchają?

— Nie mam innej broni nad broń duchowną, odrzekłem. Powaga Kościoła i głos przekonania — oto jedyne argumenta, jakich użyć mogę. Ręczam W. C. Mość, że nietylko jako kapłan, lecz i jako miłujący swój kraj pa-

tryota uważam dziś rewolucyę za prawdziwą klęskę dla narodu, i przeto wszelkich dołożę starań, by nie dopuścić do podobnego nieszczęścia. Jeśliby jednak naród, w szale zapamiętania, nie uwzględnił mych przedstawień i ściągnął na siebie groźne następstwa represyi, ja przedewszystkiem spełnię obowiązki pasterza i podzielę niedolę ludu mego, chociażby sam stał się swych nieszczęść sprawcą. Sądzę, iż na położone we mnie przez W. C. M. zaufanie nie mogę lepiej się odpłacić, jak bezwarunkową szczerością. Pragnę z całego serca dopomagać do pokojowego rozwoju i szczęścia mego narodu, ale żadnej innej polityki popierać nie przyrzekam. Ufam jednak, że przy pomocy Bożej inna polityka nie będzie W. C. M. potrzebna.

— I ja też spodziewam się, że nie zostanę zmuszonym rujnować to, co dziś z tak chętnem sercem buduję. Jedź co najrychlej do Warszawy i powiedz memu polskiemu ludowi, że od jego zachowania się przyszłość jego zależy. Niech będą spokojni i cierpliwi, a każdy dzień zdejmie z nich jakiś smutek i jakąś pociechę dorzuci. Kolegom zaś swoim biskupom powiedz, że nic od nich nie wymagam, tylko żeby byli biskupami wedle nauki katolickiego Kościoła. Macie wasze kanoniczne prawo, rządźcie się wedle niego, a ja ręczę, iż żaden duchowny nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności za sumienne swych kapłańskich obowiązków spełnienie. Życzę Ci szczęśliwej podróży i powodzenia. Przed twym wyjazdem przyszlę Ci jeszcze Płatonowa, by Cię o bieżących interesach kościelnych poinformował.

Na tem skończyła się moja audyencya u Cesarza, która trwała niemal półtora godziny. Pomimo zupełną szczerość z mojej strony, Cesarz życzliwie odezwał się o mnie do przydwornych, co stało się hasłem dla wielu z nich, do ubiegania się o moją znajomość. Tegoż dnia jeszcze wręczono mi wizytowe karty ks. Suworowa, hr. Błudowa, hr. Szuwałowa, znajome zaś dawniej damy, jak ks. Koczubej Naryszkina, Meyendorff, Gagaryna, Czewkina i inne obsy-

pały mię różnego rodzaju upominkami. Najznakomitsi też panowie polscy ofiarowali się do niesienia darów. Jakoż nazajutrz, arcybiskup Żyliński dopełnił mojej konsekracyi w asystencyi biskupa Bereśniewicza, rektora Akademii, i biskupa Platera, sufragana łowickiego, przybyłego umyślnie z Warszawy z dwoma członkami kapituły: Szczygielskim i Budziszewskim. Gdy przyszła kolej na składanie darów, ukazał się szereg poważnych dygnitarzy, posuwający się z zakrystyi ku prezbyteryum. Chleb nieśli: Margrabia Wielopolski i minister Tymowski, wino: hr. Borch i hr. Bolesław Potocki, świece zaś hr. Stanisław Zyberg-Plater i hr. Rzewuski. W czasie ceremonii, zaofiarowany przez Cesarza pastorał rozszedł się w spojeniach i o mało całkiem się nie złamał, z czego przesądni złą wróżbę dla trwałości mego zarządu wyprowadzili. Po konsekracyi miałem jeszcze pożegnalne posłuchanie u ks. Gorczakowa, który mi oświadczył, za zgodą Cesarza, iż we wszystkich ważniejszych wypadkach mogę wprost do niego się zwracać, ominąwszy Namiestnika. Odczytał mi też list swój do Lüdersa, w którym mu poleca, by starał się zachować ze mną jak najlepsze stosunki. Szesnastego, czy siedmnastego stycznia w. s. s. opuściłem Petersburg, gdzie przepędziłem najpiękniejsze lata mego kapłaństwa i gdzie tak łaskawie Pan Bóg błogosławił mej pracy, na to, aby się rzucić w nieznany jakiś i groźny odmęt, gdzie szanse powodzenia były prawie żadne, niebezpieczeństwo zaś wszelkiego rodzaju na każdym kroku. Rzucałem się jednak w ten odmęt z ufnością, gdyż sumienie dawało mi świadectwo, iż nic nie uczyniłem, by się tam dostać, i że nic nie pragnąłem, krom spełnienia woli Bożej. Wewnętrzne przeczucie ostrzegało mię wprawdzie, że nie jadę na rządy, tylko na cierpienie, i nie przerażało mię to jednak, bo czułem, że z tego zadania łatwiej wywiązać się potrafię, niż z pasterskiego obowiązku.

Kolej żelazna petersbursko-warszawska nie była jeszcze wówczas skończona, z Dynaburga przeto, gdzie mię przyjmowało grono łaskawych obywateli, wyruszyłem po-

wozem. Lecz zaledwie przebyłem granicę Kongresówki, spotkałem się z takiemi zaspami śniegu, że na jednej stacyi sześć razy trzeba było sprowadzać ludzi dla wydobycia powozu; że zaś od tego miejsca niedaleko było do stacyi kolei żelaznej Ejdkuny, telegrafowałem przeto do Namiestnika, prosząc o pozwolenie przejechania naokoło przez Prusy. Jakoż, niebawem otrzymałem to upoważnienie i przez Poznań dostałem się do Częstochowy. Tu postanowiłem jakiś czas zabawić, żeby się polecić opiece Matki naszej i Królowej, co na tem miejscu tyle cudownych łask wyjednała tym, co się do niej z pokorą i ufnością uciekali. Oddawszy się pod opiekę Najświętszej Panny i zaczerpnąwszy nowej siły przy Jej ołtarzu, puściłem się ku Warszawie. Dla honorowej niby asystencyi przyłączył się do mnie w Częstochowie książę Bagration, naczelnik wojenny tej kolei, i towarzyszył mi aż do Warszawy. W Piotrkowie powitał mię hr. Władysław Zamoyski, najstarszy syn pana Andrzeja, dawny mój znajomy z Paryża, który umyślnie wyjechał na me spotkanie i także przyłączył się do mego towarzystwa. Bardzo mi to było przyjemnie, gdyż dowodziło to, że stronnictwo umiarkowanych patryotów, na którego czele stał pan Andrzej, nie miało do mnie uprzedzenia i nie uważało mię za rządową kreaturę, jak to policya usiłowała wmówić mieszkańcom Warszawy. W debarkaderze czekał na mnie powóz, wysłany przez Namiestnika, z eskortą wojskową, ale na szczęście Zamoyski zaproponował mi swój powóz, tak, że mogłem uniknąć tego kompromitującego honoru i przybyłem do biskupiej rezydencyi pod opieką obywatelską, a nie rządową.

Z postawieniem nogi na ziemi warszawskiej, rozpoczęło się moję trudne, po ludzku mówiąc, niemożebne posłannictwo. Znalazłem się sam jeden, bez przyjaciół osobistych, bez politycznych stronników, bez tej nawet pomocy, jaką daje doświadczenie i rutyna; mając przeciw sobie z jednej strony rząd, co zawzięcie dotąd prześladował to wszystko, co mi jest najdroższem; jeśli zaś chwilowo chwycił

się innego systemu, to na każdym kroku widocznem było, że czyni to na przekor wewnętrznemu usposobieniu; z drugiej zaś strony, stronnictwo ruchu, poczytujące za zbrodnię każde antyrewolucyjne dążenie i głoszące przed narodem, żem rządowym tylko poplecznikiem, przysłanym na sparaliżowanie szlachetnych usiłowań patryotów. Gdybym mógł przynajmniej liczyć na poparcie duchowieństwa, — ale i pod tym względem nie łudziłem się wcale. Wyjąwszy tych kilku gorliwych kapłanów, co ufając bezwarunkowo Rzymowi, ufali, iż Stolica Apostolska musiała mieć pewne podstawy, mianując mię na tak ważne stanowisko, ogromna większość duchowieństwa była mi nieżyczliwa, jużto jako obcemu, już jako rządowemu, już wreszcie jako temu, co otrzymał to za czem oni napróżno się ubiegali. Przybyłem do Warszawy późno w nocy, nazajutrz więc dopiero powitała mię Kapituła, Akademia duchowna i inni przedstawiciele duchowieństwa. Wierny raz powziętemu postanowieniu, by postępować ze wszystkimi szczerze i otwarcie, wypowiedziałem też na wstępie, na jakich zasadach chciałem oprzeć stosunek mój do duchowieństwa.

Nauka moja nie jest moja, rzekłem, ale tego, który mię posłał, t. j. katolickiego Kościoła, stróża i ministra ustanowionej przez Chrystusa religii. Głównem przeto zadaniem mojem będzie urządzić wszystkie sprawy duchowne wedle ducha Kościoła, t. j. zgodnie z prawem kanonicznem i rozporządzeniami Stolicy Apostolskiej. Zbliżyć się jak najwięcej do normy ukazanej nam w Rzymie i związać się jak najściślej z ogniskiem jedności katolickiej — oto główna treść mego pasterskiego programu. Stąd pod względem zarządu postaram się usunąć nietylko wszystkie nadużycia wbrew kanonicznemu prawu przeciwne, lecz i wszelkie praktyki i zwyczaje, niezgodne z duchem kościelnym i na żadnych synodalnych postanowieniach nie oparte, chociażby przez świecką władzę podtrzymywane i mające za sobą długoletnią praktykę. W przedmiocie wychowania duchownej młodzieży, postaram się tak urządzić Akademię i semi-

narya, by i treść wykładanych tam nauk w niczem nie odstępowała od zaleconych przez Stolicę Apostolską podręczników, i sama też metoda zbliżała się jak najwięcej do używanej w Rzymie metody. Przełożonym zaś klasztorów oświadczam, iż niezmiernie wysoko cenię i poważam zakony i całem sercem dopomódz im jestem gotów do odnowienia ducha zakonnego i wprowadzenia ścisłości reguły. Pragnę szanować wewnętrzną niezależność Zgromadzeń i gotów jestem wspierać ich legalną władzę w jej chwalebnych usiłowaniach, do zaprowadzenia niezbędnych reform. Lecz od zakonników po za klasztorem i w posługach parafialnych, jurysdykcyi mojej podległych, wymagać będę z całą ścisłością tego wszystkiego, co od każdego kapłana wymagać mam prawo i obowiązek. W stosunku wreszcie do sfer zewnętrznych, nie należących do Kościoła nauczającego, starać się będę wywalczyć zgodną z wysokiem posłannictwem Kościoła niezależność. Kościół jest nauczycielem, a więc nie może przyjmować nauk od tych, których oświecać winien; Kościół jest Pasterzem i Ojcem, jego przeto jest rzeczą rozkazywać a nie słuchać. Ścisłem i wiernem trzymaniem się praw kościelnych najskuteczniej wyzwolimy się od niesłusznych wymagań władzy świeckiej, względem której wystarczy zawsze opór bierny. Rzymskie *non possumus* zamknie usta władzy, albo zmusi ją do jawnego prześladowania religijnego i zgotuje nam wieniec Wyznawców. Odwaga zaś połączona z godnością, co nie lęka się głośno wypowiadać swych przekonań i nie zważa na pogróżki i chłostę tak zwanej opinii publicznej, uwolni nas od przewagi ulicy, wdzierającej się pod płaszczem patryotyzmu do administracyi kościelnej i czysto religijnych obrzędów. Musimy się otrząsnąć z tych poniżających wpływów, co paraliżują pasterską działalność naszą i kompromitują godność kapłańską, a nawet mogłyby poddać pod wątpliwość czystość naszej wiary. Oto są główne zarysy tego planu, jaki przeprowadzić zamierzyłem w moim zarządzie. Każdy kapłan, co podzielając me dążności, poda mi rękę pomocy i współ-

pracować ze mną zechce, znajdzie we mnie bratnie serce i skuteczne poparcie. Ci zaś, co programu tego nie pochwalają i ukazaną tu drogą postępować nie pragną, najlepiej zrobią, jeśli z zajmowanych stanowisk sami ustąpią, gdyż uprzedzam, iż w żadne kompromisy pod względem zasad wdawać się nie będę i z raz obranej drogi nie zejdę, i chociażbym sam jeden miał pozostać na niej, tak mocno przeświadczony jestem, że póki szczerem sercem szukać będę tylko dobra Kościoła, nie zabraknie mi na gorliwych pomocnikach, chociażby Pan miał z kamieni wywoływać syny Abrahamowe.

Przemówienie to nie podobało się tym zwłaszcza członkom kapituły, którzy przy utworzeniu konsystorza spodziewali się zmusić mię do przyjęcia takich warunków, któreby, jeśli nie całą, to przynajmniej większą część władzy w ręce ich oddały. Wiedzieli oni, że nie znałem się na formach kancelaryi i nie byłem obeznany z tokiem spraw konsystorskich, prałat też Rzewuski, którego przeznaczałem na oficyała, szedł dotąd drogą naukową i również obcy był technice administracyjnej; czuli się przeto potrzebnymi i ufali, że będę zmuszony poddać się ich wpływowi. Pierwsza ma przemowa zmieniła jeśli nie usposobienia, to przynajmniej taktykę dawnych członków konsystorza; jedni, na których czele Zwoliński, usunęli się zupełnie, zrozumiawszy, iż wspólna ze mną praca jest dla nich niemożebna; drudzy zaś, za przykładem Siekludzkiego, zmiękli i zaofiarowali swe usługi, ufając, że podstępem otrzymają z czasem to, czego nie mogli zdobyć naciskiem. Naradziwszy się z Rzewuskim, który znał najlepiej miejscowe duchowieństwo, uformowałem konsystorz, do którego musiałem powołać Siekludzkiego, jako człowieka fachowego, żeby jednak nie mógł sformować partyi, nie wezwałem nikogo z jego przyjaciół. Jak zaś wielką miałem trudność sformowania konsystorza z żywiołów czysto kościelnych, za najlepszy służyć może dowód ta okoliczność, że musiałem wezwać na jednego z assesorów księdza Dorobisa, należącego do Zgromadzenia ks. Missyo-

narzy, profesora prawa kanonicznego w Seminaryum u św. Krzyża.

Pragnąc dać materyalną możebność członkom konsystorza poświęcenia swego czasu pracom konsystorskim, nie uciekając się do innych zatrudnień, ani nakładając na interesantów uciążliwych opłat kancelaryjskich, jak to było we zwyczaju, zaofiarowałem w biskupim pałacu mieszkanie dla tych wszystkich członków, którzy najmować je musieli, i zaprosiłem do swego stołu cały komplet Konsystorza; urzędowa bowiem pensya dla officyała, dwóch surogatów i assesora, defensora, regensa i sześciu kancelarzystów wynosiła wszystkiego razem 750 rubli rocznie, tak to hojnie uposażone było katolickie duchowieństwo w kraju, w którym skonfiskowano ogromne dobra duchowne. Inne gałęzie również były skrzywdzone. Profesor n. p. seminaryum pobierał 150 rubli rocznie. I jestże, pytam, możebne wyżyć z tego w Warszawie? Pomieszczenie nadto dyecezyalnego seminaryum u św. Jana było tak szczupłe, niewygodne i niezdrowe, że sam Lüders, kiedy go raz zawiozłem, aby je zwiedził, wyznał, że wolałby zimą nawet mieszkać pod namiotem, niż w tak wstrętnej dziurze. I pod względem materyalnym przeto wiele bardzo było do zrobienia.

Załatwiwszy się z konsystorzem, pojechałem do Namiestnika. Jenerał Lüders był to dzielny wojskowy, gotów na rozkaz cesarza wyrżnąć choćby kraj cały, ale po za służbą frontową nie znający się na niczem i, co rzadko się zdarza, szczerze to wyznający. Nieudolność jego pod względem administracyi i polityki była tak wielka, że w rozmowach, w tym przedmiocie prowadzonych, nie zawsze zrozumiał, o co rzecz idzie; do zdania zaś sprawy z treści słyszanych wywodów zupełnie był niezdolny. Z tego powodu przy każdej ważniejszej nieco rozmowie asystował mu zawsze albo jenerał gubernator Krzyżanowski, przebiegła, ale strasznie nikczemna kreatura, albo naczelnik dyplomatycznej kancelaryi, Safianos, którego zwykle nazywano w Warszawie przepolszczonem nazwiskiem: Skórka na bóty;

i istotnie był to bardzo wyciągający się i podatny materyał, który nie miał nic przeciwko temu, by się słać pod nogi, byle mu z tem dobrze było. O niczem samoistnem mowy tu być nie mogło, wałkował tylko jak najcieniej cudze myśli i przyprawiał je potem wedle smaku każdego. Przy udzielonej mi pierwszej audyencyi przytomny był Krzyżanowski i sam głównie podtrzymywał rozmowę. I on wszakże nie był wcale dyplomatą, tak, że odrazu z pod francuskiego werniksu wyzierała kozacka natura. Był to patryota rosyjski w Katkowskiem znaczeniu, u którego nienawiść wszystkiego, co nie swoje, podstawę patryotyzmu stanowi. Niezdolny wyjść z ciasnego kółka swych pojęć administracyjnych, ani przypuszczał on nawet, by nominacya moja spowodowana być mogła jakiemibądź innemi kombinacyami politycznemi, nad ową jedynie zrozumiałą dla niego Mikołajowską zasadę: zruszczyć i zeschyzmatyczyć kraj cały. Wiedząc, iż wybrany zostałem przez sam rząd w Petersburgu, był on pewny, że duszą i ciałem oddany byłem tej idei, którą on za jedyną państwową mądrość uznawał. To też od pierwszego spotkania zaczął wynurzać się przede mną z takiemi zwierzeniami, jakie mógłby uczynić chyba przed zupełnie zaufanymi stronnikami wynarodowienia kraju, w którym był jednym z najwyższych reprezentantów władzy, ze względu zaś na polityczną nieudolność Namiestnika, był, można powiedzieć, najwyższym.

Lüders przyjął mię od razu tem szczerem wyznaniem: »Jestem żołnierzem i nie wdaję się w politykę. Dałem słowo honoru Cesarzowi, że utrzymam porządek w Warszawie, i słowa tego dotrzymam, chociażbym miał zbombardować całe miasto«. Krzyżanowski za to począł rozwijać przede mną swą głęboką znajomość stanu rzeczy w kraju: »Stoimy, rzecze, na wulkanie, który lada chwila wybuchnąć może, liczyć zaś nie możemy na nikogo, oprócz na wojsko i własnych urzędników. Polacy dzielą się wprawdzie na białych i czerwonych, z których ostatni chcą, pierwsi zaś nie chcą rewolucyi; co do mnie wszakże uważam białych za daleko

niebezpieczniejszych dla rządu, bo go w sieci uwikłać pragną. Czerwoni porwą za broń, my ich zdusimy i na tem cała komedya się skończy. Ale te łotry białe *(mais ces coquins des blancs)*, jeśli się im uda opanować rewolucyę, gotowi nas wszystkich ztąd wykurzyć«. Czułem, że tu przemawiał duch szczerze rosyjski, to zaś, co w Petersburgu słyszałem, wyglądało bardzo na rolę wyuczoną. Z tych niewyzwanych zwierzeń zrozumiałem od razu, że tu o żadnej wspólnej działalności z rządem mowy być nie może, że od razu trzeba się postawić na stopie odpornej i że dla działania mego gdzieindziej podstawy szukać powinienem. Pod względem stosunków z narodem bardzo mi o to chodziło, by uwydatnić zarazem i moją miłość dla kraju, i stanowcze potępienie środków rewolucyjnych w służeniu narodowej sprawie; nim zaś nastręczy się zręczność wypowiedzenia przekonań moich o rewolucyi, sądziłem, iż było moim obowiązkiem zamanifestować przed krajem, iż pragnę pozostać z nim solidarnie związanym pod względem uczuć narodowych; że zaś hr. Andrzej Zamoyski był jakby uosobieniem umiarkowanego patryotyzmu, postanowiłem przeto złożyć mu pierwszą wizytę i to wprost od Namiestnika. Co też i spełniłem niezwłocznie.

Stanowisko polityczne pana Andrzeja najwięcej zbliżało się do mojego pod względem zasadniczych przekonań, chociaż położenie moje oficyalne było całkiem różne. Jak on, i ja też nie ufałem dobrym chęciom rządu; jak on, i ja też zasadzałem postęp kraju głównie na własnej, niezależnej od rządu pracy; jak on, i ja gotów byłem przyjąć za dewizę w stosunku do czynionych przez rząd ustępstw: »Wszystko przyjmować, lecz z niczego nie kwitować«; jak on wreszcie, i ja też uważałem zbrojne powstanie w ówczesnych okolicznościach nietylko za niewczesne, lecz za zgubne dla narodu. Różniło zaś nas głównie pojęcie o naturze gotującego się w obozie goretszych patryotów zbrojnego ruchu; ja bowiem, opierając się na relacyach Margrabiego i Łubieńskiego, poczytywałem ten ruch za rewolucyę natury

socyalistycznej, on zaś upatrywał w nim nierozważne wprawdzie i zgubne, ale czysto narodowe powstanie. Przy takich warunkach porozumienie między nami nie było trudne; chodziło tylko bowiem o to, bym w publicznych odezwaniach się o partyi ruchu nie oskarżał ją o dążności socyalistyczne, do których ona sama się nie przyznaje i co mogłoby zaszkodzić całej naszej sprawie w oczach rządów europejskich, rosyjskiemu zaś rządowi podałoby tylko niebezpieczną broń w rękę, gdyż poparty sądem najwyższego dostojnika kościelnego w kraju, prześladowałby wszystkich gorętszych patryotów, jako burzycieli społecznego porządku. Ten ostatni argument najsilniej na mnie podziałał, przyrzekłem przeto zastosować się do udzielonej mi rady; pan Andrzej zaś przyrzekł popierać mię w obozie umiarkowanych patryotów. Późniejsze wypadki dowiodły, że, jakkolwiek źródło ruchu było zarażone socyalizmem i pierwsze jego objawy nosiły charakter całkiem rewolucyjnego terroryzmu, w miarę wszakże jego rozwijania się i przystępowania doń żywiołów narodowo-powstańczych, pierwotny charakter coraz bardziej ustępował, ruch zaś przybierał coraz wyraźniej naturę wojny o niepodległość.

Wizyta moja u hr. Zamoyskiego w parę godzin była znana w całem mieście i sprowadziła mi jako odpowiedź kilkaset biletów wizytowych z obozu umiarkowanych patryotów, którzy krok ten czysto obywatelski uznali za dostateczną rękojmię, iż w postępowaniu mojem chcę być niezależnym i że nie wyrzekam się solidarnego związku z narodem. Dowód ten uznania ze strony poważanego powszechnie stronnictwa dodał mi nieco otuchy, gdyż uczułem pod nogami grunt stały, na którym mógłbym oprzeć obywatelskie prace moje. Pozostawało jeszcze załatwić naglącą sprawę otwarcia kościołów, do której też niezwłocznie przystąpiłem. Wnet po sformowaniu konsystorza poleciłem regensowi, ks. Czajewiczowi, zredagowanie okólnego pisma do wszystkich przełożonych warszawskich kościołów, że nazajutrz, 13 lutego, nastąpi rekoncyliacya dwóch sprofano-

wanych świątyń, wszystkie zaś inne winny być otworzone i nabożeństwo ma się odtąd odbywać wszędzie dawnym porządkiem. Regens związany sympatyami z partyą ruchu, która gospodarowała dotąd w kościołach, zrobił uwagę, iż trzeba, wedle istniejącego zwyczaju, posłać obwieszczenie o mającej nastąpić rekoncyliacyi do »Kuryerka«, gdyż inaczej, publiczność będzie sądzić, iż dokonano obrzędu tego potajemnie, z obawy narażenia się rządowi. Odpowiedziałem, że uważam za rzecz całkiem niewłaściwą, aby czynności władzy duchownej czynić w jakikolwiek sposób zależnemi od publicznej opinii, i przeto nie pozwalam na żadne gazeciarskie obwieszczenia; co zaś ludzie powiedzą, to mię mało obchodzi, byle mi sumienie dawało świadectwo, że spełniłem wiernie swój pasterski obowiązek. Regens odparł na to, że lęka się bardzo, aby lud obrażony zaniedbaniem istniejących zwyczajów nie mścił się śpiewaniem zabronionych pieśni w czasie nabożeństwa. »A jeśli poślemy ogłoszenie do »Kuryerka«, zapytałem, czy ręczysz mi ks. Regensie, że śpiewać nie będą?« Zagadnięty zmieszał się nieco, odrzekł wszakże, iż ręczyć nie może. »Pocóż, ciągnąłem dalej, stosować się mamy do fantazyi ulicy, kiedy ulica w żadnym razie do nas stosować się nie myśli. Czyż Kościół, co jako filar i utwierdzenie prawdy winien być gwiazdą przewodniczką dla całego społeczeństwa, ma zejść do roli jakiegoś sztucznego fajerwerku, co pali się lub gaśnie dla uciechy widzów, wedle fantazyi puszkarzy? Trzeba nareszcie wstąpić na szerszą drogę i zaniechać tych niezgodnych z godnością Kościoła zwyczajów«.

Kurenda do proboszczów została rozesłana bez zawiadomienia »Kuryerka« i odtąd między duchowieństwem i konsystorzem nie pośredniczyła żadna świecka gazeta. Pomimo to wieść o mającej się odbyć rekoncyliacyi kościołów błyskawicą rozleciała się po Warszawie, tak, iż nazajutrz od rana tłumy cisnęły się i zapełniały otwarte świątynie zwłaszcza zaś Farę, gdzie ja sam dopełnić miałem ceremonii, poleciwszy kościół Bernardynów biskupowi Platerowi.

Kiedy przybyłem do ś. Jana, ciżba była tak wielka, iż ściśnione szeregi wiernych stały jak mur nieruchomy, prawie poruszać się nie mogąc. Po dokonanej ceremonii rekoncyliacyi, wstąpiłem na ambonę i w te mniej więcej słowa przemówiłem do ludu, z tekstu: »Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli«. (Luk. II, 14). »W tych słowach, wygłoszonych przez anielskie chóry w najważniejszej dla świata chwili, bo w chwili narodzenia się Zbawiciela, zawiera się, Najmilsi Bracia, i cel naszego istnienia i nie zbędny szczęścia naszego warunek. Świat cały stworzony jest na chwałę Bożą: całe przyrodzenie wydaje bezwiednie świadectwo nieskończonej mądrości swego Stworzyciela, człowiek zaś wielbi Go ze świadomością, gdyż nosząc w duszy Jego wizerunek, choć słabe ma pojęcie o nieskończonych doskonałościach Boga. Rodząca się z tego uwielbienia miłość, oddziaływa na wolę człowieka i skłania ją do żądania tego, czego Bóg żąda, gdyż najmędrszy i doskonały dobra tylko pragnąć może. To zamiłowanie tego, czego Bóg chce, sprawia w człowieku dobrą wolę, gdyż wola nasza o tyle tylko może być dobrą, o ile z wolą Stwórcy jest zgodna. W nagrodę zaś za tę zgodność woli, Pan Bóg obdarza człowieka pokojem, nie tym, jaki świat daje, pozornym i krótkotrwałym, lecz pokojem stałym i niezachwianym za życia, a wiekuistym, w szczęście doskonałe mieniącym się po zgonie. Na ziemi szczęście doskonałe jest niemożebne, najwięcej wszakże znaleźć go można tam, gdzie najwięcej kwitnie chwała Boża i gdzie ludzie najlepszą mają wolę. Zastanówmyż się nad własnem położeniem, Najmilsi Bracia, i obaczmy, czy dopełniamy z naszej strony koniecznych warunków szczęścia? Niestety! Dość spojrzeć na stan naszego miasta, dość podsłuchać toczących się po ulicach rozmów, by utwierdzić się w tem przekonaniu, żeśmy stracili to wszystko, co prawdziwe szczęście zapewnia. Publiczna chwała Boża zamilkła wraz z zamknięciem kościołów, po domach zaś słychać tylko narzekania i przekleństwa, bez względu na to, że wszystko, co bez przyczynie-

nia się woli naszej nas spotyka, jest albo zrządzeniem, albo dopuszczeniem Opatrzności. Dziwnaż, że nie mamy pokoju, skoro brak nam dobrej woli, skoro zamiast chcieć tego, czego Bóg chce, serca nasze w ustawicznym są przeciwko Niemu rokoszu? A jednak i dziś od nas tylko zależy odzyskać pokój prawdziwy, dopełniając warunków, pod jakimi Stwórca go nam przyrzeka. Pracujmy tylko nad pomnożeniem chwały Bożej, a wnet pokój prawdziwy zamieszka w duszach naszych i doznamy tej wewnętrznej błogiej pociechy, ze zjednoczenia z Bogiem płynącej, której wartość tak dalece przewyższa to wszystko, co świat zowie szczęściem, iż dla zachowania tego skarbu ŚŚ. Męczennicy nie wahali się poświęcić wszystkie dobra doczesne, nie wyjmując i życia samego. Z mojej strony radbym wam dopomódz do spełnienia tego zadania, o ile mi sił starczy. Otwierając kościoły, wznawiam publiczną chwałę Bożą, przez tak długi czas przerwaną. Lecz proszę Was, Najmilsi Bracia, nie zakłócajcie jej na przyszłość śpiewami i manifestacyami, polityczny raczej, niż religijny charakter mającemi. Nie dawajcie dobrowolnie powodu do nowych profanacyj i nowej obrazy Bożej. Ręczam Was, że nie przemawiam tu ani z natchnienia rządowego, ani w celu ostudzenia w sercach waszych miłości dla Ojczyzny. Wierzcie mi, że gdybym wiedział, iż to święte uczucie ma zamrzeć w sercach polskich, sambym błagał Pana Zastępów, by nawiedził bezpłodnością łona polskich niewiast, gdyż stokroć wolę, by to pokolenie wyrodnych synów ziemskiej matki naszej nigdy nie ujrzało dnia Bożego, niźli gdyby miało opływać w potęgę, chwałę i zamożność na grobie rozćwiartowanej ojczyzny. To też gdyby Wam zabraniano kochać ojczyznę, sambym wam powiedział: nie słuchajcie tego rozkazu, bo on się przyrodzonemu prawu sprzeciwia. Gdyby nawet zabraniano wam modlić się za Ojczyznę, i wówczas zaprotestowałbym przeciw temu rozkazowi, gdyż każde dziecko ma nietylko prawo, ale i obowiązek prosić Boga o pomyślność matki swojej. Lecz nikt wam obecnie ani miłości, ani modlitwy nie wzbrania.

Słyszałem z własnych ust Cesarza, iż nietylko nic wzbrania Polakom pozostać Polakami, lecz pragnie owszem, by kraj nasz rozwijał się w duchu katolickim i narodowym, byle na legalnych drogach, które nowe prace prawodawcze otworzą wkrótce przed narodem. Byście zaś z tych błogich zamiarów Monarchy korzystać mogli, rząd jeden tylko stanowi warunek: uspokojenie się, zaniechanie manifestacyjnych nabożeństw i śpiewów, które przecie istoty rzeczy nie stanowią. Proszę was przeto i zaklinam, zaniechajcie patryotycznych śpiewów po kościołach a powróćcie do zwykłego trybu modlitwy, boć to, co w zamian otrzymać mamy, godne jest tej ofiary. Powiecie może, iż rząd obietnic swoich nie dotrzyma i zawiedzie nas, jak już tyle razy zawiódł. Na to odpowiem Wam tylko, iż wierzę niezachwianie w sprawiedliwe rządy Opatrzności, która wcześniej czy później dosięgnie zawsze winnego; starajmyż się tak postępować, abyśmy nie my byli winnymi«.

W czasach spokojnych podobne przemówienie zyskałoby mi opinię gorącego patryoty, ze strony zaś rządu ściągnęłoby niechybnie prześladowanie; lecz w chwili obecnej umysły tak były wzburzone, a wymagania tak wielkie, że partya ruchu to tylko z niego zrozumiała, że namawiam naród do opuszczenia rąk i czekanie na carskie łaski, w których ja nieograniczoną ufność pokładam. Rozmaite, a wszystkie nie wierne reprodukcye tego przemówienia ukazały się z odpowiednimi komentarzami po gazetach, co dało powód rządowi do zredagowania swojej wersyi, mającej być umieszczoną w »Dzienniku Powszechnym«, rozumie się w odpowiednim duchu; gdy jednak przedarłszy tę oficyalną parodyę, napisałem tekst mowy tak, jak była powiedziana, rząd odstąpił od zamiaru jej ogłoszenia, a opinia publiczna musiała poprzestać na mylnych tylko sprawozdaniach. Obecne wszakże w kościele osoby z obozu umiarkowanego zostały zadowolone tą mową i nie zmieniły dobrego względem mnie usposobienia.

Nazajutrz po otwarciu kościołów oddał mi wizytę Namiestnik, a że był bez asystenta, wygadał się więc nieco więcej, niżby mu w innym razie dozwolono. Dowiedziawszy się, że ksiądz Rzewuski został już zamianowany oficyałem, nie mógł pojąć, jak Cesarz mógł zgodzić się na podobny wybór, mając tak zasłużonych ludzi, jak Zwoliński i Topolski. Zapowiedział wszakże, jakby dla ulgi strapionemu sercu swemu, że obu tych prałatów przedstawił Cesarzowi na biskupów: płockiego i augustowskiego. Zrobiłem na to uwagę, że nie warto przedstawiać takich kandydatów, którzy z pewnością w Rzymie odrzuceni będą, przeto, że najgorszej używają opinii, zwłaszcza zaś ks. Zwoliński, którego przedajność w konsystorzu w sprawach rozwodowych ujawnioną już została w Kuryi niezbitymi dowodami. Na to Namiestnik odpowiedział otwarcie: *Oui, je sais que c'est un homme taré, mais qui est-ce qui nous servira, si nous ne recompensons pas les services rendus?* Kiedy mu przedstawiłem, że wedle zeznań samego jenerała Krzyżanowskiego, uczynionych w obecności hr. Zamoyskiego, cytadela napełniona jest więźniami tak źle utrzymanymi, że aż słoma, służąca im za posłanie, od robactwa się rusza; że aresztują i wtrącają do więzienia z powodów częstokroć tak błahych, że gdzieindziej uwagiby nawet na to nie zwrócili, jak noszenie żałoby, niskiego kapelusza lub białego orzełka w pierścionku lub broszy; że podobny sposób postępowania całkiem się sprzeciwia obecnemu usposobieniu Monarchy, który sam wolę mi swoją objawił i chce, by swobodny rozwój narodowy nie był w kraju tamowany, jenerał Lüders odpowiedział spokojnie, że pamięta każde słowo z tego, co jemu samemu Cesarz mówił, i tego wiernie się trzyma i póty trzymać się będzie, póki sam Monarcha nie zwolni go od włożonych nań zobowiązań. Że nie wdając się w to, jakiej polityki mają się na przyszłość trzymać w Petersburgu, mocno jest przekonany, że obecnie jeden rygor wojenny może zapewnić spokój w Warszawie, i przeto nic nie zmieni z swego dotychczasowego postępowania. Widząc takie

usposobienie Namiestnika, skorzystałem z udzielonego mi pozwolenia w Petersburgu, i w liście do ks. Gorczakowa opisałem smutny stan rzeczy, jaki znalazłem w Warszawie, prosząc, by rząd centralny wpłynął na zmianę praktykowanego dotąd przez miejscowe władze systemu. Oto odpowiedź ks. Gorczakowa, którą, pomimo jej obszerności, umieszczam całkowicie, jako dokument, charakteryzujący dokładnie ową tak życzliwą na pozór, a tak nieszczerą w gruncie politykę, której do czasu postanowiono trzymać się względem nas w Petersburgu.

»Miałem zaszczyt otrzymać list, który Wasza Pasterska Mość raczyłeś wystosować do mnie pod d. $^{9}/_{21}$ lutego. Przedewszystkiem dziękuję Mu za ten dowód zaufania. Nie potrafiłbym zaś dać lepszego dowodu, iż wysoko cenię to zaufanie, jak odpowiadając na nie z tąż samą szczerością. Wasza Pasterska Mość doznałeś przykrych wrażeń za przybyciem swem do Warszawy. Czuć się to daje w jego liście. Do pewnego stopnia mogłem się tego spodziewać, zbyt bowiem wiele jest osób w tem interesowanych, by Ci stan kraju przedstawić w ciemnych kolorach. Pojmuję to, że najstalszy nawet charakter może zachwiać się chwilowo, a najświatlejsza przenikliwość zamącić się; kiedy codziennie też same usiłowania skierowane są ku tymże samym celom. Lecz niech mi wolno też będzie zachować to przekonanie, że te przelotne wrażenia znikną, skoro, nie zatrzymując się na zewnętrznych pozorach, raczysz odwołać się do wywiezionych z Petersburga wspomnień. Stan oblężenia ze swą nieuchronną surowością, być nawet może z pewnym zbytkiem gorliwości ze strony władz miejscowych, nie może przyczynić się do wypogodzenia umysłu. Drażni on zbyt wiele interesów, krępuje zbyt wiele namiętności, udaremnia zbyt wiele występnych nadziei, aby wszyscy obżałowani i wszyscy zawiedzeni nie prześcigali się w przesadzaniu rzeczywistych jego skutków. To właśnie nazywam zewnętrznym pozorem. Rzeczywistość zaś, to, o co przedewszystkiem chodzi dla dobrobytu i przyszłości Królestwa, stanowią

wspaniałomyślne natchnienia serca Najjaśniejszego Pana, jego dobroczynne zamiary względem polskich jego poddanych, pomimo iż wdzięczność ich tak długo każe na się czekać, i stałe postanowienie naszego Miłościwego Pana podtrzymania i rozwijania tego wszystkiego, co nakazuje sprawiedliwość i co dopomaga rzeczywistym interesom kraju. Wasza Pasterska Mość miałeś szczęście zbliżyć się do naszego dostojnego Monarchy. Dano Ci było poczerpnąć z własnych ust jego wylew ożywiających go usposobień, jego poszanowania dla wolności sumienia, jego pragnienia wreszcie ogarnienia wspólną miłością swych poddanych z Królestwa i z Cesarstwa. Oto są prawdy, na których radziłbym W. P. M. oprzeć nadzieje swe na przyszłość, niemniej jak sądy swe o stanie obecnym. Położenie kraju, powiadasz, jest nie do zniesienia. Lecz położenie władzy aż do ustanowienia stanu oblężenia było w wyższym jeszcze stopniu nieznośne. Stało się ono takiem w skutek ciągłych prowokacyj, ponawiających się w ciągu miesięcy całych, wskutek opłakanego pobłażania władzy miejscowej, która skończyła na tem, iż dała niejako patent bezkarności burzycielom. Nieczujność zaś władzy obraca się zawsze ostatecznie na szkodę podwładnych. Kładąc koniec podobnemu stanowi rzeczy, Monarcha spełnia swój najpierwszy obowiązek. Być może, raz jeszcze powtarzam, iż zbytek surowości mógł się niekiedy zdarzyć i może nawet mieć miejsce na przyszłość. Jest to udział ludzkiej ułomności, dla której, mniej niż kto inny, W. P. M. może odmówić płaszcza chrześcijańskiego miłosierdzia. Lecz niemasz wątpliwości, iż nie wchodzi bynajmniej w zamiary Najjaśniejszego Pana, by wyjątkowe położenie kraju pociągało za sobą użycie większej surowości, niż utrzymanie porządku tego wymagać może; ilekroć zaś okoliczności, powiększające ważność nadużyć dowiedzionych dojdą do wiadomości Najjaśniejszego Pana, wnet rozkazy Monarchy nakazują użycie lekarstw właściwych. Co do żądań, jakie W. P. M. wyrażasz względnie do Królestwa, racz pozwolić, że ze zwykłą mi otwartością zaliczę do cał-

kiem podrzędnej kategoryi: ubiory, barwy i białe orły. Przyzwalając na nie, rząd nie przyczyniłby się w niczem do rzeczywistego dobrobytu stron interesowanych, ośmieliłby owszem tylko dążności, których ostateczny cel dobrze jest znany, i upoważniałby nadzieje, których urzeczywistnienie jest całkiem niemożebne. Ja nie przywiązuję żadnej wagi do tych oznak zewnętrznych. Dziś, kiedy namiętności dalekie są od uspokojenia się, kiedy stronnicy zupełnej niepodległości podstrzegają każdy krok rządu, stałoby się to tylko hasłem i to hasłem, którego znaczenie nie omieszkanoby wytłomaczyć w duchu najbardziej przesadzonych wyrachowań. Żądaj od rządu słuszności, bezstronności, życzliwości; ale nie żądaj od niego, by odgrywał komedyę, która tworzyłaby tylko ofiary. Nie będę wchodzić we wszystkie szczegóły, których W. P. M. dotyka. Prosiłbym, abyś je sam podporządkować raczył znanym mu ogólnym usposobieniem naszego Najmiłościwszego Pana. Pozostają one niewzruszone pod względem dobra Kościoła i szczęścia polskich jego poddanych, lecz praktyczne ich zastósowanie i stopień ich rozwoju musi koniecznie zależeć od usposobień, wykazywanych nawzajem przez kraj Monarsze. Piękne posłannictwo dostało się W. P. M. Wzniosłość twych posług religijnych zapewnia Ci przeważny wpływ na twe owieczki; zaufanie zaś Cesarza, którego miałeś tak oczywisty dowód, daje Ci możebność rozwinięcia swej dobroczynnej działalności na obszerną skalę. Pozwól mi zachować to przekonanie, iż pozostaniesz wiernym temu posłannictwu; że potrafisz oprzeć się usiłowaniom tych, którzy pragną uczynić Cię politycznem narzędziem swych namiętności i sprowadzić Cię z wysokości Twego stanowiska, nadużywając szlachetnych popędów ludzkiego serca. Zadanie Twe jest trudne, przyznaję to chętnie. Wszystkie oczy śledzą za każdym Twym krokiem; lecz na drodze cnoty niemasz niemożliwego zadania. Pan Bóg nigdy nie odmawia siły tym, którzy po tej drodze iść usiłują. Nie wątpię, że najwyższe władze Królestwa okazują Waszej Pasterskiej Mości wszystkie względy i uprzej-

mości należne stanowisku, jakie zajmujesz, i Twemu osobistemu charakterowi. Mamy już tego dowody w przyjęciu, jakiego doznały niektóre Twe wstawienia się o darowanie kar pewnym duchownym, a to, co jenerał Lüders donosi o wrażeniu, jakiego doznał przy pierwszych stosunkach z Waszą Pasterską M. zdaje się najlepiej o przyszłości wróżyć. Stosunki nasze z Rzymem nie przestają być jak najlepsze. Ojciec św. okazuje się bardzo obowiązanym za dobre usposobienia Naszego Najmiłościwszego Pana względem katolickiego Kościoła. Wakujące stolice biskupie wkrótce zostaną osadzone. Zajmujemy się obecnie wyborem dostojników, którzy mają być przedstawieni, wedle zwyczaju, na uprzednie zatwierdzenie Stolicy Apostolskiej. Opóźnienie w naznaczeniu Prałata, przeznaczonego naprzód do zajęcia przy naszym Dworze czasowej misyi, mającej być zamienioną z czasem w stałą nuncyaturę, spowodowane zostało jedynie troskliwością Ojca Św. w wyborze tej osobistości, która winna być zarazem pożyteczną i dla obu stron pożądaną. Pozostaję zawsze do rozporządzenia W. P. M., ilekroć znajdziesz, iż mogę być użytecznym pośrednikiem w zakomunikowaniu Twych pragnień, tych zwłaszcza, które się stosują do interesów specyalnie Ci zleconych. Rozporządzając mną w ten sposób, przekonasz mię, iż nie masz mi za złe mej otwartości. Co do mnie, poczytam się za szczęśliwego, mogąc dorzucić mój szeląg do zbawiennej sprawy, jakiej wspólnie pragniemy«.

Po przeczytaniu tego listu zrozumiałem, że w Petersburgu, również jak w Warszawie, nie mogłem liczyć na poparcie rządu, ilekroć występować zechcę w interesie cierpiących i uciśnionych owieczek moich, że i tam mają na celu jedynie interes państwa. Nie tyle jednak zabolałaby mię szczera i jawna odmowa, ile to faryzajskie wywijanie się, dążące do oplątania umysłu i zawikłania prawdy. Istotną treść całego listu możnaby zamknąć w kilku wierszach, bardzo niepochlebnych dla mnie i niezmiernie smutnych dla sprawy narodowej. Ja w dni kilka, dzięki intrygom spi-

skowców, zostałem ślepem narzędziem ich knowań, zstąpiłem z wysokości pasterskiego stanowiska na ciasną arenę politycznych knowań i zawiodłem położone we mnie zaufanie. Radzono mi przeto nie wdawać się w to, co do mnie nie należy, zamknąć oczy na polityczne sprawy i na postępowanie rządu, do którego mogę się udawać chyba w kwestyach czysto kościelnych. Co do narodu zaś, ten powinien wyrzec się wszelkich marzeń o rzeczywistej samoistności, winien poddać się bez szemrania najsurowszym środkom przeciw niemu użytym, manifestując jeszcze swą wdzięczność wobec całej Europy za jakoweś łaski, których winien się czuć niegodnym. Wszystko to jednak ujęte w tak ułudne frazesa, iż z każdego twierdzenia można się wywinąć, zostawiwszy wszakże żądło w sercu. Lecz nic mię tak w liście tym nie oburzyło, jak ów niesłychany machiawelizm, użyty w traktowaniu kwestyi ubiorów i narodowych godeł. Ja skarżę się na policyę, która zrywa na ulicy z kobiet ubranie, zdradzające patryotyzm, i sadza do więzienia za czamarkę lub konfederatkę. Gorczaków sam uznaje z góry, iż kwestyę kostiumów uważa za całkiem podrzędną i nie mającą rzeczywistej politycznej wartości; któżby po tem założeniu nie oczekiwał konkluzyi, że policya otrzyma rozkaz nie zwracania uwagi na te bagatele i wypuszczenia tych, co już aresztowani zostali? Tymczasem szlachetny i pełen wzniosłych uczuć kanclerz wyprowadza stąd bardzo naturalny w jego przekonaniu wniosek, że ponieważ przy tej bagateli naród się upiera, słuszna jest więc i konieczna karcić jak najsurowiej te jego zachcianki, gdyż gotówby później domagac się czegoś ważniejszego i poczytywać się istotnie za naród, co ma swą odrębną narodowość, cywilizacyę i dziejową przeszłość. Niech więc raczej żołdactwo znieważa polskie niewiasty i zakuwa w kajdany polską młodzież, niżby miało przyjść do tego, by naród cały poczuł w sobie ducha polskiego. Jeśli zaś potrzebne jest pobłażanie, to nie dla tej szlachetnej młodzieży, co miłość ojczyzny z piersi matek wyssała i gotowa poświęcić dla niej swe ży-

cie; ale dla tych raczej nikczemnych oprawców, co panosząc się na cudzej ziemi i cudzem dobrem napełniając kieszenie, pastwią się jeszcze z cynicznem okrucieństwem nad ofiarami własnej nienawiści, przekraczając nawet udzielone sobie prawa. Dla takiego to Krzyżanowskiego, co trzyma uwięzionych za konfederatkę dzieciaków na słomie, ruszającej się od robactwa, serdeczny opiekun Polaków domaga się o wyrozumiałość i chce, bym z prawdziwie pasterskiem sercem pokrył płaszczem chrześcijańskiego miłosierdzia te nieuchronne ludzkie ułomności. Jeśli to nie jest jawne urąganie, to musiał Książę mieć bardzo nizkie pojęcie o mej przenikliwości, umieszczając podobne frazesa w swym liście. Nowe to doświadczenie umocniło mię jeszcze więcej w tem przekonaniu, że powinienem postępować drogą całkiem samoistną, chroniąc się wszelkiej solidarności tak z rządem, jak z jakiembądź stronnictwem politycznem. Pilnować przedewszystkiem interesów Kościoła, których z pewnością nikt inny nie podejmie; w sprawach zaś publicznych występować o tyle, o ile pasterskie obowiązki do tego mię przynaglą.

Mimo mej woli jednak zakres politycznej działalności mojej znacznie się rozszerzył przez nominacyę, jaką otrzymałem w połowie lutego, na stałego członka Rady Stanu, przez co zostałem nietylko już kościelnym, lecz i państwowym dygnitarzem. Okoliczność tę uważam za bardzo ważną przy ocenieniu dalszego postępowania mego, które, bez jej uwzględnienia, w fałszywem świetle przedstawić się nie omieszka. Wiem, że zarzucano mi nieraz, nawet ze strony osób, zapatrujących się z punktu widzenia czysto kościelnego, iż niepotrzebnie mieszałem się do spraw politycznych, przez co naraziłem swe stanowisko pasterskie. Lecz czyż zarzut podobny może być słusznie uczyniony członkowi Rady Stanu, który z urzędu do udziału w politycznych sprawach jest powołany? Ktoby zaś sądził, iż należało mi odrazu nie przyjąć nominacyi, ten zapomina chyba, że podejrzliwość rządu była wówczas tak wielka, iż podobna odmowa poczytanąby została za wrogą manifestacyę i jeszcze więcej pogorszyłaby

me stosunki z rządem. Skoro zaś do Rady Stanu wstąpić wypadało, wypadało też przyjąć w jej pracach rzeczywisty udział, korzystając z każdej zręczności, by i na tem polu służyć Kościołowi i krajowi, boć była to właśnie owa legalna droga, na której miały się urzeczywistnić życzliwe dla nas zamiary Monarchy.

Jakoż, przyjąwszy nominacyę, zaraz nazajutrz udałem się do Rady Stanu i odtąd bez ważnych przeszkód nie opuszczałem nigdy posiedzeń, które miewały miejsce od dwunastej do czwartej po południu. Dzień mój tym sposobem był niezmiernie zajęty. Wstawałem o szóstej, mszę św. odprawiałem o siódmej. O ósmej piłem herbatę i załatwiałem naglące interesa, które nie cierpiały zwłoki, bądź urzędowe, bądź prywatne. O dziewiątej schodziłem do konsystorza, gdzie na ogólnem posiedzeniu rozbieraliśmy wszystkie bieżące interesa i podpisywali decyzye, postanowione na poprzedzającej sesyi. Wróciwszy z konsystorza, w dnie kiedy były posiedzenia Rady Stanu, jechałem wnet na sesyę, w dnie zaś wolne zwiedzałem kościoły, klasztory i dobroczynne zakłady w Warszawie. Około piątej wracałem na obiad, wieczorem zaś załatwiałem korespondencye i prywatne interesa. We czwartki tylko przyjmowałem duchowieństwo i znajomych mężczyzn na herbatę. W niedzielę zaś po sumie dawałem posłuchanie wszystkim osobom, udającym się do mnie w jakimbądź interesie.

Zwiedzając zakład sierót, wychowywanych kosztem Dobroczynności pod opieką Sióstr miłosierdzia, zostałem przyjęty w bardzo dziwny sposób, gdyż dziewczynki te, po większej części drobne, zaśpiewały na me powitanie obozową pieśń: »Hej, ramię do ramienia! Hej, strzemię do strzemienia!« Nie przerywałem śpiewu, ale po jego ukończeniu zapytałem z uśmiechem: »Któż to was, moje dziatki, nauczył tej wojennej piosnki? Zdaje się, że ani ja, ani wy bić się nie pójdziemy, a i mistrzynie też wasze inne obrały powołanie; nie pojmuję przeto, co za znaczenie może mieć w dziecinnych ustach waszych pieśń podobna.« Najwięcej zdeto-

nowały się Szarytki i poczęły przepraszać za niewłaściwe zachowanie się dzieci; ale ja nie chciałem nawet dochodzić źródła tej, co najmniej niestosownej manifestacyi. Wypadek ten jednak nastręczył mi pierwszą myśl sprowadzenia do Warszawy Sióstr Rodziny Maryi, żeby się zajęły wychowaniem dziewcząt najuboższej klasy, i co też przy pomocy osób miłosiernych, zwłaszcza zaś hr. Ksawerego Pusłowskiego i dostojnej jego małżonki, wkrótce do skutku doprowadziłem.

W ciągu tych rozmaitych zajęć, które cały mój czas pochłaniały, nie zapomniałem też o ogłoszeniu mego listu pasterskiego; skutkiem wszakże porozumienia mego z hr. Andrzejem Zamoyskim i innymi członkami stronnictwa umiarkowanego, należało uskutecznić w mej odezwie niektóre zmiany, zwłaszcza zaś wypuścić ustęp o socyalistach, który wyglądałby jak oskarżenie własnego narodu i mógłby posłużyć rządowi za dowód jego winy i podstawę do nowych prześladowań. Zanim jednak uśpiałem załatwić się z redakcyą i drukiem, zaszedł wypadek, który nadał tej sprawie niezwykłą doniosłość i przyczynił się niemało do pogorszenia jeszcze mych i tak już nie najlepszych stosunków z rządem. Pewna osoba w Petersburgu, mająca sobie zakomunikowany poufnie przez ks. Łubieńskiego mój list pasterski we francuskim przekładzie, przesłała zeń kopię do swych krewnych we Francyi, ci zaś, nie przewidując stąd żadnych złych następstw, podali ten dokument do dziennika »Le Monde«, gdzie też został wydrukowany co do słowa w pierwotnej swej redakcyi. Tegoż dnia, kiedy wiadomość o tej niedyskrecyi doszła do Petersburga, otrzymałem od ks. Gorczakowa następującej treści telegram, pod dniem 10/22 lutego: »Cesarz mi rozkazuje oznajmić Waszej Ekscellencyi, że Jego Cesarska Mość pragnie natychmiastowego ogłoszenia pasterskiego listu w tej formie, w jakiej był ostatecznie przedstawiony naszemu Najmiłościwszemu Panu«. Jakkolwiek nie taiłem przed sobą poważnych następstw, jakie odmowa moja na tak stanowczy rozkaz Monarchy wywołaćby mogła, postanowiłem wszakże pozostać wiernym raz obranej dla

postępowania mego zasadzie, by nigdy przeciw wewnętrznemu przekonaniu nie działać; skoro więc zmieniłem przekonanie co do właściwości ustępu o socyalnym charakterze ruchu narodowego, odpowiedziałem wnet bez wahania kanclerzowi, że ustępu tego ogłosić nie mogę, gdyż byłoby to przeciwko memu obecnemu przeświadczeniu, a więc niezgodne z charakterem nauczyciela prawdy. Czułem, że postanowienie to zabijało mię jako człowieka politycznego nietylko w oczach ks. Gorczakowa, lecz i Margrabiego, który nie omieszka położyć tego cofnięcia się na karb słabości, wyzyskanej przez rewolucyę, ale wolałem wziąść rozbrat z opinią mężów stanu, niż z własnem sumieniem. W Petersburgu wiedziano odtąd, że na mnie liczyć nie mogą, gdyż na każdym kroku mogę im zrobić jakąś polityczną niespodziankę, ale czułem się daleko niezależniejszym, a więc bliższym celu, do którego zmierzać postanowiłem. Jakkolwiek odmowa moja przykre zrobiła wrażenie u Dworu, nie chciano jednak posuwać się do gróźb lub środków przymusu i pozostawiono mi wolność nie ogłaszania wcale pasterskiego listu, bylem go w świat nie puszczał w zmienionej formie. Pozwolenie to dane mi nawet zostało w słowach tak uprzejmych, że czytając je, zostałem niepomału zdziwiony, gdyż przygotowany byłem do całkiem innej odpowiedzi. Oto początek listu kanclerza: »Spieszę odpowiedzieć na odezwę, jaką raczyła Wasza Pasterska Mość wystosować do mnie pod d. 12/24 lutego. Dopełniłem obowiązku przedstawienia jej Najjaśniejszemu Panu. Szacunek, jaki obudza w dostojnym Monarsze charakter Waszej Ekscellencyi, skłania Jego Cesarską Mość do pozostawienia własnemu Twemu uznaniu zdecydowanie, czy właściwiej będzie ogłosić list pasterski w pierwotnej redakcyi, czy też całkiem od ogłoszenia się powstrzymać... Lecz skoro dokument ten został podany w dosłownym tekscie w dzienniku zagranicznym, znanym z swej systematycznej niechęci dla Rosyi, J. C. Mość uznaje za niewłaściwe wszelkie ogłoszenie przekształconego lub obciętego tekstu, gdyż podałoby to powód do przypuszczeń niezgodnych z prawdą«.

Dotąd ucierałem się tylko z rządem, z partyą zaś ruchu nie znalazłem się jeszcze w bezpośredniem zetknięciu. Ani przy rekoncyliacyi kościołów, ani przy późniejszych nabożeństwach, w których przyjmowałem osobisty udział, nie spotkałem się ani razu z manifestacyjnymi śpiewami lub z jakimibądź objawami bądź niechęci, bądź politycznego nacisku. A jednak na okazyach nie zbywało; co niedziela bowiem asystowałem w katedrze na sumie, zwiedzałem po kolei parafialne i zakonne kościoły, przy rozpoczęciu się zaś Wielkiego Postu urządziłem u św. Jana rekolekcye dla wiernych, na których codzień bywałem. Pragnąc, by duchowne te ćwiczenia jak najobfitszy przyniosły owoc, zaprosiłem kilku odznaczających się wymową i świątobliwością kapłanów, pod których dyrekcyą odbyć się miały. Na moje wezwanie przybyli z Krakowa ks. Wiktor Ożarowski, misyonarz, którego sam już widok pobudzał wiernych do pobożności, i ks. Zygmunt Golian, jeden z najznakomitszych ówczesnych naszych kaznodziejów; z Poznania zaś pospieszył ks. Wojciech Morawski, niegdyś możny pan, który owdowiawszy, został w Rzymie księdzem i odznaczał się rzadką gorliwością i niewyczerpanem miłosierdziem. To też skoro wieść o mających się rozpocząć rekolekcyach pod przewodnictwem tak znakomitych kapłanów rozeszła się po Warszawie, tłumy wiernych pośpieszyły do św. Jana, pomimo, że nauki rozpoczynały się o szóstej zrana, przez wzgląd na służących, którzy nie mogliby uczęszczać później. Damy z najwyższej arystokracyi, co niezwykły wstawać rano, spieszyły przed wschodem słońca razem z kucharkami i praczkami do świątyni, by zasilić się owym duchownym pokarmem, którego cała Warszawa była tak spragniona, po owym lekkim manifestacyjnym chlebie, który zamiast wewnętrznego pokoju wnosił tylko do duszy burzę i zawziętość. Ta atmosfera czysta, niebiańska, wolna od politycznych i w ogóle od wszelkich ziemskich namiętności, gdzie dusza Bogiem tylko żyła, czując już przedsmak wiekuistych rozkoszy, tak orzeźwiała serce i umysł podnosiła, że coraz to żywsze rodziło się

w pośród wiernych pragnienie korzystania z tej niebieskiej manny, co tak cudownie spadła na spaloną skwarem namiętności i spragnioną deszczu łaski Warszawę. Gorliwi siewcy Bożego słowa, widząc ten głód duchowny i ochoczą wolę ludności, chętnie zgodzili się na powtórzenie tych zbawiennych ćwiczeń w innej świątyni dla tej części wiernych, co nie mogła uczestniczyć w nich u św. Jana, a gdy i na Starem Mieście napływ był ogromny, prosiłem niezmordowanych misyonarzy o odprawienie jeszcze rekolekcyi w Czerniakowskim klasztorze dla parafialnego duchowieństwa, które podzielone także na dwie części, z kolei tam przybywało. Pobożne te ćwiczenia przyczyniły się niemało do rozbudzenia uśpionego życia duchownego wpośród ludności, zbyt wyłącznie zaprzątnionej doczesnością; wizyty zaś kanoniczne, odbyte w niektórych zgromadzeniach, poddanych mojej pasterskiej juryzdykcyi, rozniecily też gorliwość i w murach niektórych klasztorów, gdzie przy najlepszych chęciach zbywało tylko na zachęcie i kierunku. Daleko wszakże było od tego, aby ruch ten zbawienny ogarnął wszystkich wiernych, a choćby tylko wszystkie klasztory. Większość, niestety, pozostała obojętna, ze zgromadzeń zaś, kobiece tylko prawdziwą gotowość do odnowienia się w duchu pierwotnej reguły okazały. Nawet u OO. Kapucynów, którzy stosunkowo wyżej od innych stali pod względem ścisłości obserwancyi, dzięki gorliwości O. Prokopa, poczęła się objawiać pełna reakcya, która uwydatniła się zwłaszcza przy wyborze prowincyała na nowe tryennium. Dzięki wpływom partyi ruchu, która i po klasztorach miała licznych adherentów, O. Prokop nie został ponownie obrany, miejsce zaś jego zajął przedstawiciel przeciwnego obozu, który o doczesne tylko troszczył się interesa.

Pragnąc podtrzymać między ludnością owo życie duchowne, rozbudzone przez rekolekcye, uprosiłem ks. Goliana, aby stale osiedlił się w Warszawie i miewał kazania u św. Jana; w Akademii zaś powierzyłem mu wakującą katedrę teologii dogmatycznej. Jednocześnie przedstawiłem na

rektora Akademii ks. Wincentego Popiela z Kielc, na rektora zaś Seminaryum ks. Albina Dunajewskiego z Krakowa. Zaprosiłem nadto brata mego Juliana z Rzymu, który świeżo doktoryzował się w Collegium Romanum, ks. Jażdżewskiego z Poznania i ks. Domagalskiego z Kielc, aby wzmocnić, o ile możności, żywioł kościelny wśród duchowieństwa warszawskiego i zyskać zarazem świeże naukowe siły, zdolne przeprowadzić w duchownych zakładach pożądane pedagogiczne reformy. W wyborze tych przyszłych pomocników moich musiałem po większej części kierować się zdaniem osób, posiadających me zaufanie, gdyż osobiście nie znałem dawniej prawie żadnego z wezwanych kapłanów.

Wielkopostne dzieje owego roku tem mi są jeszcze pamiętne, że z powodu nietrafnego wyboru, jaki kapituła warszawska uczyniła na kanonika kaznodzieję, w osobie ks. Budziszewskiego, całkiem niezdolnego do pełnienia powierzonych mu obowiązków, kazania piątkowe w ciągu Wielkiego Postu, które z urzędu doń należały, nie zostały w tym roku przez nikogo obsadzone, i trudno już było znaleźć amatora na nie, z powodu zbyt krótkiego czasu do przygotowania nauk. Nie chcąc, by wierni pozbawieni zostali duchownego pokarmu, w czasach, kiedy najwięcej zasiłku tego potrzebowali, sam podjąłem się podać ludowi ten chleb duchowny, pomimo licznych i różnorodnych zajęć, które nie pozwalały mi poświęcić dużo czasu na przygotowanie materyi do mówienia Ufny w nabytą w Akademii wprawę do wygłaszania konferencyi bez uprzedniego ich pisania, postanowiłem rozwinąć w całym szeregu nauk te przedewszystkiem prawdy wiary, których gruntowna znajomość mogłaby najskuteczniej zaradzić dogmatycznym i moralnym błędom, szerzonym przez rewolucyę. Plan mój był prosty i łatwy do wykonania. Postanowiłem przedstawić stopniowy rozwój wiary, nadziei i miłości, tak w wewnętrznem życiu duszy, która w miarę postępu w cnotach teologicznych do coraz to wyższej dochodzi doskonałości; jako też w zewnętrznych objawach bądź indywidualnego, bądź zbiorowe-

go życia, gdzie wszystkie rodzinne i obywatelskie cnoty z tego troistego źródła wypływają. Określiwszy naturę każdej z tych cnót z osobna i wykazawszy, jak jedna rodzi się z drugiej i jest jakby doskonalszym jej rozwojem, dosięgając w miłości najwyższego szczytu, przeszedłem potem do praktycznych owoców, jakie cnoty te rodzą dla życia społecznego, wykazując na drodze czysto praktycznej, iż ten kraj jest najszczęśliwszy, gdzie wszyscy obywatele ożywieni są temi cnotami, gdyż doskonała miłość Boga i bliźniego skłania do poświęcenia własnych interesów, a jak najwierniejszego pełnienia swych obowiązków. Tam zaś, gdzie chlebem powszednim mieszkańców kraju jest bezbożność, samolubstwo i wzajemna nienawiść, gdzie słychać bluźnierstwa tylko, przechwałki i groźby, lub krzyki nienawiści i rozpaczy, tam, mówię, społeczeństwo zamiast krzepnąć i budować się, rozprzęga się tylko i w chaotyczną przechodzi ruinę.

Nie podobała się ta teorya rewolucyonistom, zwłaszcza zaś, gdy rozwijając naturę chrześcijańskiej miłości, potępiłem stanowczo wszelką nienawiść, a miłość nieprzyjaciół za ścisły postawiłem obowiązek. Widząc, iż wierni dość licznie zbierają się na moje nauki, poczęli się lękać o swych stronników, których głównie chlebem nienawiści karmili; postanowili przeto zmusić mię do zaniechania rozpoczętych kazań, albo wystraszyć wszystkich słuchaczów z kościoła. W tym celu zgromadzili dość liczną falangę młodzieży ze swego obozu i kazali temu hufcowi zająć miejsce najbliżej prezbiteryum, uprzedzając moje przybycie do kościoła. Wieść o tem, że gotuje się przeciwko mnie jakaś demonstracya w kościele, tak głośno kursowała po mieście, że doszła też i do mnie jeszcze w wilię dnia, przeznaczonego na nią. Niektóre nawet z życzliwych osób radziły mi nie jechać wcale do kościoła dnia tego; nie usłuchałem wszakże tej rady, gdyż byłoby to odstąpieniem od raz przyjętej zasady, by obowiązek swój spełnić, pozostawiając Opatrzności wyprowadzenie z mego postępowania zgodnych z wolą

Bożą następstw. Jak zwykle przeto wstąpiłem na kazalnicę; lecz zaledwie kilka słów wyrzekłem, powstał w kościele zamęt i dały się słyszeć wołania: »Wychodzić! wychodzić!« Grupa młodych ludzi, rozlokowana około prezbiteryum, skierowała się w ścieśnionych szeregach ku wyjściu, prąc przed sobą publiczność, stojącą po środku głównej nawy, tak, iż środkowe przejście chwilowo się opróżniło. Publiczność jednak, siedząca w ławkach i stojąca w bocznych nawach, pozostała na miejscu, po chwili zaś i znaczna część wypartych wróciła do kościoła, tak, że śladu prawie usunięcia się wichrzycieli nie pozostało.

Przeczekawszy na kazalnicy, aż wróciła spokojność, zawołałem, zwracając się w stronę wychodzących: »Odpuść im Panie, bo nie wiedzą, co czynią. I my też, Bracia, z serca im przebaczmy, gdyż nie bezbożność to, lecz źle zrozumiana miłość ich zaślepia. Gdy chora matka ze śmiercią się pasuje, wówczas każdy z miłujących ją synów, stara się ją ratować i w tem wspólnem przywiązaniu wszyscy się jednoczą. A jednak, gdy chodzi o wybór praktycznych środków ratunku, każdy inne podaje i na tem polu nieraz godne pożałowania spory powstają. Jeden wzywa biegłego lekarza, coby systematycznie i wyrozumowaną metodą chorobę matki zwalczał; drugi pada na kolana i w gorącej modlitwie Boga wzywa, w Jego jedynie wszechmocną pomoc ufając; inny wreszcie, w szlachetnem oburzeniu na sprawców niemocy, ich przedewszystkiem z domu wypędzić usiłują, pewni będąc, iż same siły żywotne naprawią wyrządzone organizmowi matki szkody, skoro organizm ten w normalnych warunkach się znajdzie. A jednak, jeśli matka odzyska zdrowie, czy potępi którego z synów za to, że tym a nie innym środkiem ratować ją usiłował? Czy nie przyciśnie ich raczej wszystkich do serca, błogosławiąc za to gorące przywiązanie, co w samych nawet sporach się zdradzało? Gdyby serce matki mogło własne przeklinać dzieci, to przeklęłoby chyba wyrodnego syna, co chcąc przyspieszyć jej skonanie, sam dopomaga wrogom do zamknięcia

nad żyjącą jeszcze matką grobowego wieka, dla zachowania zaś pozorów przywiązania, rzuca kir żałoby na grób zamordowanej i kłamanemi łzami zgon jej opłakuje. Ale ufam, iż tak wyrodnych synów nie masz ani wśród tych, co odeszli, ani wśród tych, co pozostali«. Po tej apostrofie, z powodu zaszłego wypadku, wróciłem do przerwanej treści kazania i ciągnąłem dalej ułożony plan nauk. Skoro wieść o nieżyczliwej dla mnie manifestacyi w kościele rozeszła się po mieście, cała Rada Stanu i wielu z najszanowniejszych obywateli, pospieszyli oświadczyć mi swe współczucie, a że każde prześladowanie wywołuje wnet reakcyę na korzyść ściganego, niewłaściwy przeto ów objaw niechęci zjednał mi też nieco stronników, zwłaszcza w szeregach pobożniejszych osób, dbających o cześć świątyni. Niektóre damy postanowiły nawet, dla wykazania swego współczucia dla niezrozumianego Pasterza, nosić przez czas jakiś fioletowe wstążki przy czarnych, jakich wówczas powszechnie używano, sukniach.

Na krótko przed tym wypadkiem przybył do Warszawy margrabia Wielopolski, jako komisarz rządowy do bronienia w Radzie Stanu swoich projektów edukacyjnych i oczynszowania. I on też odwiedził mię z powodu manifestacyi i objawił swoje współczucie. Z przybyciem Margrabiego posiedzenia Rady Stanu stały się niezmiernie zajmujące i nabrały wielkiej doniosłości, gdyż oba projekta miały wywrzeć przeważny wpływ na wewnętrzny stan kraju. Odjeżdżając z Warszawy po otrzymaniu dymisyi i poróżnieniu się z Suchozanetem, Margrabia nie miał żadnego znaczenia oficyalnego, zastępcy zaś jego, Kruzensztern, jako główny dyrektor spraw wewnętrznych, i Hube, w zarządzie oświecenia i wyznań, byli jego antagonistami pod względem zasad, chociaż, nie mając odwagi wystąpić jawnie przeciwko jego projektom, z powodu powszechnej sympatyi, jaką zyskały w kraju, woleli szkodzić mu potajemnie, w listach prywatnych, pisywanych do wpływowych osób w Petersburgu. Stąd wynikło, że podczas, gdy w oficyalnej korespondencyi,

idącej przez kancelaryę, złożoną z samych Polaków, odzywali się z wielkiem uznaniem o projektach Wielopolskiego, w listach prywatnych całkiem przeciwne wyrażali zdanie. Wezwany w Petersburgu do udzielenia potrzebnych objaśnień Wydziałowi Rady Państwa, któremu cesarz rozbiór projektów jego polecił, Margrabia miał zręczność przypatrzenia się tej podwójnej grze panów Dyrektorów głównych, których tajemne zarzuty zbijać był zmuszony. To też, przybywszy do Warszawy, odkrył przeciw nim morderczą ale jawną kampanię, a prowadząc ją ze zwykłą sobie nieprzepartą jasnością loiki i siłą wymowy, do rozpaczy niemal obu doprowadził. Nigdy nie zapomnę tego posiedzenia, kiedy zasiadłszy po raz pierwszy w charakterze rządowego komisarza przed Radą Stanu, rozwinął naprzód w swej programowej, w imieniu rządu wygłoszonej mowie, zamiary błogie Monarchy, dążące do wewnętrznego odrodzenia kraju za pomocą normalnego rozwoju instytucyj religijnych, prawodawczych, administracyjnych, ekonomicznych i edukacyjnych, w duchu narodowego charakteru i z uwzględnieniem rzeczywistych potrzeb kraju. Rozbierając następnie każdy z kolei wydział i objaśniając, co w nim jest do zrobienia, gdy przyszło do władzy wykonawczej, oznajmił, iż Monarcha postanowił oczyścić administracyę kraju od rąk nieczystych, przyczem tak długo i wyraziście zatrzymał wzrok na jenerale Lüdersie, który był oskarżony o roztrwonienie szesnastu milionów rubli, w czasie dowodzenia wojskiem pod Sebastopolem, że zmieszany Namiestnik spuścił oczy, wszyscy zaś jak w tęczę nań patrzeli z wielkiem wewnętrznem zadowoleniem. Przechodząc następnie do spraw wewnętrznych, gdzie słuszne i braterskie uregulowanie wzajemnego stosunku rozmaitych klas społeczeństwa na pierwszem stoi miejscu, zapytał członków Rady Stanu, coby pomyśleli o zacności charakteru i osobistej godności Dyrektora tak ważnego wydziału, gdyby ten w kwestyach najżywotniejszych i najbliżej kraj obchodzących co innego wypowiadał w papierach urzędowych, co innego zaś doradzał Ko-

ronie pokątnie? Tu spojrzał znacząco z kolei na Kruzensztern a i Hubego, oba zaś tak się zmieszali, że nie byli w stanie odpowiedzieć. Kruzensztern skinął na znajdującego się przy nim urzędnika, aby zań odpowiedział, lecz Margrabia nie dopuścił tego, przypominając, iż w Radzie Stanu Dyrektorowie główni zasiadają nie w charakterze urzędników, lecz prostych doradców Korony i stąd winni osobiście głos zabierać, jak wszyscy inni członkowie. Że zaś Kruzensztern bardzo źle mówił po polsku, wolał przeto ustąpić obronę Hubemu, który znowu tak był wzruszony, iż drżał cały i głos mu co chwila zamierał, co nie pomagało bynajmniej do obrony i tak już złej sprawy. Z powodu tego pognębienia dwóch nielubianych w kraju urzędników, nazajutrz pojawiła się w mieście karykatura, przedstawiająca Margrabiego na koniu w postaci Jana Sobieskiego na Łazienkowskim moście, tylko zamiast Turków koń tratuje Kruzensztern a i Hubego.

Rozpatrzywszy się bliżej w składzie Rady Stanu, słuchając zwłaszcza gruntownych i sumiennych rozpraw w najżywotniejszych kwestyach społecznych i prawnych, przekonałem się, że powołani do składu tej instytucyi mężowie należeli w ogromnej większości do rzędu najznakomitszych osobistości, jakie kraj posiadał wówczas na polu obywatelskiej i społeczno-naukowej pracy. Byli to w znacznej części ludzie znani i wysoce poważani w kraju, a wybór ich z inicyatywy Margrabiego jest nowym dowodem szczerego patryotyzmu tego znakomitego męża stanu, który w innych okolicznościach przyczyniłby się niezmiernie skutecznie do uorganizowania i wewnętrznego rozwoju kraju. Nie powoływał on na współpracowników gotowych na każde skinienie jego popleczników, lecz zwracał się owszem do ludzi przekonania, zmierzających z zupełnem samopoznaniem do jasno wytkniętego celu i to nie do innego, jedno do istotnego dobra kraju. Zapewniano mię, iż przy formowaniu się Rady Stanu Margrabia proponował hr. Andrzejowi Zamoyskiemu objęcie w niej prezesostwa, czego ten ostatni nie przyjął.

Wiele osób dotąd są tego przekonania, że gdyby ci dwaj patryoci porozumieli się byli z sobą i podali sobie rece do wspólnej pracy, to byliby zapanowali nad sytuacyą i kraj uchroniłby się od klęski, zadanej mu przez rewolucyę. Ci, co tak utrzymują, nie pojęli należycie, zdaniem mojem, natury czynników, jakie w ostatnich wypadkach wystąpiły. Wielopolski przedstawiał ideę óparcia się na rosyjskim rządzie w wewnętrznem odrodzeniu kraju. Pierwszym warunkiem sumiennego wypełnienia tego programu było z jednej strony przekonanie, że zasadnicze interesa naszego narodu mogą się pogodzić z interesami narodu rosyjskiego i w ścisłem połączeniu dążyć do wspólnego celu; z drugiej zaś ufność, że rząd rosyjski podziela to przekonanie i szczerze pragnie uwzględnić istotne interesa swego sprzymierzeńca, by nadać politycznemu zjednoczeniu trwałą w przyszłość podstawę. Margrabia działał ze swej strony z dobrą wiarą: widział możebność pogodzenia narodowych interesów dwóch pobratymczych szczepów sławiańskich i nie wątpił, że rząd z przekonaniem i stanowczością wstąpił na ukazaną mu pojednawczą drogę. Wskutek tego przekonania oddał na usługę tej idei cały swój potężny rozum i niemniej potężną siłę charakteru, uczyniwszy z jej urzeczywistnienia jedyne zadanie swej politycznej działalności. Wiara w sumienne dążenie rosyjskiego rządu do tegoż co i on celu, skłaniała go do zaofiarowania na rzecz przyszłego zjednoczenia tych nawet instytucyj, które naród zdobył sobie własnemi siłami i w których oszańcował się niejako przed napaścią wszystko chłonącego zaboru. Z jego stanowiska instytucye te były przeszkodą do zrealizowania jego planu, gdyż podtrzymywały walkę, która przy szczerem zbrataniu nie miała już racyi bytu. Takie było stanowisko Margrabiego.

Pan Andrzej znowu wychodził z wręcz przeciwnego założenia, nie dziw więc, że i do całkiem przeciwnych dochodził konkluzyj. Nie widząc żadnej wspólności ani w charakterze narodowym, ani w interesach państwowych Rosyi i Polski, uważał on wspólność dążeń za niemożebną tam,

gdzie wspólności celów niema. Stąd dążenie do zupełnej niepodległości uznawał za ostateczny cel patryotycznych prac narodowych. Chociaż zaś co do czasu i środków urzeczywistnienie tego celu czynił zależnem od wielu warunków, bez dopełnienia których wywołanie nowej walki o niepodległość za szaleństwo uważał, w peryodzie wszakże przejściowym wewnętrzną tylko, o własnych siłach zalecał pracę, bez żadnego współpracowania rządu, któremu nietylko nie ufał, lecz uważał go owszem za najniebezpieczniejszego wroga. Mylą się bardzo ci, co utrzymują, że on występował z własnym programem wobec rządu, naprzeciw programu Margrabiego. On wypowiadał tylko, zapytany, polityczne przekonania swoje w jedynej formie, w jakiej rządowi rosyjskiemu wypowiedziane być mogły. Niepodobna było przecie powiedzieć Namiestnikowi w oficyalnem posłuchaniu: Oddajcie nasz kraj, któryście zagrabili i pozwólcie nam samym rozgospodarować się w nim wedle własnego upodobania; gdyż takie oświadczenie możnaby zrobić na seryo tylko, mając sto tysięcy bagnetów do jego poparcia. On wyraził tylko życzenie, by wojska rosyjskie kraj opuściły, dozwalając władzom autonomicznym urządzić się bez żadnego nacisku. Lecz podobnaż upatrywać w tej radzie co innego nad sprzeczne oznajmienie, że pierwszym warunkiem dla szczęścia Polski jest oswobodzenie jej od opieki tego rządu, który systematycznie dąży do ostatecznej zagłady wszystkiego co polskie? Nie ufając zaś do tego stopnia rządowi rosyjskiemu, czy mógł, pytam, Zamoyski z godnością prawego obywatela i z czystem chrześcijańskiem sumieniem podjąć się wspólnej z Wielopolskim pracy, kiedy nie wątpił, że lada chwila rząd ten i samego Wielopolskiego wyprowadzi w pole? Współpracowanie wedle programu Margrabiego było dla Zamoyskiego moralną niemożebnością, gdyż w jego sumieniu byłoby to zdradą kraju. Lecz gdyby Margrabia mniej był zaufany w szczere zamiary rządu, to jednoczesna praca obu tych patryotów nie byłaby niemożebna. Należało tylko pozostawić Zamoyskiemu ten zakres

obywatelskiej działalności, który on własną już zdobył pracą, a wówczas mogłaby się rozwijać równolegle, choć niezależnie działalność prywatna obok urzędowej, nie przeszkadzając sobie nawzajem a nawet wspierając się owszem, gdyż obie zmierzałyby do wspólnego celu, t. j. do dobra narodu.

Zamoyski nie wątpił o dobrych intencyach Wielopolskiego, i gdyby po za nim nie stał wszechwładny jego sprzymierzeniec, który jednem słowem mógł udaremnić wszystkie jego usiłowania, porozumienie między nimi na drodze praktycznej działalności nie byłoby niemożebne. Nie prywatna rywalizacya, ani pańska duma, jak mylnie sądzą niektórzy, udaremniła czynione po kilkakroć próby pojednania tych dwóch mężów stanu; lecz radykalna różnica w ich zapatrywaniu się na publiczną sprawę, ze względu na udział w niej rosyjskiego rządu. Program Margrabiego był rzeczywiście jedyny możebny na zasadzie współpracowania z rządem, ale tej właśnie zasady Zamoyski przyjąć nie mógł i przeto musiał trzymać się na stronie, pomimo, że pod własnym rządem chętnieby zapewne podzielał pracę Margrabiego, a nawet przewodnictwo jego przyjął. Niemniej mylnem jest twierdzenie, że szczere przystąpienie Zamoyskiego do rządu byłoby zapobiegło powstaniu; stronnictwo bowiem, które wywołało ruch zbrojny, nie wyszło wcale z obozu Zamoyskiego i wpływom jego nie ulegało. Wychodząc z zasady absolutnej konieczności zbrojnego starcia się z rządem i licząc jedynie na rewolucyę w Europie, zwłaszcza zaś w Rosyi, stronnictwo to dokonałoby swego w każdym razie; gdyby zaś Zamoyski stanowczo oświadczył się za rządem i jawnie przeciw ruchowi wystąpił, to ogłaszanoby go tylko zdrajcą kraju, jak ogłaszano Margrabiego, a rzeczy poszłyby tym samym torem. Lecz gdyby sprzymierzeniec Margrabiego był dobrej wiary i pragnął rzeczywiście narodowego pojednania, to ani trzymanie się na uboczu Zamoyskiego, ani rewolucyjna gorączka czerwonych nie przeszkodziłaby mu do urzeczywistnienia wspólnie z Margrabim ułożonego planu; gdyż po uśmierzeniu powstania nic już na przeszkodzie nie stało.

Jeśliby istotnie rząd nie cofnął się wówczas i wiernie uiścił się z swych obietnic, zachowując krajowi autonomiczne instytucye, kto wie, czy kraj nie uwierzyłby w szczerość życzliwych usposobień rządu i sam Zamoyski możeby mu wreszcie zaufał. Lecz, że tak nie nastąpiło, że rząd skorzystał owszem z pierwszego pretekstu, by cofnąć przyrzeczenia i spuścić na kraj stokroć cięższe jeszcze, niż dawniej prześladowania, możnaż słusznie winić Zamoyskiego, że tego właśnie od rządu się spodziewał, lub utrzymywać, że Margrabia trafniej od niego naturę i dążności rządu tego ocenił? Co do mnie, sądzę, iż doświadczenie, nabyte tak drogo w sześćdziesiątym trzecim roku, uczyni na przyszłość rolę Margrabiego całkiem niemożebną, gdyż żaden prawy Polak nie zaufa już rządowi, co tak mało wagi do zobowiązań swoich przywiązuje.

Dotąd nie miałem zręczności wspomnieć o stosunkach moich ze Stolicą Apostolską. Postanowiłem od samego początku oprzeć je na ścisłem wypełnieniu wszystkich moich względem Głowy Kościoła obowiązków, nie krępując się niesłusznemi pod tym względem wymaganiami rządu. Wkrótce po przybyciu do Warszawy, zdałem sprawę Ojcu św. ze stanu, w jakim znalazłem moją dyecezyę, i skreśliłem ogólny plan reform, jakie uważałem za potrzebne, prosząc o zdanie i wskazówki Namiestnika Chrystusowego. W odpowiedzi na list ten otrzymałem encyklikę Ojca św., ukazującą tak mnie jak i wszystkim pasterzom polskim drogę, jakiej trzymać się powinniśmy w naszym zarządzie, i o co głównie starać się mamy. Co do treści, nie było w tem piśmie nic takiego, coby w czemkolwiek obrażało rząd bezpośrednio; ale już sam fakt, że list przyszedł drogą prywatną i że wytyka biskupom ich powinności, niezależnie od uznania władz rządowych, był tej natury, że podobać się rządowi nie mógł. Że jednak postanowiłem zachować względem rządu stosunek tak jawny, iżby nigdy szpiegowie nie mogli mu donieść nic takiego, z czembym się rad był przed nim ukryć; zaraz przeto po otrzymaniu pomienionego listu, przetłómaczyłem

go na język francuski i przesłałem Namiestnikowi, kopie zaś łacińskie, stwierdzone w konsystorzu, zakomunikowałem jednocześnie wszystkim biskupom Królestwa. Lüders tak był niedaleko widzącym politykiem, iż otrzymawszy papieską encyklikę, przysłał do mnie Safianosa z poleceniem, aby mi podziękował za ten lojalny sposób postępowania, daleki od skrytości mego poprzednika, który, zataiwszy otrzymany list przed rządem, skrycie przesłał go do gazet zagranicznych. Dopiero, gdy dokument ten zakomunikował ks. Gorczakowi, dowiedział się, że popełnił wielką mylkę, aprobując moje postępowanie.

Stało się to przed samą Wielkanocą. Lüders wyjechał na święta starego stylu do Petersburga, ja zaś, korzystając z przerwy w posiedzeniach Rady Stanu, wyruszyłem na objazd dyecezyi. Zacząłem od Skierniewic i Łowicza, korzystając z kolei żelaznej. Kolegiata łowicka stanowiła niemal jakby drugą dyecezyę: miała swego biskupa sufragana, w osobie ks. Platera, swoją kapitułę, złożoną z dwóch prałatów i dziewięciu kanoników, a nawet swój własny konsystorz, który pod prezydencyą mianowanego przez arcybiskupa oficyała rozstrzygał bieżące miejscowe sprawy, w zakresie udzielonej sobie władzy. Mój poprzednik, Fijałkowski, tak rozszerzył juryzdykcyę konsystorza łowickiego, że ten ostatni mógł obsadzać wakujące parafie i w bardzo niewielu razach potrzebował odwoływać się do decyzyi metropolity. Póki nie było żelaznej drogi i komunikacye z Warszawą były utrudnione, podobny podział władzy mógł mieć pewną racyę bytu; z przeprowadzeniem wszakże kolei wiedeńskiej, Łowicz stał się prawie przedmieściem Warszawy, tak, że codzień po kilka razy komunikować się było można z metropolią, większe przeto skupienie władzy nie przedstawiało żadnych praktycznych niedogodności, zapobiegało zaś wielu nadużyciom, które weszły już w zwyczaj i tem trudniejsze były do wykorzenienia, iż sam zarząd łowicki był w nich interesowany. Z powodu bardzo szczupłego uposażenia obu kapituł, kanonicy łowiccy mieli najczęściej probostwa, że

zaś woleli mieszkać w mieście, na parafiach trzymali tylko wikaryuszów, przy wyborze których więcej nierównie własne niż kościelne uwzględniano interesa. Kanonik Dzimiński n. p., będąc zarazem proboszczem na wsi i przełożonym domu ks. Demerytów, sam mieszkał w Łowiczu, majątek parafialny oddał swej rodzinie, nie wyłączając nawet plebanię; na wikaryusza zaś wybrał jednego z księży skazanych na pokutę, który sam jeden, bez żadnej nawet bliższej kontroli duchownej, spełniał wszystkie obowiązki parafialne, zostając przy tem, pod względem utrzymania, całkiem na łasce familii proboszcza. Łatwo sobie wyobrazić, jak podobne parafie były obsłużone i jaki był moralny stan ludu. Kiedy przybyłem do probostwa ks. Dzimińskiego, przedstawił mi się obraz tak bolesny, iż oczom własnym wierzyć nie chciałem, że to była rzeczywistość. Stara, murowana i dość obszerna świątynia tak była odarta i zrujnowana, że wyglądała na jakiś opuszczony szpichlerz, gdzie nietoperze tylko i puszczyki wewnątrz, bociany zaś na dachu się gnieździły. Kościelne aparaty podobne były do szmat żebraczych, co kolor już nawet utraciły. A cóż i mówić o wykładzie katechizmu dzieciom, o nauczaniu ludu, pobożnych bractwach i praktykach religijnych, bez których niepodobna podtrzymać ducha gorliwości w parafii. A nie był to jedyny przykład podobnego zaniedbania ze strony proboszczów. To też dla położenia końca podobnym nadużyciom, skasowałem natychmiast konsystorz łowicki i przeniosłem akta jego do konsystorza warszawskiego; korzystając zaś z postanowienia prawa kanonicznego, które nie pozwala bez upoważnienia Stolicy Apostolskiej posiadać dwóch beneficyów, obowiązujących do rezydencyi, odjąłem probostwa tym wszystkim kanonikom, których parafie źle były administrowane, i naznaczyłem tam gorliwych księży, zdolnych naprawić szkody, przez niedbalstwo poprzedników ich zrządzone. Surowość ta rzuciła pewien postrach na złych pasterzy, a że wizytowanie dyecezyi zaledwie się zaczęło, wzięto się więc do poprawy i oczyszczania kościołów, odnawiania aparatów

i naczyń, a także do katechizowania dzieci, dowiedziawszy się, iż wszędzie przy wizycie zbieram i egzaminuję dziatwę.

W toku tej zbawiennej i prawdziwie pasterskiej czynności, którą zamierzałem przeciągnąć jeszcze przynajmniej na parę tygodni, otrzymałem list od Dyrektora głównego Wyznań i Oświecenia, Hubego, wyprawiony przez umyślnego urzędnika z Komisyi, pod datą 11 maja, następującej treści: »Mam zaszczyt donieść J. W. K. Arcybiskupowi, iż życzeniem jest J. W. Namiestnika widzieć J. W. Pana, w celu zakomunikowania mu zleceń od Najjaśniejszego Pana, może więc uznasz J. W. Pan za stosowne przyśpieszyć powrót swój do Warszawy«. Ponieważ nazajutrz odbyć się miała konsekracya nowowzniesionej świątyni w jednej z wiejskich parafii, zapowiedziałem przeto mój powrót za trzy dni.

Wróciwszy do Warszawy, dowiedziałem się na samym wstępie do domu o jednem z tych rozdzierających serce okrucieństw policyi, jakie codziennie prawie przytrafiały się wówczas w Warszawie. Jedna młoda panienka z porządnego domu zaaresztowaną została za śpiewanie w kościele zabronionych pieśni i zaprowadzona do ratusza, gdzie wobec żołdactwa, pod pretekstem rewizyi, poczęto ją rozbierać do naga. Wstyd, zgroza i oburzenie tak silnie podziałały na słaby organizm nieszczęśliwej ofiary, iż w rękach oprawców skonała. Takie to bywały owe nieuniknione objawy ludzkiej ułomności ze strony zbyt gorliwej władzy, na które kanclerz kazał mi rzucać płaszcz chrześcijańskiego miłosierdzia!.. Pod wrażeniem tej bolesnej historyi pojechałem do Zamku, gdzie Lüders oczekiwał mię z listem cesarskim w ręku. List ten, do niego adresowany, ale też i przez niego samego przywieziony z Petersburga, napisany był w tonie surowej nagany za moje postępowanie, w celu zwrócenia mię z samoistnej drogi, na którą wbrew oczekiwania rządu wszedłem. Nie pamiętam dokładnie szczegółów czynionych mi wymówek, możnaby wszakże zrobić sobie o nich dość dokładne pojęcie z listu tej samej treści, jaki ks. Gorczaków wystosował już wprost do mnie, pod nieco późniejszą, bo 7/19

Maja datą. Pomimo jego długości, nie waham się przytoczyć w całości i tę odezwę Kanclerza, jako nie mniej charakterystyczną od pierwszej. Nie sadzi się on już tu na ułudne zwroty, nie imponuje dobrymi stosunkami ze Stolicą Apostolską, lecz wyraźnie rozdąsany, daje swobodny bieg swej złości i nie waha się nawet odgrażać Ojcu św., przyganiając jawnie jego postępowaniu. Oto jest treść pisma:

»Otwartość, z jaką W. P. M. zwracałeś się do mnie po kilkakroć, nietylko mię upoważnia, lecz wkłada nawet na mnie obowiązek odpłacić się Mu lojalną wzajemnością. Sądzę, że trzymając się tej drogi, dajemy sobie nawzajem dowód szacunku i służymy sprawie, do której zostaliśmy powołani. Pamięć twa przypomni ci zapewne, Pasterzu, wyrazy pełne zaufania Cesarza, myśli zamienione między nami i usposobienia, w jakich opuszczałeś Petersburg. Wszystko to razem miało obrócić się na korzyść Kościoła, do którego należysz, i ukazywało ci rolę, którą mogłeś spełnić, nie krępując twego sumienia i pozostawiając ci szerokie i pełne chwały pole do wypełnienia twych pasterskich obowiązków. Nie lubię rekryminacyi. Szacunek, jaki mam dla religijnego charakteru Twego urzędu i dla Twoich przymiotów osobistych, nie dozwoliłby mi ich zresztą. Jeśli pozwalam sobie na lekkie przypomnienie faktów, to bynajmniej nie w charakterze zażaleń, chciej temu wierzyć, Pasterzu; jest to proste odwołanie się od Ciebie do samegoż Ciebie. Napisałeś list pasterski wedle własnego natchnienia. List ten przedstawiony był Cesarzowi i zyskał uznanie J. C. Mości. Przybywszy do Warszawy, cofasz się i nalegasz, aby Ci wolno było jego nie ogłaszać. Nasz Pan Najmiłościwszy i na to przyzwala. Wyrażając mi wdzięczność, jakiej stąd doznajesz, upewniasz mię, iż odtąd chcesz zamknąć się ściśle w zakresie religijnych obowiązków, jakie Ci zostały zlecone, pozostając całkiem obcym polityce. Cesarz przyzwala również na ten nowy objaw własnego twego życzenia. Cóż zaszło odtąd, co cię skłoniło do zmiany przekonań? My tu pracu-

jemy sumiennie nad usunięciem przeszkód, które mogłyby tamować swobodę sług Kościoła rzymsko-katolickiego w zakresie ich działalności, o ile to jest możebnem przy zachowaniu zasadniczych praw naszych krajowych. Wpośród przykrych doświadczeń, jakie naciskają obecnie Stolicę Apostolską, wśród stanowczego przesilenia, jakie przebywa papieska władza, Cesarz daje Ojcu św. dowód względności i współczucia, którego doniosłości nie mogą niepojmować w Rzymie. J. C. Mość pozostaje wierny zamiarowi opiekowania się swymi poddanymi katolikami na równi z tymi, którzy własną Jego wiarę wyznają. J. C. Mość pragnie, aby wolność wyznania nie miała innych granic nad te, których usunięcie sprowadziłoby w szranki rozkiełznane namiętności, na szwank narażając święty charakter religii. Pomagająż nam przynajmniej w tem tak trudnem zadaniu? Z Rzymu usiłują wywrócić główne podstawy prawodawstwa państwowego, podstawy, które nam są wspólne z większą częścią mocarstw czysto katolickich. Wznawiają tym sposobem nieroztropnie kwestyę władzy doczesnej i duchownej, szykując się tym sposobem dobrowolnie w szeregach przeciwników papieskich rządów, którzy usiłują dowieść niezgodność tych dwóch władz, połączonych w ręku Papieża ze spokojem wewnętrznym innych rządów. Ufam, iż błąd ten długo nie potrwa i że objaśnienia serdeczne ale poważne, jakie z polecenia Cesarza nasz pełnomocnik udzieli Ojcu św., oświecą Jego Świątobliwość o Jego rzeczywistem położeniu i Jego rzeczywistych interesach. W. P. Mość miałeś zakomunikowany sobie list mój do p. Kisielowa, gdyż prosiłem J. Lüdersa, aby ci dał dowód tego zaufania z mej strony. W Warszawie brewe, czy list Ojca św. do W. Excellencyi, który nie powinien był dostać się do rąk Twych tą drogą, otrzymuje z twego polecenia rozgłos, powiększający jeszcze ważność samego faktu. Dziś znowu Le Monde ogłasza list W. Pasterskiej Mości, który wkracza niewątpliwie w dziedzinę polityki, od której sam wyraziłeś zamiar powstrzymania się. Wyznaj otwarcie, Pasterzu, do czego zmierza ta głucha i, przebacz mi wy-

rażenie, ta dokuczliwa walka? Nie możesz wątpić o dobrych chęciach, jakie ożywiają Cesarza. Nie możesz też zaprzeczyć, że ich wykonanie może przyjść do skutku jedynie z woli naszego wspaniałomyślnego Monarchy. Możesz ubolewać nad zwłoką w ich wprowadzeniu w życie. I ja też nad nią ubolewam; lecz zwłoka ta, która może zależeć i rzeczywiście zależy od przyczyn podrzędnych i przypadkowych, powinnaż nas rozdzielać w dążeniu do celu, do którego wspólnie zmierzamy? Powiadam wspólnie, gdyż nie mogę przypuścić, abyś miał cel inny, jak służenie interesom religii, którą wyznajesz, nie przestając szanować przytem instytucyi państwowych. Lękam się, abyś W. P. M. nie stanął na pochyłości, prowadzącej ostatecznie do całkiem przeciwnych rezultatów. Wspierając najwyższą władzę w wykonaniu myśli, która powinnaby dla ciebie być jasną, skoro pojąłeś charakter Monarchy, do którego zbliżyłeś się, ten charakter, który objawia się od pierwszego słowa, śmiałbym rzec nawet, od pierwszego wejrzenia, służysz najskuteczniej interesom, które ci są drogie. Rozdzielony, wkroczysz niechybnie na wąską dróżynę, która ubezpłodni najlepsze nawet zamiary. Śmiem przypomnieć W. P. M., że wysokie stanowisko, jakie zajmujesz, jest najoczywistszem świadectwem zaufania Monarchy. Zaufanie zaś, w duszy takiej jak twoja, winno wywołać wzajemne zaufanie. Nie powiadam, żebyś nie był wezwany niekiedy do oświecenia rządu na drodze, którą postępuje; lecz najgłębszem jest mojem przekonaniem, iż działalność Twoja o tyle tylko może być pożyteczna, o ile, nie dając się porwać ułudom chwilowych namiętności, pozostaniesz pomocnikiem rządu, t. j. jeśli mu użyczysz poparcia, które zresztą nie będzie nigdy wymagane od Ciebie ze szkodą sumienia. Znane są W. P. M. uczucia, jakiemi jestem dlań ożywiony. Śmiem nawet sądzić, iż dałem ich dowód w chwili stanowczej. W tem uczuciu poczerpnąłem obowiązek wynurzenia się przed Tobą z całą otwartością i bez żadnego zastrzeżenia. Jeśli do listu mojego wkradło się jakie zbyt jaskrawe wyrażenie, to z mojej też strony upraszam, abyś mi

je wybaczył, gdyż natchnięte mi ono zostało jedynie przez szacunek, jaki mam dla Ciebie i przez pełne czci przywiązanie dla Twej osoby.«

Wysłuchawszy bardziej kategorycznych, a mniej osłodzonych wymówek, uczynionych mi w imieniu Cesarza przez Namiestnika, ale tejże co powyższe treści, odpowiedziałem, że w postępowaniu mojem za to jedno ręczyć mogę, że idę drogą jawną, nic przed rządem nie ukrywam i staram się zawsze czynić to, co w sumieniu za mój obowiązek poczytuję; jeśli zaś rząd z innego stanowiska zapatruje się na obowiązki moje, to nie odemnie zależy uchylić tę różnicę, gdyż dbając przedewszystkiem o to, bym stanął czysty przed Sądem Bożym, nie mogę inną miarą powinności moich mierzyć, jak miarą, podaną mi przez religię, którą w głębi sumienia za prawdziwą uznaję. Ilekroć przeto rząd zechce mię zwrócić z drogi, po której postępuję, powinien mię przekonać, iż sprzeniewierzam się zasadom, głoszonym przez Kościół katolicki; wszelkie zaś odwoływanie się do praw państwowych lub politycznej roztropności, pozostaną bez skutku, ilekroć same te prawa i ta roztropność stoją w sprzeczności z nauką katolicką. Podziękowałem wszakże Namiestnikowi za otwartość, z jaką rząd w stosunku do mnie wystąpił, ukazując mi, z czego w postępowaniu mojem jest niezadowolniony, gdyż i mnie daje to prawo do wypowiedzenia nawzajem moich pragnień w stosunku do rządu. Nie raz już prosiłem o to, by utrzymanie porządku po kościołach pozostawiono władzy duchownej; dzisiaj zaś, z powodu tragicznego zgonu młodej dziewczyny, aresztowanej za śpiewy w kościele, domagam się koniecznie, aby policya nie wtrącała się do tego, co się dzieje po świątyniach, ja zaś sam przyjmuję na siebie odpowiedzialność za porządek w czasie nabożeństwa. Jeżeli zaś rząd nie zgodzi się na usunięcie policyi z kościołów, wówczas zmuszony będę zaprotestować publicznie przeciw temu bezprawiu, gdyż nie mogę podzielać odpowiedzialności za użycie środków, które całą duszą potępiam.

Namiestnik nie spodziewał się wcale takiego obrotu rzeczy i, nie będąc doń przygotowany, oświadczył tylko, że zakomunikuje żądanie moje Cesarzowi i zawiadomi mię niezwłocznie o treści otrzymanej odpowiedzi. Powróciwszy do siebie, wziąłem się natychmiast do zredagowania protestacyi przeciw wszystkim nadużyciom władz miejscowych, popełnianych w kościołach; lecz zaledwie pierwszą zapisałem stronnicę, zawiadomiony zostałem o przybyciu Safianosa z polecenia Namiestnika. Oświadczył mi, że telegraficzna odpowiedź z Petersburga już nadeszła i że cesarz zgadza się na zawieszenie działania policyi w kościołach, w rodzaju próby na dni kilka; lecz jeśli po upływie tego terminu śpiewy nie ustaną, aresztowania rozpoczną się znowu. Odpowiedziałem, że potrzebuję przynajmniej tygodnia czasu na przedsięwzięcie odpowiednich środków, i że chciałbym, aby rządowe ogłoszenie o tej próbie było mi zakomunikowane przed ogłoszeniem go w gazetach. Safianos przyrzekł pomówić o tem z Namiestnikiem i odjechał.

Było to w piątek, o godzinie piątej po południu. Chwila była niezmiernie ważna. Udanie się próby czyniło mię panem położenia, gdyż za jednym zamachem oczyszczałem kościół i od policyi i od przewagi ulicy; lecz doznany za to zawód byłby tryumfem władzy, która na podstawie wypróbowanej już niemocy duchowieństwa w utrzymaniu porządku w czasie nabożeństwa, tem zuchwalej gospodarowałaby po kościołach. Ale koście już były rzucone; należało tylko uczynić wszystko, co ode mnie zależało, by zapewnić sobie zwycięstwo. Począłem od rozesłania okólnego wezwania do wszystkich przełożonych świeckich i zakonnych kościołów w Warszawie, aby na godzinę ósmą zrana koniecznie zebrali się u mnie w niezmiernie ważnej sprawie. Wyekspedyowawszy kurendę, wziąłem się do zredagowania odezwy do ludu, którą duchowieństwo miało odczytać z ambon w mojem imieniu we wszystkich kościołach. Z powodu wieczornego nabożeństwa majowego, wierni liczniej niż zwykle zgromadzali się po kościołach i gdzie tylko mogli śpie-

wali zabronione pieśni. Tegoż wieczora, wkrótce po ukończonem majowem nabożeństwie, zjawił się do mnie z rozkazu Namiestnika jenerał-policmajster Piłsucki ze sprawozdaniem, gdzie śpiewano i jak zachowywali się księża. Między innemi wiadomościami zakomunikował mi, że w czasie mej nieobecności, w kościele św. Aleksandra miejscowy wikaryusz, ks. Mikuszewski, tak systematycznie urządzał demonstracye, iż rząd widział się zmuszonym zaaresztować go i posadzić do cytadeli. Tu wszakże ks. Mikuszewski tak się utemperował, że dał słowo, iż nie będzie więcej śpiewów, jeśli go uwolnią. Rząd kazał go wypuścić z cytadeli, zapowiedziawszy tylko, że powtórnie go uwięzi, jeśli nie dotrzyma słowa. Dotąd wszakże nie może się nań skarżyć, gdyż śpiewów od tego czasu u św. Aleksandra nie było. Co do przedsięwziętej próby, mało miał nadziei, by się udała, z tego zwłaszcza powodu, że samo duchowieństwo tajemnie agitowało w duchu rewolucyjnym. Około północy położyłem się spać, nie doczekawszy się żadnej wiadomości z Zamku.

Nazajutrz zrana wręczono mi próbny numer Dziennika Powszechnego, który o godzinie pierwszej w nocy został nadesłany, ale nie śmiano mię budzić, tak, iż za późno już było poprawić redakcyę artykułu, tyczącego się śpiewów, gdyż gazeta była już odbita i rozesłana. Zmartwiło mię to bardzo; po przeczytaniu bowiem tego artykułu przekonałem się, iż termin pozostawiono tylko dwudniowy, a i sposób napisania był bardzo niezręczny, ogłoszenie bowiem składało się z dwóch oddzielnych ustępów, z których pierwszy opiewał, że na moje żądanie rząd zgodził się nie aresztować po kościołach za śpiewy; drugi zaś dodawał, że jeśli śpiewy nie ustaną, policya w poniedziałek rozpocznie znowu aresztowania. Mieliśmy więc tylko sobotę i niedzielę do przeprowadzenia próby. Jak było do przewidzenia, organizatorowie demonstracyi, pochwyciwszy zrana Dziennik, biegali z nim po oberżach, szynkowniach i warsztatach, czytając prostemu ludowi pierwszy tylko ustęp i konkludując, że rząd pozwala na patryotyczne śpiewy po kościołach, lud

zaś w dobrej wierze przyjmował tę wiadomość, gotując się z niej korzystać. Tymczasem o ósmej zrana zebrało się do mnie duchowieństwo, daleko liczniej, niż spodziewałem się, gdyż oprócz przełożonych przybyło też bardzo wielu wikaryuszów i braci zakonnych. Przedmiot zebrania już był wszystkim wiadomy i stąd też tak licznie przybyli. Wszyscyśmy byli nastrojeni uroczyście, każdy czuł, iż obecna konferencya ważne pociągnie za sobą następstwa. Przemówiłem w te mniej więcej słowa: »Zawezwałem was, Bracia i współpracownicy moi w Chrystusowej Owczarni, aby wam oznajmić, iż od nas dziś zależy oswobodzić Pańskie Świątynie od tak poniżającej kontroli policyi, która z ubliżeniem dla miejsca Świętego i z dotkliwą nieraz szkodą wiernych gospodaruje w Domu Bożym, jakby w szynku lub oberży, jako też od samowoli ludzi świeckich, niekiedy nawet niedowiarków, co używając religii za narzędzie, nie o chwałę Bożą i dusz zbawienie, lecz o manifestacyjne tylko cele się troszczą, nie wahając się kompromitować duchowieństwa i narażać na surową odpowiedzialność wiernych, byle dogodzić swym tajemnym planom, które nową tylko klęskę na znękany naród sprowadzić mogą. Wzywam was bracia, nie w imię rządu lub jakiegobądź politycznego stronnictwa, lecz w imię niezależności Kościoła, który swój przewodniczący, pasterski charakter koniecznie zachować powinien, i w imię duchownego pożytku wiernych, dla których świątynia winna pozostać miejscem modlitwy, religijnej nauki i sakramentalnego zasiłku, a nie areną politycznych namiętności; wzywam Was, mówię, w imię najświętszych interesów, jakie Kościół pieczy naszej zwierzył, i najświętszych obowiązków, jakieśmy, przywdziewając suknię kapłańską, na siebie przyjęli, dopomóżcie mi dziś do powrócenia i ustalenia w naszej własnej dziedzinie czysto duchownej jurysdykcyi, tak, iżby odtąd kapłan, a nie kto inny, był jedynym i zupełnym gospodarzem w kościele. Odezwijcie się do ludu z wiarą, przeświadczeniem i prawdziwie kapłańską gorliwością, zaklinając go, aby spokojnem zachowaniem się i zaniechaniem

zabronionych śpiewów wytrącił stanowczo policyę ze świątyń i zapewnił sobie tę najwyższą na ziemi pociechę, jakiej bogobojna dusza doznaje, słuchając Bożego słowa i uczestnicząc w Uczcie Eucharystycznej. Byleście sami byli ożywieni silnem poczuciem konieczności tej zewnętrznej i czysto doczesnej ofiary, a nie wątpię, iż przelejecie to przekonanie i w serca wiernych, którzy zupełne w duchownych swych Ojcach mają zaufanie. Dzisiaj, natychmiast, na rannem jeszcze nabożeństwie przemówcie do ludu, odczytajcie mu gotową tu moją odezwę i objaśnijcie konieczność zaniechania śpiewów we własnym naszym i katolickim i narodowym interesie, a nie wątpię, że was usłuchają i udarują Kościół pokojem, a własne rodziny bezpieczeństwem«.

Skończywszy tę przemowę, badałem wzrokiem przytomnych i na wszystkich twarzach spostrzegłem oznaki współczucia lub przyzwolenia. W tem z dalszych szeregów począł przeciskać się młody kapłan w złotych okularach i dość pretensyonalnie ubrany, a stanąwszy naprzeciw mnie na czele duchowieństwa, zawołał patetycznym i nieco teatralnym głosem: »Jakto, Pasterzu? Więc gdy lud uciśniony i znękany niewolą, lud, któremu wydarto ojczyznę, wolność a nawet godność narodową, lud, który jeśli nie chce być służalcem na własnej ziemi, musi zostać tułaczem lub wygnańcem na obcej; więc gdy lud ten, mówię, nic już nie ma na swą pociechę i obronę prócz łzawej modlitwy, którą szle przed tron Przedwiecznego ufny, iż choć w Niebie znajdzie współczucie, którego mu właśni rodacy odmawiają na ziemi, to ty, Pasterzu, chcesz zamknąć usta temu ludowi i wtłoczyć w zbolałą pierś jego ten straszny okrzyk rozpaczy, choćby serce jego pęknąć miało? O! Pasterzu, nie tego oczekiwał po tobie Polski naród! Myśmy się spodziewali, że sam na czele ludu staniesz i z nim razem wołać będziesz do Pana Zastępów, aż się Bóg ulituje, lub bratnie narody poruszą, spiesząc na ratunek uciśnionych. Lecz dziś, gdyś inną obrał drogę, nie dziw się, że na niej sam pozostaniesz, gdyż żaden kapłan polski nie pójdzie w ślady

Pasterza, co sam swą trzodę na pastwę wilkom chce oddać«.

Był to ksiądz Mikuszewski, jak później dowiedziałem się, członek rządu podziemnego i redaktor Głosu Kapłana, tajemnie wydawanego. Pozwoliłem mu skończyć, choć widziałem, że rodzaj przerażenia ogarnął całe zgromadzenie. Gdy zamilkł, ozwałem się wzruszonym ale pewnym głosem: »Księże Mikuszewski! Więc gdy cię posadzono do cytadeli na chleb i wodę i gdy chodziło o ratowanie własnej tylko skóry, to ty znalazłeś dość odwagi, by jęk żalu i rozpaczy wtłoczyć do zbolałej piersi ludu i sam mu zaniechanie śpiewów doradziłeś. Lecz dziś, gdy chodzi o odzyskanie swobody nabożeństwa i niezależności Kościoła, gdy chodzi o uchronienie polskich niewiast od zniewag żołdactwa, a może od nagłej śmierci, spowodowanej obrazą dziewiczego sromu, jak to miało miejsce przedwczoraj, to sądzisz, iż będzie barbarzyństwem i zdradą narodowej sprawy, zawezwać lud do tejże ofiary, do której go zawezwałeś w imię bezpieczeństwa osobistego? Dziękuję ci, żeś mię nie postawił na równi z tego rodzaju patryotami, co niezdolni do prawdziwej ofiary, dźwięcznym tylko frazesem umieją przykryć swój egoizm. Jeśli w gronie waszem, dostojni Bracia, innych przeciwników nie znajduję, to opozycyi ks. Mikuszewskiego nie lękam się wcale, gdyż dane przezeń słowo panu Policmajstrowi jest mi dostateczną rękojmią, że u św. Aleksandra śpiewy się nie powtórzą«.

Zanim skończyłem, mój antagonista, blady i zmieszany, zniknął w tłumie i, nie czekając, wyniósł się na ulicę, tak go zdetonowało wyjawienie tego, co zaszło w cytadeli, i o czem był pewny, iż nikt prócz policyi nie wiedział. Po ustąpieniu Mikuszewskiego wszyscy oświadczyli się jednomyślnie z gotowością popierania mię z całego serca, a przykry ten epizod, dzięki prawdziwie opatrznemu odkryciu Piłsuckiego, dopomógł raczej, niż zaszkodził mej sprawie. W godzinę później we wszystkich świątyniach duchowieństwo zaklinało wiernych, by zaniechali śpiewania patryo-

tycznych pieśni, ale o skutku tych usiłowań można było sądzić zaledwie nazajutrz, gdyż w niedzielę tylko główne masy ludu, zwłaszcza wyrobników, mogą się udać do kościołów. Nazajutrz wypadał odpust w Czerniakowie, gdzie byłem zaproszony z celebrą, tak, że dopiero dobrze po południu powróciłem do Warszawy, niespokojny bardzo, jak się odbyły nabożeństwa po tamtejszych kościołach. Piłsucki czekał już na mnie, a z jego zdetonowanej miny wnosić już mogłem, iż zwycięstwo pozostało przy duchowieństwie. »A, winszuję W. Ekscellencyi, rzekł, witając mię w progu. Śpiewy nie ozwały się ani w jednym kościele. Teraz widzimy, jaka jest potęga duchowieństwa, jeśli się na seryo weźmie do rzeczy«.

Tak to zakończyły się owe manifestacye religijne, co tak długo główny charakter ruchu stanowiły, przekształcając świątynie w polityczne zbiegowiska. Odtąd kościoły wróciły do normalnego stanu, a policya nie miała już w nich nic do czynienia. Tymczasem przybyło mi do pomocy kilku światłych i gorliwych kapłanów, którzy w różnych gałęziach kościelnego zarządu do pracy się zabrali. Ks. Popiel objął rektorstwo Akademii, ks. Golian katedrę dogmatyki ogólnej, brat mój Julian specyalnej, ks. Jażdżewski Pisma Św. Rozpoczęły się naukowe dysputy, które ożywiły bardzo zapał do nauki w łonie duchownej młodzieży. Ks. Dunajewski zajął się podobnież reformą Seminaryum Św. Jana. Do konsystorza przybyli: ks. Domagalski, zdolny do pióra i łatwą obdarzony wymową; ks. Weloński, gorliwy i niezmordowany w pracy kapłan; ks. Polkowski, wówczas już znany z swych prac historycznych i biegłości w kanonicznem prawie. Ks. Golian rozpoczął nadto cały szereg kazań u Św. Jana, a gorącością ducha i świetnością wymowy liczne pociągał tłumy, pomimo, iż śmiałe i stanowcze wystąpienie jego przeciw rewolucyjnej propagandzie oburzało nań stronnictwo ruchu, które coraz jawniej zdradzało swe zamiary, chociaż do czynnego wystąpienia nigdzie jeszcze nie przyszło.

Polityczne też reformy szybko się rozwijały pod energicznym kierunkiem Margrabiego, który przeprowadziwszy swe projekta w Radzie Stanu, pojechał z nimi raz jeszcze do Petersburga, skąd wrócił niebawem już jako Naczelnik zarządu cywilnego i silną ręką ujął wszystkie gałęzie administracyi krajowej. Usunięcie Kruzenszterna i Hubego, na których miejsce przysłał z Petersburga hr. Kellera na dyrektora Spraw wewnętrznych, Krzywickiego zaś Wyznań i Oświecenia, dało mu możność rozwinięcia bez przeszkody działalności swej na polu reformy włościańskiej i edukacyjnej. Instytucye naukowe wyrastały, jakby pod zaklęciem czarodziejskiej różdżki, tak, iż wszystkie katedry w Szkole Głównej obsadzone zostały w przeciągu kilku tygodni, i to przez ludzi po większej części tak znakomitych, iż najgłośniejsze uniwersytety mogłyby nam ich pozazdrościć. Popęd patryotyczny tak był silny, iż wielu zasłużonych i znanych w świecie uczonych mężów, opuszczało niezależne, często wysokie nawet stanowiska, by zapełnić jaką lukę w jedynym wyższym naukowym zakładzie w kraju, na którym nadzieje przyszłości spoczywały. Rosyjscy urzędnicy, zewsząd wydalani, zastępowani byli przez Polaków, i to ludzi nieposzlakowanej opinii i szczerze pragnących dobra kraju, z którego potrzebami dobrze obeznani byli. Policya nawet złożona była z Polaków i we wszystkich bez wyjątku jurysdykcyach polskiego tylko języka używano. Była to najświetniejsza epoka tak w cywilnym, jak i w duchownym zarządzie, nic bowiem nie przeszkadzało swobodnemu rozwojowi krajowych instytucyi w teraźniejszości, a można się jeszcze było łudzić, że i w przyszłości żadne przeszkody nie nastąpią. Dyrektor główny Wyznań i Oświecenia, Krzywicki, był moim kolegą szkolnym, a że religijnych był zasad i szczerze pragnął dobra kraju, łatwo więc przyszliśmy do zupełnego porozumienia, tak, że nietylko między duchowną i świecką władzą nie było antagonizmu, lecz wspólnie owszem układaliśmy plan postępowania, by nie napotkać przeszkód w Petersburgu. Był to jedyny może Dyrektor

Wyznań, który na seryo pojął i sumiennie wypełniał literę prawa, która zowie go opiekunem interesów kościelnych. Zwykle opieka ta pojmowaną była jako prawo wtrącania się do wewnętrznych spraw Kościoła i posługiwania się swą władzą jedynie na korzyść Państwa, a ujarzmienie duchowieństwa. On przeciwnie: stawał wobec Państwa jako obrońca interesów Kościoła, tylko że za podstawę swej opiekuńczej działalności obrał nie prawo kanoniczne, ale prawo krajowe, które, jakkolwiek nieraz jest uciążliwe, potępia jednak arbitralność chciwych i niechętnych dla katolicyzmu urzędników, którym dawniej wykonanie prawa było powierzone. Co do funduszów n. p. prawo stanowiło, że cały procent od sum, otrzymanych z likwidacyi dóbr poduchownych, winien być obracany na potrzeby kultu; tymczasem okazało się, że większa połowa tych dochodów szła na utrzymanie żandarmów, policyi i innych tego rodzaju instytucyi; ilekroć zaś duchowieństwo prosiło o podwyższenie utrzymania dla konystorzy i seminaryów, lub o wyasygnowanie funduszu na restauracyę walących się świątyń, Dyrektor odpowiadał, że fundusz duchowny wyczerpany, a biskupi nie mieli nawet prawa dopomnieć się o sprawdzenie rachunków. Krzywicki pierwszy sprawdził sumiennie rzeczywisty stan rzeczy, a przekonawszy się o czynionych nadużyciach i istotnych potrzebach duchowieństwa, sam przedstawił do Rady Administracyjnej nowy projekt budżetu Wydziału Kultu, w którym sumy kościelne rzeczywiście na kościelne wydatki były przeznaczone. Jego to staraniom duchowieństwo zawdzięcza podwyższenie etatu na konsystorz, dogodniejsze pomieszczenie Akademii i Seminaryum i wiele innych ulepszeń.

Kiedy wskutek napadów zagranicznych dzienników na zawzięte prześladowanie katolicyzmu w Królestwie za czasów Muchanowa, rząd rosyjski odniósł się do Krzywickiego, jako do następcy Muchanowa, by opierając się na oficyalnych dokumentach, wykazał bezzasadność czynionych Dyrekcyi Wyznań zarzutów, Krzywicki wziął się z całą su-

miennością do tej sprawy, a przekonawszy się, jak rzeczy stały, odpowiedział, że obrona na podstawie dokumentów jest niemożebna, gdyż nierównie więcej zrobiono było nadużyć niż to, co gazety zarzucają. Całe postępowanie Krzywickiego nacechowane było taką godnością i szlachetnością, że nie mogłem pojąć, co go skłonić mogło do napisania w parę lat później owej nieszczęsnej broszury, gdzie zwątpiwszy o przyszłości kraju, doradza Polakom samobójstwo narodowe na korzyść Rosyi, jako sławiańskiego przynajmniej plemienia. Wolę przypuścić, że była to chwilowa aberracya, klęskami wywołana; gdyż zbytby mi było boleśnie podejrzywać tego człowieka o jakieś osobiste spekulacye.

Sposób zapatrywania się Krzywickiego na stosunek Państwa do Kościoła nie napotykał na żadną ze strony Margrabiego przeszkodę. Dalekim on był wprawdzie od uznania niezależności Kościoła od Państwa, t. j. od przyznania Kościołowi własnej autonomii wewnętrznej, ale pojmował przynajmniej pożytek zgody i porozumienia między tymi dwoma najpotężniejszymi czynnikami nowożytnej cywilizacyi, a jak na dziś, to już wiele znaczy. Był on przedewszystkiem mężem stanu, i stąd organizm państwowy stał u niego na pierwszem miejscu; ale jako rozumiejący gruntownie ustrój społeczny i umiejący czytać w dziejach, nie lekceważył on wpływów religijnych, ani też sądził, iż strachem i oszukaństwem działając na duchowieństwo, można dojść z Kościołem do pożądanych dla Państwa stosunków. Gotów on był owszem traktować ze Stolicą Apostolską i na drodze konkordatu szukać załatwienia wszystkich spornych kwestyj; więcej zaś trudno od męża stanu wymagać.

W nowych instytucyach administracyjnych Margrabia zamierzył ustanowić przy Wydziale wyznań Radę Duchowną, która miała objaśniać władze rządowe o potrzebach Kościoła; gdy jednak przedstawiłem mu, że podobna instytucya niezgodna jest z duchem katolickiego Kościoła, który

biskupom jednym przyznaje prawo traktowania z władzą w kwestyach kościelnego zarządu, nie robił żadnych trudności i pozostawił projekt bez wykonania, oświadczając, iż chciał ową Radę jedynie w interesie Kościoła ustanowić. Kiedy zaś później wniósł do Rady Państwa projekt procedury karnej względem osób duchownych, oskarżonych o zdradę stanu, na protestacyę moją, że ustawa ta, jako nadwerężająca *privilegium fori*, nie może być prawomocna bez zatwierdzenia Stolicy Apostolskiej, zapewnił mię urzędownie, iż rząd obowiązuje się traktować o tej kwestyi z Ojcem Św. Przyjąwszy nadto na uwagę dobrą wiarę z jaką wszystkie przyrzeczenia, a tem bardziej istniejące już, prawa były wykonywane wówczas przez rządowe władze, śmiało twierdzić można, iż była to epoka tak pomyślna dla Kościoła, iż gdyby podobne stosunki potrwały dłużej, zupełnemu odrodzeniu duchowieństwa nicby na przeszkodzie nie stanęło, byle we własnem jego łonie znalazł się dostateczny zasób sił żywotnych, Nie dziw też, że stosunki moje z władzami rządowemi były w tym peryodzie jak najlepsze, skoro ani pod względem religijnym, ani narodowym nic prawie nie pozostawiały do życzenia.

Za to partya ruchu coraz nieżyczliwiej poczęła przeciw mnie występować. W miarę jak podziemna organizacya rozwijała się i umacniała, wciągając w zakres swej działalności coraz liczniejsze żywioły we wszystkich warstwach społeczeństwa, umacniało się też w jej przywódcach postanowienie czynnego wystąpienia i wywołania zbrojnej rewolucyi. Zawiązany w Warszawie Komitet Centralny przez agentów Mierosławskiego, składał się wyłącznie z ludzi bardzo młodych i niedoświadczonych, którzy nie znając ani rzeczywistego stanu kraju, ani tego, co się działo w Rosyi, karmili się tylko błogiemi marzeniami, biorąc za rzeczywistość własne urojenia. Sądząc z Warszawy o całej Polsce, wyobrażali, że włościanie, byleby im obiecać ziemię na własność, chwycą za broń równie ochoczo, jak warszawscy robotnicy, którzy najchętniej garnęli się do organizacyi rewolucyjnej.

Wyobrażając zaś, że Kołokoł Hercena jest wyrazem przekonań oświeconej części rosyjskiej publiczności, ci zaś oficerowie, którzy dali się wciągnąć do sprzysiężenia, że reprezentują młodych oficerów całej rosyjskiej armii, liczyli oni, iż z jednej strony powstanie liczyć może na miliony zbrojnych; z drugiej zaś, że siła wojska sparaliżowana będzie liczną niezmiernie dezercyą. Nie dziw, że przy takiem optymistycznem zapatrywaniu byli pewni zwycięstwa, a stąd wszystkich powstrzymujących od zbrojnego ruchu uważali za szkodliwszych niemal dla sprawy narodowej od jawnych jej wrogów.

Od wystąpienia mego przeciw ks. Mikuszewskiemu, który był jednym z główniejszych członków organizacyi podziemnej, zostałem zamieszczony na liście zdrajców ojczyzny, a »Głos Kapłana«, redagowany przez tegoż Mikuszewskiego, coraz gwałtowniejsze zamieszczał przeciwko mnie artykuły. W mieście rozrzucano w tysiącach fotografii karykaturę, przedstawiającą mnie w postaci gałganiarza, zbierającego pod szubienicą spadające z niej gałgany do worka, opatrzonego etykietką: kandydaci na posady; u spodu zaś podpis: »widzicie, Bracia, że szukam godnych siebie kandydatów«. Niechęć ta rewolucyonistów wzmogła się jeszcze z powodu tak zwanego narodowego podatku.

Komitet podziemny oszacował dochody wszystkich zamożniejszych mieszkańców Warszawy, a następnie i całego kraju i zażądał od każdego opłacenia do kasy narodowej dziesiątego procentu od dochodu. Trwoga owej niewidomej władzy, o której wiedziano, że nie przebiera w środkach, była tak wielka, że ludzie najumiarkowańsi, a nawet do składu rządu wchodzący, woleli opłacić się, niż narazić na zemstę. Każdy odbywał to w inny sposób, stósownie do charakteru i stanowiska, ale każdy ulegał, nie wyjmując nawet Rosyan. Tak były warszawski gubernator, Petrow, który otrzymał od rządu w Królestwie majorat, zaskoczony na wsi przez egzekutorów podatku, a nie mając dość gotówki w domu, by uiścić się w całości, dał słowo honoru,

że przywiezie z Warszawy żądaną sumę, i rzeczywiście dotrzymał słowa, pomimo, że w Warszawie namawiano go, aby nie wracał. Sekretarz Stanu Enoch, gdy doń przysłano po podatek, zapłacił, nie rzekłszy ani słowa, żądaną sumę i tylko palec na ustach położył, na znak, aby milczano. Dyrektor główny Wasiński, otrzymawszy podobneż wezwanie od Komitetu, odrzekł upoważnionej osobie: »To są domowe interesa; proszę się z tem udać do mojej żony; ja urzędowe tylko załatwiam«. Żona zaś co do grosza zapłaciła. Jeszcze uprzejmiej znalazł się Leopold Kronenberg, najbogatszy warszawski bankier; gdy bowiem zażądano od niego dwadzieścia tysięcy podatku, odrzekł, że Komitet się omylił w wyliczeniu, gdyż od niego należy się czterdzieści, i natychmiast takową sumę wyliczył. Otóż gdy przyszła kolej na mnie Komitet wydelegował z gotowym już kwitem, zaopatrzonym w pieczęć rewolucyjną, jakąś nieznaną mi damę, która podała mi kwit z propozycyą uiszczenia się z narodowego podatku. Zapytałem ją, jakiego była wyznania? Na zapewnienie zaś, że była katoliczką, odparłem, że podejrzywam ją, iż jest agentem moskiewskim, podesłanym umyślnie na to, aby mię wypróbować. Na to przypuszczenie przeraziła się niezmiernie i poczęła protestować, że nic nigdy wspólnego z Moskwą nie miała i nie uznaje innego rządu nad rząd narodowy, który ją do mnie przysyła. — Gdybyś Pani była rzeczywiście katoliczką, odrzekłem, to wiedziałabyś że biskup katolicki, jako nauczyciel i stróż objawionej prawdy, musi sam przedewszystkiem w prawdzie postępować i nie może przeto pokątnie czynić to, co potępia jawnie. Pani wiedziałabyś, gdybyś bywała w kościele, że ja otwarcie i stanowczo w naukach moich potępiam spiski i rewolucyjne knowania, tak ze stanowiska religijnego, jak i z dobrze zrozumianego patryotyzmu. Jeśli zaś takie jest moje głębokie przekonanie, to cóżbyś Pani myślała o mnie, gdybym, dając na rewolucyjne cele pieniądze, sam dostarczał środków nierozważnym patryotom do wywołania katastrofy, którą ja za największą dla kraju klęskę poczy-

tuję? Proszę powiedzieć tym, co Panią tu przysłali, że to, co ja dla kraju uczynić mogę, czynię jawnie i przed żadnem stronnictwem nie nakładam maski. Wszyscy widzą mię takim, jakim rzeczywiście jestem, a co mówię, to istotnie myślę. Mogę się mylić w rzeczach ludzkich, tak jak każdy człowiek, ale gdybym błąd uznał, pierwszybym się przyznał do niego i starał złe naprawić. Bez zmiany zaś przekonania nigdy nie zmienię postępowania, chociażbym się miał przez to całemu światu narazić. Zemsta mię nie lęka, choć nie wątpię, że dosięgnąć mię może; bo kto się Boga boi, temu nie straszny gniew ludzki. Życie nie ma dla mnie tyle powabu, abym dla jego zachowania zgodził się zabić moralnie we własnem sumieniu. Nie potępiam was, bo nie wiecie, co czynicie, ale serdecznie ubolewam nad ślepotą waszą i nad krajem, na który niepowetowane ściągnąć możecie klęski. Pamiętajcie, że bez Bożej pomocy nic dobrego uczynić nie możemy. Pan Bóg zaś niegodziwym środkom nie może błogosławić, chociażby w najlepszym podjęte były celu«.

Wątpię, aby to przemówienie wywarło jaki wpływ na słuchającą, ale odeszła w milczeniu i nigdy już odtąd stronnictwo ruchu nie próbowało zawiązać ze mną stosunków, uważając mię za całkiem dla sprawy swojej straconego.

Tymczasem nadeszła wieść z Petersburga o zamianowaniu Wielkiego Księcia Konstantego namiestnikiem, Lüders zaś z tytułem hrabiego doczekiwał się tylko przybycia W. Księcia, by opuścić Warszawę. Jedną z ostatnich jego czynności było wydanie wyroku śmierci na kilku rosyjskich oficerów, którzy dali się wciągnąć do rewolucyjnej organizacyi i zostali wykryci. Wyrok ten został wykonany w cytadeli dnia 26 czerwca, co rozjątrzyło niezmiernie przywódców sprzysiężenia. Nazajutrz zrana Lüders przechadzał się po Saskim ogrodzie, gdzie pijał wody, gdy z za krzaku padł strzał i kula rozbiła mu dolną szczękę. Napastnik umknął i nie został pojmany. Był to początek skrytobójstw, które odtąd weszły na porządek dzienny i tak haniebnem

piętnem skalały sprawę narodową, tak czystą i szlachetną dotąd. Z początku manifestacyi wołano na lud, żeby się strzegli przedewszystkiem zbrojnego wystąpienia, że Moskale pragną tego przedewszystkiem i sami broń podrzucają, byle mieć pretekst do pastwienia się nad narodem i odjęcia mu reszty swobód. Wówczas masy całe gotowe były iść na męczeństwo za głoszoną jawnie ideę, lecz krwawy odwet uważanoby za zbrodnię narodową. To też wobec tej wysokiej godności moralnej narodu despotyzm zadrżał i zawahał się, a naród otrzymał, jakby w zapłatę za krew męczeńską, samorząd, którego przez lat trzydzieści był pozbawiony. Wszystkie sympatye i w kraju i za granicą i w samej nawet Rosyi były po naszej stronie. Strzał w Saskim ogrodzie i w ślad za nim idący cały szereg skrytobójstw odwróciły od sprawy naszej uczciwe sympatye, oklaski zaś komunistów i stowarzyszenia międzynarodowego nie mogły wynagrodzić szkody moralnej, wyrządzonej tym nieszlachetnym, a tem bardziej niechrześcijańskim terroryzmem. I trzeba było niesłychanych okrócieństw Murawiewa, Czerkaskiego i innych potworów despotyzmu, by zmyć plamę, jaką rewolucyjny terroryzm sprawę naszą napiętnował. Uczucie wstrętu, wywołane pierwszym napadem z za węgła na bezbronną ofiarę było tak powszechne w nierozpasanej jeszcze na mord ludności Warszawy, że sami sprawcy pokuszenia przyznać się doń nie śmieli, puszczając pogłoskę, że była to jedynie koleżeńska zemsta za rozstrzelanie oficerów.

Zamach na Ludersa i otrzymana przezeń ciężka rana, co go na długo przykuwała do łoża, przyspieszyły przyjazd do Warszawy W. Księcia, który wnet po przybyciu odwiedził katedrę, gdzie przyjąłem go krótką powitalną przemową. Wieczorem był w teatrze i już siadł do powozu, aby odjechać, gdy jakiś młody człowiek, stojący tuż obok powozu, strzelił doń w piersi z dużego pistoletu, ale kula napotkawszy drucianą koszulkę, poślizgnęła się po niej i ugrzęzła w epolecie. Kontuzya wszakże była tak silna, iż trzeba

było wnet opatrzyć ranę. Morderca został pojmany, był to wyrobnik Jaroszyński, który wykonał zamach z rozkazu władzy podziemnej, której przysiągł na posłuszeństwo. Nie miał on bynajmniej krwawych instynktów i nigdyby z własnego poczucia nie pokusił się zdradziecko na życie bliźniego, ale fałszywe pojęcie o obowiązkach, wynikających z niegodziwej przysięgi, skłoniły go do tak wstrętnej dla polskiej natury roli ulicznego zbira. A w tej nawet nikczemnej roli wrodzona szlachetność uwydatnić się zdołała; czekał on już bowiem na W. Księcia na banhofie z rewolwerem w kieszeni, ale widok brzemiennej żony, którą prowadził pod rękę, natchnął go współczuciem, tak, że odłożył wykonanie zamachu. Spotkał się następnie z swą ofiarą w kościele św. Jana, ale tu znowu świętość miejsca wytrąciła mu oręż z ręki. Takto nawet fanatyzm polityczny nie jest w stanie wygluzować z polskiego serca uczuć ludzkości i bojaźni Bożej.

Nazajutrz zrana we wszystkich kościołach odprawione zostały dziękczynne nabożeństwa za ocalenie W. Księcia. Ja przy tej zręczności przemówiłem w katedrze w wyrazach gromiących surowo skrytobójstwa, w jakimbądź podjęte celu, jako zbrodnię przeciw Bogu i ludziom. Przemówienie to było powtórzone w gazetach i rozumie się rozdrażniło jeszcze więcej przeciwko mnie rewolucyonistów. Po nabożeństwie wyższe duchowieństwo, Rada Stanu i wszyscy wyżsi urzędnicy udali się do Łazienek powinszować W. Księciu ocalenia. Andrzej Zamoyski przybył tam także jako prezes wyborowy Towarzystwa Kredytowego. Gdyśmy się zebrali w audyencyonalnej sali, W. Książę wezwał do swego gabinetu naprzód Margrabiego i konferował z nim kilka minut sam na sam; następnie zaś powołano i mnie. W. Książę nie mógł jeszcze włożyć munduru, był więc ubrany w oficerskim płaszczu i ramię miał obandażowane. Powitał mię bardzo serdecznie, był mocno wzruszony i z nieudanem uczuciem powiedział mi: »Bogu zawdzięczam ocalenie życia. Dziękuję za wczorajsze błogosławieństwo, udzielone mi na wstępie do

kościoła, ono musiało się także przyczynić do tego, że Opatrzność czuwała nademną«. Potem dodał z uśmiechem, ukazując na ranę: »Przelałem krew za sprawę polską. Krew ta ściślej mię jeszcze połączy z narodem, nad szczęściem którego pracować przybywam. Ufam, iż znajdę poparcie u tych wszystkich, dla których pomyślność ojczyzny jest droga.« Tu podał mi rękę, a ja zapewniłem, że w miarę sił moich rad będę wspierać jego usiłowania, dążące do szczęścia kraju. Następnie W. Książę wyszedł do sali i, powitawszy tam zebranych, podziękował im w gorących wyrazach za okazane mu współczucie, dodając, że błogosławić będzie to chwilowe cierpienie, jeśli kosztem jego uda mu się ściślej zjednoczyć z narodem, któremu przybył przewodniczyć. »Ręczam Was, dodał, iż z najlepszemi dla Was przybywam chęciami, ale dobre te chęci pozostaną bez skutku, jeśli w łonie samego narodu podtrzymania nie znajdą. Zapomnijcie o waśniach osobistych i stronniczych niezgodach, a podawszy sobie ręce, podtrzymajcie mię na drodze wspólnej dla kraju pracy«. Tu ująwszy dłonie Wielopolskiego i Zamoyskiego, połączył je razem i rzekł: »Pojednajcie się i wspierajcie mię oba, a będzie to najszczęśliwszy dzień w mem życiu.« Połączone wszakże dłonie pozostały zimne i nieruchome i żaden objaw przyzwolenia nie odpowiedział na to wezwanie W. Księcia. Nie była to jednak, jak widzieliśmy, prywata, lecz konieczne następstwo różności przekonań politycznych, które nie dozwala na wspólną pracę tam, gdzie wspólności gruntu nie ma.

Wrażenie, jakie na mnie zrobił Wielki Książę, było w ogóle korzystne. Wydał mi się zwłaszcza człowiekiem szczerym, pragnącym istotnie tego, z czem się oświadczał. Tego przekonania o nim nie zmieniłem nigdy i dotąd sądzę, że gdyby od niego zależało, uczyniłby po uśmierzeniu powstania toż samo, co przyrzekał czynić wnet po swem przybyciu. Miał on w swym charakterze coś rycerskiego, coś szlachetnego, co go wyróżniało od petersburskich polityków, całkiem przesiąkłych samolubstwem i obłudą, co nie pojmują

innego celu nad gruby, materyalny interes własnego państwa, o żadne zaś wyższe cele nie dbają i żadnych moralnych zasad w polityce nie przyznają. Wielki Książę rozumiał i cenił dodatnią stronę polskiego charakteru, co między Rosyanami niezmiernie rzadko się zdarza. Odzywał się nawet z wielkiem uznaniem o kilku przywódcach powstania, którzy odznaczyli się szlachetnością i wzniosłością uczuć. Po wybuchnięciu powstania często się odzywał, że nie chce czynić narodu odpowiedzialnym za szaleństwo garstki młodzików. »Ukarać winnych, lecz ocalić instytucye,« było ulubionem jego hasłem, które często lubił powtarzać. O ile osobista ambicya mogła się przyczyniać do pragnienia uratowania naszej autonomii? — jest to rzecz jego własnego sumienia; lecz naród nic na tem nie tracił, jeśli osobisty interes Namiestnika godził się z interesem narodu. Powiadają, że W. Książę miał przyrzeczone sobie dziedziczne wicekrólestwo w Polsce, na co zdaje się wskazywać naprzód ta okoliczność, że sprowadził do Warszawy całą swą rodzinę, nawet synów, którzy się wychowywali z synami Cesarza, i wszystkich uczył po polsku. Zamek też królewski restaurował z prawdziwem zamiłowaniem, jakby na rodzinne gniazdo. Co zaś najwyraźniej kazało się tego domyślać, to wyrażenie W. Księżnej z powodu tak zwanej żółtej partyi. Rozeszła się była wieść po Warszawie, że stronnicy W. Księcia, który nosił żółte rabaty u munduru, postanowili ogłosić go królem. Pogłoska ta o tyle znalazła wiary w Zamku, że W. Książę przez trzy dni nie pokazywał się na ulicy, lękając się, by istotnie nie skompromitowano go podobnymi okrzykami. Mówiąc o tem, W. Księżna zapytała: »Lecz czegóż chcą Polacy? Chyba tytułu? bo rzecz samą mają.«

Jakkolwiekbądź, niewątpliwą jest rzeczą, że oboje W. Księstwo szczerze pragnęli pozostać w Warszawie i zżyć się jak najbliżej z Polakami. Od samego początku czyniono usiłowania, by czoło polskiego towarzystwa ściągnąć do Łazienek; ale z jednej strony kompromitujący zawód, jakiego Warszawa doznała po pierwszem przybyciu Cesarza, kiedy

w odpowiedź na pełne serdecznego zaufania przyjęcie usłyszała: »*Pas de rêveries!*«, z drugiej zaś obawa zemsty ze strony partyi ruchu, która oblewała witryolem damy, ukazujące się na ulicy w kolorowych sukniach, trzymały całe towarzystwo w takiej rezerwie, że prócz margrabiny Wielopolskiej, żadna dama wyższego tonu nie pospieszyła powitać W. Księżny. Wszyscy mężczyźni, którzy mieli jakiebądź stanowisko urzędowe, bądź dworskie, bądź w instytucyach krajowych, bywali w Łazienkach na przyjęciach oficyalnych, na które rozsyłano zapraszające bilety, wedle stopni hierarchicznych, każdemu, co miał do tego prawo. Ale gdy na tychże biletach dodano: »z rodziną,« żadna dama nie przybyła, bo żadna nie chciała być pierwszą, oglądając się na te, którym opinia publiczna inicyatywę w takich razach przyznawała. Jak pan Andrzej Zamoyski uznawany był powszechnie za pierwszego w kraju obywatela, tak, że zazdrość sama zmilczała wobec ogólnego uznania; tak znowu w świecie niewieścim berło pierwszeństwa piastowała niepodzielnie pani Augostowa Potocka, która nietylko swem stanowiskiem społecznem i dostatkami, lecz więcej jeszcze niezwykłym rozumem i towarzyskim taktem i wielkiemi chrześcijańskiemi i obywatelskiemi cnotami była niezaprzeczenie w owym czasie pierwszą polską matroną. Ku niej też zwracały się wszystkie oczy, czekając hasła z Wilanowa. Postawa jednak pani Augustowej nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do jej zamiarów. Pragnąc odjąć sobie samą możebność nawet przyjmowania w Warszawie, oddała ona wszystkie salony pałacu swego na Krakowskiem Przedmieściu na wystawę sztuk pięknych, sama zaś wyjechała na stałą rezydencyę do Wilanowa, skąd prywatnie tylko dojeżdżała do Warszawy dla odwiedzenia krewnych i znajomych. Zrozumiano wkrótce w Łazienkach, że póki nie ściągną tam pani Augustowej, napróżno starać się będą o przełamanie oporu dam innych, które się na nią głównie oglądały; ku niej też zwrócono przedewszystkiem atak.

Mieszkała wówczas w Warszawie słynna niegdyś z piękności i wpływów, pani Kalerdżi, z domu Nesselrode, która za czasów Paszkiewicza trzęsła niemal Warszawą a i w Petersburgu wielkie też miała znaczenie. Teraz z dawnej piękności pozostawały tylko ślady, z wpływów zaś obszerne stosunki i rutyna, nabyta długoletnią wprawą. Do jej to przebiegłości udano się naprzód, by skłonić panią Augustowę do złożenia wizyty u Dworu. Zdarzyło się przypadkiem, że tegoż dnia, kiedy ów niewieści dyplomata rozstawiał swoje siecie, by uwikłać ukazaną mu ofiarę, i ja też przybyłem do Wilanowa. Wchodząc do salonu, spostrzegłem na twarzach gospodyni i gościa wręcz przeciwne wrażenie; o ile bowiem pierwsza witała mię uprzejmie, o tyle druga z trudnością ukrywała swe niezadowolenie. Jakoż, gdy po krótkiej chwili pani Kalerdżi odjechała, pani Augustowa najserdeczniej mi podziękowała, żem ją wybawił z formalnego oblężenia; szturm bowiem tak był natarczywy, iż przy całym rozumie i dyplomatycznej przebiegłości, nie wiedziała już jak się oprzeć naleganiom, nie wychodząc z granic dworskiej etykiety i nie narażając się na formalne zerwanie.

Po tej niedoszłej próbie udano się jeszcze do mego pośrednictwa. Wielka Księżna wyznała otwarcie, że chciałaby się zbliżyć z polskiemi damami, a że tego najłatwiej dokonać można na gruncie neutralnym, zaproponowała przeto, bym jej towarzyszył przy zwiedzaniu zakładów miłosiernych, gdzie spodziewała się spotkać damy opiekunki i tym sposobem zawiązać z niemi znajomość. Każdy zakład prywatny miał istotnie jedną lub kilka dam opiekunek, co dostarczały funduszów na jego utrzymanie i wglądały w wewnętrzny zarząd. Najczynniejszemi były w tej mierze pani Augustowa, hr. Pusłowska, hr. Małachowska, hr. Górska, hr. Elfryda Zamoyska, o które też głównie chodziło Wielkiej Księżnie. Nie odmawiając pośrednictwa, uprzedziłem W. Księżnę, że wobec rewolucyjnego nastroju warszawskiej ludności, jestem pewny, że żadna z tych dam nie zechce narażać się na zniewagi z powodu sukien kolorowych; jeśli zaś wystąpienie

w czerni ma być uważane za manifestacyę nieżyczliwą, to zapewne damy te powstrzymają się całkiem od przybycia. Na to Wielki Książę powiedział, śmiejąc się: »Niema innej rady, jak przyjąć hiszpańską etykietę, gdzie damy w czerni tylko bywają u dworu.« Gdy zaś W. Księżna zauważyła, że i jej też wypadłoby przywdziać strój żałobny, W. Książę odpowiedział: »Cóż robić, jeśli to ma być koniecznym warunkiem zbliżenia się.«

Rozpoczęliśmy przeto nawiedzanie miłosiernych zakładów. Żeby jednak oswoić z tem publiczność, zwiedzaliśmy naprzód szpitale i przytułki publiczne, zostawiając prywatne na sam koniec. Wielka Księżna wystąpiła od razu w czarnej sukni i do końca pozostała wierna temu kolorowi; lecz, że wiele było zakładów do zwiedzania, zwiedzaliśmy zaś zaledwie jeden na tydzień, nim więc przyszła kolej na prywatne, już mię nie było w Warszawie, tak, że do spotkania z damami wcale nie przyszło.

Nie mniejsze trudności miał W. Książę z ułożeniem swego dworu i świty. W zasadzie pragnął on otoczyć się samymi Polakami; gdy przyszło wszakże do wykonania, plan rozbił się o brak ludzi, gdyż wszyscy ci, co mieli niezależne stanowisko, usuwali się od przyjęcia dworskich obowiązków, wobec grożącego powstania. Na marszałka Dworu musiał wziąć hrabiego Chreptowicza, Polaka niby z pochodzenia i religii, ale nie umiejącego nawet po polsku. Spędziwszy całe życie w dyplomacyi, bądź w Petersburgu, bądź za granicą, nie miał on nic wspólnego z krajem, którego potrzeby nawet były mu nieznane. To też nie mógł on pod żadnym względem stać się ogniwem, łączącem dynastyę z narodem. Był to czystej krwi petersburski dworak i to czasów mikołajewskich. Ani godność narodowa, ani godność osobista, ani religijne przekonania nawet nie były w stanie przeważyć u niego nad raz objawioną wolę monarszą, która dla niego była zawsze najwyższem prawem. Wedle tej miary sądził też i innych, nie pojmując wyższej obywatelskiej cnoty nad ślepe posłuszeństwo władzy. Kiedy z po-

wodu chrzcin urodzonego w Warszawie syna W. Księcia, któremu nadano imię Wacława, miało być w Łazienkach uroczyste przyjęcie, ceremoniał całej uroczystości został ułożony przez Chreptowicza, na modłę podobnych obchodów u cesarskiego Dworu i przez samego Monarchę zatwierdzony. W wilię owej uroczystości Chreptowicz przyjechał do mnie, aby mi zakomunikować, jaką rolę ceremoniał przeznaczał dla mnie. Otóż ze względu na to, że w hierarchii oficyalnej liczyłem się pierwszą osobą po Margrabim, przy obrzędzie chrztu naznaczono mi miejsce w cerkwi obok Wielopolskiego, tuż przy cesarskiej rodzinie, której po ukończonej ceremonii mieliśmy pierwsi złożyć życzenia. Wydawało mu się to tak naturalne a zarazem zaszczytne dla mnie, że ani wątpił, że najchętniej zastosuję się do przeznaczonej mi roli. To też nie mógł ochłonąć ze zdziwienia i niemal ze zgrozy, gdym mu odpowiedział na to, że jako biskup katolicki nie mogę żadną miarą przyjąć udziału w religijnych obrzędach, spełnianych w innowierczej świątyni. Nie zwrócił nawet uwagi na kanoniczną stronę kwestyi, tylko z wyraźnem na twarzy przerażeniem zawołał: »Ależ tu nic zmienić nie można! Sam Cesarz zatwierdził ceremoniał.« Na to odpowiedziałem spokojnie, że ja też żadnej zmiany nie żądam, tylko nie przyjadę wcale do Łazienek, nie robiąc z tego żadnej demonstracyi. »A to jeszcze gorzej«, odrzekł, »lepiej ja pomówię z W. Księciem i niebawem dam odpowiedź«. Jakoż w parę godzin wrócił, zawiadamiając, że ceremoniał został zmieniony i że nikt z katolików, prócz piastujących dworskie urzędy, nie będzie obowiązany znajdować się w cerkwi, powinszowania zaś składane będą po dokonanym obrzędzie w zwykłych recepcyonalnych salonach. Żona Chreptowicza, z domu Nesselrode, córka ministra spraw zagranicznych, była damą honorową Wielkiej Księżny; ale ta nic już wspólnego z Polakami nie miała i przez cały czas pobytu swego w Warszawie żadnych nie zawiązała stosunków z miejscowem towarzystwem.

Prezesem dyplomatycznej kancelaryi W. Księcia był drugi tegoż rodzaju, co Chreptowicz, Polak, hr. Tęgoborski, wychowany w Petersburgu przez całkiem już zruszczałego ojca. To też sfera jego działalności ograniczała się do ciasnego zakresu ścian swego biura, tak, iż mało kto nawet wiedział o jego istnieniu. Z podrzędnych urzędników Dworu jeden tylko był Polak, Sobański, z uboższej gałęzi tej rodziny, który także nie miał żadnego politycznego wpływu. Na czele świty wojskowej *(Maison militaire)* W. Księcia stał pułkownik Wrześniowski, wzięty jedynie w braku lepszego, dlatego tylko, że Polak, i to po daremnych próbach znalezienia kogo ze znakomitszych rodzin. Nie świetnie przeto, jak widzimy, przedstawiał się dwór W. Księcia w Warszawie, a jeśli przyjęcia uroczyste nabierały nieco blasku licznem zbieraniem się znakomitości męskich, którzy nie uchylali się od stosunków z Zamkiem, to niewieścia część towarzystwa odznaczała się uderzającem ubóstwem. Margrabina Wielopolska, hr. Keller, z domu Ryżnic, zgrzybiała już hr. Wacławowa Rzewuska, z Rosyanek zaś hr. Chreptowicz i hr. Komorowska, oto i wszystkie damy, kwalifikujące się do Dworu, tło zaś obrazu trzeba było zapełniać figurantkami, branemi w niższych sferach wojskowych i urzędniczych, co niezmiernie upokarzało Wielką Księżnę. Dziwne to zaiste były stosunki i dotąd niebywałe w Warszawie, gdzie nawet za Paszkiewicza, wśród najsroższych prześladowań, Zamek, byle się chciał otworzyć, znajdował zawsze chętnych gości. Tylko rewolucyjna atmosfera, grożąca co chwila burzą, i stanowczy opór kilku dam, stojących na czele ówczesnego towarzystwa, były zdolne powstrzymać wrodzoną młodym Polkom chęć do zabaw, dla których tak świetne otwierało się dziś pole. To też w lżejszych kobiecych sferach nie zbywało na utyskiwaniach na ów patryotyczny purytanizm, co zasklepił się w żałobie i w życiu rodzinnem, skazując całe młode pokolenie na śmiertelne nudy. Jedna z młodych dam wyższego świata, (p. Stanisławowa Potocka), która przywykła do tego, iż bywała królową zabaw, głośno narzekała na

surową dyktaturę czterech dam (pani Augustowa, Pusłowska, Małachowska i Górska), którym przypisywała ogólne powstrzymanie się od zabaw i nazywała je uszczypliwie »*les quatre mères stériles*«, robiąc alluzyę do tego, iż wszystkie cztery były bezdzietne. Dyktatura wszakże utrzymała się aż do końca i zbliżenie wcale nie nastąpiło, pomimo to, że Wielka Księżna przywdziała czarną suknię, a W. Książę przemawiał w Radzie Stanu po polsku i restaurował królewski zamek z polskimi orłami, wedle planu z czasów Stanisława Augusta.

Gdy tak z jednej strony Dwór napróżno usiłuje zbliżyć się do stronnictwa umiarkowanego, które postanowiło pozostać na stanowisku obserwacyjnem, pod hasłem: z w a r t a b i e r n o ś ć, nie dowierzając z jednej strony rządowi, z drugiej zaś lękając się rewolucyi socyalnej; rząd podziemny wstępował coraz śmielej na drogę rewolucyjną, obrawszy terroryzm za główny środek działania. Kto tylko uznany został przez Komitet centralny za człowieka szkodliwego ich sprawie, wnet skazany bywał na śmierć, a rzucone losy wyznaczały rękę, która miała się podjąć egzekucyi. Łatwo było przewidzieć, że po W. Księciu przyjdzie kolej na Margrabiego, jako główną sprężynę rządu. Jakoż zamach nie kazał na się czekać długo. Raz gdy Wielopolski przybył do Komisyi Skarbu w interesach zarządu i począł wchodzić na schody, nasadzony morderca, który czekał nań w sieniach, strzelił doń z tyłu. Margrabia odwrócił się natychmiast przodem i natarł nań z laską, a choć złoczyńca dał jeszcze dwa strzały, chybił wszakże z przestrachu i, mając kilka kul nie wystrzelonych, począł uciekać przed sześćdziesięcioletnim starcem, w laskę tylko zbrojnym. Takie to było męstwo owych ulicznych zbirów, co plamili nietylko sumienie narodowe, ale i ową ustaloną reputacyę narodowej odwagi. Ujęty Ryl przyznał, równie jak dawniej Jaroszyński, że był tylko ślepym wykonawcą otrzymanego z góry rozkazu, wskutek wykonanej przysięgi i wyciągniętego przezeń losu. Jeszcze nie przeszło wrażenie, sprawione pierwszym zamachem, gdy

nastąpił drugi w Alejach na Margrabiego, jadącego powozem. Tu już nie rewolwer, ale sztylet został użyty. Morderca wskoczył na stopień odkrytego powozu i zadał cios sztyletem, ale w chwili spuszczania ręki, noga mu się usunęła ze stopnia, tak, że uderzył w powóz, a sam upadł na ziemię. Był to Rzącá, także wylosowany wyrobnik, który doścignięty dał się rozbroić jednemu człowiekowi. Już same niepowodzenia tych zamachów, przy których opieka Opatrzności tak wyraźnie się ujawniła, powinny były upamiętać tych zapamiętałych zapaleńców; ale jest pewien stopień zaślepienia, co odejmuje człowiekowi możebność ujrzenia najoczywistszych nawet rzeczy. Naprózno ks. Golian w równie silnych, jak serdecznych wyrazach przedstawiał w swych kazaniach niegodziwość skrytobójstw i zaklinał sztyletników, by swem zbrodniczem postępowaniem nie ściągali na kraj nieszczęśliwy cięższej jeszcze pomsty Bożej; zamiast upamiętać się, odgrażali się jeszcze przeciw kaznodziei i mnie, z którego upoważnienia przemawiał. I snać pogróżki te nie były całkiem bezzasadne, kiedy raz, wsiadając do powozu przy wyjściu z kościoła, spostrzegłem naklejoną na karecie drukowaną kartkę, w której powiedziano było, że jakkolwiek arcybiskup Feliński jest złym Polakiem i szkodliwym obywatelem, jednak zabicie jego mogłoby jeszcze szkodliwszem stać się dla sprawy, przeto Komitet narodowy zabrania na życie jego posięgać. Lecz nie wszyscy mieli religijny charakter dla swej ochrony.

Redaktorem »Dziennika Powszechnego«, który wychodził pod inspiracyą Margrabiego, był Miniszewski, człowiek jeszcze młody, ale znany już w świecie literackim z kilku prac swoich. Nie ciężył na nim nawet żaden zarzut pod względem patryotycznym prócz tego, że podzielając umiarkowane zasady, uważał rewolucyę za zgubny dla kraju wypadek i w tym duchu redagował swój dziennik. Za to wydelegowany siepacz czekał go na schodach własnego mieszkania i wychodzącego od siebie ugodził śmiertelnie sztyletem. Lecz co najsmutniej świadczy o panującym wówczas

terroryzmie, to, że własna żona zamordowanego nie ośmieliła się pójść za trumną męża, tak, że pogrzeb miał charakter czysto urzędowy i żadna łza współczucia nie zrosiła mogiły tej niewinnej rewolucyjnych namiętności ofiary. Przyznaję, że tak nędzną i godną politowania wydała mi się ta ostrożna małżonka, iż rad byłem, iżem się z nią nigdy nie spotkał.

Każdy dzień niemal przynosił wieść o jakimś politycznym mordzie, bądź w samej Warszawie bądź na prowincyi. Jeden z tych, co miał najpoważniejsze następstwa, miał miejsce w Lubelskiem. Jakiś spekulant najnikczemniejszego rodzaju wszedł do sprzysiężenia lubelskiego, w zamiarze zrobienia z tego korzystnej afery. Wywiedziawszy się, co mógł o spisku, porobił notatki i napisał do głównego zarządu policyi w Warszawie, pytając, co mu zapłacą za wykrycie podziemnej organizacyi lubelskiej? List ten wpadł w ręce jednego z agentów Komitetu podziemnego, których pełno było we wszystkich jurysdykcyach rządowych, i wskutek tego usłużny zdrajca został skazany na śmierć. Rozkaz ten został doręczony jednemu z naczelników związku, Niemirowskiemu, los zaś przezeń rzucony padł na jakiegoś kowala, który rzeczywiście dopełnił zabójstwa. Przy uczynionej przez policyę rewizyi u nieboszczyka, znaleziono jego notatki, zwłaszcza zaś spis osób, należących do sprzysiężenia. Śledztwo w tej sprawie powierzone zostało pułkownikowi Witkowskiemu (późniejszemu prezydentowi miasta Warszawy), ten zaś z gorliwością i przebiegłością wzorowego żandarma wziął się do dzieła, którego szczęśliwe rozjaśnienie świetną mu karyerę zapewniało. Dość wyraźne poszlaki ukazywały na kowala, jako na bezpośredniego zabójcę; to też zaaresztowano go natychmiast. Że jednak nie tyle chodziło o dowiedzenie mu winy, ile o wyłudzenie zeznań, któreby stwierdziły wiarogodność doniesień zabitego szpiega, Witkowski przeto, po bardzo powierzchownej indagacyi kowala, uznał go niewinnym i rozkazał puścić na wolność; odchodzącemu zaś szepnął na ucho, aby zaszedł do jego mieszkania. Tu

przyjął go bardzo serdecznie i niemal po koleżeńsku, przyznał się, że sam należy do spisku i począł mu dawać nauki, jak ma zachować się na przyszłość, w razie gdyby został badany, gdyż obecnie tak co chwila się zdradzał, że każdy inny sędzia byłby go potępił. Zyskawszy tym sposobem zaufanie kowala, począł go rozpytywać o różne osoby i wypadki, o których dowiedział się ze sprawozdania szpiega, kowal zaś widząc, że mówi z osobą wtajemniczoną w działania sprzysiężonych, szczerze też wywnętrzał się ze wszystkiem, co wiedział. Tym sposobem Witkowski pierwszy rozkrył rewolucyjną organizacyę w Lubelskiem, podczas gdy w innych miejscowościach rząd nic jeszcze nie wyśledził. Przy licznych z tego powodu dokonanych aresztowaniach znaleziono wiele ważnych rewolucyjnych dokumentów, między innymi dwa protokóły zjazdu duchowieństwa, wprawdzie bez podpisów i wymienienia nazwisk, ale ze wskazaniem, z jakich miejscowości byli duchowni delegaci i do czego zobowiązali się względem rządu. Dokumenta te, zaopatrzone pieczęciami Komitetu, W. Książę mi komunikował i z jego też ust dowiedziałem się o przebiegu sprawy lubelskiej.

Wieść o konspirowaniu księży, wybieraniu mężów zaufania, którzy niezależnie od biskupów mieli reprezentować duchowną hierarchię, i doprowadzaniu do przysięgi spiskowych i przyjmowaniu czynnego udziału w działaniach podziemnego rządu i wydawaniu tajemnych dzienników, rozeszła się już nietylko w kraju, lecz i za granicą i wywołała otwarty list ks. Kajsiewicza, ogłoszony w »Przeglądzie Poznańskim,« i odezwę arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Przyłuskiego, adresowaną do mnie, przyganiającą w silnych wyrazach podobne postępowanie duchowieństwa. Pragnąc i z mojej strony uczynić wszystko, co było w mojej mocy, dla odprowadzenia duchowieństwa od tak przeciwnej powołaniu naszemu drogi, postanowiłem zwołać rodzaj dyecezyalnego synodu, aby przy osobistem zetknięciu się z podwładnem mi duchowieństwem wpłynąć na jego przekonania i obmyślić jednakowy sposób postępowania w naj-

ważniejszych kwestyach kościelnego zarządu. Otrzymawszy na to pozwolenie władz krajowych, zwołałem całe wyższe duchowieństwo archidyecezyi, t. j. obie kapituły, przełożonych zakonnych i wszystkich dziekanów do Warszawy na dzień 15 stycznia 1863 roku, które to zebranie rzeczywiście miało miejsce przy ulicy Miodowej, w arcybiskupim pałacu, gdzie do półtorasta duchownych obradowało w przeciągu kilku godzin. Że zaś współcześnie spisany protokół z odbytego posiedzenia przechował się u mnie w oryginale, wolę więc posłużyć się w tej materyi piórem synodalnego referenta, ks. Kossowskiego, i przytoczyć protokół w oryginalnym tekście, dla usunięcia wszelkiej co do wierności sprawozdania wątpliwości.

Protokół posiedzenia odbytego pod prezydencyą Najprzewiel. Arcybiskupa Warszawskiego, w czasie zjazdu duchowieństwa Archidyecezyi d. 15 stycznia 1863.

Po uroczystem wezwaniu Ducha św. Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup zagaił posiedzenie o godzinie 10 zrana, przemową następującej treści:

»Wezwałem was na to zebranie, aby wspólnie z wami skorzystać z danej nam możności wspólnego naradzenia się o rzeczach kościelnych. Sama ta możność wielkim już dla nas zyskiem. Nie jest to jeszcze Synod dyecezyalny; nie żebyśmy nie mieli prawa do zwołania go, ale że sami nie posiadamy jeszcze wszystkich do odbycia go warunków. Straciliśmy tradycye... Wszakże już wielki dla nas postęp w tem, że wolno nam myśleć o Synodzie, i że od nas zależy zwołanie go. Żyjemy w czasach przejścia i ciężkiej próby.. wszakże mam niezawodną ufność, że wyjdziemy z nich z chwałą i pożytkiem. Bóg zawsze prowadzi Kościół swój.. i klęski, które nań dopuszcza Opatrzność, aby go podnieść, uświetnić. Od kilkunastu lat Ojciec św. w ucisku, opuszczony od królów i możnych świata, a jednak ucisk ten i opuszczenie na to tylko posłużyły, aby w oczach wszy-

stkich wiernych wyżej jeszcze podnieść Stolicę Apostolską. Dwa razy w przeciągu tego czasu widzieliśmy biskupów ze wszystkich stron świata zgromadzonych u stóp Ojca św. Pierwszy raz w r. 1854 zebrali się, po co? na to, aby z dziwną jednomyślnością i powagą oznajmić światu dogmat Niepokalanego Poczęcia N, P. Maryi. Tak kiedy wszystko na świecie się przewraca, Kościół zawsze zjednoczony z Niebieskim Oblubieńcem, zajmuje się rzeczami wiecznemi, zamyka usta potwarzy. Podobnież i przeszłego roku, zjazd biskupów do Rzymu, na kanonizacyę Męczenników Japońskich, dał światu nowy dowód miłości i jedności Kościoła. Jeśliż Bóg w takich trudnościach dał Kościołowi takie tryumfy, dlaczegóż i nam z dzisiejszych trosk naszych nie spodziewać się odmłodzenia? Zawsze mam niezłomną otuchę, że idziemy ku lepszemu... wszystko się rozbić musi o skałę Piotrową. Tylko wtedyśmy mocni, kiedyśmy umocnieni w Kościele.. Nie można źle służyć krajowi, służąc Kościołowi«.

»Wiele mamy rzeczy do mówienia. Nie podobna ich wszystkich dotknąć w tem jednem zebraniu i dla wszystkich potrzeb obmyślić zaspokojenie. Jednak droga otwarta, myśli rzucone. Z tego, co dziś stąd wyniesiemy, uczyńmy nasz pokarm duchowny i przymnażajmy go zastanowieniem.«

»Kwestye, które nas zajmować będą: nauka, nabożeństwo, karność i administracya kościelna. Wszakże początek uczynić musim od kwestyi dziś najdrażliwszej, od rany, od której uleczenia zależy spokój powszechny. Tą raną jest miłość ojczyzny. Żyje ona w sercach wszystkich, tylko w środkach okazania jej różnimy się. Nam trzeba zrozumieć stanowisko katolickie. Wieleście w tej mierze słyszeli głosów i sądów mnie przeciwnych, dlatego chcę wam jasno i otwarcie wypowiedzieć moje zasady i wytłómaczyć moje postępowanie. Naród nasz ma wielką przeszłość, wielkie zasługi. Chcąc zrozumieć jego położenie i potrzeby, trzeba się przenieść w przeszłość i objąć myślą wszystkie wieki Polski. Polska była przez wszystkie wieki przedmurzem chrześcijaństwa i ideą chrześcijańską w pośród niewiernych, tarczą, zasłania-

jącą Europę od najazdów Islamu i schyzmy. Widzimy w Polsce wzniesione do wysokiej potęgi uczucie osobistej godności i swobody obywatela, do takiej potęgi, że jedyny to naród, w którym możliwem było nadużycie tej zasady, liberum veto. Kiedy gdzieindziej człowiek istniał tylko dla społeczeństwa, u nas społeczeństwo opierało się na szczęściu pojedyńczych jego jednostek. Wierzę mocno, że każdy naród ma swoje posłannictwo. Ono tylko objaśnia dzieje narodów, inaczej wszystko jednoby było, którą drogą idą. Historya sądzi narody według poczucia tego ich posłannictwa i powinności, ale Bóg jeden je nakłada. Posłannictwem Polski: rozwijać myśl katolicką w życiu wewnętrznem... cnota osobista i narodowa. Dopóki Poska była wielka, dopóki żyły w niej te cnoty, dopóty nie było w jej dziejach przykładu samolubstwa, łupiestwa, i owszem często poświęcała swój interes polityczny, ratując sprawę chrześcijaństwa. Byli, co jej wyrzucali to poświęcenie, jako błąd polityki narodowej, ale nie rozumieli posłannictwa narodu. Kiedy zaś upadły te cnoty narodowe, kiedy zakradły się zepsucie i samolubstwo, wówczas przyszły chłosty i ruina, które już Skarga zapowiadał. W tych chłostach nie niesprawiedliwość ludzką widzieć mamy, ale sprawiedliwość Boską, która karząc, ukazuje miłosiernie, jak się od kary wyzwolić mamy. Głos Skargi był prawdziwie głosem Boga do narodu. Ziszczenie się przepowiedni jego jest dowodem, że on pojmował posłannictwo narodu. Jeśli jest Opatrzność, czuwająca nad każdym człowiekiem, musi się też ona opiekować narodami: od niej tylko przyjść może zbawienie. Czy nam potrzeba zgadywać, co czynić, aby to zbawienie otrzymać? Owszem, wyraźne są obowiązki nasze. Wiemy, że nieszczęścia nasze są karą, więc poprawmy się. Skoro przyznamy sobie potrzebę tej poprawy wewnętrznej, poznamy, jak się mamy zapatrywać na narzędzia kary. Potrzeba było ramienia ludzkiego na wymierzenie nam kary Bożej. Nie usprawiedliwiamy przez to niesprawiedliwości. Złość Żydów była wybranem narzędziem do spełnienia Ofiary Odkupienia. Nie chciał Bóg ich grzechu,

ale skorzystał z ich złości, aby przez nią dokonać zamiarów miłosierdzia swego. Myśmy zasłużyli na karę! Wziął Bóg za narzędzia tych, których zła wola gotowa była do popełnienia nad nami niesprawiedliwości. Jednak własne winy naprzód nam uznać i odpokutować trzeba. Jeśli dziecko zawiniło, ojciec je karze. Dziecko może tylko widzi rózgę, gniewa się na nią, złamie albo spali: ale ojciec znajdzie drugą, póki się dziecko nie upokorzy. I my widzimy tylko rózgę, a ręki ojca, czego nas chłoszcze, poznać nie chcemy. Skarga zapowiadał narodowi niewolę turecką, i wpadliśmy w niewolę moskiewską, ale to, co Skarga zapowiadał, niewola, kara Boska, ziściło się. Rózga jest rzeczą podrzędną, najważniejsza poznać, za co nas spotkała kara i jak przejednać karzącą sprawiedliwość. Więc ten tylko krajowi dobrze służy, kto prowadzi naród na drogi Boże; do tego, czego Bóg chce, a czego naród zaniedbał. Przykład okrętu.—Tylko jedna dla nas droga, droga jawna, święta, która zawsze prowadzi do Królestwa Bożego, po której tylko kapłan iść może, na której kapłan stoi na stanowisku katolickiem i polskiem. Nic więcej nie mam do dodania; wypowiedziałem wam jasno i szczerze całą myśl moję: jeśli jeszcze potem kto mię potępi, nic nie powiem więcej na obronę moję; ale ufam, że słowa moje trafiły do serc, które mię zrozumiały i które mię wesprą na tej drodze współdziałaniem swojem.«

»Z tego stanowiska spojrzyjmy na kwestye obecne, na spiski i mordy, knujące się między nami. Czy takie środki odwrócą karzącą rękę Bożą? Na tej drodze tylko ruina materyalna i moralna. Zasada zgubna dla kraju, dla Kościoła, dla myśli chrześcijańskiej. Czy kapłan może nie potępić takich robót? Onić może mogą być wymówieni, oni może nie wiedzą co czynią: ale my wiemy, do nas słowa Pisma: »Z własnych ust twoich sądzę cię. Nagromadzili sobie fałszywych uczycieli itd.« Chwila obecna tak jest ważną, że trzeba nam podnieść się nad samych siebie. Choć zginie-

my, jeśli przy zasadzie, sami nieprzyjaciele uszanują nas. Jeśli zaś dla opinii, dla względów ludzkich działać będziemy, na nas szczególnie spadnie sprawiedliwa kara. Nie mieszamy policyi z duchowieństwem. Pracujemy na stanowisku wiecznem, niezmiennem. I z nieczystego źródła może wyjść rzecz najlepsza, a przeciwnie i matka może dać dziecku truciznę, przez błąd albo ślepą miłość. Czy my, kapłani, co w nauce Kościoła mamy nieomylny kamień próbierczy, będziemy chodzić po omacku i sądzić wedle tego, co ludzie mówią? Każdą rzecz sądźmy po tem, czy dobra dla Kościoła. Dziś pozwolono nam zbierać się i radzić o potrzebach naszych, czy odrzucimy to pozwolenie dlatego, że przyszło od nieprzyjaciół? Rozbijmy te pęta, rozszerzmy nasz horyzont, patrzmy, jak patrzał Chrystus, jak patrzy wszystek Kościół, jak Ojciec św.; jakie tam męstwo, jaka święta swoboda, jaka godność w niezłomnem trzymaniu się swego stanowiska!. Radbym wam dopomódz do wstąpienia na tę drogę jawną, na której pod tarczą Kościoła jawnie głosimy zasady nasze. Zabić nas mogą, ale zasady nie zgubią, owszem śmierć męczeńska nowego doda jej blasku i siły. Ten jest duch, w jakim pragnę, by się odbyło to nasze zgromadzenie, ten jest cel tego, co tu przedsięwziąć i czynić mamy.«

Po tem przemówieniu, z polecenia Jego Ekscellencyi, odczytano list ks. Arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, pisany świeżo w sprawie przystępowania księży do spisków tajemnych i składania im przysięgi na posłuszeństwo.

Następnie odczytano encyklikę Leona XII, Papieża, przeciwko tajnym towarzystwom wydaną. Czytanie tej encykliki Jego Ekscellencya poprzedził uwagą, że chociaż nie może w zupełności podciągnąć spisków, obecnie u nas się szerzących, pod klątwy, w rzeczonej encyklice zawarte, nie znając dokładnie zasad i organizacyi ich: wszakże uważa dojrzałe rozważenie onych postanowień papieskich, jako bardzo na czasie, gdyż niepodobna zapoznać pewnych analogii między naszymi spiskami, a sektami włoskich wolnych mularzy i karbonarich; że są pewne oznaki, wskazujące dość

wyraźnie jedność w dążności tych krajowych sprzysiężeń z zagranicznemi, dążności, zmierzającej do wywrócenia Stolicy Apostolskiej.

Po odczytaniu encykliki, ks. Arcybiskup przemówił w następujący sposób:

»Do przeczytanych dopiero co słów Stolicy Apostolskiej, nie wiele mamy do dodania. Słyszeliśmy, że Ojciec św. potępia tajne zgromadzenia, których też charakter określa. Pierwsza ich cecha co do wiary: mianują się chrześcijanami, a przecie bez różnicy wszystkie wiary i wyznania do siebie przyjmują i szerzą indyferentyzm religijny. Druga cecha co do moralności: chlubią się dobrymi obyczajami członków swoich, a przecie wszędy szerzą rozpustę i stawiają, jako zasadę, godziwość zabójstwa, popełnionego na zdrajcy tajemnicy. Jabym dodał jeszcze trzeci znak: zapytajcie ich, co trzymają o Ojcu św. i jego nieprzyjaciołach. Nieprzyjaciele władzy Ojca św. są nieprzyjaciółmi Kościoła i wszelkiej władzy. Pochwalają zasady Mazziniego, Garibaldego i im podobnych, przyjmują na się odpowiedzialność, biorą udział w ich postępowaniu. Jak już mówiłem, nie rozciągam klątw, w encyklice Ojca św. zawartych, na nasze sprzysiężenia, bo ich nie znam dostatecznie. Jako człowiek i kapłan, gdybym należał do sprzysiężenia, noszącego na sobie wymienione wyżej cechy, zatrwożyłbym się w sumieniu, czytając tę bullę. Jako Pasterz nie śmiem na rzecz niezupełnie mi znaną rozciągnąć tak strasznego potępienia, ani narzucać tak ciężkiej solidarności i odpowiedzialności. Wszakże jedna z tego, cośmy słyszeli, wypływa dla nas przestroga. Obowiązkiem naszym jest ratować tych, którzy już do tych spisków należą, albo jeszcze mogą być zwiedzeni do należenia do nich. Słyszeliśmy dopiero co, jak Papież Leon XII, z pełną pobłażania miłością zawiesił na rok skutki bulli swojej, aby błądzącym zostawić czas do upamiętania się. W tym duchu udzielam i ja wszystkim kapłanom mojej archidyecezyi, nietylko tutaj przytomnym, ale w ogóle wszystkim do słuchania spowiedzi aprobowanym, prawo rozgrze-

szenia każdego, coby, należąc do takowych spisków, do nich w spowiedzi się udał, nie wkładając nań żadnego zobowiązania do denuncyowania wspólników, tudzież uwalniania od przysiąg, przy przystąpieniu do spisku wykonanych. Są one z natury swej nieważne, ale człowiek prosty z niewiadomości może się mniemać niemi związanym. Jeśliby się nawet duchowni znaleźli, w tych spiskach udział mający, i ich pozwalam rozgrzeszać. Braterską miłością powinniśmy przyciągnąć błądzących i mieć pobłażanie dla nieświadomości. Gdyby bulla, dopiero przeczytana, powszechnie była znaną, pewien jestem, że i setna część zwiedzionych nie należałaby do tych zgubnych przedsięwzięć. Pomnąc na to, starajmy się nie gubić ludzi, ale ratować. Z mojej strony wszelkich będę przykładał usiłowań, aby duchownych moich ochronić od skutków takowych błędów. Wiecie teraz, jaka jest myśl moja i spodziewam się, że wiedząc o niej, przyłożycie się i z waszej strony wedle możności, aby błądzącym po bratersku dopomódz do wyjścia z obłąkania.«

O godzinie 12-ej posiedzenie zawiesza się na godzinę.

O godzinie 1-ej Jego Ekscellencya zagaja na nowo obrady, wytaczając kwestye.

1. Wstrzemięźliwość.

Ks. Arcybiskup. — Z różnych stron dyecezyi doszły mię prośby o zaprowadzenie lub rozwinięcie zawiązanych już bractw wstrzemięźliwości. Z innych miejsc objawiono pragnienie ogłoszenia stałych zasad, do jednostajnego i stanowczego ustanowienia takowych bractw. Rzecz sama w sobie dobra, szczególnej nabiera wagi w obecnej chwili. Przy świeżem nadaniu swobody włościan, zaprowadzenie wstrzemięźliwości jest bez wątpienia najskuteczniejszym środkiem do podniesienia ich religijnie i socyalnie. Ustanowiłem komitet do rozpatrzenia tej sprawy, którego sprawozdanie teraz się odczyta. Wzywam wszystkich obecnych do wyjawienia uwag, jakieby im wnioski komitetu nastręczyły.

Odczytuje się sprawozdanie komitetu:

Przy roztrząśnieniu co do ogólnego ducha projektowanej ustawy, wszyscy obecni jednogłośnie zgadzają się na to, że myśl dobra i nie ma nic do nadmienienia przeciwko niej.

Ks. Dziekan.... prosi, aby patenta wraz ze stosownymi obrazkami, z polecenia Jego Ekscellencyi były odbite w dostatecznej liczbie, w Warszawie.

Ks. Dziekan.... U mnie wstrzemięźliwość propaguje się, ale nie wszyscy od razu i stanowczo. Jedni obowiązują się na rok jeden, inni na dwa lub trzy lata. Wniosek, by ustawą dozwolone były obietnice wstrzemięźliwości do pewnego terminu.

Ks. Arcybiskup oświadcza się przeciwko temu wnioskowi. Doświadczenie uczy, że takowe zobowiązania się do czasu chybiają celu. Zwykle, gdy kończy się termin, recydywa pijaństwa bywa jeszcze gorsza.

Ks. Dziekan.... Dotąd usiłowania o wprowadzenie wstrzemięźliwości były tylko cząstkowe. Dziś poparte powagą Kościoła, bez wątpienia przyjmą się ogólnie i bezwarunkowo.

Propozycya ks. Dziekana.. jednogłośnie odrzucona.

Ks. Dziekan.... wnosi, aby w miejsce patentów dawane były przyjmującym, jak to zwyczaj w W. Ks. Poznańskiem, książeczki z wymienieniem odpustów, bractwom wstrzemięźliwości nadanych, tudzież z dodaniem stosownych modlitw, wyjątków z Pisma św. i aryngi przystąpienia.

Ks. Prałat.... wnosi, aby w miejsce projektowanego w ustawie Zdrowaś Marya, przyjętą była modlitwa św. Bernarda, którąby kapłan z ambony co niedziela z ludem odmawiał.

Ks. Arcybiskup. Wprowadzenie książeczek zależy od pozwolenia rządowego. Jeśli się da uzyskać, zgadzam się na wniosek. Można w każdym razie w patentach uczynić wzmiankę o książeczkach i zalecić ich rozszerzenie.

Ks. Dziekan.... Lud w razie słabości zwykł pijać go-

rzałkę z tłuszczem jako lekarstwo. Czy można uwzględnić ten zwyczaj przy przyjmowaniu do wstrzemięźliwości?

Ks. Arcybiskup. Należy dokładnie określić obowiązki. Jeśli sumienie ludu czułe i można się spodziewać, że nie będzie sobie dowolnie tłómaczyć i rozszerzać zwolnienia, nie byłbym przeciwko dodaniu klauzuli, że wódka, jako lekarstwo użyta, nie łamie przyrzeczenia wstrzemięźliwości.

Kilku ks. Dziekanów. Na ogół można twierdzić, że lud, skoro się zapisze do wstrzemięźliwości, i za lekarstwo nie zechce wódki używać.

Ks. Arcybiskup. Należy ludowi objaśniać znaczenie przyrzeczenia, jakie się od niego odbiera. Nie jest to przysięga, ale obietnica, pociągająca za sobą obowiązek sumienia. Trzeba tłómaczyć ludowi, że wrazie niedotrzymania, nie popełnia wprawdzie podwójnego grzechu, nie dopuszcza się krzywoprzysięstwa, ale zawsze grzeszy złamaniem obietnicy. Jednak lud w tym względzie podobno sam z siebie bardzo skrupulatny.

Ks. Rektor Popiel robi uwagę, że kary projektowane w ustawie zbyt są surowe. Lud ma prawo do żądania święcenia domów swoich, wielkanocnych itp.

Ks. Arcybiskup. Te kary tyczą się tylko tych, co już uczynili przyrzeczenie, a nie dotrzymali. Ze względu na dane zgorszenie i dla własnego ich upamiętania, mogą być do czasu pozbawieni praw, skądinąd im służących.

Ks. Dziekan.... wnosi wątpliwość co do projektowanego w ustawie festum patronatus Bractwa. W dyecezyi wrocławskiej postanowiona na to uroczystość N. P. Gromnicznej. Pytanie, czy można to dowolnie zmieniać i przenosić odpusty, do tej uroczystości przywiązane, na dzień Niepokal. Poczęcia.

Ks. Dziekan.... wnosi, aby wstrzemięźliwość była zaprowadzona nie tylko na wsi, ale i w Warszawie, gdzie wielka jej potrzeba, zwłaszcza dla rzemieślników.

Ks. Arcybiskup. Ustawa, ogłosić się mająca, rozciąga się bez wyjątku na całą archidyecezyę.

Ks. Dziekan.... Kara odmówienia święcenia przestępcom wywoła niechęci, skargi na proboszcza. Nadto, trudna jest do zastosowania, gdyż zwykle cała parafia znosi na jedno miejsce mięsiwa, święcić się mające.

Ks. Oficyał. Pomimo pojedyńczych trudności w zastosowaniu, kary takowe potrzebne i skuteczne, bo mocno uderzają.

Ks. Arcybiskup. Należy podać w ustawie te kary nie jako rozkaz, bezwarunkowo obowiązujący, ale jako radę i zostawić ich wykonanie do roztropności miejscowego proboszcza.

Ks. Dziekan.... robi uwagę przeciw projektowanemu w ustawie porządkowi przyjmowania. Praktyka pokazuje, że odkładając przyjmowanie na jeden dzień, takie się mnóstwo przystępujących zbierze, że niepodobna ich wszystkich od razu zapisać. Lepiej zacząć wpisywanie od pierwszego dnia misyi. Zwykle zrazu będzie mniejsza ilość wpisujących się, ale rozłożywszy na kilka dni, łatwiej będzie podołać. W Sochaczewie, w czasie ostatniego 40-godzinnego nabożeństwa, pierwszego dnia wcale nie było mowy o wstrzemięźliwości, drugiego dnia kaznodzieje poczęli do niej zachęcać, wskutek czego trzeciego dnia taka zgłosiła się masa przystępujących, że niepodobna było wszystkich zapisać, i że samo składanie przyrzeczeń prawie parę godzin trwało. Zwłaszcza projektowane solenne podawanie świecy każdemu z przystępujących z osobna, wielką w praktyce trudność przedstawia. W Wiskitkach co niedziela przystępuje przynajmniej 30. Tem bardziej, gdzie od razu przystąpi kilkuset.

Ks. Arcybiskup, dla wyjaśnienia tej kwestyi, zwraca uwagę na to, że chrzest, najważniejszy z Sakramentów, ma przepisaną długą i uroczystą dla każdego z przyjmujących go z osobna ceremonię. W czasach, kiedy wielkie masy nawróconych od razu przyjmowały chrzest św., Kościół udzielał go przez pokropienie: odstępował w takich razach od rytuału, ale go nie zmienił. Podobnie ma się z trudnościami, podniesionemi co do obecnej kwestyi. Trudności te będą

tylko do razu, w pierwszym czasie zaprowadzenia wstrzemięźliwości, później same z siebie ustaną, a uroczystość przyjęcia zostanie niezmieniona. Dość więc w razie nagłej potrzeby od niej odstąpić, nie zmieniając jej w zasadzie i zachowując ją jako obowiązującą, gdzie jest możność jej zastosowania.

Ks. Dziekan.... W Warszawie sposobność do pijaństwa bardzo wielka. Szynków jest zbyt wiele, w niektórych częściach miasta prawie co dom, to szynk. Należałoby udać się do rządu z prośbą o zmniejszenie ich liczby.

Ks. Arcybiskup. Chętnie uczynię potrzebne do tego kroki, choć za skutek ich ręczyć nie mogę.

Gdyby oprócz roztrząśniętych tu kwestyi, który z ks. Dziekanów przekonał się na miejscu o innych nieprzewidzianych potrzebach, proszę o zgłoszenie się z niemi do mnie na piśmie.

Ks. Dziekan.... Czyby nie było dobrze, przed przyjęciem do innych bractw, żądać od przystępujących wyrzeczenia się wódki? W niektórych parafiach to się praktykuje.

Ks. Arcybiskup. Nie można łączyć dwu rzeczy różnych między sobą. Wstrzemięźliwość powinna z dobrej woli pochodzić, bez żadnych środków przymusu. W jednej, sąsiedniej nam dyecezyi istnieje postanowienie, że żaden duchowny nie może być przypuszczony do święceń kapłańskich, nie złożywszy pierwej przyrzeczenia nie picia wódki, aż do 40 lat. Ale, aby podobne postanowienie skutecznie przeprowadzić, trzeba używać tak powszechnego zaufania i miłości, jakie ma tamten ks. Biskup.

2. O nauczaniu.

Ks. Arcybiskup. Najskuteczniejszym środkiem nauczania jest katechizm. Nie powiadam, byśmy go zupełnie zaniedbali, ale to pewna, że nie używamy go z taką gorliwością i z takim skutkiem, jak gdzieindziej. W krajach katolickich jest w użyciu trojaki rodzaj katechizmu: katechizm

dla dzieci, przygotowanie do pierwszej Komunii i katechizm wytrwałości. Należy i nam zwrócić na to uwagę, aby ten trojaki rodzaj nauczania wszedł w powszechne użycie.

1. Pierwszy rodzaj katechizmu może być znowu dwojaki, w szkole albo w kościele. Nauczanie katechizmu z ambony do niczego nie prowadzi, jak uczy doświadczenie. Dzieci nie skorzystają z nauki, jeśli nie jest wprost do nich skierowana przez pytania i odpowiedzi. Gdzie nie ma szkół, tam najwłaściwiej odbywać katechizm w kościele. Należy na to wybrać taką porę, żeby nie była uciążliwa ani rodzicom, ani dzieciom, i gdzie lud zwykł się wcześnie zbierać do kościoła, tam najlepiej dawać katechizm przed sumą. Dzieciom, umiejącym już czytać, należy zadawać do nauczenia się to, o czem będzie mowa następnej niedzieli, lepiej odpowiadającym dawać obrazki itp., i tak budzić między niemi emulacyę.

2. Drugi rodzaj katechizmu ma na celu przygotowanie do pierwszej Komunii i zasadza się na szeregu nauk, dzień ten poprzedzających. Trzeba na to postanowić pewien dzień w roku, n. p. Zesłanie Ducha św., i przygotować przedtem dzieci, przystąpić mające do Komunii, przez kilka tygodni, albo, gdzie tego wymagają stosunki miejscowe, i przez kilka miesięcy. W nauczaniu zwracać głównie uwagę na Sakramenta, które dzieci przyjąć mają, gdyż smutne a zbyt częste doświadczenie uczy, że często przystępują do Sakramentów bez żadnej wiadomości o tem, co czynią. Po takiem dłuższem przygotowaniu i wyczekiwaniu, dzień pierwszej Komunii będzie dla nich wielki i uroczysty i głębokie na nich zrobi wrażenie, gdy przeciwnie bez przygotowania, tak dla nich przemija bez śladu, że często i nie pamiętają zgoła, kiedy tę ważną czynność odbyli.

3. Trzeci rodzaj katechizmu może się najwłaściwiej dawać z ambony, nietylko już dla dzieci, ale i dla starszych. Są to, innemi słowy, nauki wykładane w porządku katechizmowym; wielkie to więc ułatwienie dla kaznodziei, a nadto tak nauczając, sam w sobie wciąż odświeża pamięć i znajomość prawd wiary. Życzeniem mojem jest, aby właściwe kazania mie-

wały miejsce tylko po miastach, po wsiach zaś raczej odbywały się katechizmy wytrwałości, czyli nauki katechizmowe. Nauki te należy mówić z pamięci, gdyż czytane kazanie żadnego nie robi wrażenia, ani sprawia korzyści. Każdy niech mówi wedle miary swego usposobienia i zdolności. Zawsze będzie korzyść z nauki, jeśli tylko mówiącego ożywia wiara i miłość. Ks. Lammenais i ks. Viennet, dwa na to przykłady tegoczesne. Nie na świetności mowy, ale na gruntowności wykładu zasadza się pożytek z nauki. Ile każdemu Bóg użyczył darów, tyle niech wiernie używa, za więcej odpowiadać nie będzie. Tego nikt za złe kaznodziei nie weźmie, że mówi niewymownie, byle tylko mówił pobożnie.

Ks. Dziekan.... robi uwagę, że dawanie katechizmu przed sumą niepraktyczne. Lud zwykle późno się zbiera do kościoła i chodzeniem przeszkadza. Najlepsza pora na katechizm przed nieszporami

Ks. Arcybiskup. Zostawiam to uznaniu każdego proboszcza: mniejsza o czas, główna, by rzecz była.

Jeden jeszcze rodzaj nauczania bardzo ważny, a pospolicie dziś u nas zaniedbany, to misye. Dziś dana nam możność wznowienia ich, korzystajmyż z niej. Misye zwłaszcza tam potrzebne i skuteczne, gdzie jakie występne nałogi zakorzeniły się w parafii, gdzie spowszedniały głos miejscowego proboszcza nie jest w stanie wytępić ich, gdzie potrzeba silniejszego wstrząśnienia umysłów. Gdyby który z ks. proboszczów uważał u siebie potrzebę odprawienia misyi, proszę mi donieść, a ja, co potrzeba, ułatwię.

Wszelki czas na to dobry. Głównie jednak zwracam uwagę na rekolekcye, które najwłaściwiej odbywać w czasie W. Postu. Są one ludowi równie potrzebne, jak nam kapłanom. Pomoc innych kapłanów wprawdzie bardzo pożądana do takiego dzieła, ale gdzie nie ma możności uzyskania jej, tam i proboszcz sam poradzi. Bardzo więc proszę, by we wszystkich parafiach odbywały się w W. Poście rekolekcye, przynajmniej przez dni cztery, z wyłącznym ce-

lem przygotowania ludu do spowiedzi. Porządek rekolekcyj najwłaściwszy ten, by w dwu naukach dziennie, z rana wykładać prawdy wiary, wieczorem zaś objaśniać przykazania Boskie i kościelne, w kształcie rachunku sumienia.

Ks. Dziekan.... wnosi, aby rozszerzony był czas, dotąd zakreślony na spowiedź wielkanocną, dla ułatwienia przygotowania ludu i większej swobody w słuchaniu spowiedzi, teraz ciżbą cisnących się do konfesyonału ściśnionej.

Ks. Arcybiskup. Bardzo podzielam tę myśl i wniosek przyjmuję.

Ks. Oficyał. Nie możemy tego uczynić własną powagą, ale facultates łatwo otrzymamy.

Ks. Dziekan.... wnosi o wznowienie dawnych przepisów kościelnych, co do odbycia spowiedzi wielkanocnej we własnej parafii, tudzież o obmyślenie środków zniewolenia do spowiedzi tych, którzy ten przepis lekceważą lub zaniedbują.

Ks. Dziekan.... wnosi o wzbronienie przyjmowania dzieci do pierwszej Komunii w klasztorach, co złe skutki za sobą pociąga, gdyż tym sposobem rodzice uchylają się od kontroli proboszcza, a dzieci często bez przygotowania do Sakramentów przystępują.

Ks. Arcybiskup. Wprowadzenie katechizmów zaradzi najlepiej tej trudności. Wszakże zanotuję wspomniany przypadek i obmyślę, co uczynić należy.

Ks. Myszkiewicz wnosi, aby przyjęto za prawidło, aby dzieci nie od razu po pierwszej spowiedzi przypuszczaś do pierwszej Komunii.

Ks. Oficyał. Jest to rzecz, którą trzeba zostawić roztropności spowiedników.

Ks. Arcybiskup. Pod względem nauczania, szkoły elementarne są jeszcze bardzo ważnym środkiem wpływania na lud. Pragnę, by w tym względzie duchowieństwo zachowało, owszem rozszerzyło dawny swój wpływ. Nie uwalniajmy się od włożonego na nas obowiązku, pod pozorem, że rząd dziś obiecuje więcej czuwać nad oświeceniem ludu. I nowe

prawo daje księdzu miejscowemu prezydencyę nadzoru szkolnego. Pracujmy szczerze, bo pracujemy dla przyszłości. Jeśli duchowieństwo wypuści lud z pod swojej pieczołowitości, dzisiaj w tem przechodzeniu z jednego stanu rzeczy w drugi, może całkowicie stracić wpływ swój. Gdzie tego potrzeba, kapłani nauczycieli miejsce zastąpić powinni. Należy myśleć o zakładaniu szkół organistów i nauczycieli, pod dozorem i kierunkiem duchownym. W tej chwili brak nam jeszcze środków, wszakże zawczasu je obmyślajmy. Największa trudność w znalezieniu ludzi i odpowiednich kandydatów. Zawód nauczyciela wiejskiego jest pewnym rodzajem poświęcenia, potrzeba na to osobnego powołania. Zagranicą istnieją już zgromadzenia, wyłącznie poświęcające się nauczaniu prostego ludu. I nam należy budzić tego rodzaju powołania, opiekować się takimi, w których się ono objawia i trzymać ich w pogotowiu, aż środki się znajdą. Mojem staraniem będzie założyć jak najrychlej taką szkołę: proszę wszystkich, którzyby mieli jakie w tej mierze pomysły, o udzielenie mi ich.

Ks. Dziekan.... robi uwagę, że składki, zbierające się na szkołę organistów w Warszawie, budzą nieukontentowanie i skargi po parafiach.

Ks. Dziekan Gołaszewski czyni wzmiankę o mnóstwie szerzących się książek ludowych, bez cenzury duchownej wydanych.

Ks. Arcybiskup. Księża powinni te tylko książki rozszerzać, które są aprobowane przez zwierzchność duchowną. Mają też czuwać nad wydającemi się książkami dla ludu i zawiadamiać mię o niedostatkach i błędach jakieby w nich dostrzegli.

Ks. Oficyał. Dobrzeby było, żeby, jak dawniej, w komitecie cenzury zasiadał ksiądz, na to delegowany.

Ks Arcybiskup. Uczynię wniosek do Komisyi spraw duchownych, aby przynajmniej wszystkie książki, tyczące się religii, były poddawane cenzurze duchownej.

3. O nabożeństwie.

Ks. Arcybiskup. Pragnę, by porządek nabożeństwa we wszystkich kościołach archidyecezyi był, ile możności, jednostajny. Ale dwojakie szczególnie jest nabożeństwo, o którego rozpowszechnienie najmocniej nalegam, to jest cześć Przenajśw. Sakramentu i Najśw. Panny Maryi. Co do pierwszego, każdy kościół, który pragnie pozwolenia odprawiania nabożeństwa z wystawieniem Przen. Sakramentu, z łatwością je uzyska. W Warszawie już od niejakiego czasu odprawia się codziennie we wszystkich kościołach prymarya z wystawieniem w puszce. Pozwolenie na to gotówem rozciągnąć na wszystkie kościoły w Archidyecezyi, gdzie tylko dostateczna ilość ludu się zbiera. Również jest do życzenia, aby po Nieszporach dawało się błogosławieństwo Przen. Sakramentu, z odpowiednimi śpiewami, jak to jest zwyczajem w innych krajach katolickich. W Warszawie chcieliśmy zaprowadzić nauki przy prymaryi z wystawieniem. Gdzie nie ma na to środka, tam kazanie przynajmniej stosownem czytaniem zastąpić należy. Książki odpowiednie ku temu wybierzemy i zalecimy. Co do czci N. P. Maryi, chodzi mi głównie o nabożeństwo majowe. Już ono powszechne w całym świecie katolickim, a i u nas prywatna gorliwość coraz dalej je rozszerza. Chciałbym, by odtąd nabożeństwo to stało się obowiązującem dla wszystkich kościołów. Najpożądańsze byłyby przytem codzienne nauki, żywy głos kapłana. Gdzie zaś ku temu nie ma możności, tam przynajmniej czytaniem, śpiewaniem, przystrojeniem ołtarza pobożność ludu podniecać trzeba. Czas, w którym nabożeństwo odprawiać się ma, stosownie do potrzeb i stosunków miejscowych wybrać należy. I to nabożeństwo ma się odbywać z wystawieniem, pamiętając jednak o czci Przen. Sakramentowi należnej, mianowicie o świetle i dostatecznej ilości ludu.

Ks. Dziekan.... Porządek nabożeństwa niedzielnego w różnych kościołach różny. Pacierze dla ludu odmiennie

się odmawiają, suplikacye w różnym czasie i w różny sposób się śpiewają. Wniosek o wprowadzenie jednostajności w tym względzie.

Ks. kan. Domagalski. W innych dyecezyach pozwolenie wystawienia Przen. Sakramentu udziela się na pewne uroczystości, wskazane przez miejscowego proboszcza. Indulgencye takowe dają się na 5 lub 10 lat. Wnosi, by zalecić ks. Dziekanom nadesłanie wiadomości, jaka dotąd w ich dekanatach praktyka i życzenie ludu.

Ks. Dziekan.... wnosi o ustanowienie rytuału parafialnego, dla jednostajnego odprawiania mianowicie nabożeństwa wielkotygodniowego.

Ks. Arcybiskup. W wielu kościołach nie zachowuje się przepis palenia lampy przed Przen. Sakramentem. Przypominam, że to przepis surowo obowiązujący, i proszę o ścisłe zachowanie go. Wszelkie przeciw temu preteksta, obawy o kradzieże lub ogień, próżne są, jak uczy doświadczenie. Nadto Bractwo Nieustannej Adoracyi zaprowadziło u siebie lampy bezpieczeństwa, w które każdy proboszcz, za pośrednictwem tegoż zaopatrzyć się może.

Kwestya o prawności odprawiania w jednąż uroczystość Wotywy i Summy z wystawieniem Przen. Sakramentu, zostawiona do dalszego roztrząśnienia.

4. O Bractwach.

Ks. Arcybiskup. Po wielu miejscach bractwa zredukowały się do samego pilnowania skarbony i dzielenia się dochodami. Aby zaradzić temu złemu, należy ściśle roztrząsać pierwotne ich ustawy. Każde bractwo zależy z prawa od proboszcza. Koniecznie trzeba się starać o to, aby bractwa, niemające wyraźnego celu, sprowadzić do Różańcowego albo innego jakiego bractwa, opatrzonego pewnemi ustawami. Chociażby gdzie członkowie oparli się takowej zmianie i woleli rozwiązać się, rozwiązanie mniejszem będzie złem, niż nadużycie.

Ks. Oficyał. Często zdarza się, że księża nie zdają rachunku z grosza zebranego. Przypomina dawny przepis ks. biskupa Staszewskiego, aby do skarbon brackich były dwa klucze, z którychby jeden znajdował się w ręku proboszcza, drugi zaś w ręku bractwa.

Ks. Dziekan.... utyskuje, że w jego stronach bractwa wyłamują się z pod posłuszeństwa proboszczowi, pod pozorem, że dawniej od niego w parafii się znajdują.

Ks. Arcybiskup. Pretensya to niedorzeczna, bo choć i proboszcz nowoprzybyły, wszakże urząd jego pierwszy w parafii i z tytułu starszeństwa.

5. O koléndach i wizytach parafialnych.

Ks. Arcybiskup. Kolendy i wizyty parafialne, w myśli Kościoła, bardzo są ważne. Jest to najlepszy sposób kontroli nad ludem, zwłaszcza co do znajomości katechizmu. W dyecezyi żmudzkiej istnieje zwyczaj bardzo godny zalecenia. Ksiądz wizytujący ma z sobą kartki, poświadczające uzdolnienie do odbycia spowiedzi wielkanocnej. Karteczki te wręcza tym, których znajdzie dostatecznie przysposobionymi. Tym sposobem już, który kartki nie otrzymał, doznaje zbawiennego zawstydzenia. Zostawia mu się czas do lepszego przygotowania się, po którym powinien przyjść do proboszcza dla odbycia spowiedzi. Dla ułatwienia kontroli co do spowiedzi wielkanocnej, są znowu inne karteczki, które ksiądz daje każdemu odchodzącemu od konfesyonału, a które tenże winien zachować dla okazania księdzu przy następnej kolendzie: kto nie ma tej karteczki i nie może się usprawiedliwić z przyczyn nieposiadania jej, tem samem przekonany o zaniedbaniu spowiedzi wielkanocnej.

Ks. Oficyał zwraca uwagę na dwa wykroczenia, zdarzające się nieraz w czasie kolend. Jedno, że ksiądz przy tej sposobności przyjmuje, albo i kwestuje ofiary dla siebie; drugie, że po kolendzie następuje częstowanie i picie.

Wszyscy ks. Dziekani jednogłośnie oświadczają, że takowego nadużycia nie ma w Archidyecezyi. Kolenda odbywa się bez żadnych datków ze strony parafian, i księża zapowiadając kolendę, zwykli oświecać lud o jej celu czysto duchownym. Tylko organista, wedle powszechnego i przyjętego od dawna zwyczaju, bierze po groszu za każdą kartkę do spowiedzi.

Ks. Arcybiskup prosi, by i ten zwyczaj usunąć.

Ks. Dziekan zgierski wnosi dwie wątpliwości, tyczące się spraw małżeńskich. Pierwsza, jak uważać domicilium sług, przenoszących się ustawicznie z jednego miejsca na drugie. Druga, jak zaradzić nadużyciom, zdarzającym się w zawieraniu mieszanych małżeństw, które pastorowie często błogosławią bez zapowiedzi w kościele katolickim?

Ks. Arcybiskup. Nie można nakładać pęta na wolną wolę. Dość uczyni proboszcz, jeśli w tym względzie naucza lud o warunkach, pod jakimi jedynie mieszane małżeństwa są dozwolone. W każdym razie, i małżeństwo, bez dopełnienia tych warunków zawarte, jest ważne, choć grzeszne.

Ks. Dziekan.... prosi, by praesentia passiva parochi, przepisana przy małżeństwach mieszanych, mogła być w danym razie i activa, to jest, by wolno było błogosławić takie małżeństwa, skoro warunki zostaną dopełnione.

Ks. Arcybiskup. Według nowego postanowienia Stolicy Apostolskiej, pozwolenie to jest użyczone.

Ks. kan. Domagalski wnosi o użycie środków do zaradzenia kolizyom, często wydarzającym się między prawem cywilnem a kanonicznem, co do warunków domicilium, wymaganego w sprawach małżeńskich.

6. O Kollacyi Beneficyów.

Ks. Arcybiskup. Doszły mię skargi na uciążliwości, wynikające w niektórych miejscach z prawa prywatnej kollacyi, na trudności i przesadzone wymagania, stawiane ze

strony kollatorów. Proszę ks. Dziekanów o udzielenie mi swych uwag.

Powstaje pytanie, czy innowiercy wraz z majątkiem odziedziczają i przywiązane do niego prawo kollacyi?

Ks. Officyał. Według prawa, dotąd tylko żydzi od niego wyłączeni.

7. O targach w święta.

Ks. Arcybiskup. Proszę wszystkich ks. Dziekanów o dokładne wiadomości o targach, odbywających się w ich dekanatach w dni świąteczne, tudzież o czasie, na któryby je przenieść wypadało, równie i o tem, czy targi te fundują się na szczególnych przywilejach, czy nie. W dyecezyi żmudzkiej jest kilka dni postanowionych, w które wszystkie targi po całej dyecezyi jednocześnie się odbywają. Ważną byłoby rzeczą porozumieć się w tym względzie z radami powiatowemi, i tak dwiema od razu drogami ten interes prowadzić.

8. O wizytatorach dekanalnych.

Ks. Arcybiskup. Zamiarem moim jest naznaczyć wizytatorów na każde kilka dekanatów, którychby przeznaczeniem było zjeżdżać na ważniejsze śledztwa i podtrzymywać obecnością swoją ks. Dziekanów i ochronić ich od przykrości, często zdarzających się przy komisoryach. Ci wizytatorowie mają też razem być Dziekanom ku pomocy, jako egzaminatorowie. Ważną jest rzeczą, podnieść naukę między duchownymi, abyśmy nie zostali w tyle za całym krajem, któremu teraz dana obszerniejsza możność podniesienia powszechnej oświaty.

Ks. Dziekan.... czyni wniosek, aby w Warszawie byli ustanowieni przez zwierzchność duchowną ludzie, biegli w prawie, do którychby proboszczowie mogli się udawać po radę i poruczać im interesa kościołów swoich.

Ks. kan. Domagalski. Dotąd konsystorz ku temu służył i za pośrednictwem jego wszystkie interesa się załatwiały.

Ks. Arcybiskup uznaje wniosek słusznym i obiecuje uwzględnienie go.

9. O czujności dziekanów nad duchowieństwem.

Ks. Arcybiskup. Księża Dziekani w spełnianiu obowiązku czuwania nad duchowieństwem swego dekanatu, czasem dają się powodować względom ludzkim i zbytniemu pobłażaniu, a stąd nadużycia, gdzie się jakie zakradły, rosną coraz więcej, z największą szkodą tychże samych, którzy się ich dopuszczają. Tylu księży podpadłych surowości kar kościelnych i skazanych na zamknięcie, nie byliby pewno przyszli do tej ostateczności, gdyby byli zawczasu upomnieni, przez kogo należało. Trzeba się tu poczuć do obowiązku sumienia. Mam postanowienie zaprowadzić acta personalia o każdym księdzu w dyecezyi, które naturalnie głównie muszą być oparte na raportach ks. Dziekanów. W naznaczeniu na wakujące posady, chciałoby się zawsze wybrać najgodniejszego: ale jeśli, jak dotąd bywało, wszyscy księża jednakowo są zachwalani i rekomendowani przez Dziekanów, wówczas muszę na oślep wybierać, wina zaś popełnionej w wyborze omyłki, spada na tych, którzy mieli obowiązek dać sumienne i zgodne z prawdą świadectwo, a obowiązku tego nie dopełnili.

Ks. Dziekan.... prosi, aby dla zasłonienia dziekanów od niesprawiedliwych w tym względzie ze strony podwładnego duchowieństwa zarzutów, władza archidyecezyalna wydała szczegółową dla nich instrukcyę.

Ks. Arcybiskup zapowiada wydanie takowej instrukcyi.

Ks. Arcybiskup. Ks. Dziekani winni także zwracać uwagę na portatele, używające się po kościołach, które, jak słyszę, często są w bardzo złym stanie. Należy je opatrywać przynajmniej raz do roku, śledząc zwłaszcza, czy pieczęć cała.

Co do *cohabitatio clericorum cum mulieribus*, przypomina się przepis kanoniczny, wzbraniający, by gospodynie, mieszkające w domu księży, miały mniej niż 45 lat wieku. Baczną zwrócić uwagę na ścisłe zachowanie tego przepisu i obowiązek czujności w tym względzie szczegółowo wymienić w instrukcyi do Dziekanów.

Co do aparatów kościelnych, w wielu miejscach są w bardzo złym stanie, a księża nietylko że własnego nie przykładają starania do naprawiania ich, ale nieraz nawet wzbraniają się przyjąć te, które Bractwo Adoracyi darmo daje. Usilnem powinno być staraniem proboszczów, i dziekani czuwać nad tem są obowiązani, by zakrystye swoje przywieść, jeśli nie do bogatego, to przynajmniej do przyzwoitego stanu. Mianowicie wszędzie należy skasować bieliznę kościelną perkalową. Nawet darowanych perkalów na ten cel używać się nie godzi: przepisy rubryk w tym względzie są wyraźne.

Zaleca się zakładanie bibliotek dekanalnych, kiedy na teraz jeszcze przy obecnych stosunkach, trudno myśleć o parafialnych. Należy księżom porozumieć się między sobą, wybrać z pośrodka siebie bibliotekarza, którego zadaniem będzie wybierać dobre książki, i pomnożeniem takowych podniesie się oświata między duchowieństwem, i utworzy się stopniowo coraz bogatszy zasób na przyszłość.

Ks. Dziekan.... wnosi o zniesienie prawa, przekazującego na rzecz kościoła czwartej części pozostałego po zmarłych księżach majątku i wynikających ztąd licytacyi, przez które często znaczne biblioteki idą w rozsypkę.

Ks. Dziekan.... prosi o ułatwienie prowadzenia akt kościelnych, które obecnie dla księży wiejskich bardzo jest uciążliwe.

Ks. Arcybiskup zaleca księżom porozumiewać się między sobą względem bibliotek dla ludu i doboru dobrych książek do nich. Zapowiada kurendy, mające zawiadamiać o takowych książkach.

Wzywa do czuwania nad życiem domowem duchownych. Doświadczenie uczy, że gdzie kwitnie na parafii gospodarstwo, tam zwykłe życie wewnętrzne w zaniedbaniu. Kłopoty gospodarskie przeszkadzają księżom do należytego odmówienia brewiarza, tem bardziej do rzeczy mniej surowo obowiązujących, jak medytacyi i czytania duchownego. Często do gospodarstwa przyłączają się karty. Nad księżmi, zbytnie oddającymi się grze, dziekani troskliwie czuwać i mnie o nich wcześnie donosić mają. Nie jest to wprawdzie wyraźny grzech, ale marnowanie czasu, a zatem i niedopełnienie tego, coby dopełnić należało. Raz jeszcze proszę o rychłe zawiadomienie, jeśli jest w dekanacie taki ksiądz, aby nałóg budzący się, przeciąć w zarodku.

10. O stosunku duchowieństwa zakonnego do świeckiego.

Ks. Arcybiskup. Wiem, że niektórzy zakonnicy podnoszą skargi na mnie, jakobym ich prześladował: wypowiem tu jawnie moje pod tym względem zasady. Nie tknąłem się dotąd zakonów i nadal nie tknę, ale nie chcę zmieszania dwu różnych od siebie instytucyi. Nie będę nigdy nastawał na prawa zakonów, szanuję ich przywileje, bo nadane im przez Stolicę Apostolską. Zakony są w mojem przekonaniu niejako szpikiem kości Kościoła; ale by były nim, potrzeba, by zawsze płonął w nich ogień święty, by zawsze według przeznaczenia swego trwały w odosobnieniu od świata, pilnując nauki, modlitwy, czuwania, umartwienia. Wszystko, co odprowadza zakony od tego celu, jest szkodliwem, a takiemi rzeczami są: mieszkanie zakonników na parafii, zatrudnienia poza klasztorem, sekularyzacya. Tę ostatnią raz na zawsze i zupełnie usunąć chcę. Wielka jest różnica między kapłanem świeckim a zakonnym, a ta różnica zasadza się głównie na różnem, do jakiego zobowiązali się, posłuszeństwie. Świecki ksiądz winien posłuszeństwo swej władzy tylko w tem, co się tyczy administracyi Sakramentów, nauczania

i zarządu parafią: poza tym obrębem zupełnie jest niezależny; zakonnik przeciwnie we wszystkiem jest związany posłuszeństwem, poświęca majętność, czas i wolę swoję, od rana do wieczora we wszystkiem zależny od woli zwierzchnika: cała istota zakonnika jest w posłuszeństwie, i o tyle jest zakonnikiem, o ile jest posłusznym. Do takiego zaprzania siebie potrzeba szczególnego powołania: kto go w sobie nie czuje, może służyć Kościołowi jako ksiądz świecki, ale kto raz wstąpił do zakonu, winien też trwać w powołaniu, do którego się uroczystym ślubem zobowiązał. Odpycham stanowczo praktykę powoływania zakonników do posług kościelnych, przeciwnych duchowi zakonu. Co innego są misye, rekolekcye itp., na które zakonnicy do czasu zjeżdżać mogą, jak i niektóre zakony szczególne mają, wedle reguły swej, przeznaczenie pracowania na tem polu: ale dłuższe pobyty zakonnikow na parafiach uważam za zabójstwo zakonów. Radbym bardzo ujrzeć u nas odnowione zakony, ale pragnę, by z nich samych wyszło to odnowienie. Z naszej strony będziemy im do tego dopomagać jasnem określeniem granic, dzielących ich powołanie od powołania księży świeckich, i usunięciem przeszkód, tamujących rozwinięcie właściwego ich ducha. Wprawdzie, jeśli ze strony zakonników objawi się na zewnątrz jakie zgorszenie, będę w ukaraniu ich równie surowym, jak w podobnym razie byłbym dla księdza świeckiego, zostając jednak w granicach służącego mi prawa, to jest przez odjęcie aprobaty i prawa nauczania; chyba w razie bardzo ciężkiego i nadzwyczajnego wykroczenia, byłbym zmuszony użyć kar dyscyplinarnych. Zresztą chcę, by zakony swobodnie rządziły się prawami swojemi i używały nadanych im exemcyi. Pragnę bardzo przyspieszyć chwilę przybycia Jenerałów zakonnych, aby za ich wpływem nastąpiło zorganizowanie i naprawa zakonów, gdzie takowa stała się potrzebną, aby zakony były znowu u nas, czem były i zawsze być powinny, sercem Kościoła. Szanuję głęboko stan zakonny: jest to stan najdoskonalszy, jak uczy Ewangelia: a jeśli nie każdy do niego powołany,

tem bardziej pragnę, by raz powołani trwali w powołaniu swojem.

11. O kweście na kościół na Grzybowie.

Ks. Arcybiskup. Uproszony przez komitet nadzorczy, zalecam odprawienie we wszystkich parafiach Archidyecezyi nabożeństwa na ten cel, ze stosowną przemową i następującą potem kwestą. Bardzobym rad podźwignąć ten kościół, którego wielka jest w Warszawie potrzeba. A nadto ma on i dla całego kraju znaczenie: będzie to kościół monumentalny, pamiątkowy i stawiany w obecnej chwili, będzie on świadczył o tej bardzo ważnej, którą dziś przechodzimy, epoce naszych dziejów narodowych. Przed Postem rozeszlę okólnik, tyczący się tej sprawy. W kościołach warszawskich nabożeństwo to odprawi się w Popielec, nic jednak nie mam przeciw temu, by po parafiach odbyło się w pierwszą niedzielę Postu, gdzie tego miejscowe stosunki wymagają.

12. O Poście.

Ks. Arcybiskup. Zastałem przy objęciu rządów archidyecezyi istniejącą praktykę ogólnej dyspenzy na post z masłem, wszakże nie znalazłem nigdzie dostatecznego na to fundamentu. Jest tylko list prymasa Poniatowskiego, który, czy może się brać w tak ogólnem znaczeniu, żadnego na to nie ma dowodu. Dopóki się ta kwestya nie wyjaśni, trzymamy się dawnej praktyki; ale udam się z zapytaniem do Rzymu, do którego decyzyi zastosujemy się.

Księża niech w naukach swoich tłómaczą ludowi, że Kościół przez przykazanie postu dwu rzeczy żąda: umartwienia i posłuszeństwa: kto więc nie jest w stanie dopełnić pierwszego, niech przynajmniej zachowa drugie, nie dysponsując się samowolnie, ale prosząc o dyspensę zwierzchności kościelnej.

13. O spisach funduszów kościelnych.

Ks. Arcybiskup. Spisy, poprzednio uczynione, są niedokładne i niewłaściwie założone. Postaramy się obalić je, aby

nie pociągnęły za sobą złych skutków. Ważną jest rzeczą, by księża, lepiej obeznani z tą sprawą, podali mi myśli swoje co do właściwego przerobienia tych spisów, aby nie były ze szkodą kościołów i proboszczów. W każdym razie można w nowych spisach zupełnie zamilczeć o dochodach akcydensowych, potrącając za to z rubryki wydatków koszta światła itp.

14. O Privilegium fori.

Ks. Arcybiskup. W Radzie Stanu przeszło świeżo nowe prawo w tym przedmiocie, w którego dyskusyi czynny udział brałem i przeto podaję tu historyę jego do powszechnej wiadomości. W roku 1817 wyszło prawo, równające duchowieństwo ze świeckimi w sprawach sądowych. Biskupi zaprotestowali przeciwko niemu, wskutek czego cesarz Aleksander zezwolił na przejrzenie jego. Polecono Sekcyi duchownej w Komisyi spraw wewnętrznych ułożyć nowy projekt do prawa. Z swojej strony i biskupi pod ks. A. B. Prażmowskim wystąpili z nowym projektem, w którym choć nie było zastrzeżone privilegium fori, znajdowały się jednak niektóre większe niż przedtem dla duchowieństwa gwarancye. Tymczasem wybuchło powstanie 1831 r. i puściło w niepamięć one projekta. Dekret z 1817 r. istniał i nadal, jako nie zniesiony, ale nigdy nie miał zupełnej powagi. — W r. 1861 uorganizowano Komisyę spraw duchownych, dodając jej radę duchowną, z prerogatywami, uwłaczającemi prawom biskupów; zależność zaś, w jakiej ta rada miała się znajdować względem Dyrektora gł. Komisyi, skłoniła nas do nieuznania jej. Rząd na protestacyę naszą odpowiedział, że ustanawiając tę radę, poszedł za życzeniem samychże biskupów, wyrażonem w ich adresie, poprzednio wystosowanym: skoro zaś dzisiaj duchowieństwo oświadcza się przeciwko ustanowieniu temu, rząd dalej w tej sprawie nalegać nie myśli. Tymczasem Komisya przyjęła za normę postępowania sądowego z duchownymi dawny ukaz z 1817 r., według którego w zwyczajnych sądach cywilnych pewne sprawy

miały należeć do juryzdykcyi konsystorzów, inne zaś do sądów świeckich, z zawiadomieniem władzy duchownej o zapadłym wyroku i propozycyą wymierzenia, wedle potrzeby, stosownej kary duchownej. W sprawach zaś politycznych sąd miał być czysto wojenny, bez żadnego uwiadomienia, ni udziału władzy duchownej. Po zaprowadzeniu obecnej władzy krajowej, wypracowano następujący projekt do prawa:

1. Kapłan skompromitowany w sprawie politycznej może być aresztowanym tylko *in flagranti delicto*. Ma być natychmiast stawiony przed sąd miejscowy, który, spisawszy protokół, jeśli przekroczenie jest tego rodzaju, że obwinionego na wolność wypuścić nie można, zatrzymuje go w więzieniu i w przeciągu trzech dni obowiązany jest przesłać swój raport do Komisyi. Ta w razie potrzeby zsyła śledztwo na miejsce, po ukończeniu którego Rada Stanu wydaje decyzyę kwalifikacyjną. Potem dopiero następuje właściwy sąd przed trybunałem, którego kompetencya oną decyzyą uznaną została. 2. Biskupów sądzi Rada Stanu, członków kapituł i dziekanów sądy apelacyjne.

Tego projektu nie mogliśmy naszem przyzwoleniem usankcyonować, nie mając na to upoważnienia od Stolicy Apostolskiej. Wielki Książę Namiestnik zaś przypuścił to prawo, jako rozporządzenie tymczasowe, ażby sprawa została rozstrzygniętą przez konkordat, który ma być w jak najrychlejszym czasie dokonany. Wprowadzeniu samemu prawa nie mogliśmy przeszkodzić. Rząd się zsyłał na to, że, nie przesądzając praw duchowieństwa, musiał podać urzędnikom swoim choć tymczasowe prawidło postępowania, któremu też duchowni, dla dobra porządku publicznego, do czasu poddać się powinni. My protestując, dopełniliśmy obowiązku sumienia i zawsze zostawiliśmy sobie otwartą drogę do powrotu do p r i v i l e g i u m f o r i, skoro będzie można je uzyskać. Zresztą, według istniejącego obecnie konkordatu, wszystkie sprawy z duchownymi mogą być, według wyboru stron, sądzone bądź przez świeckie, bądź przez duchowne sądy. Więcej tu zatem zależy na dobrem usposobieniu

wiernych, niż na samem prawie. Sądzę także, że to prawo, które nam zaszkodzić nie może, kiedyśmy się przeciwko niemu zastrzegli w teoryi, w praktyce owszem będzie nam pożyteczne. Kwestye polityczne, obecnie u nas się toczące, tak są zawikłane i drażliwe, że gdybyśmy i posiadali privilegium fori, możebyśmy sami się go wyrzekli, dla uniknięcia powstających z niego w takim stanie rzeczy trudności.

15. Kwestye i wnioski różne.

Ks. Dziekan.... wnosi o zniesienie postanowień, tyczących się księży, wzywanych przed sądy na świadków.

Ks. prałat Sieklucki prosi o zalecenie dziekanom, by w dekanatach swoich przestrzegali przepisów co do *renovatio Sanctissimi* i utrzymywanie vasculów w czystości.

Ks. Dziekan.... wniosek względem nadużyć *quoad locum administrandi Sacramenti Baptismi.*

Ks. Dziekan.... wniosek o uregulowanie parafii. Często dwór do innej parafii należy, a wieś do innej; stąd częste kolizye względem domicilium w sprawach małżeńskich.

Ks. Arcybiskup oznajmia nadesłane z Komisyi spraw duch. rozporządzenie, cofające nakaz wypytywania się o nazwisko penitentów w spowiedzi. Można więc odtąd bez obawy spowiadać, i wszystkich. Daję wszystkim księżom prawo przyjmowania osób, pragnących powrócić na łono Kościoła.

Ks. Przeor Benedyktynów. Co zrobić z rozporządzeniem, jakie Komisya niedawno bezpośrednio do przełożonych zakonów przesłała.

Ks. Arcybiskup. Odesłać je do zwierzchności archidyecezyalnej.

Ks. Arcybiskup. W kwestyi *famulatus apud Iudaeos* wydaną została niedawno decyzya Stolicy Apostolskiej dla archidyecezyi lwowskiej. W moc tej decyzyi zostawiam do uznania proboszczów, o ile służba u żydów jest dla ich owieczek przeszkodą do spełnienia obowiązków religijnych i niebezpieczeństwem dla ich wiary. Mogą, po rozsądzeniu sprawy, dać takim sługom rozgrzeszenie, nie obowiązując ich do

porzucenia służby. Zresztą wątpliwość może już tylko zachodzić co do służby domowej, bo co się tyczy oficyalistów, zostających na służbie u żydów, to Stolica Apostolska już dawniej zawyrokowała, że takowa służba może być cierpianą.

O godzinie $3^1/_2$ Jego Ekscellencya zamyka posiedzenie, wyrażając obecnym swe podziękowanie za chętne ich wzięcie udziału w obradach i żegnając ich z nadzieją, że to dzisiejsze zebranie nie będzie ostatniem. Wzywa przeto ks. Dziekanów i innych, aby przygotowując zawczasu materyały do dalszych obrad, zapisywali sobie, co się w praktyce ich uwadze nastręczy.

Podczas gdy rewolucyjne objawy coraz wyraźniej zapowiadały zbliżającą się burzę, Wielki Książę spróbował raz jeszcze zyskać dla swej polityki Zamoyskiego. W tym celu zaprosił go na prywatną audyencyę, gdy zaś znaleźli się sami, zagadnął go pytaniem: »Spodziewam się, że Polacy zadowolnieni są udzielonemi instytucyami?« — Zamoyski odrzekł, iż nie wie, z czego mianowicie mają być tak bardzo zadowoleni.

— Jakto? Macie przecie Radę Stanu, autonomiczne instytucye, narodowe wychowanie; czegóż więcej możecie pragnąć jeszcze?

— Daruje W. C. Wysokość śmiałości wyrażenia, lecz na mnie to wszystko robi wrażenie komedyi?

— Jakto komedyi?

— Zastosowuję tylko do obecnego położenia słowa Dostojnego Rodzica W. C. W., który wobec Senatu nazwał przyrzeczenia Cesarza Aleksandra I, dane Polakom, tylko komedyą. Instytucye, wprowadzane w rodzaju próby i niczem nie gwarantowane, mogą być w każdej chwili odjęte takim samym aktem osobistej woli, jak ten, który je nadał, i nikt nie będzie miał prawa poskarżyć się, że mu się krzywda stała, bo któż może być sędzią tam, gdzie ponad osobistą wolą Monarchy nic nie góruje.

— Więc Pan chcesz wznowienia konstytucyi, nadanej Królestwu przez Aleksandra I?

— Tak, chcę odpowiedniej potrzebom kraju konstytucyi, zaprzysiężonej zarówno przez Monarchę, jak przez naród, i chcę nadto uiszczenia przyrzeczeń Wskrzesiciela Polski, iż Ruś i Litwa dołączone zostaną do Kongresówki. Pod tym tylko warunkiem sądzę, że Polacy będą rzeczywiście zadowoleni.

— To co Pan mówisz, jest tylko osobistem pańskiem zdaniem, naród o takich ustępstwach ani marzy nawet i jest uszczęśliwiony tem, co otrzymał.

— Proszę nakazać wybory i zwołać przedstawicieli narodu, a W. C. Wysokość przekona się, kto z nas ma słuszność.

— Wymaganie rzeczy niepodobnych oddala nas tylko od praktycznego celu, zamiast doń zbliżać. Mądrość polityczna zależy na tem, by wyzyskać położenie i otrzymać to, co w danej chwili jest możebnem; pomiatanie zaś tem, co dają, przeto że jeszcze coś pozostaje do życzenia, kończy się zwykle utratą wszystkiego.

— Właśnie i ja to przewiduję, że skoro naród nie skwituje z słusznych praw swoich, których mu odmawiają, to i tę odrobinę, co mu z łaski rzucono, cofną napowrót; i dlatego obecną próbę zowię komedyą i nie widzę, aby w gruncie rzeczy zmieniło się co w kraju, póki wszystko zależy od samowoli rządu.

— Przyznasz Pan wszakże, odparł powstając z krzesła W. Książę, że choć to jest zmienione, że — Pan możesz mówić podobne rzeczy W. Księciu, rodzonemu bratu Cesarza.

Na tem skończyła się owa audyencya, w której niektórzy chcą widzieć polityczny program Zamoyskiego, proponowany jakoby rządowi na miejsce programu Wielopolskiego. Mojem zdaniem, rozmowa ta najlepiej objaśnia prawdziwe stanowisko Zamoyskiego, który nietylko żadnego programu wspólnie z rządem rosyjskim przeprowadzać nie chciał, lecz wszelką wspólną pracę uważał za niemożebną,

z powodu braku stałej podstawy i niezbędnych rękojmi. Tak w dawniejszej rozmowie z Gorczakowem, jak w obecnej z W. Księciem, Zamoyski nie narzuca się, nie występuje z programem, nic nie przyrzeka, odpowiada tylko na czynione mu pytania i tłómaczy się z powodów, dla których do wspólnej pracy przystąpić nie chce; powody zaś te są aż nadto racyonalne, a późniejsze doświadczenie nadało im siłę głębokiej mądrości stanu. Czyż nie tak się stało z ową komedyą ustępstw, jak przewidywał Zamoyski? Czyż na jedno skinienie wszechwładnego berła, nie ustąpili ze sceny dawni aktorowie, aby dać miejsce nowym, co już nie miłościwą idyllę zgody i przyjaźni, lecz krwawy dramat zagłady na tejże scenie odegrać mieli? Cóż pomogły Margrabiemu obietnice i zapewnienia, z monarszych ust słyszane, kiedy i on i brat nawet cesarski musieli milczkiem kryć się gdzieś po dziurach, stawieni pod pręgierzem moskiewskiej opinii, jako zdrajcy interesów tegoż Monarchy, za którego pierś nastawiali, ściągając na siebie nienawiść tego narodu, który dla moskiewskiej przyjaźni zjednać usiłowali? Nigdy nie wątpiłem i nie wątpię o gorącym patryotyzmie Margrabiego, ani o wielkim jego rozumie administracyjnym; lecz pod względem ocenienia politycznej sytuacyi, t. j. wzajemnego stosunku Polski do Rosyi, czysta i głęboka miłość ojczyzny Zamoyskiego jaśniej daleko dała mu poznać rzeczywisty stan rzeczy, niż ściśle loiczny, ale zbyt szczery i nie przypuszczający obłudy i złej wiary rozum Margrabiego. Nie jego też potomność nazwie prawdziwym mężem stanu.

Gdy Zamoyski powtórzył w gronie swych politycznych przyjaciół mianą z W. Księciem rozmowę, stronnicy jego postanowili przekonać W. Księcia, że wyrażone przez Zamoyskiego żądania są podzielane przez wszystkich umiarkowanych patryotów. Zwołali przeto w tym celu do Warszawy wszystkich wiejskich obywateli, należących do rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego, a gdy ci pospieszyli na wezwanie, wnet ułożono adres do Zamoyskiego, upoważniający go do przedstawienia rządowi ich jednomyślnych

życzeń. Gdy jednak chciano podpisywać, Zamoyski prosił, aby się powstrzymano i pozostawiono jego uznaniu obranie właściwej chwili do podpisania ułożonego adresu, gdyż obecna nie była, jego zdaniem odpowiednią. Obywatele przystali na to życzenie swego byłego Prezesa i odłożyli podanie adresu na czas nieograniczony.

Dowiedziawszy się o celu zjazdu obywateli i uważając z usposobienia tych, z którymi zdarzyło mi się poufnie rozmawiać, iż wobec nierozważnych knowań partyi ruchu, która gwałtem usiłowała kraj w odmęt rewolucyi wciągnąć, stronnictwo umiarkowane gotowoby pod pewnymi warunkami poprzeć pokojowy rozwój instytucyi, byle do krwawej katastrofy nie dopuścić, postanowiłem, bez niczyjego upoważnienia, zaproponować W. Księciu swe pośrednictwo między nim a zjazdem obywatelskim, który przedstawiał w każdym razie bardzo poważną w kraju siłę. Udałem się przeto do Łazienek i począłem namawiać W. Księcia, aby nie opuszczał tak dogodnej zręczności porozumienia się z jedynem stronnictwem, z którem porozumienie jest możebne. »W. Ces. Wys. miałeś już zręczność poznać pewne właściwości polskiego narodowego charakteru, które koniecznie winien uwzględnić każdy, co do rządzenia nami jest powołany. Jedną z tych właściwości jest potrzeba jawnego i to narodowego sztandaru, pod którym szykować się mamy. Zaufanie osobiste nam nie wystarcza. Polak idzie tylko za ideą i tego tylko sztandaru bronić gotów, na którym droga mu idea wyraźnie wypisaną zostanie. Polak umie być nawet cierpliwym i potrafi czekać na urzeczywistnienie stopniowe zasadniczej idei swojej, ale potrzebuje wiedzieć, do czego dąży i być wtajemniczonym w program rządowy. Kiedy cesarz Aleksander I przyrzekł przyłączenie Litwy i Rusi do Królestwa Polskiego, jeśli Polacy spokojnie się zachowają, naród czekał cierpliwie i gotów był spełnić położony mu warunek, chociaż wykonanie obietnicy kilkanaście lat czekać na się kazało. Spiski i zaburzenia wówczas dopiero się rozpoczęły, kiedy cesarz Mikołaj cofnął obiet-

nicę brata i rzekł stanowczo, iż dla Rosyi panuje i dla Rosyi tylko panować będzie. Polacy nigdy nie wyrzekną się swych narodowych aspiracyj i wolą raczej zginąć, niż stać się ślepem narzędziem obcej dla nich polityki.

— Przyznaję, odparł W. Książę, iż wielka zachodzi różnica w pojęciu lojalności między polskimi i rosyjskimi mężami stanu. U nas każdy poddany, wierny swemu monarsze, skoro zostanie wezwany do udziału w kierownictwie spraw publicznych, poczuwa się do obowiązku ścisłego wypełniania otrzymanej od rządu instrukcyi, niezależnie od przewodniczącej w wyższych sferach zasady. Chociażby Monarcha dziesięć razy zmienił swój polityczny system, może być pewnym, iż każdy z wykonawców jego woli wypełni ściśle otrzymane rozkazy, nie wnikając nawet w przyczynę odmiany. Polacy zaś służą tylko idei, którą obowiązali się wspierać; ze zmianą zaś systemu wnet się usuwają lub przechodzą do opozycyi, bez względu na łaskę lub niełaskę monarchy. Lecz w obecnym wypadku idea narodowa jest jawnie wypisana na sztandarze rządowym, Polacy więc mogą śmiało szykować się pod nim z całą świadomością sprawy, której służą.

— Gdyby Polacy mieszkali tylko w Królestwie, program obecny, z ukazaniem, choć w przyszłości, prawdziwej poselskiej Izby, możeby wystarczył dla skupienia około rządu stronnictwa umiarkowanych patryotów. Ale patryotyzm polski jest niepodzielny i poczytuje za zdradę sprawy narodowej wyłączenie choćby jednej prowincyi od wspólności życia publicznego. Dążenie do połączenia znowu w jedną całość organiczną rozćwiertowanych części kraju stanowi główną treść naszego patryotyzmu, i ten tylko rząd może liczyć na szczere poparcie Polaków, który tę główną aspiracyę narodową wcieli do swego politycznego programu. Tego oczekiwali Polacy od Napoleona I, i z tego powodu służyli mu wierniej od samych Francuzów. Po jego upadku nadzieje swe przenieśli na Wskrzesiciela Polski, który, pojmując naszego narodowego ducha, choć w części aspiracye

jego uwzględnił. I obecny też Monarcha, jeśli pragnie pozyskać Polaków, nie powinien stawiać dobrowolnych przeszkód na drodze narodowego ich zjednoczenia. Nie wymagamy wprawdzie od rządu, aby wydał wojnę Austryi i Prusom, w celu odebrania od nich wcielonych przez nie części Polski, zostawiamy to historycznemu rozwojowi wypadków, ale pragnęlibyśmy, aby w zakresie własnego państwa rząd nie wynaradawiał jednych polskich prowincyj, podczas gdy nadaje autonomię drugim, i żeby pozostawił przynajmniej naturalnemu rozwojowi wewnętrznego życia narodowego rozstrzygnięcie kwestyi, czy ku Warszawie, czy też Petersburgowi zechcą ciężyć Ruś i Litwa. Zaspakajające w tej mierze objaśnienie, udzielone poufnie przywódcom stronnictwa umiarkowanego, mogłoby w obecnej chwili zjednać rządowi ich poparcie i odciągnąć stanowczo od rewolucyjnego obozu. Potrzeba tylko śmiałej i lojalnej inicyatywy ze strony W. C. W., który jeden możesz się podjąć tego trudnego między narodem i Monarchą pośrednictwa, co może mieć nieobliczone w przyszłości nietylko naszej ale i całej Sławiańszczyzny następstwa. Polska zjednoczona i szczęśliwa pod berłem Romanowych, stanie się ziemią obiecaną nietylko dla Galicyi i Poznania, lecz i dla wszystkich ludów sławiańskich, pod obcem pozostających jarzmem. Ale na to, żeby skłonić Monarchę do szczerego wejścia na tę drogę federacyjnego zjednoczenia Sławian, bez nadwerężenia ich indywidualnych organizacyj państwowych, trzeba, aby W. C. W. stawała wobec Najj. Pana nie jako wierny tylko wykonawca jego woli, lecz jako brat i członek tejże dynastyi, której przyszłość zarówno całą obchodzi rodzinę. Trzeba stawać wobec tronu nie jako zdający sprawę z zarządu swego Namiestnik, lecz jako obrońca interesów narodu, którego losy Opatrzność w dostojne twe ręce złożyła. Podobnej zaś roli tylko brat Monarchy z powodzeniem podjąć się może.

W. Książę nie oponował wcale przeciwko zasadzie, a choć milczał, zdało mi się, że całkiem podzielał ten po-

gląd; zaoponował tylko przeciwko możebności podjęcia się podobnej roli.

— Gdybym, rzekł, był synem a nie bratem Cesarza, położenie moje byłoby nierównie łatwiejsze, gdyż serce ojca niedostępne jest dla podejrzeń. Lecz ja mam licznych wrogów u Dworu, którzy radzi składają na karb osobistej ambicyi to, cobym chciał uczynić dla dobra powierzonego mi kraju, z pobudek wyższej państwowej polityki. Nieprzyjaciele moi nie omieszkaliby wmawiać Cesarzowi, że chcę rozszerzyć Królestwo dla rozszerzenia mej władzy, a może nawet oderwania od korony. Ja muszę trzymać się jak najściślej otrzymanej z Petersburga instrukcyi, aby usunąć od siebie wszelkie niesłuszne podejrzenia.

— Cóż więc W. C. W. pozwoli mi powiedzieć w swem imieniu zebranemu tu na obrady stronnictwu umiarkowanych patryotów?

— Żadnych obietnic dać im nie mogę, ani żadnych zapewnień oprócz tych, które Monarcha wypowiedział już drogą oficyalną. Mojem zdaniem zbłądzili oni bardzo, przyjmując nieprzyjazną dla rządu postawę, gdyż tym sposobem, umniejszając własne znaczenie, powiększają tylko wpływ stronnictwa rewolucyjnego. Obok rządu byliby oni potęgą, między rządem a rewolucyą staną się tylko materyałem biernym, z obu stron odbierającym ciosy, bez żadnego dla nikogo pożytku. Gotówbym wszakże chętnie zapomnieć ich błędów, i skoro uderzą się w piersi i powiedzą: *mea culpa*, z radością przycisnę ich do serca i wspólnie z nimi dla dobra kraju pracować będę.

Ta rozmowa wyjaśniła mi prawdziwe stanowisko W. Księcia i to, czego od niego oczekiwać było można. Wpływ jego na Cesarza wyraźnie był bardzo mały, przekonania zaś o lojalności tego rodzaju, że w zakres jego wchodziło bezwarunkowe posłuszeństwo woli Monarchy, chociażby przedmiot rozkazu sprzeciwiał się wewnętrznemu przekonaniu. To też nie posunąłem dalej przedsięwziętej próby pośrednictwa, które stawało się niepodobnem wobec położonych

przez W. Księcia warunków. To też stosunki wywołane zjazdem rozwijały się dalej na drodze wzajemnej nieufności. W. Książę, zapewne pod natchnieniem Margrabiego, postanowił wystąpić energicznie przeciwko manifestacyi białych (jak nazywano wówczas stronnictwo umiarkowane), a nie mogąc doczekać się oczekiwanego adresu, sam wezwał Zamoyskiego i zapytał o adres.

— Gdybym go miał podać, odrzekł zagadnięty, tobym nie czekał wezwania W. C. W., lecz podawanie w obecnej chwili adresu uznaliśmy za niewłaściwe.

— Adres wszakże został zredagowany i doręczony Panu, treść zaś jego jest tego rodzaju, że musisz Pan wytłómaczyć się z niej przed Monarchą, który zawiadomiony już jest o całej tej sprawie. Niezwłocznie też pojedziesz Pan do Petersburga.

Gotowy pociąg czekał już na kolei żelaznej. Zaledwie parę godzin dano Zamoyskiemu do wybrania się. Siadając do wagonu, zawołał jeszcze do odprowadzających go przyjaciół: » Tylko broń Boże zbrojnego powstania«.

W Petersburgu ze zwykłą godnością i prawdziwie spartańską odwagą wypowiedział Cesarzowi swe patryotyczne przekonania, bronił nieulegających zadawnieniu praw narodu, pożegnał zaś cesarza przyrzeczeniem, iż będzie się modlić, aby go Bóg oświecił w pojęciu swych prawdziwych obowiązków. Od czasu ujarzmienia Polski żaden z rosyjskich monarchów nie słyszał ani tak jasno, ani tak spokojnie wypowiedzianych uczuć patryotycznych, które chociaż we wszystkich niemal płoną sercach, zwykle wszakże albo się kryją z bojaźni, albo w nienawistne przekleństwo się wyradzają. Kazano mu wyjechać za granicę, skąd nie wrócił już wcale do kraju.

Tymczasem hr. Andrzejowa dogorywała w Warszawie, a pogrzeb jej przybrał charakter manifestacyi narodowej. Wywiezienie Zamoyskiego dokonało ostatecznego rozdziału między Margrabią i wiejskiem obywatelstwem, a pustka coraz wyraźniejsza poczęła się formować wkoło

niego. Jednoczesnie prawie kazał on wyjechać z kraju Kraszewskiemu, odjąwszy mu naprzód redakcyę »Gazety Polskiej«. Wydalenie to uszczupliło też nie mało i tak już ciasne kółko zwolenników rządu. Zdawało się, że Margrabiemu mniej chodziło o pozyskiwanie stronników, jak o uwolnienie się od antagonistów; nie znosił bowiem żadnego samoistnego działacza obok siebie, chociażby działanie to nie było wymierzone przeciwko niemu. W swej pewności siebie lekceważył on pomoc innych i sądził, że znajdzie zawsze dość powolnych narzędzi do przeprowadzenia swych planów; przy podobnem zaś usposobieniu trudno pozyskiwać serca, bez czego niepodobna rządzić takim, jak polski, narodem. Margrabia tak dalece nie posiadał daru jednania sobie i pociągania ludzi, że jeden z najpotulniejszych jego politycznych stronników, sekretarz stanu Enoch, wyznał poufnie, iż nie znał pana, któremuby tak trudno było służyć, jak jemu. Nie umiejąc zużytecznić żywiołów obecnych, chciał on wychować dopiero nową generacyę, dającą się lepiej powodować, ale gdyby mu nawet starczyło czasu, okazałoby się to równą utopią, jak zwrócenie z wiekowego toru zaborczej i wynaradawiającej polityki rosyjskiej.

Wysłanie Zamoyskiego sprawiło w kraju całkiem przeciwny, niż oczekiwano, skutek. Stronnictwo białych pozbawione swego przywódcy, który stanowczo był przeciwny zbrojnemu wystąpieniu, rozbiło się na drobne grupy lub pojedyncze jednostki, a żywioły młodsze i gorętsze przechyliły się stanowczo na stronę powstania, i tylko barwa Komitetu, stojącego na czele ruchu, i niemoralne środki, przezeń używane, powstrzymywały je do czasu od przystąpienia do rewolucyjnej organizacyi. Walka zbrojna rozpoczęła się już właściwie od zamachu na życie Lüdersa i odtąd nie ustawała ani na chwilę, nie śmiejąc tylko wychylić się z za węgła i wystąpić w otwartem polu. Krwawa rękawica rzucona już była rządowi, konieczność walki uznano przez organizatorów za nieuchronną, przygotowanie broni, pieniędzy i innych zapasów wojennych postępowało bez przerwy

chodziło tylko o wyznaczenie ostatecznego terminu na ogólne porwanie się do broni, w żadnym jednak razie nie miano czekać dłużej jak do wiosny. Nie było to dla nikogo tajemnicą, gdyż sprzysiężenie działało coraz jawniej i śmielej, a obie walczące partye nie spuszczały siebie z oka i każda wiedziała dobrze, co się w przeciwnym działo obozie.

Margrabia, widząc nieuchronność zbrojnego starcia z rewolucyą, chciał je przyspieszyć, nie dając czasu przeciwnikom do ostatecznego uorganizowania się i stanięcia w dogodniejszych dla siebie warunkach. Spodziewał się on, iż śmiałym i energicznym zamachem zgniecie w samym zarodku powstanie i oszczędzi krajowi niemało krwi i nieszczęść. »Wrzód, jak wyrażał się, dojrzał. Trzeba go rozciąć, aby uwolnić narodowy organizm od zepsutych soków«. W tym celu ułożył ów plan branki do wojska, na to jedynie obliczony, by dał możebność rządowi pochwycenia wszystkich rewolucyjnych żywiołów i wydalenia ich z kraju, wprzód, nim ogólny wybuch nastąpi. Gdyby rząd Petersburski działał z równie dobrą wiarą jak Margrabia i, jak sądzę, Wielki Książę Konstanty, t. j. gdyby mu rzeczywiście chodziło tylko o przytłumienie jak najmniejszym kosztem nieuniknionej w kraju rewolucyi, by następnie bez przeszkody już rozwijać nadane narodowi instytucye, środek ów, jakkolwiek nielegalny, byle się udał, łatwo dałby się wytłomaczyć polityczną koniecznością, a naród uwolniony od trapiącej go rewolucyjnej zmory, chętnieby przebaczył ową arbitralność, na którą później tak namiętnie narzekał. Ale nad Newą całkiem do innych zmierzano celów, niż nad Wisłą. Tam troszczono się o co najrychlejsze zgniecenie gotującego się ruchu dla tego jedynie, by mieć całkiem rozwiązane ręce i módz rozporządzić się krajem wedle własnego upodobania, nie dając zagranicy powodu do wmięszania się w tę sprawę. Przyjęli oni plan Margrabiego i jego pomoc w uśmierzeniu ruchu, radzi wszakże byli ujawnieniu rewolucyjnych dążeń pewnej cząstki narodu, by

mieć pretekst pomszczenia się nad całym krajem. Tym sposobem Margrabia sądząc, iż służy krajowi, służył tylko mimowoli jego ciemięscom, ułatwiając im późniejszą reakcyę. Samo nadto wykonanie planu owej branki było niezmiernie utrudnione anormalnymi stosunkami, jakie panowały wówczas w naszem społeczeństwie, z powodu różności zapatrywań politycznych. Nietylko obywatele tegoż kraju, równie gorąco miłujący ojczyznę, lecz członkowie nawet tejże rodziny dzielili się na partye i do całkiem przeciwnych należeli nieraz obozów. Skutkiem tego rozdwojenia, zachowanie tajemnicy stawało się niemożebnem, gdyż każdy urzędnik otoczony był we własnym domu szpiegami, co wszystko podpatrywali i o wszystkiem zawiadamiali podziemny komitet. Ten sam los spotkał i plan poboru, wypracowany w największej tajemnicy w zaufanem rządowem kółku, wysłany następnie do Petersburga przez najzaufańszego z dyrektorów wydziałowych Komisyi Spraw Wewnętrznych; po zatwierdzeniu zaś przez Cesarza schowany pod kluczem tegoż Dyrektora, który dawał odpowiednie innym władzom rozporządzenia. Tymczasem syn owego Dyrektora (zapomniałem nazwisko, podobno Gutakowski), należąc do organizacyi rewolucyjnej, wykradał wszystkie te tajemne papiery i komunikował treść ich Komitetowi, który ze swej strony krzyżował wszystkie plany rządowe. Tym sposobem, gdy nadeszła chwila branki, wszyscy należący do organizacyi uprzedzili ją i umknęli z Warszawy, w ich zaś liczbie i ów syn Dyrektora, który w zostawionym do rodziców liście powiada, iż idzie zginąć, by krwią swoją zmyć plamę, jaką ojciec jego skalał ich imię, służąc ciemięscom kraju. I rzeczywiście zginął w bitwie pod Siemiatyczami. Uciekająca przed branką młodzież Warszawska zgromadziła się w Kampinowskich lasach, pod dowództwem Zygmunta Padlewskiego, w liczbie około tysiąca, bardzo słabo uzbrojona i nie zaopatrzona w żadne rekwizyta.

Skoro wieść o tem doszła do W. Księcia, wezwał on natychmiast na poufną radę Wielopolskiego i głównodowo-

dzącego wojskami jenerała Ramzaja, by przedsięwziąć przeciw tej bandzie odpowiedne kroki. Ramzaj był zdania, że należy zebrać natychmiast, jakie są pod ręką, oddziały wojska i uderzyć na powstańców nie dawszy im zorganizować się, lecz Margrabia zarzucił mu, że owi młodzi ludzie nie są wcale powstańcami, tylko zbiegami od rekrutów, że należy przeto postępować z nimi, jak postępuje się zwykle w takich razach, t. j. otoczyć ich, pojmać i zdać do wojska; a wówczas i kraj uwierzy w siłę władzy, i za granicą przekonają się, że tu nie ma powstania tylko zwykła dezercya. Na to Ramzaj zarzucił, że zbiegi te mają rewolwery i będą się bronić. Margrabia zaś odparł: »A żołnierze mają bagnety. Przecież ja od ich rewolweru obroniłem się moją laską». Argumenta Margrabiego przekonały W. Księcia, który dał rozporządzenie Ramzajowi, aby otoczył Kampinowskie lasy i ująwszy zbiegów, kazał ich stawić do poboru. Fatalizm jakiś chciał, że wszystkie środki, doradzane przez Margrabiego w celu przytłumienia powstania, przyczyniły się tylko do jego rozżarzenia. Gdyby postąpiono, jak chciał Ramzaj, nagły i energiczny napad byłby zapewne odrazu rozbił słaby zarodek powstania i może na temby się skończyło. Lecz na wykonanie planu Margrabiego potrzeba było nierównie więcej wojska, niż go się znajdowało w owej chwili w Warszawie, gdyż z powodu branki rozesłane zostały drobne oddziały po miastach i miasteczkach na prowincyi, dla dania poparcia władzom cywilnym w czasie poboru. Okoliczność ta stała się powodem kilkudniowej zwłoki, musiano bowiem ściągać owe oddziały do Warszawy, następnie otoczyć lasy Kampinowskie i koncentracyjnym ruchem ściskać powstańców; co nim nastąpiło, ci ostatni jeszcze 17 stycznia, t. j. we dwa dni po brance, przeszli Wisłę po lodzie i schronili się do lasów Nasielskich, gdy zaś wojsko nadciągnęło nazajutrz, lód tak już był słaby z powodu panujących odwilży, iż dowódcy nie odważyli się ścigać dalej zbiegów i powrócili nazad, dając czas powstańcom wzmocnić się i uorganizować.

Jakoż z 22 na 23 stycznia wybuchło ogólne powstanie w kraju; mówię ogólne, co do miejsca, nie zaś co do ludności, gdyż bardzo nieliczna gromadka spiskowych za broń pochwyciła. Szanse powodzenia w tej nierównej walce, gdzie garstka źle uzbrojonych i nie wprawnych ochotników stawała do boju z najliczniejszą w Europie armią, były tak małe, że ci nawet szaleńcy, którzy tego olbrzyma wyzwali, nadzieją wygranej nie łudzili się wcale. Ruchu powstrzymać ani chcieli, ani mogli. Nie chcieli, — gdyż rycerski honor nakazywał im raczej zginąć, niż się ukorzyć i do nierozwagi przyznać. Nie mogli, — gdyż rozburzone przez nich rewolucyjne namiętności, w łonie miejskiego zwłaszcza ludu, nie dałyby się już ukołysać i przeciw nim samym obrócićby się mogły, gdyby na czele powstania stanąć nie chcieli. W początkach ruchu wszyscy niemal byli pewni, że po dwóch, trzech bitwach powstanie stłumione i rozbrojone zostanie. Stronnictwo umiarkowane słało nawet posłów do obozów, namawiając naczelników oddziałów do wkroczenia za granicę, nie narażając kraju na nieuchronne klęski przedłużającego się oporu. Rady te wszakże zostały odrzucone, a wraz z rozszerzaniem się powstania coraz wyraźniej zdradzać się począł dziki charakter represyi, którą rząd petersburski gotował. Rzeź w Siemiatyczach, napad na bezbronne Wojsławice, gdzie w domu jednego z członków Rady Stanu, Leopolda Poletyłły, rozbestwione żołdactwo zamordowało kilka osób, starców nawet i kobiet, zwiastowały już ową krwawą zemstę, jaką potężny mocarz gotował dla całego narodu, za gorączkowy szał garstki obałamuconej młodzieży. Lecz co więcej jeszcze zaniepokoiło patryotów, niż te kozackie saturnalie, to rozporządzenie, ogłoszone przez rząd warszawski, nakazujące włościanom ścigać razem z wojskiem powstańcze oddziały.

Po przeczytaniu tego rozporządzenia, zapytałem niezwłocznie Margrabiego o wyjaśnienie tego niepojętego dla nas faktu, który groził wywołaniem równie okropnych następstw, jak za Metternicha w Galicyi. Margrabia, do

ostatka wierny sam sobie, odmówił wszelkich objaśnień i odrzekł tylko dumnie: »Obecność moja w rządzie jest dostateczną rękojmią, że nic podobnego stać się nie może«. Udałem się przeto do W. Księcia i tu spotkałem daleko większą względność; objaśnił mi bowiem, iż rzeczywiste znaczenie tego rozporządzenia jest całkiem przeciwne literalnemu jego brzmieniu. Zabraniało ono właśnie włościanom działać na własną rękę i tylko na wezwanie władzy i pod wojskowem zwierzchnictwem pozwalało im przyjmować udział w ściganiu powstańców. Powodem zaś do wydania pomienionego rozkazu, były powtarzające się w kilku miejscowościach wypadki samowolnego chwytania przez włościan podejrzanych o udział w powstaniu osób. Na dowód prawdziwości tego twierdzenia W. Książę pokazał mi raporta kilku gubernatorów, którzy donosząc mu o zaszłych tego rodzaju wypadkach, żądają instrukcyi, jak mają na przyszłość w tej mierze postępować?

Pomimo niewątpliwą dobrą wiarę Warszawskiego Rządu, który dla tego tylko pragnął co najrychlejszego uśmierzenia powstania, by dalej prowadzić rozpoczętą reorganizacyę kraju, niezależni członkowie Rady Stanu, t. j. ci, co nie otrzymywali żadnej pensyi rządowej i z patryotyzmu tylko podjęli się tej obywatelskiej posługi, postanowili podać się do dymisyi, aby zerwać wszelką solidarność z rządem za środki represyjne, które przybierały coraz to surowszy charakter. Nie brakło przytem wskazówek, zapowiadających nieufność cesarza względem autonomicznej krajowej władzy i wróżących radykalną zmianę polityki w kwestyi polskiej. Wkrótce po wybuchu powstania przysłany został z Petersburga hr. Adlerberg dla ocenienia na miejscu stanu rzeczy, a choć W. Księżna głośno mówiła, że zaufany dworak Cesarza przybył jedynie w celu zakomunikowania ustnie W. Księciu pewnych wiadomości, których nie chciano powierzać poczcie i kuryerom, mogącym wpaść w ręce powstańców, domyślano się wszakże powszechnie, że stanowisko tak W. Księcia, jak i Margrabiego zachwiane już było w Petersburgu.

Drobna na pozór okoliczność jeszcze więcej uwydatniła, jak dalece partya nam nieprzychylna u Dworu brała coraz więcej przewagę nad podejrzliwym i chwiejnym umysłem Cesarza. Hr. Chreptowiczowa, z domu Nesselrode, należała także do naszych nieprzyjaciół i w listach swoich nie kryła się ze swymi poglądami. Pisząc raz do swej siostry przez dworskiego kuryera, wyraziła się o całym Rządzie Warszawskim z wielką niechęcią i lekceważeniem, zapewniając, iż nie jest wcale na wysokości zadania, jakie podjął się rozwiązać. »W. Książę i W. Księżna, powiada w tym liście pierwsza dama dworu, bawią się jak dzieci w króla i królowę, Wielopolski zaś to tylko kot«. List ten pochwycony został w drodze przez powstańców i posłany do Krakowa, aby tam został wydrukowany w gazetach. Rosyjscy agenci zawiadomili o tem natychmiast W. Księcia, a chociaż zdołano zapobiedz publikacyi listu, treść jego wszakże stała się powszechnie wiadoma i zmusiła Chreptowiczów do opuszczenia warszawskiego Dworu. Wypadek ten jednak dał wiele do myślenia tym, co ducha Dworu rosyjskiego znają. Jeśli bowiem najbliżsi W. Księcia śmieją w ten sposób o nim się odzywać, to muszą być pewni bezkarności, powtarzając tylko zwrotkę piosenki, która w uszach Cesarza ciągle dzwonić musi.

Skoro niezależni członkowie Rady Stanu postanowili podać się do dymisyi i mnie o tem zawiadomili, i ja też zdecydowałem się na toż samo, i 12 marca zrana podałem prośbę o dymisyę. Tegoż dnia zostałem wezwany do W. Księcia, który był bardzo wzruszony i w silnych a serdecznych wyrazach począł mi przedstawiać, w jak krytycznem stawiamy położeniu i jego i cały Rząd Warszawski wobec Petersburga; skoro bowiem ujrzą tam, iż najumiarkowańsi nawet usuwają się i opuszczają rząd autonomiczny, którego otrzymanie tak wiele kosztowało trudu, to naturalnie, że odbiorą to, czego naród nie ceni i powrócą dawny system. Odpowiedziałem na to, że uprzedziłem Cesarza jeszcze w Petersburgu, że jeśli pomimo mych upomnień nastąpi

powstanie, ja podzielę los narodu, jakikolwiek on będzie, gdyż nie przystoi Pasterzowi oddzielać się od powierzonych mu owieczek, chociażby nawet winnych.

— Ależ odstąpienie Pasterza od rządu, odparł W. Książę, uważane będzie przez wszystkich za przyłączenie się do rewolucyi, i może popchnąć wahających się w szeregi powstańców, mnożąc tylko liczbę nieszczęśliwych ofiar i utrudniając zadanie nasze, co radzibyśmy jak najprędzej ustalić normalne stosunki w kraju.

— Sądzę, odrzekłem, iż tyle dałem dowodów, jak stanowczo przeciwny jestem rewolucyi, że chyba zła wola może w mojej dymisyi upatrywać krok rewolucyjny. Któż nie pojmuje, że tam, gdzie krew się leje i gdzie represya coraz surowszy przybiera charakter, miejsce Pasterza nie jest obok wodza, prowadzącego zbrojne zastępy na lud, obłąkany może, ale w dobrej wierze działający. Nie wątpię o życzliwych dla nas zamiarach W. C. Wysokości i dlatego ograniczam się do zerwania tylko solidarności z Rządem za surowe środki, użyte przeciwko powstaniu, co właściwie oznacza dymisya moja z Rady Stanu, o którą proszę obecnie.

— Więc dla ocalenia własnego stanowiska w opinii Polaków, nie wahasz się narazić stanowiska rządu i udaremnić może tylu prac naszych owoce?

— Że nie zważam na opinię, dałem tego wielokrotne dowody, nie ulegając jej nigdy i nie troszcząc się o to, że mię zdrajcą nazywano. Ale jest coś więcej nad opinię, czego lekceważyć się nie godzi bez poniżenia godności człowieka, a mianowicie głos wewnętrznego przekonania, głos sumienia. Ręczam W. C. Wysokości, że krzyki świata całego nie skłoniłyby mię do podania się do dymisyi, gdyby własne sumienie co innego doradzało. Ale obecnie rzecz się ma inaczej. Rewolucyi nie wiele o to chodzi, czy zdyskredytowany przez nią Pasterz pozostaje lub nie w Radzie Stanu, wie ona dobrze, iż błogosławić jej sztandarom nie będę; lecz na to, bym mógł nie gardzić sam sobą, muszę mieć to wewnętrzne świadectwo, iż uczyniłem to, co za obowiązek

swój w obecnej chwili uznawałem. Sługa Chrystusa nie powinien być człowiekiem stronnictwa; nie godzi mu się zaprządz do jakiegobądź politycznego wozu. On musi wciąż stać na wyżynach prawdy chrześcijańskiej, bezwzględnej, aby mieć prawo każdemu stronnictwu wykazać jego błędy i wskazać drogę prawdziwą. Nic nie masz trudniejszego nad zachowanie miary wśród burz politycznych, gdzie namiętności najłatwiej rozigrać się mogą. Stojąc na boku, i to na stopniach ołtarza, łatwiej mi będzie zachować właściwy Pasterzowi pokój i niezbędną powagę, bym każdej ze stron walczących mógł słowo prawdy wypowiedzieć, a w odpowiedniej chwili stanąć jako rozjemca i pośrednik, do zgody i przebaczenia wzywający. Niech więc W. C. Wysokość nie usiłuje powstrzymać mię od kroku, który ja we własnem sumieniu za swój obowiązek poczytuję.

— Gdybyś miał życie prywatne, jak p. Węgliński, Małachowski lub inni, dałbym Ci dymisyę, nie mówiąc ani słowa; lecz nie zapominaj, że zasiadasz w Radzie Stanu nie jako Feliński, ale jako Arcybiskup Warszawski, z którym i po udzielonej dymisyi musimy mieć oficyalne stosunki. Możebnaż to jest rzecz, aby rząd poróżniwszy się z członkiem Rady Stanu, pozostał w dobrych stosunkach z Arcybiskupem? Posłuchaj mię Pasterzu! Jeśli Ci o to tylko chodzi, by nie mieć żadnej odpowiedzialności za postępowanie rządu, możesz całkiem nie uczęszczać na posiedzenia Rady Stanu, możesz zamknąć się w swych pasterskich obowiązkach, nie mieszając się całkiem do polityki. Jeślibyś nawet sądził, iż jest Twym obowiązkiem ostrzedz rząd pod jakim względem lub żądać sprostowania jakiej omyłki, gotów jestem wysłuchać Cię w każdej chwili, tylko nie manifestacyjnie przy ludziach, ale w poufnej rozmowie. Dam rozporządzenie, aby drzwi moje w każdej chwili były otwarte dla Ciebie; tylko nie nalegaj na dymisyę, której ja, bez zupełnego zerwania stosunków, dać Ci nie mogę, gdyż Arcybiskup jest stałym członkiem Rady Stanu i zastąpionym być nie może. Prośba przytem, którą podałeś, nie może mieć waloru,

gdyż zaadresowana jest omyłkowo do Rady administracyjnej, zamiast do Rady Stanu, ja Ci ją więc odeszlę, a ufam, że nie podasz nowej.

Zmiękczony serdecznością i szlachetnemi uczuciami W. Księcia, sądziłem, iż mogę bez obawy przyjąć proponowany mi kompromis, skoro objaśniłem szczere stanowisko moje względem rządu. Odrzekłem przeto, że skoro W. Książę odmawia mi dymisyi z powodu, iż jako Arcybiskup jestem stałym członkiem Rady Stanu, to ja nie ponowię mej prośby. Okazało się wszakże później, iż była to z mojej strony myłka, wywołana osobistą sympatyą, jaką miałem dla W. Księcia. Zapomniałem w tej chwili, iż z powodu mego stanowiska, każdy krok mój jest śledzony i wyzyskiwany przez interesowane w tem stronnictwa, wszelka przeto niejasność w postępowaniu szkodliwe następstwa mieć musi.

W parę godzin później, Enoch, sekretarz Stanu, odniósł mi mylnie zaadresowaną prośbę z własnoręcznym listem W. Księcia następującej treści: »Stosownie do tego, jakeśmy się ułożyli w dzisiejszej rozmowie, pospieszam Cię zawiadomić, że pozostawię bez skutku pismo Twe, zaadresowane do Rady administracyjnej, gdyż nie sądzę mieć prawa do jego przyjęcia, z powodów, jakie wyłuszczyłem ustnie; uważam je przeto jako niebyłe«. Lecz jakie były te powody? o tem ani wzmianki.

Tymczasem wieść o podaniu się mojem do dymisyi szybko rozeszła się po Warszawie, a następnie dostała się telegraficzną drogą za granicę, gdzie została ogłoszona w gazetach, a książę Napoleon, mając nazajutrz mowę w Senacie, użył tej wiadomości jako argumentu, dowodzącego nieludzkiego postępowania rządu. Wskutek tych ogłoszeń, posłano z Warszawy oficyalną telegramę do Paryża, zawiadamiającą głucho, że ja cofnąłem moją dymisyę. Tym sposobem stanąłem wobec jawnej niekonsekwencyi w politycznem postępowaniu mojem, chociaż niekonsekwencya ta w formie tylko istniała. Należało wszakże zaradzić złemu i poprawić popełnioną omyłkę, wyjaśniając moje stanowisko polityczne,

stanowisko całkiem niezależne tak od rządu, jak i od rewolucyi, lecz pośredniczące raczej między dwoma walczącymi obozami, coraz krytyczniejsze zaś położenie kraju nastręczało mi ku temu najstosowniejszą okazyę.

Zatrwożony wzrostem powstania, rząd rosyjski zawarł tajemną konwencyę z rządem pruskim, odnośnie do wspólnej represyjnej akcyi. Jakkolwiek szczegóły pomienionej konwencyi pozostały niewiadome, sam już fakt istnienia międzynarodowej umowy w kwestyi, którą gabinet petersburski usiłował przedstawiać przed Europą jako kwestyę wewnętrzną, upoważniał inne mocarstwa do wtrącenia się w tę sprawę i zażądania objaśnień. Anglia pierwsza rozpoczęła ową dyplomatyczną kampanię, co, tak ważną rolę odegrała w ostatniem naszem powstaniu; nie przeto, by lord Palmerston i jego gabinet interesował się rzeczywiście losem Polaków, dla których, jak sam się wyraził przed hr. Platerem, Anglia nie wystrzeliłaby ani jednego naboju, lecz, że trwające od wojny Krymskiej dobre stosunki między Rosyą i Francyą, niepokoiły samolubną politykę Albionu, z powodu kwestyi wschodniej. Sympatya, jaką Francuzi żywili zawsze dla sprawy polskiej, mogła stać się w ręku przebiegłego polityka doskonałą dźwignią, do zachwiania podstaw rosyjsko-francuskiego przymierza; chodziło tylko o podburzenie przeciwko carskiemu despotyzmowi opinii publicznej we Francyi, polityka zaś Napoleona III śledziła zawsze za jej prądem. Jakoż plan powiódł się doskonale. Zaledwie Anglia poruszyła naszą kwestyę, cała Francya zawrzała współczuciem, a gabinet Wersalski, jakkolwiek zrazu niechętnie, angażował się coraz bardziej na drodze interwencyi. Powoli wstępowała też na tę ścieżkę i Austrya, a nawet mniej zainteresowane w tej kwestyi państwa, tak, że kwestya polska wystąpiła chwilowo na pierwszy plan w rzędzie kwestyj europejskich.

Przy tak niespodzianym obrocie rzeczy, wywołanym walką narodową, możnaż się dziwić, że otucha i nadzieja wstąpiły w te nawet serca, które w ruchu zbrojnym klęskę

tylko pierwiastkowo upatrywały i że lekceważone dotąd powstanie, poczęło zyskiwać coraz powszechniejszą sympatyę? Z zagranicy wołano: rozszerzajcie jak najdalej walkę, bo gdzie sięgnie ruch zbrojny, tam sięgną też granice odbudowanej Polski. W oczach patryotów powstanie, w tej nowej fazie swojej, nie miało już charakteru samoistnej walki, która koniecznie klęską skończyćby się musiała, lecz raczej rozpaczliwej protestacyi przeciw wiekowemu jarzmu, które Europa skruszyć wreszcie zamierzała. Było to jednem słowem wywołanie sprawy naszej przed trybunał cywilizowanych narodów, które, zdawało się, ocknęły się wreszcie i przed sąd swój postanowiły zapozwać choć jednego winowajcę.

Pod wpływem tej ufności w międzynarodowy wymiar sprawiedliwości, patryoci wszystkich odcieni poczęli garnąć się do obozów, o to jedynie troszcząc się, by odjąć ruchowi charakter rewolucyjnego sprzysiężenia, w duchu pewnych stronniczych doktryn prowadzonego, a nadać mu szeroki i jasny charakter jawnego powstania narodu, walczącego przedewszystkiem o niepodległość. Skoro partya umiarkowana przystąpiła do ruchu, wnet przewaga tak moralna, jak i materyalna przy niej się okazała, a zmiana osób i kierunku powstańczego rządu była już koniecznem następstwem tego przystąpienia. Dla gabinetu petersburskiego była to chwila wahania między polityką bezwarunkowej represyi, chociażby na przekór woli Europy, i polityką szerszych jeszcze narodowych ustępstw dla Polski. Powiadają, że Napoleon III, doradzając tę ostatnią drogę, wyraził się, iż lepiej jest w porę amputować jeden palec, niż stracić później całą nogę; że zaś ceniono wówczas przyjaźń francuską w Petersburgu, interwencyę zaś Zachodu na seryo jeszcze przyjmowano, istniały przeto pewne szanse przechylenia się szali na stronę ustępstw.

Jakkolwiek nie przypuszczałem, by mój głos pojedynczy mógł wywrzeć jakikolwiek wpływ na ostateczne postanowienie Cesarza, sądziłem wszakże, iż obowiązkiem moim

było tak względem narodu, jak i względem rządu, śmiało wypowiedzieć moje przekonanie i wyjaśnić tym sposobem prawdziwe moje stanowisko polityczne. Nie zwierzając się nikomu z tego zamiaru, ułożyłem wśród ciszy nocnej list do Cesarza, nazajutrz zaś, dawszy go przeczytać tylko bratu memu Julianowi, udałem się z nim do Wielkiego Księcia, korzystając po raz pierwszy z udzielonego mi zawsze wolnego wstępu. Oto jest w polskiem tłómaczeniu treść tego listu, datowanego 15 marca.

»Najjaśniejszy Panie! Było to zawsze przywilejem Kościoła odzywać się do władców tego świata w czasie wielkich nieszczęść i klęsk publicznych. W imię też tego przywileju i tego obowiązku, w charakterze pierwszego pasterza w Królestwie Polskiem, śmiem zwrócić się do WCMości, aby jej przedstawić naglące potrzeby mej owczarni. Krew płynie obfitymi potokami, represya zaś, zamiast uspokoić umysły, coraz więcej je rozdrażnia. Zaklinam WCMość w imię miłości chrześcijańskiej i w imię interesów obu narodów, aby chciała położyć koniec tej walce eksterminacyjnej. Instytucye, udzielone przez WCMość, są niedostateczne do zapewnienia szczęścia krajowi. Polska nie zadowolni się autonomią administracyjną, potrzebuje ona życia politycznego. Najjaśniejszy Panie! Ujmij potężną dłonią kierownictwo polskiej sprawy; uczyń z Polski naród niepodległy, połączony z Rosyą dynastycznym tylko węzłem: jest to jedyne rozwiązanie, zdolne powstrzymać rozlew krwi i położyć stałe trwałego uspokojenia podwaliny. Czas nagli. Każdy dzień stracony pogłębia przepaść, dzielącą tron od narodu. Nie czekaj, Naj. Panie, ostatecznego wyniku walki: więcej jest prawdziwej wielkości w przebaczeniu, cofającem się przed rzezią, niźli w zwycięstwie, wyludniającem kraj cały. Jedno wielkie słowo, godne wspaniałomyślności wielkiego Monarchy, wystarczy dla ocalenia naszego. Oczekujemy go z ust WCMości. Śmiem ufać, iż Monarcha, który pomimo tylu przeszkód wyzwolił od poddaństwa dwadzieścia milionów włościan, aby z nich swobodnych uczynić obywateli, nie cofnie się przed

równie chwalebnem zadaniem uszczęśliwienia tak bardzo utrapionego narodu. Najjaśniejszy Panie, Opatrzność to zleciła Ci rządy tego narodu, ona też wesprze Cię i ona gotuje Ci koronę wiekuistej chwały, jeśli osuszysz wreszcie te łez i krwi potoki, co płyną od tak dawna w Polsce. Przebacz Najjaśniejszy Panie śmiałości słów moich, lecz chwila zbyt jest uroczysta. Przebacz pasterzowi, który będąc świadkiem nieogarnionych nieszczęść, śmie wstawiać się za trzodą swoją«.

W. Książę przyjął mię natychmiast, pomimo że przygotowany już był do wyjazdu. Prosiłem go o przesłanie Cesarzowi listu, który niezapieczętowany mu doręczyłem. Nie zaglądał doń, bo się spieszył, ale przyrzekł zawiadomić mię o swej decyzyi, skoro treść jego rozpatrzy. Czekałem wszakże cały tydzień, nim otrzymałem wezwanie. Na twarzy W. Księcia spostrzegłem odrazu wielką zmianę. Był zimny i niezmiernie wstrzemięźliwy w mowie. Na samym wstępie oddał mi list mój i rzekł: »Pan pojmujesz, że listu tego posłać Cesarzowi nie mogę«. Odrzekłem, że w takim razie pozostaje mi albo ten list ogłosić, albo ponowić prośbę o dymisyę, gdyż położenie moje polityczne, jako członka Rady Stanu, musi być wyjaśnione. Na to W. Książę powiedział tylko, że o publikacyi listu mowy być nie może, lecz nie namawiał mię już do pozostania w Radzie Stanu. Było to stanowcze zerwanie. Rozstaliśmy się zimno i sucho, a jednak czułem i w tej nawet chwili, że stosunki między nami byłyby całkiem inne, gdyby W. Ks. Konstanty, zamiast namiestnikiem, był monarchą.

Tymczasem w Petersburgu, wśród wahań się i niepewności co do dalszego postępowania, uczyniono jeszcze jedną próbę pacyfikacyi bez nowych ustępstw, na podstawie *status quo*: ogłoszono amnestyę dla tych wszystkich, co broń złożą dobrowolnie do 1-go maja. W ówczesnem usposobieniu umysłów amnestya ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia; nie było podobno wypadku, aby kto chciał z niej skorzystać. Każdy, kto zetknął się wówczas bliżej z polską młodzieżą czy to w obozie, czy na patryotycznych

zebraniach, przyznać był zmuszony, iż ogarnięta ona była tak gorączkowym szałem poświęcenia, iż żadne rozsądne rozumowania ani ostudzić, ani pohamować jej nie były w stanie. Tylko krwi puszczenie i to obfite, mogło gorączkę tę uśmierzyć i trzeźwość umysłom powrócić. Dla faktycznego objaśnienia tego twierdzenia, przytoczę tu jeden z licznych przykładów zachowania się szlachetniejszej części naszej powstańczej młodzieży.

Leon Frankowski kończył zaledwie szkoły, kiedy rozpoczęły się pierwsze demonstracye, w których najgorliwszy przyjmował udział. Kiedy Margrabia został dyrektorem głównym Oświecenia i zamieszkał w Kazimierzowskim pałacu, kazał oddzielić część ogrodu baryerą, dla osobistego swego użytku. Nie podobało się to młodzieży, która miała przedtem wstęp do całego ogrodu, pierwszej więc nocy po wzniesieniu przegrody, uczniowie rozebrali baryerę, a parodyując wyrzeczenie Margrabiego do duchowieństwa, przybili na słupie napis: »Nie ścierpim stanu w stanie«. Margrabia, jako legalista, nie chciał dochodzić sprawy tej drogą dyscyplinarną, lecz wolał odwołać się do zwyczajnej procedury sądowej i uzyskał na winowajców dekret, wzbraniający im wyjazdu na wakacye. Jednym z głównych sprawców tego studenckiego figla był Frankowski. Pozostawiony w Warszawie na całe lato, wstąpił do rewolucyjnej organizacyi i z taką energią zabrał się do propagandy, że wkrótce został jednym z głównych przywódców przygotowującego się ruchu. Działalność jego nie ukryła się przed okiem policyi, tak, iż rozkazano go aresztować. Dowiedziawszy się, że znajdował się on w domu szwagra swego Epszteina, agenci rządowi otoczyli dom i przystąpili do ścisłej rewizyi domu w chwili, kiedy wszyscy już spoczywali. Rozbudzony ze snu Frankowski wnet domyślił się, o co chodzi, i nie tracąc chwili, wpadł do sypialni siostry, przebrał się w jej nocny kostium, a wyprawiwszy ją do garderoby, gdzie udawać miała służącą, sam położył się do jej łóżka, że zaś nie miał nawet zarostu i podobny był do siostry, oszukaństwo tak dobrze

się udało, iż agenci, co go widzieli, ani domyślili się podstępu. Wyśliznąwszy się tym sposobem z rąk policyi, udał się na prowincyę w charakterze komisarza rewolucyjnego, dla organizowania powstania; gdy zaś wydano hasło powstania, zebrał swój oddział i stanął z nim na wyznaczonem stanowisku. Lecz nie mając najmniejszego pojecia o wojennej sztuce, udał się do jedynego w tych stronach byłego oficera wojsk rosyjskich, Zdanowicza, proponując mu, aby objął dowództwo. Przerażony weteran, ojciec licznej rodziny, na klęczkach go błagał o litość nad sierotami, które niechybnie staną się ofiarą zemsty Moskali, jeśli on tylko przyjmie udział w powstaniu; Frankowski jednak był nieubłagany i w imię patryotycznego obowiązku gwałtem go niemal pociągnął z sobą, by w razie starcia dowodził. Tchórzostwo jednak i własny interes przemogły w nizkiej duszy Zdanowicza, tak, że porozumiawszy się tajemnie z naczelnikiem rosyjskiego wojska, wprowadził oddział w umówioną zasadzkę i sam przeszedł do nieprzyjaciela. Frankowski bił się jak mógł na czele swoich, ale ciężko raniony dostał się do niewoli, oddział zaś rozproszony został. Podczas gdy ranny leżał w szpitalu pod strażą, rodzice jego i krewni poczęli czynić starania o ułaskawienie dla niego, a że to było w samym początku powstania, kiedy z wielką względnością obchodzono się z powstańcami, W. Książę zgodził się na jego ułaskawienie, pod warunkiem, że da słowo honoru, iż nie uda się powtórnie do obozu. Frankowski odrzucił ten warunek, jako przeciwny w jego przekonaniu obowiązkom prawego obywatela, i wolał poddać się losowi wojennego jeńca. Być może, iż z umysłu niedość pilnie go strzeżono, dość, że udało mu się umknąć ze szpitala i znowu dostać się do oddziału. Dowiedziawszy się, iż powstańcy pojmali Zdanowicza i jako zdrajcę na śmierć go skazali, pospieszył wnet do naczelnika i póty nań nalegał, póki nie przebaczył winowajcy. »Jeśli jest kto winny w tej sprawie, to ja raczej a nie on. On nie zawiódł mego zaufania, gdyż zmuszony tylko poszedł pod obawą rewolwera. Moja to wina, żem

takiemu człowiekowi dowództwo oddziału powierzył«. W następnej bitwie Frankowski znowu został raniony i doraźnym sądem rozstrzelany. Tak to wrodzona szlachetność charakteru i poczciwe domowe wychowanie paraliżują nawet przewrotnych doktryn wpływy. Frankowski należał do organizacyi i teoretycznie pochwalał nawet może zasady włoskich konspiratorów, na grunt polski przez Mierosławskiego przeszczepione, ale zanadto polską miał duszę, by kiedykolwiek zgodził się zostać sztyletnikiem. Takich zaś jak on, śmiało rzec można, była większa połowa, i tylko owe społeczne szumowiny, co przy każdem wzburzeniu z mętnej głębi na wierzch się wydobywają, dostarczały owych cyników bez serca i sumienia, co w doktrynerskim pedantyzmie rodzonego ojca zamordować gotowi, skoro Mierosławskiemu *in verba magistri* nie wierzy.

Otrzymawszy dymisyę z Rady Stanu, nie miałem już potrzeby przyjmować bezpośredniego udziału w sprawach państwa i usunąłem się zupełnie z oficyalnego świata, skupiwszy całą swą działalność na sprawy duchowne, które także nie mało trudności przedstawiały. Owe zjazdy duchowne, organizacya mężów zaufania i minister wyznań w podziemnym komitecie, który przywłaszczał sobie prawo rządzenia duchowieństwem niezależnie od kanonicznej hierarchii kościelnej, wszystko to było prawdziwym rakiem moralnym, toczącym nasz organizm duchowny; ale zaraza nurtowała tak tajemnie, że niewtajemniczeni domyśleć się nawet nie mogli, którzy mianowicie duchowni zostali nią dotknięci. O jednym ks. Mikuszewskim niepodobna było wątpić, iż należy do tajemnej organizacyi, gdyż niektóre artykuły »Głosu Kapłana« nosiły wyraźne ślady jego redakcyi, a i całe jego postępowanie nacechowane było konspiratorskim jadem. Jego też wyprawiłem bez ceremonii z Warszawy, przeznaczywszy go na wikaryusza wiejskiego, pomiędzy lud prosty, a pobożny, gdzie rewolucyjne apostolstwo jego na nicby się nie przydało. To też zmiarkował to on odrazu i zamiast udać się na miejsce swego przeznaczenia, dał nurka

do lasu, a następnie uciekł za granicę, gdzie zrazu próbował odegrać rolę reprezentanta polskiego duchowieństwa, ogłaszał listy okólne do biskupów całego świata, próbował nawet wpływać na Watykański Sobor w duchu jakichś liberalnych reform, lecz gdy na nim się poznali i został całkiem wobec katolickiego duchowieństwa zdyskredytowany, zaofiarował swe usługi rosyjskiemu rządowi, przyrzekając oderwać polskie duchowieństwo od Rzymu i połączyć z rosyjskiem w ich wspólny słowiański Kościół. Wezwany wskutek tego do Petersburga, rozwijał plan swój wobec komisyi *ad hoc* ustanowionej, ale widać mrzonki jego okazały się niepraktyczne, gdyż nie znalazły rządowego uznania, sam zaś ich autor tak gdzieś został sprzątnięty, iż nie mogłem się nawet dowiedzieć, gdzie się obecnie znajduje. Takie to są skutki zapoznania swych kapłańskich obowiązków i utraty ducha powołania dla fałszywie pojętego patryotyzmu. Ostatecznie, podobni kapłani zdradzają kraj swój, równie jak Kościół, dla siebie zaś gotują hańbę i pogardę na ziemi, a jeśli się nie upamiętają, potępienie po śmierci.

Na szczęście, tak głęboko upadłych w obozie patryotów było bardzo niewielu; nierównie więcej znalazło się ich w obozie rządowym, do którego zresztą i Mikuszewski ostatecznie przyłączyć się próbował, gdyż jeden tylko rząd schyzmatycki, nienawidzący naszej religii, gotów protegować i nagradzać odstępców od katolickiego Kościoła, lub od ducha jego nauki. Głęboko zaś katolickie społeczeństwo, jakiem jest Polska, może wprawdzie w pewnych warstwach towarzyskich i w pewnych nienormalnych chwilach swego narodowego rozwoju objawiać niezgodne z duchem Kościoła dążności, w ogólnym wszakże dziejowym pochodzie swoim pozostaje ono wierne tradycyom przeszłości i owej nawskróś katolickiej cywilizacyi, co tyle już pokoleń wychowała. To też pomimo bardzo zatrważające pozory faktycznego odszczepieństwa części duchowieństwa naszego od kanonicznej hierarchii, a więc i od Kościoła, zawsze byłem pewny, iż była to chwilowa aberacya, spowodowana raczej niewiado-

mością niż złą wolą, która po przejściu burzy żadnych głębszych śladów nie zostawi. Wiedziano też i w Rzymie o tych smutnych zboczeniach spiskujących duchownych naszych, gdyż ks. Gorczaków nie omieszkał przesłać jak najszczegółowszej relacyi o wykrytych zjazdach i zapadłych tam postanowieniach, z dodatkiem daleko sięgających wniosków o dążnościach polskiego duchowieństwa do odszczepienia się od Rzymu i propagowania zasad antysocyalnych. Wskutek tej niby troskliwości o prawa Stolicy Apostolskiej rząd rosyjski upraszał Ojca św., by surowo skarcił polskie duchowieństwo za tak przeciwne Kościołowi dążności i dał, rozumie się, przez to prawo rządowi prześladować to duchowieństwo, nietylko już jako buntowników przeciw Monarsze, ale też i przeciw Papieżowi. Na szczęście, Kurya Rzymska zna się już dobrze na wybiegach bizantyjskiej dyplomacyi, i nie ufa ani jej relacyom, ani jej insynuacyom. Kardynał Antonelli, otrzymawszy pomienioną odezwę Gorczakowa, zapytał mię, jak rzeczy rzeczywiście stały? ja zaś, w duchu powyżej wyłuszczonych zasad, odpowiedziałem, że katolicyzm dla Polski jest nietylko arką zbawienia wiekuistego, lecz i najsilniejszym puklerzem naszej narodowości, który nas zasłania od nacisku schyzmy i kacerstwa, co dawno już przerobiłyby nas na Moskali lub Niemców, gdyby mocno wkorzeniony katolicyzm nas nie bronił. Przyznawałem, że wskutek utrudnionych stosunków z ogniskiem katolickiej jedności i nizkiego poziomu kościelnej oświaty wśród duchowieństwa, pewna część jego odbiegła przez niewiadomość na manowce, ale bynajmniej nie w celu opuszczenia Chrystusowej owczarni lub odstąpienia od skały Piotrowej. Owszem, ręczam, że głosChrystusowego Namiestnika, byle był usłyszany, wnet powróci te zbłąkane, lecz nie zbuntowane owieczki pod laskę prawego ich pasterza, którego mogą odbiedz, lecz nigdy zapoznać nie potrafią. Radziłem przeto słodyczą miłości raczej, niż grozą kary działać na sumienia obałamuconych, którzy w każdym razie ogromną mniejszość stanowią. Późniejsze doświadczenie przekonało na szczęście, że

wnioski moje były słuszne; gdy bowiem nadeszły próby z jednej strony tak zwanych starokatolików, z drugiej zaś rządowych apostołów, to dzięki Bogu w łonie duchowieństwa w Królestwie Polskiem pierwsi żadnych, drudzy zaś bardzo nielicznych zaledwie prozelitów znaleźli.

Około tegoż czasu rozstrzygnęła się też ostatecznie sprawa osadzenia wakujących stolic: augustowskiej, płockiej i sufraganii warszawskiej. Wnet po stanięciu Margrabiego na czele cywilnego zarządu, przedstawiliśmy Łubieńskiego do Sejn, Popiela do Płocka, Rzewuskiego zaś do Warszawy; żeby zaś nie dotknąć zbyt boleśnie dawnych kandydatów, Zwolińskiego i Topolskiego, przedstawiono ich na sufraganów dwóch pierwszych. W Rzymie wszyscy zostali akceptowani i niebawem otrzymałem polecenie przeprowadzenia ich procesu kanonicznego; lecz tymczasem Topolski umarł, Zwoliński zaś odpowiedział, że utrzymanie sufragana było tak szczupłe (2000 rubli), że wówczas tylko zgodzi się na przyjęcie tej godności, jeśli mu wolno będzie zachować posiadane obecnie probostwo praskie. Ja jednakże nie uznałem za właściwe starać się o to u Stolicy Apostolskiej i poczytałem odpowiedź tę za prostą odmowę. Proces zaś trzech pozostałych biskupów wkrótce został ukończony i przesłany do Rzymu. Z powodu rychłego ustąpienia Popiela z posady rektora Duchownej Akademii należało zawczasu postarać się o jego następcę. Wybór mój padł bez wahania na ks. Henryka Kossowskiego, mego kolegę ąkademickiego, który przy wysokiem ukształceniu świeckiem, kończył bowiem uniwersytet w Berlinie, posiadał niemniej gruntowną naukę kościelną, a co jeszcze ważniejsza, pełen był ducha kapłańskiego. Margrabia chętnie się na niego zgodził, ale daleko trudniej poszło z arcybiskupem Żylińskim, do którego dyecezyi on należał, a to z powodu, iż nie miał kim zastąpić go przy Uniwersytecie Dorpackim, gdzie on był wówczas kapelanem. To też układy tak przeciągnęły się, że dopiero po moim wyjeździe z Warszawy nowy Rektor mógł objąć swą posadę.

Dowiedziawszy się o swej nominacyi ks. Łubieński, przybył wnet do Warszawy i swoim zwyczajem począł się udzielać wszystkim swym znajomym, że zaś wyższe towarzystwo polskie było dlań bardzo niechętne z powodu moskiewskich jego sympatyj, musiał się przeto przeważnie ograniczać sferami rządowemi. Tymczasem w Petersburgu szala przechyliła się stanowczo na stronę jak najsurowszej represyi, gdyż przekonano się, że od mniemanej koalicyi żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Wskutek tej zmiany polityki naznaczono do Wilna Murawiewa, który wnet po przybyciu począł wieszać prawie bez śledztwa i sądu, do Warszawy zaś przysłano hr. Berga, niby na pomocnika W. Księcia, ale wszyscy przeczuli w nim rychłego jego następcę. Pod wpływem też natchnień, a zapewne i przywiezionych instrukcyj Bergowskich, i warszawskie władze coraz surowiej obchodzić się poczęły, a szubienica weszła na porządek dzienny i w Warszawie. Polskie też towarzystwo coraz dalej usuwało się od Zamku, ja zaś wcale już tam nie bywałem i unikałem wszelkiej znajomości z Bergiem. Przy takiem usposobieniu Warszawy i wobec coraz krwawszych wieści, nadchodzących z Wilna, nietylko dziwnem, ale bardzo niewłaściwem nawet wydawało się postępowanie ks. Łubieńskiego, który, jakby na przekorę nietylko opinii publicznej, ale i godności narodowej, w codziennych i jak najściślejszych pozostawał stosunkach z Bergiem, z którym dawna łączyła go zażyłość. Oburzenie z tego powodu partyi narodowej doszło do tego stopnia, iż odgrażano się, że jeśli go zechcą konsekrować, to go w kościele zabiją. Była to jedyna słaba strona Łubieńskiego, która w ówczesnych wszakże stosunkach lekceważona być nie mogła. Charakter jego nadto był tego rodzaju, że żadne perswazye wpływu nań nie wywierały, moje zaś rady tem mniej mogły poskutkować w tym względzie, iż nawzajem postępowanie moje naganiał, a trzymanie z rządem, tam gdzie wyraźnego niema grzechu, za ścisły obowiązek poczytywał. Wobec takiego położenia, któremu żadna miejscowa powaga zaradzić nie była w stanie, postano-

wiłem odwołać się do Stolicy Apostolskiej. Napisałem też list do Ojca św., w którym, oddając zasłużoną sprawiedliwość niezwykłym cnotom kapłańskim Łubieńskiego, przedstawiłem zarazem, jak bardzo szkodziło jego misyi duchownej to ciągłe drażnienie narodowych uczuć Polaków przez takie ścisłe wiązanie się z rządem i to w chwili, kiedy rząd ten do najsurowszej przystępuje represyi. Ojciec św. uwzględnił to moje przedstawienie i, przysyłając bulle konsekracyjne, dołączył też list do Łubieńskiego, w którym poleca mu, aby nie opuszczał swej dyecezyi, przez co najskuteczniej usuwała się pokusa ciągłych konszachtów z rządem. Żeby jednak nie dać mu poznać wyłącznej nieufności, wyprawił też jednobrzmiący list i do Popiela.

Wśród tego, coraz to większego naprężenia stosunków między mną a rządem nadchodziła uroczystość Bożego Ciała ze zwykłemi po mieście procesyami. Krzywicki przybył do mnie z polecenia W. Księcia i żądał, abym wydał rozporządzenie do duchowieństwa, iżby z powodu stanu oblężenia procesye odbyły się wewnątrz kościołów. Odpowiedziałem, że nie zaprzeczam rządowi prawa wzbraniania w wyjątkowych wypadkach publicznych procesyj, ze względu na publiczne bezpieczeństwo, ale rozporządzenie odpowiednie winno wyjść od władzy świeckiej, a nie duchownej. Rząd sam powinien ogłosić, że zabrania publicznych procesyj, duchowieństwo zaś zastosuje się do tego rozkazu z konieczności. Lecz całkiem niewłaściwem byłoby, gdyby, wobec milczenia władz rządowych, duchowna władza sama ograniczała przysługujące jej prawa, budząc w wiernych przekonanie, że im nie ufa i przypisuje im jakieś rewolucyjne zamiary, których oni wcale nie mają. Odmówiłem też stanowczo wydania żądanego rozporządzenia i wskutek tego zostałem wkrótce wezwany do W. Księcia. Przybywszy do Zamku, zastałem w audyencyonalnej sali jen. Berga, którego dotąd nie znałem. Sam mi się zaprezentował i z niemiecką flegmą począł rozmawiać o wspólnych znajomych naszych, Meyendorfach, z którymi był przyjaźni, następnie zwrócił rozmowę

na ogólny charakter stosunków rządu do Polaków; zarzucał nam, iż więcej powodujemy się urojeniami, niż trzeźwem ocenieniem istotnego położenia rzeczy; że własne siły przeceniamy, a zaślepiamy się na środki przeciwnika — i stąd mylnie oceniamy zwykle szanse nierozważnie rozpoczętej walki. Na dowód tego opowiedział mi epizod z kapitulacyi Warszawy w 1831 roku, o którą on głównie traktował ze strony rosyjskiej. Wedle jego zapewnień, główny Sztab polski tak źle był poinformowany o rzeczywistych siłach Paszkiewicza, że gdy, dla wyprowadzenia z błędu polskich dowódców, oprowadził jen. Prądzyńskiego po rosyjskim obozie, to naczelnik sztabu rewolucyjnego tak zozostał zdumiony i rozczarowany, iż wnet spuścił z tonu i zgodził się na proponowane mu warunki. Jednem słowem, traktował mię, jakby jednego z naczelników powstania, i chciał mię przekonać o niemożności prowadzenia dłużej zbrojnej walki z moskiewskim olbrzymem. Nie domyślało się poczciwe jeneralisko, że po za mną nie było nawet jednego ciura obozowego, a cóż i mówić o zbrojnych oddziałach. A cóżby pomyślał o marzycielskiej egzaltacyi Polaków, gdyby wiedział, że ja występowałem do walki zupełnie sam jeden, licząc tylko na Opatrzność, jako na jedynego sprzymierzeńca.

Wśród tej rozmowy wszedł adjutant W. Księcia i zaprosił nas do jego gabinetu. W. Książę ponowił żądanie, abym zabronił procesyj po za obrębem kościoła z powodu, iż burzyciele łatwo skorzystać mogą z tej zręczności, aby wywołać rewolucyę w mieście. Odpowiedziałem, że wcale nie obstaję przy konieczności ulicznych procesyj, i gotów jestem zastósować się do wydanego w tej mierze wzbronienia władzy, tylko nie chcę przyjmować na siebie wydania ograniczającego przywileje kościelne rozkazu, gdyż obowiązkiem moim jest bronić ich raczej, niźli je uszczuplać.

— Więc chcesz przyczynić się do ulicznych zaburzeń, może do nowego krwi rozlewu, dlatego tylko, żeby chorągwie przespacerowały się po mieście a nie po kościołach?

Więc życie tysiąca ludzi mniej Ci jest drogie, niż dopełnienie jakiegoś zewnętrznego obrzędu, któregobyś zaniechał bez sporu, z powodu ulewnego deszczu?

— Ręczam W. C. Wysokość, odrzekłem, że gdybym przypuszczał, że choć jedna kropla krwi rozlana będzie z powodu procesyj, to, nie czekając wezwania rządu, dałbym z własnej inicyatywy rozporządzenia zaniechania procesyj. Obecnie wszakże nietylko nie przewiduję zaburzeń, lecz pewny owszem jestem, że jeśli procesye będą dozwolone, porządek w niczem nadwerężony nie będzie, gdyż ta część ludności, która za broń chwycić była gotowa, dawno już wyszła do lasu, ci zaś, co pójdą za procesyą, o chwale Bożej tylko myślą.

— A jeśli się mylisz w swoich przypuszczeniach? Godziż się ryzykować chociażby jedno życie w kwestyi tak podrzędnego znaczenia? Rząd ma słuszne powody obawiania się rozruchów, i dlatego ma prawo domagać się zaniechania na ten raz zewnętrznych procesyj.

— Skoro rząd ma słuszne powody, odrzekłem, to najwłaściwiej zrobi, zabraniając procesyj. Przecież ja prawa tego rządowi nie zaprzeczam.

— A jeśli, nie zważając na rozkaz rządowy, procesye z kościołów wyjść zechcą, to czyż mam użyć siły zbrojnej, aby ich niedopuścić?

— Nie moją jest rzeczą wskazywać rządowi, jakich ma użyć środków, aby nakazać poszanowanie dla swych rozporządzeń; sądzę wszakże, iż dość postawić jednego urzędnika policyjnego u drzwi kościoła, by zatrzymać procesyę wewnątrz świątyni. Ręczę przynajmniej, iż żaden kapłan nie pójdzie przemocą z Przenajświętszym Sakramentem na ulicę.

— A jeśli kto z ludu odtrąci policyę, a tłum zmusi kapłana iść dalej, to mamże bagnetami wtłaczać lud do świątyni?

— Ci, coby się ważyli użyć gwałtu względem kapłana, idącego z Panem Bogiem, nie uwzględniliby z pewnością

i mego rozporządzenia, i poszliby tak samo na przekór władzy duchownej, jak i rządowej; ale jestem pewny, że takich niema w Warszawie.

— Dlaczegóż w roku zeszłym nie było procesyj także z powodu stanu oblężenia?

— Nie było, gdyż jen. Lüders nie wymagał od nas żadnego rozporządzenia, tylko sam ogłosił, że jeśli procesya ośmieli się wystąpić na ulicę, to natychmiast każe strzelać do ludu kartaczami.

— Więc chcesz, żebym i ja strzelał do ludu kartaczami?

— Jenerał Lüders mógł to uczynić, odrzekłem, gdyż był płatnym siepaczem, który odpowiadał tylko za wierne spełnienie otrzymanych rozkazów; ale W. C. Wysokość tego nieuczynisz, gdyż stoisz przed sądem Europy i odpowiadasz przed historyą.

— A więc, zawołał gwałtownie W. Książę, nic mi nie pozostaje prócz kartaczy? Dobrze więc! Mam dwadzieścia cztery działa, każę je wyprowadzić i niech grzmią po ulicach, kiedy inaczej być nie może. — Z temi wyrazami W. Książę zerwał się i bez pożegnania wyszedł z gabinetu.

Było to ostatnie moje z nim spotkanie. Gdyśmy pozostali sami, Berg, który ani słowa nie przemówił w ciągu toczącej się dyskusyi, rzekł do mnie spokojnie: »Ja widzę, że ze stanowiska, na którem stoisz, nie możesz dać żadnego rozporządzenia, ale zrób to przez przyjaźń dla W. Księcia«.

— Tylko uczucie obowiązku może mi dać dość światła i siły, by nie zbłąkać się zupełnie wśród zawad i ciemności, jakie mię dokoła otaczają; nie odbierajcież mi tej jedynej nici przewodniczej, co mię z tego labiryntu wyprowadzić może. Póki pełnię to, co uważam za powinność, póty mam spokój wewnętrzny, chociażbym miał być od wszystkich potępiony.

Po tej rozmowie rząd nie wydał żadnego wzbraniającego procesyj rozkazu, nazajutrz zaś na ulicach nie widać było nietylko armat i bagnetów, lecz zwykłych nawet po-

licyantów. Procesya wyruszyła od Św. Jana po Krakowskiem Przedmieściu, gdzie były ubrane ołtarze, ja sam przewodniczyłem nabożeństwu, a pomimo że kilkadziesiąt tysięcy ludu zapełniało place i ulice, porządek był tak wzorowy i cichość tak wielka, iż śpiew duchowieństwa sam jeden rozlegał się po nad korzącym się na kolanach, na widok Zbawiciela swego, tłumem. Nawet żadna pieśń patryotyczna nie była zaintonowana ani razu i obrzęd cały odbył się z taką powagą i uroczystością, iż nie widać w nim było najmniejszego cienia demonstracyi politycznej. Był to najpiękniejszy dzień mojego pasterstwa, gdyż w dniu tym Kościół zatryumfował jawnie nad teroryzmem rządu, jak i rewolucyi, a tysiące dusz zbolałych, pod błogim wpływem wiary i ufności, poczuło, iż niemasz skuteczniejszego balsamu na cierpienia doczesne, nad czystą i gorącą miłość Chrystusową.

Zaledwie wróciłem do domu, zaanonsowano mi przybycie marszałka Dworu W. Księcia, Nabokowa, który w imieniu W. Księcia przybył podziękować mi za wzorowy porządek, zachowany w czasie procesyi. »W gruncie, rzekł ugrzeczniony delegat, W. Książę nie był przeciwny procesyom; skoro zaś dowiedział się, że W. P. Mość sam prowadzi nabożeństwo, pewny już był, że spokojność nie będzie nadwerężona«. Wobec tego, co słyszałem w wilię z ust samego W. Księcia, w pierwszej chwili słowa te wydawały mi się nowym dowodem bizantyńskiej obłudy petersburskich dworaków; zastanowiwszy się jednak uważniej nad położeniem rzeczy, pomyślałem, że może są i prawdą. W. Książę mógł istotnie być skłonnym osobiście do upoważnienia procesyj, ale otrzymawszy przeciwną instrukcyę z Petersburga i mając przystawionego do boku kontrolora, który nie omieszka zdać relacyi z tego, co widział i słyszał, musiał odegrać przy nim tę komedyę surowości, której ostatni epizod zakrawał istotnie na fałszywy patos i nie licował z rozumną zwykle i umiarkowaną polityką Namiestnika.

Podczas gdy się to działo w Warszawie, powstanie z rozmaitem powodzeniem rozwijało się na prowincyi, wywołując coraz to surowsze kroki ze strony rządu. Odrzucona amnestya położyła koniec względnemu traktowaniu powstańców, ponawiające się zaś noty państw zachodnich nagliły rząd petersburski do energicznego działania, by szybkiem położeniem końca zbrojnemu ruchowi, odjąć naszym pseudoopiekunom powód do dalszej, chociażby dyplomatycznej interwencyi. Po jednej z utarczek, gdzie niewielki oddział powstańców został rozproszony, pojmano kapucyna Konarskiego, pod zarzutem, że był kapelanem tego oddziału. Sąd wojenny skazał go niezwłocznie na powieszenie, dla postrachu zaś ludności, a zwłaszcza duchowieństwa, postanowiono wykonać wyrok w samej Warszawie, na glapisach cytadeli. Sąd odbył się tak skrycie i pospiesznie, że ja nie wiedziałem wcale o zapadłym i mającym się niezwłocznie wykonać wyroku. Wieczorem, w wilię dnia egzekucyi, komendant fortecy wystosował do konsystorza pismo urzędowe, żądające niezwłocznego przysłania spowiednika dla skazanego na śmierć ks. Konarkiego, który o wschodzie słońca miał być powieszonym. Pismo to, wyprawione zwykłą drogą, zostało wręczone woźnemu konsystorza, ten zaś złożył je razem z całą oficyalną korespondencyą w kancelaryi, skąd, wedle przyjętego zwyczaju, wszystkie pakiety nieodpieczętowane przynoszono o godzinie dziewiątej z rana na ogólne posiedzenie, gdzie w mojej przytomności czytano je i wnet zapadłą na radzie zapisywano rezolucyę. Nie doczekawszy się żądanego spowiednika, komendant zawiadomił W. Księcia o mniemanej odmowie konsystorza, Namiestnik zaś wysłał niezwłocznie oddział kozaków, pod dowództwem jakiegoś pułkownika, z rozkazem dostania się do mnie i użycia odpowiedniego nacisku. O godzinie pierwszej w nocy rządca domu zbudził mię, oznajmując, że kozacy są na dziedzińcu, i dowódca domaga się w imieniu W. Księcia niezwłocznego widzenia się ze mną. Kazałem go wpuścić, a dowiedziawszy się, o co rzecz idzie,

wnet domyśliłem się powodu całego tego zajścia. Poleciłem rządcy, aby mi przyniósł całą, otrzymaną w wilię, korespondencyę urzędową, i zapytałem pułkownika, który z tych pakietów wyszedł z kancelaryi Komendanta? Po przeczytaniu go zaś, rzekłem: »Powiedz Pan W. Księciu, że kapłan katolicki, tam gdzie chodzi o zbawienie duszy, nietylko nie waha się z niesieniem duchownej posługi, lecz gotów z nią spieszyć, chociażby sam miał być za to powieszonym. Jeżeli wyrok na ks. Konarskiego jest niesłuszny, to sędziowie odpowiedzą przed Bogiem za to, że niesprawiedliwie pozbawili go życia doczesnego; ale ja odpowiedziałbym stokroć surowiej, gdybym dla jakichbądź ludzkich względów pozbawił go żywota wiecznego, odmawiając mu możebności pojednania się z Bogiem. Byłbym duchownym oprawcą, a nie ministrem pokoju i miłosierdzia, gdybym kosztem duszy, za którą Chrystus umarł na krzyżu, chciał polityczne manifestacye urządzać«.

Tymczasem zbudzony mój kapelan już był ubrany, wyprawiłem go więc natychmiast do OO. Kapucynów, by wysłali jednego z Ojców, w razie zaś jakiejbądź mitręgi, aby sam pospieszył z Panem Bogiem do skazanego. O. Honorat dysponował niezwłocznie swojego współbrata i nie odstąpił go na rusztowaniu, gdzie skazany, pełen ufności w Boskiem miłosierdziu, dziękował Panu, iż pozwala mu zaofiarować swe życie, za które możeby nie umiał dostatecznie odpokutować. Ostatnie słowa jego, gdy mu już stryczek zakładano na szyję, były: »Dziś jeszcze odpraw Mszę św. za grzeszną duszę moją«. Powieszony został w zakonnym habicie, jakby na urągowisko z duchownej szaty, i tak go zostawiono przez dzień cały na szubienicy, wobec niezliczonych tłumów, wyległych z miasta, na które widok ten całkiem inne wywarł wrażenie, niż to, jakiego rząd oczekiwał. Tegoż dnia napisałem protestacyę do Komisyi Wyznań przeciw temu niczem nieusprawiedliwionemu pogwałceniu nietylko praw kanonicznych, lecz i powszechnie przyjętych w cywilizowanym świecie zwyczajów publicznej

przyzwoitości, która nie pozwala wystawiać na urągowisko osób Bogu poświęconych. Boleśnie mi też było nad wyraz, że Margrabia, jakkolwiek nie przyjmował w sądach wojennych bezpośredniego udziału, przykrywał wszakże ich wyroki płaszczem swej oficyalnej powagi, nie zrywając solidarności z rządem, co tak wyraźnie na ulubioną sobie drogę dzikiej arbitralności wchodził. Mnie się zdawało, że wobec nominacyi Murawiewa i Berga, co tak wyraźnie zwiastowały radykalną zmianę w przyjętej względem nas polityce, należało uprzedzić nieuchronną już własną i W. Księcia dymisyę, i usunąć się wprzód, nim system teroryzmu miał czas się rozwinąć. Margrabia w zawodzie politycznym, równie jak Łubieński na drodze kościelnej, zapłacił później bolesnym zawodem swoją nieuzasadnioną ufność w dobrą wiarę rządu.

Tymczasem i moja też krótka publiczna karyera ku schyłkowi się miała. W pierwszych dniach czerwca w paryskim »Monitorze« ukazał się mój list, pisany do Cesarza; nazajutrz w tejże gazecie zjawiła się też nota rządu francuskiego, domagająca się od Rosyi szerszych ustępstw dla Polski. Owa współczesność ogłoszenia obu dokumentów zdała się podejrzaną w Petersburgu, połączona zaś ze stanowiskiem opozycyjnem, jakie w ostatnich czasach przyjąłem względem rządu, kazała się domyślać jakiegoś tajemnego porozumienia z Gabinetem Wersalskim, który coraz to silniej poczęto posądzać o konszachty z naszem powstaniem. W tym właśnie czasie zdarzył się nawet wypadek, który mógł mieć ważne następstwa, gdyby inaczej się zakończył. Kuryer francuskiego poselstwa przy rosyjskim Dworze obracał zwykle drogę do Paryża na Warszawę, gdzie zatrzymywał się zawsze czas jakiś i zabierał depesze miejscowego konsula swego. W Warszawie podejrzywano, iż tą właśnie drogą polscy agitatorowie porozumiewają się z Gabinetem Wersalskim i postanowiono śmiałą niespodzianką ujawnić te konszachty. Gdy więc razu jednego rzeczony Kuryer zatrzymał się na noc w hotelu Europejskim, nad rankiem policya wtargnęła do hotelu i pod pre-

tekstem ogólnej rewizyi u wszystkich mieszkańców, weszła też do numeru, zajętego przez francuskiego Kuryera, żądając, by im pokazał wszystkie, jakie ma pakiety. Kuryer oparł się temu żądaniu, składając się swoją nietykalnością, zagwarantowaną prawem międzynarodowem, co jednak powiększyło tylko natarczywość rządowych agentów, którzy zaręczali, iż nie tkną korespondencyi, noszącej pieczęć ambasady, lecz chcą tylko przekonać się, czy nie wiezie on jakich listów od mieszkańców Warszawy, coby się sprzeciwiało dyplomatycznym zwyczajom. Jako odpowiedź na to wymaganie, energiczny Francuz dobył rewolwer i oświadczył, iż bez dalszych argumentów palnie w łeb każdemu, kto ośmieli się dotknąć jego kuryerskiej teki. Zdetonowany herszt wyprawy posłał natychmiast gońca do Zamku z zapytaniem, co ma począć? Rozumie się, że przysłano wnet urzędnika z przeproszeniem kuryera za fatalne nieporozumienie, ale niezgrabny agent musiał swoją drogą należną otrzymać repremendę za to, że nie umiał dobrać się do kuferka, nie kompromitując tego, co go posłał.

Jaką drogą list mój dostał się do »Monitora« — dotychczas mi nie wiadomo. O ile przypominam, dwóm tylko osobom udzieliłem jego kopię, a mianowicie: Krzywickiemu i hr. Ksaweremu Pusłowskiemu. Pierwszy, jako w urzędowaniu jeszcze wówczas, nie przypuszczam, aby zeń zrobił bez mojej wiedzy użytek, puszczając w kurs ten dokument. Drugi zaś, jako niezmiernie prawy i dyskretny człowiek, a przytem prawdziwy mój przyjaciel, nie mógł podać do gazet dokumentu, który niechybnie musiał na mnie ściągnąć burzę. Najprawdopodobniej więc dostał się do szpalt gazeciarskich przez niedyskrecyę trzecich osób, którym ci dwaj powiernicy mogli go poufnie zakomunikować. Nigdy wszakże nie miałem za złe temu, kto to uczynił, gdyż jestem pewny, iż publikacya tego listu była pretekstem raczej, niż rzeczywistym powodem mego wydalenia z Warszawy; przy zmianie bowiem systemu moja osoba zawadzałaby im w każdym razie, tak, że czy pierwiej, czy później, zawszeby się na mojem

wywiezieniu skończyło. Jeśli Borowski, Popiel i Łubieński nie mogli poradzić sobie z nowym systemem rządowym, to czyż nie byłoby czczem złudzeniem przypuszczać, że jabym długo utrzymać się zdołał na stanowisku, gdzie ustawiczny i to bezpośredni stosunek z władzą codziennieby mi nastręczał zręczność do konfliktu, którego, bez nadwerężenia katolickiego sumienia, uniknąćbym nie był w stanie.

Wprzód nim wiadomość o wydrukowaniu mego listu prywatną drogą do uszu mych doszła, otrzymałem oficyalne polecenie od W. Księcia, abym się udał do Petersburga dla zdania sprawy przed Monarchą z mego postępowania, zwłaszcza zaś z opublikowania listu, a że kazano, o ile możności, przyspieszyć wyjazd, począłem więc niezwłocznie gotować się w drogę. W wilię wyjazdu jakaś nieznajoma dama podała mi list bezimienny, w którym ostrzegano mię, że już zdecydowano w Petersburgu, aby mię zesłać do Jarosławia, radzono mi przeto uciekać raczej za granicę i obiecywano ułatwić ucieczkę. Była to zapewne rada Komitetu, zostającego w stosunkach z wysoko postawionymi urzędnikami w Petersburgu, których ucho sięgało aż do Rady ministrów; lecz postępowanie podobne nie zgadzało się zupełnie z memi zasadami jawności i wiernego pełnienia obowiązków, nie oglądając się na skutki. W. Książę odzywał się o mnie w ostatnich czasach, że strasznie hulam; i rzeczywiście, całe postępowanie moje od podania się do dymisyi miałoby charakter próżnej brawady, a więc lekkomyślnego hulania, gdybym je zakończył ucieczką za granicę Dowodziłoby to, że nie obliczyłem się z następstwami, że z powodu mego duchownego stanowiska liczyłem na bezkarność i dlatego dokazywałem; skoro zaś spostrzegłem, że mi grozi Sybir, ulękłem się i uciekłem z placu. To też chwilowej nawet nie miałem pokusy usłuchać podawanej mi rady, lecz w towarzystwie kapelana mego, ks. Potockiego, i kamerdynera Antoniego, zabrawszy z sobą tyle tylko rzeczy, ile parotygodniowy wymagał pobyt, dom zaś cały i służbę zostawiwszy na zwykłej stopie, dnia 2/14 czerwca wyruszyłem do Petersburga,

z wydanym mi przez władze pasportem i bez żadnej asystencyi rządowej. Na stacyę kolei żelaznej oprócz ks. Łubieńskiego, odprowadził mię tenże hr. Władysław Zamoyski, co mi towarzyszył z Piotrkowa do Warszawy. W kasie kupiłem bilety jak wszyscy pasażerowie, i dopiero przy wsiadaniu do wagonu spostrzegłem, że nie pojadę jak inni, gdyż wprowadzono mię do osobnego wagonu z salonem i kilku sypialniami, a gdy pociąg ruszył i miasto z oczu nam zniknęło, z jednego z pokoików wyszedł adjutant W. Księcia, Kirejew, i oświadczył, że ma polecenie towarzyszyć mi w podróży i czuwać nad mojemi potrzebami. Oprócz niego dostrzegłem jeszcze dwóch podrzędnych agentów, umieszczonych też w tymże wagonie, i domyśliłem się, że byłem więźniem stanu. Gdyśmy przybyli do Wilna, gdzie pociąg na noc się zatrzymywał, wyraziłem życzenie przenocowania u biskupa Krasińskiego, lecz p. Kirejew oświadczył, że z powodu ogłoszonego w Wilnie stanu oblężenia, wymagałoby to zbyt wiele formalności i zachodów, i przeto prosił, abym przyjął nocleg w pokojach umyślnie już na to przygotowanych w dworcu żelaznej kolei. Gdyśmy się zbliżali do Gatczyna, Kirejew oznajmił mi, że otrzymał telegram z Petersburga, zawiadamiający go, że Cesarz opuścił już stolicę i mieszka w Carskiem Siole, ze mną zaś życzy sobie widzieć się w Gatczynie, gdzie też będę nań oczekiwał. Na stacyi czekało już dwa powozy i fligel-adjutant cesarski, ks. Meszczerski, którego Kirejew przedstawił mi, oświadczając, iż na niego odtąd przejdzie staranie o moich potrzebach, więc że do niego zwracać się powinienem w każdym interesie. Przybywszy do pałacu, gdzie usunięty od Dworu przez rodzoną matkę Paweł II tyle lat spędził, jakby na wygnaniu, nowy mój opiekun wprowadził mię do przeznaczonego dla mnie apartamentu, ukazując zarazem, iż drzwi niezamknięte łączyły go z jego pokojami, tak, że mógł w każdej chwili być na moje usługi. Widać jednak piecza ta, jakkolwiek gorliwa, nie wystarczała, gdyż w apartamencie wyższego piętra, na tychże schodach, rozgościł się żandarmski kapitan z dwo-

ma żołnierzami, w przedpokoju zaś postawiono aż czterech w dworskiej liberyi lokajów, gotowych na moje usługi, z których dwaj towarzyszyli mi na każdą wycieczkę do parku, bądź pieszo, bądź powozem, nie pytając nawet, czy było to mojem życzeniem lub nie.

Wkrótce po mojem zainstalowaniu się, przybył do Petersburga ks. Stacewicz, przeor Dominikański, z poleceniem od Ministra urządzenia dla mnie w jednym z pokojów domowej kaplicy, z czego też wywiązał się natychmiast, mając z sobą wszystkie potrzebne sprzęty i aparata. Odtąd też mogłem codziennie odprawiać mszę św., co było wielkiem wzmocnieniem i pociechą.

Gdy wieść o mojem przybyciu do Gatczyna rozeszła się w Petersburgu, kilka znajomych mi dawniej osób przybyło w celu widzenia się ze mną, ale nie zostały dopuszczone. Zdarzyło się także, iż dla załatwienia kilku drobnych sprawunków, czysto gospodarskiej natury, wyprawiłem mego służącego do Petersburga, nie przypuszczając, aby w tem było co zdrożnego; lecz skoro nieobecność jego dostrzeżono, zrobiono wnet taki alarm, jak gdyby największe stało się nieszczęście; gdy zaś wrócił wieczorem, zrobiono przy nim najściślejszą rewizyę, a choć przekonano się, iż cel jego podróży był najniewinniejszej natury, najsurowiej mu wszakże zabroniono wydalać się z pałacu, chociażby na mój rozkaz wyraźny. U Dworu panowało przekonanie, które ks. Gorczaków wyraził w swym dyplomatycznym okólniku, wystosowanym do posłów rosyjskich, z powodu wywiezienia mego z Warszawy, że ja przez słabość jedynie charakteru, działałem pod wpływem rewolucyjnych agitatorów, którzy mię za narzędzie do wykonania planów swych używali. Ówcześni też doradcy Monarchy byli pewni, że skoro mię od wszelkich zewnętrznych wpływów oddzielą i dadzą uczuć, jak dalece jestem na łasce rządu, to sztucznie podbudzona moja brawura ostygnie, a ja przyszedłszy do upamiętania, tem pokorniejszym i uleglejszym stanę się względem rządu w Gatczynie, im hardziej stawiałem się w stosunku doń w War-

szawie. Mówiono mi nawet później, że na radzie ministrów było postanowiono, aby mię, w razie szczerej skruchy, wrócić do Warszawy, wziąwszy naprzód odemnie piśmienne zobowiązanie, jak się mam sprawować nadal. Wnosząc z dalszego postępowania ze mną, sądzę, iż relacya ta była prawdziwa. Naprzód bowiem przetrzymano mię dni kilka, jakby w zupełnem zapomnieniu, nikogo do mnie nie dopuszczając, prócz mego kapelana i służącego. Dopiero po tych wstępnych rekolekcyach, gdy sądzono, iż miałem czas dostatecznie wniknąć w siebie i przerazić się swojem położeniem, przysłano do mnie ministra polskiego Łęckiego, który zastąpił Tymowskiego; ale że był to prawy Polak i gorliwy przytem katolik, nie chciano mu przeto polecać drażliwej misyi nawracania do odstępstwa swego Pasterza. Przybył on tylko, aby mi zapowiedzieć w imieniu Cesarza, iż wprzód, nim się zechce obaczyć ze mną, Monarcha pragnie usłyszeć moje objaśnienia na czynione mi przez rząd zarzuty, i że na pośrednika w tej sprawie powołać raczył sekretarza stanu Płatonowa. Po tem oficyalnem oświadczeniu z urzędu, p. Minister ukląkł przedemną i z rzewną szlachetnego serca i wierzącej duszy pokorą rzekł z pochyloną głową: »A teraz wierna owieczka prosi o błogosławieństwo swego czcigodnego Pasterza». Gdyby oko Cesarza mogło przeniknąć w tej chwili aż do nas, możeby ta wielka w swej prostocie scena lepiej go oświeciła o rzeczywistym stanie polskiej kwestyi, niż wszystkie późniejsze sofizmata Płatonowa.

Nazajutrz zjawił się wreszcie i ów rzeczywisty przedstawiciel myśli rządowej i bez żadnych preliminaryów wnet przystąpił do interesu. Główne pytania, jakie mi postawił w imieniu Cesarza, były następujące: Dlaczego korespondowałem ze Stolicą Apostolską drogą tajemną, kiedy to jest surowo wzbronione prawem krajowem? Na to odpowiedziałem, że katolicyzm rząd może tolerować albo nie tolerować, ale zmienić wewnętrznej natury jego nie może; główną zaś cechą katolicyzmu, która wyróżnia go od wszystkich innych chrześcijańskich wyznań, jest uznanie widomej głowy Ko-

ścioła, jako ognisko jedności i żywotności. My wierzymy wiarą dogmatyczną, że Papież jest prawdziwym Namiestnikiem Chrystusowym; że wyroki jego w rzeczach wiary i obyczajów są nieomylne; że odłączenie się od Stolicy Apostolskiej i zerwanie z nią związku bądź dogmatycznego, bądź dyscyplinarnego, t. j. zależności i posłuszeństwa, jest odstępstwem od Kościoła, prawdziwą apostazyą; że wszyscy biskupi i kapłani duchowną juryzdykcyę swoją czerpią z upoważnienia Namiestnika Chrystusowego, jako z jedynego źródła pasterskiej władzy (*potestas jurisdictionis* a nie *ordinis*); że przeto we wszystkich ważniejszych wypadkach pasterskiego zarządu, w których Stolica Apostolska sobie ostateczną zastrzegła decyzyę, biskupi mają ścisły obowiązek sumienia odnoszenia się do Ojca św., aby się do postanowienia jego zastosować. Skoro zaś taką jest wiara katolicka, mybyśmy przestali być katolikami, gdybyśmy postępowania naszego ściśle do wyznawanej nauki nie stosowali, ośmielając się zerwać łączące nas z Głową Kościoła węzły. Żadne prawo ludzkie nie może nas uwolnić w sumieniu od zachowania prawa, które za postanowione przez samego Chrystusa uznajemy. Jeśli nam rząd wzbrania utrzymywania jawnych stosunków ze Stolicą Apostolską, to musimy uciekać się do tajemnych, by zadość uczynić naszym pasterskim obowiązkom.

— Jakto? — zagadnął Płatonow. Przecież biskupom dozwolona jest korespondencya z Stolicą Apostolską, byle przesyłana była przez ministeryum państwa!

— Pan wiesz najlepiej — odrzekłem — jaka jest rzeczywista wartość tego pozwolenia. Prawda, że biskupi mają prawo przesyłać ministrowi listy, jakie pragnęliby wyprawić do Rzymu; lecz skoro w treści tych listów znajduje się choć jeden wyraz, który się nie podoba rządowym władzom, list każą przerobić; w razie zaś oporu ze strony biskupa, nietylko list nie będzie wysłany, lecz piszący naraża się na prześladowanie za przeciwne interesom państwa działania. Przecie nawet w skrutynium, robionem z polecenia

Stolicy Apostolskiej, gdzie zeznania czynią się pod przysięgą, skoro rząd znajdzie jakie ujemne świadectwo, wydane o pożądanym dla siebie kandydacie, to wnet każe przerobić dokument wedle swego życzenia, chociażby to miało być z pogwałceniem złożonej na prawdomówstwo przysięgi. Sam więc Pan wyznaj, czy korespondencya przy takich warunkach, zdolna jest zaspokoić sumienie katolickiego biskupa, który na seryo pojmuje obowiązki swoje względem Stolicy Apostolskiej?

— Lecz możebnąż jest z drugiej strony rzeczą, aby państwo, w którem panującem wyznaniem jest wiara prawosławna, miało dozwalać na poufny i żadnej nie poddany kontroli stosunek swych poddanych z obcym monarchą, który nie uznaje powagi religijnych naszych praw tak jak i państwowych. Czyż konszachty takie nie zagrażają bezpieczeństwu państwa?

— Skoro takie jest istotne przekonanie rządu, to winien jawnie oświadczyć, że katolicyzmu w swem państwie tolerować nie może; stosunki bowiem ze Stolicą Apostolską stanowią główną istotę katolicyzmu, jako religii państwowej.

— Ależ przy polubownem z obu stron usposobieniu możnaby znaleść jakiś *modus vivendi*, i w tej właśnie myśli rząd zaproponował pośrednictwo państwa w stosunkach duchowieństwa ze Stolicą Apostolską.

— Jedyną możebną w kwestyi tej tranzakcyą byłoby tego rodzaju pośrednictwo, żeby rządowi służyło tylko prawo przeczytania wyprawionego do Stolicy Apostolskiej listu, z obowiązkiem wszakże odesłania go w każdym razie. Jeśliby sąd biskupa wydał się rządowi stronnym, lub fakta fałszywymi, wówczas rząd przesłałby jednocześnie do Rzymu swoje uwagi i sprostowania, a Ojciec św. sformowałby sąd swój o tej sprawie, poznawszy racye stron obu. Podczas gdy dziś rząd tylko jeden ma zawsze możebność przedstawić Stolicy Apostolskiej swoje poglądy i życzenia, biskupowi zaś zamknięta jest nawet droga do wytłómaczenia się, jeśli zostanie oskarżony. Możnaż się dziwić, że biskupi ucie-

kają się do korespondencyi tajemnej, kiedy jawna jest *de facto* niemożebną, chociaż *de jure* jest niby to dozwoloną.

— Więc Wasza Pasterska Mość nie przyrzeka, iż nadal wszelkiej tajemnej korespondencyi ze Stolicą Apostolską zaniecha?

— Póki obecny stan rzeczy nie zostanie zmodyfikowany w duchu proponowanego przezemnie kompromisu, podobnego zobowiązania się przyjąć na siebie nie mogę.

— Przejdźmy więc do drugiej kwestyi. Naj. Pan pragnie być objaśnionym, jakim sposobem to się stało, że o podaniu się do dymisyi Waszej Pasterskiej Mości ks. Napoleon nazajutrz już mógł wspomnieć w mianej w Senacie mowie?

— Niewiadomo mi wcale, jaką drogą wiadomość ta doń doszła, mogę tylko zaręczyć, żem jej za granicę nie przesyłał nikomu.

— Dlaczegóż taka sama współczesność powtórzyła się względem listu Waszej Pasterskiej Mości do Cesarza, który wydrukowany został w »Monitorze« w wilię ogłoszenia ostatniej noty francuskiej do naszego rządu?

— I tej okoliczności nie jestem w stanie objaśnić. — Wiem tylko, że za granicę listu mego nikomu nie wysyłałem?

— Naj. Pan radby też wiedzieć, jakie powody skłoniły Waszą Pasterską Mość do zmienienia w ostatnich czasach kierunku swego postępowania i z życzliwej względem rządu postawy przejścia do jawnej opozycyi?

— Śmiem twierdzić, że nie mnie zarzucać można zmianę kierunku postępowania. Zdaje mi się owszem, że od początku aż do końca trzymałem się jednej zasady i jedną postępowałem drogą. Naj. Pan raczył mi sam objawić przed odjazdem moim do Warszawy, iż zadaniem mojem winna być usilna praca nad rozwojem na legalnej drodze instytucyj, mogących zapewnić pomyślność kraju i Kościoła. Ten program przyjąłem całem sercem i pozostałem mu wiernym aż do końca. Ilekroć rząd działał w tym duchu szczerze i otwar-

cie, wspierałem jego usiłowania, nie oglądając się ani na opinię, ani nawet na pogróżki szaleńców, co na drogach rewolucyjnych chcieli szukać szczęścia dla narodu. Ale też z równą stałością opierałem się wszelkim rządowym rozporządzeniom, krzyżującym błogie zamiary Monarchy, t. j. przynoszącym szkodę narodowi lub Kościołowi. Datuję to zaś nie od wybuchu zbrojnego powstania, lecz od pierwszej chwili przybycia mego do Warszawy, kiedy codziennie niemal staczać musiałem walki z jen. Lüdersem. Gdy za przybyciem Wiel. Księcia i Margrabiego zakreślony przez Cesarza program począł być sumiennie i gorliwie w praktyce przeprowadzany, chętnie łączyłem moje słabe siły do ich usiłowań, dążących istotnie do uszczęśliwienia Polaków. Lecz gdy w miarę rozżarzania się walki z powstaniem, względy państwowe poczęły brać przewagę nad pierwotnymi zamiarami Monarchy, a rząd zwrócił wszystkie swe siły i całą swą energię ku jedynemu tylko celowi: opanowania zbrojnego ruchu, chociażby z jawnem zapoznaniem najistotniejszych interesów narodu i Kościoła, nie było już dla mnie miejsca obok przedstawicieli władzy, ani w tytule Polaka, ani tem bardziej w tytule pasterza. Rząd, zmuszony bronić interesów państwa, może znaleźć w tym obowiązku jeśli nie usprawiedliwienie, to wytłómaczenie przynajmniej swej zbyt bezwzględnej surowości; ale czem wymówićby zdołał udział swój, chociażby moralny, w krwawej represyi minister pokoju i miłosierdzia, zwłaszcza, kiedy represya ta zwraca się przeciw tej właśnie umiłowanej owczarni, której on jest pasterzem? Możeż mieć za złe Monarcha chrześcijański chrześcijańskiemu biskupowi, iż pod naciskiem trawiącej ojcowskie serce jego miłości, wstawia się za swoją dziatwę, chociażby winną, i błaga dlań o miłosierdzie? Wszak i Mojżesz wstawiał się za lud wiarołomny, gdy Pan Zastępów wyniszczyć go postanowił; a jednak tak słusznie obrażony Jehowa nietylko mu tego nie wziął za złe, lecz przebaczył owszem zbłąkanym i, ukarawszy ich stosownie, do dawnej łaski przywrócił. Wszak na pierwszem posłuchaniu oświadczyłem już Naj. Panu, że

losy ludu mego w każdym razie podzielę i nigdy sprawy mojej od jego sprawy nie odłączę. Miałżebym dzisiaj, zapoznawszy mój charakter Polaka i kapłana, przyłączyć do nieubłaganych mścicieli gorączkowego szału i, obciąwszy poły mojej czerwonej sutanny, wystąpić z mieczem, jako kat tego ludu, który sam Chrystus pieczy mojej powierzył? Jestem pewny, że miłościwy Monarcha samby się wzdrygnął na widok podobnego przeistoczenia i ze wzgardą odwróciłby oczy od nikczemnego przeniewiercy swemu świętemu powołaniu.

— Ależ Cesarz nie wymaga bynajmniej od Waszej Pasterskiej Mości, aby szedł osobiście uśmierzać powstanie; ale ma prawo wymagać, abyś go nie wspierał moralnie, opuszczając obóz porządku, a przechodząc na stronę anarchistów i burzycieli.

— W tem właśnie jest nieszczęście, że rząd nie pojmuje, albo nie chce pojąć, że w kwestyi polskiej prawda nie jest ani przy tych, co bronią bagnetem porządku istniejącego, bez względu na to, czy on na słusznych opiera się podstawach, ani też przy tych, co samowolnie usiłują go wywrócić, uważając za godziwe wszelkie, mogące doprowadzić do tego celu, środki. Jest trzeci obóz, co walczy w obronie bezwzględnej prawdy i nieomylnej sprawiedliwości, ale nie karabinem, ani sztyletem, jedno mieczem Bożego słowa. Nic on nie wywraca, ale też i nie wiesza nikogo. On daje tylko śmiało świadectwo prawdzie zawsze i wszędzie, nie oglądając się na mogące stąd wyniknąć dlań następstwa. Męstwo w głoszeniu nie swojej, ale Bożej nauki, i wytrwałość w cierpliwem znoszeniu wszelkiego rodzaju napaści, są hasłem tego obozu, na którego sztandarze krzyż tylko powiewa. Wiara w rządy Opatrzności i w niechybny wymiar sprawiedliwości w czasie od Boga przeznaczonym, stanowi całą siłę walczących pod tą chorągwią rycerzy. Choć oni sami umierają najczęściej wzgardzeni i zapoznani, lecz idea ich trwać będzie zawsze na ziemi, a walka o nią chyba ze światem się skończy. Obrońców tej chorągwi nie przeraża

ani tryumf siły nad prawem, ani ułudy nad prawdą, gdyż wszystko jest doczesne, co nie wychodzi od Boga i do Niego nie dąży. Taki to jest obóz, do którego z chlubą się zaliczam i przeto do żadnego innego należeć mi nie wolno.

— Gdybyż przynajmniej Pasterz nie wychodził z owej sfery oderwanych religijnych idei i nie wkraczał w dziedzinę polityki praktycznej, rząd mógłby obojętnie patrzyć na to stanowisko neutralne, co w doczesnych sporach udziału przyjmować nie chce. Ależ list Waszej Pasterskiej Mości i całe jego postępowanie nacechowane są owszem tendencyami, wprost do celów doczesnych i to nieprzychylnych rządowi, zmierzającemi. Cóż to do religii należy, czy ten lub ów kraj będzie tak, lub inaczej politycznie ukonstytuowany?

— Mylne jest bardzo mniemanie, że religia sferę tylko oderwanych idei obejmuje. Jest ona owszem przedewszystkiem nauką praktyczną, na to nam właśnie od Boga daną, byśmy wedle niej życie nasze urządzili; i to nietylko życie prywatne, ale i społeczne także; gdyż Bóg, co zarówno jest Panem społeczeństwa, jak i pojedyńczego człowieka, ma niezaprzeczone prawo domagać się, by i życie publiczne, niemniej jak prywatne, zgodnie z Jego wolą było urządzone. Religia przeto ukazuje nam nietylko prywatne, lecz i społeczne też obowiązki, stojąc na straży zarówno praw człowieka, jak i praw narodu. Polska, przestając być państwem, nie przestała być narodem, nie utraciła przeto w obliczu Boga i ludzkości praw, każdemu narodowi należnych; obowiązkiem jest przeto sług Bożych prawa te wyjaśniać i do ich zachowania zachęcać.

— Na to wszakże, by dawać rady Monarsze, niedość jest, przyznasz Pasterzu, być ministrem jakiej religii, choćby objawionej, ale przedewszystkiem trzeba być do tego zawezwanym, a przynajmniej upoważnionym; inaczej będzie to niewłaściwe, że nie powiem zuchwałe wtrącanie się do spraw, wcale duchownemu powołaniu nieodpowiednich.

— Przecież sam Cesarz zamianował mię członkiem Rady Stanu. Trzebaż zaś legalniejszego nad ten tytułu, do wy-

powiedzenia swego zdania w sprawach, do kompetencyi Rady Stanu należących? Oficyalny doradca Monarchy ma nietylko prawo, lecz i obowiązek przedstawienia mu otwarcie stanu rzeczy w świetle, w jakiem je sam doradca widzi, chociażby nawet sąd jego był mylny. Wszak ja nietylko nie narzucałem się z radami swemi w chwili największego skomplikowania interesów, lecz pragnąłem owszem razem z odpowiedzialnością złożyć z siebie i obowiązek doradcy Korony, i dopiero, kiedy mi odmówiono dymisyi, spełniłem swą powinność, gdyż nie sądziłem, by rząd zatrzymywał mię w Radzie Stanu dlatego, abym milczał, lub wbrew przekonaniu potakiwał, lecz abym swe rzetelne wypowiadał przekonanie. Nietrafna nawet rada nie powinna obrażać, skoro usta, z których płynie, były do jej podania upoważnione.

— Postaram się jak najwierniej zdać sprawę Cesarzowi z całego toku naszej rozmowy; lecz co mam odpowiedzieć, jeśli Monarcha zechce wiedzieć, jakiego planu postępowania Wasza Pasterska Mość trzymać się zamierza na przyszłość, w razie powrotu do Warszawy?

— Dziś, gdy nie ciężą już na mnie obowiązki doradcy Korony, mogę przyrzec, iż zamknę się wyłącznie w sferze mojej pasterskiej działalności, nie wdając się w żadne publiczne sprawy, z powołaniem mojem związku nie mające. Oto jest wszystko, co obiecać mogę. — Na tem skończyła się owa długa konferencya, w której, wierny swej zasadzie, starałem się poglądy moje z całą szczerością wyjaśnić.

W parę dni zjawił się znowu Płatonów i oznajmił mi, że jakkolwiek dokładnie, jak sądzi, powtórzył me tłómaczenie się, Cesarz wszakże chce je mieć na piśmie, własną moją ręką spisane. Prosi przeto, abym się niezwłocznie zabrał do zredagowania wypowiedzianych mu uwag, bądź w formie listu, bądź memoryału, w jakim zechcę języku. Obrałem formę listu i język francuski i wziąłem się natychmiast do pracy. Żałuję bardzo, że nie zachowałem brulionu tego pisma, które kilka arkuszy zajęło, gdyż nie jestem dziś w stanie odtworzyć je w pierwotnej formie. Co do treści, obej-

mowało ono wyżej przytoczone objaśnienia z dodatkiem kilku ustępów, wprost do Cesarza zastosowanych. We wstępie dziękuję mu, iż dozwala mi wypowiedzieć sąd mój o kwestyach, które zwykle w zbyt jednostronnem przedstawiono mu świetle. Następnie rozwijam myśl tę: miłość ojczyzny jest uczuciem równie wrodzonem i mimowolnem, jak miłość rodziców, że nikogo przeto odpowiedzialnym za nie czynić nie należy, gdyż niesłusznie byłoby karać człowieka za to, co od woli jego nie zależy. Że nie jest też winą Polaków, że, mając świetną i bogatą historyczną przeszłość, wzdychają do niej i radziby utraconą odzyskać niepodległość. Że niesprawiedliwie jest poczytywać Polakom za zbrodnię ten sam gorący patryotyzm, który dla wszystkich innych narodów za cnotę się uważa. Że nawet owych usiłowań odzyskania dawnej niepodległości, które od stu lat już niemal powtarzają się w każdem nowem pokoleniu, najmniej prawa mają potępiać Rosyanie, którzy uczcili pomnikiem Minina i Pożarskiego za wyzwolenie Rosyi od narzuconego jej przez Polaków cara Władysława. Losy narodów są w ręku Boga i jeśli godzina przez Opatrzność do wyzwolenia Polski przeznaczona już wybiła, opór WCMości nie przeszkodzi wykonaniu Pańskiego wyroku, jak opór Faraona nie przeszkodził wyzwoleniu Żydów, gdyż plagi są zawsze w ręku Boga.

Wyznaję, iż język, jakim w liście tym przemawiam, zbyt jest śmiały dla poddanego, przemawiającego do swego Monarchy; ale byłem wówczas w tak wysokim nastroju ducha, że nie przemawiałem ani w imieniu własnem, ani nawet w imieniu Polski, lecz czułem się tylko rzecznikiem tej Opatrznosci, której rządy tak powszechnie są dziś zapoznane, pomimo, iż ręka, co je dzierży, nic nie straciła ze swej wszechmocności i w każdej chwili znowu dać może poczuć zaślepionym władcom tego świata, iż z równie kruchej ulepieni są gliny, jak najnędzniejszy żebrak. Kiedy w rok później syn pierworodny Cesarza zgasł w kwiecie wieku, a po latach kilkunastu on sam broczył się we własnej krwi potokach,

mimowoli przyszła mi na myśl ścigająca Faraona pomsta Boża.

Nazajutrz po wręczeniu tego listu, Płatonów przybył raz jeszcze i oznajmił, że Cesarz niekontent był z mego postępowania, lecz więcej jeszcze niezadowolony był z mego tłómaczenia; o powrocie przeto moim do Warszawy nie może być mowy; na mieszkanie zaś moje przeznaczony został Jarosław nad Wołgą. Oznajmił mi przytem, że zarząd dyecezyi pozostaje przy mnie, nie inaczej wszakże będę mógł znosić się z konsystorzem, jak za pośrednictwem sekretaryatu Stanu w Petersburgu. Pozostawiono mi także całą pensyę, jaką pobierałem w Warszawie, wypłacalną wedle mego rozporządzenia. Wyrok ten, ze stanowiska rządowego, wydał mi się bardzo umiarkowanym, byłem bowiem przygotowanym do nierównie surowszego. Zapytany, jak chcę rozporządzić pensyą, prosiłem o wypłacanie mi w Jarosławiu trzystu rubli miesięcznie, resztę zaś pełnomocnikowi memu w Warszawie na utrzymanie domu i załatwienie innych miejscowych zobowiązań.

Tak zakończył się trzytygodniowy pobyt mój w Gatczynie. Nazajutrz po objawionym mi wyroku, ten sam ks. Meszczerski, który trzymał straż nade mną, odwiózł mię powozem aż na pierwszą stacyę Mikołajewskiej kolei, w celu ominienia Petersburga. W Twerze przesadzono mię znowu na parowy statek i po Wołdze przybyłem do Jarosławia, gdzie czekało już na mnie przygotowane przez gubernatora mieszkanie. Tu dowiedziałem się, iż od dwóch dni bawił już w Jarosławiu następca tronu, Mikołaj Aleksandrowicz, świeżo zaręczony z duńską księżniczką Dagmarą. Przez cały czas pobytu Następcy u drzwi mego mieszkania stał zbrojny żołnierz i dopiero po jego wyjeździe został usunięty; dowiedziałem się później, iż ostrożność ta zachowana była względem wszystkich zesłanych do Jarosławia Polaków, z obawy, aby który nie targnął się na życie dostojnego gościa. Ks. Meszczerski zdał mię miejscowym władzom i odjechał. Nazajutrz odwiedził mię wicegubernator, gdyż gubernator

wezwany został do Petersburga, i powitał zaręczeniem, iż jestem czasowym tylko gościem w Jarosławiu i wnet, po uspokojeniu kraju, powrócę do Warszawy. Wówczas urzędowy nawet świat rosyjski nie przypuszczał, aby udzielone Królestwu instytucye były tak rychło odjęte. Ja wszakże odrazu miałem przeczucie, iż wygnanie moje będzie bardzo długie. Przykład prałata Szczyta, który przepędził dwadzieścia ośm lat w Saratowie i wrócił do kraju niedołężnym starcem, kazał i mnie na podobnąż przygotować się dolę.

Mając przed sobą tak długi pobyt, należało zawczasu obmyślić plan, wedle którego miałem urządzić swe życie. Będąc przekonanym, iż stosunki z rosyjskiem towarzystwem żadnych nie wydadzą owoców, podtrzymanie ich pochłonie wiele czasu i pieniędzy, postanowiłem zamknąć się od razu w szczupłem kółku, mieszkających w Jarosławiu katolików, urządzając dom na skale zwykłego proboszcza, i tam tylko bywać, gdzie duchowny mój charakter mógł być pożądanym, cały zaś czas, zbywający od nielicznych posług parafialnych, poświęcić pracy literackiej. Kolonia katolicka, licząca kilkaset osób różnego stanu, z których kilkadziesiąt zaledwie z wyższem wykształceniem, powitała mię bardzo sympatycznie, ciesząc się, iż nie będzie ogołocona z duchownych pociech. Urządziłem natychmiast domową kaplicę, dość obszerną, by mogła pomieścić szczupłą parafię, ale gubernator oświadczył, iż bywać w niej tym tylko będzie wolno, którzy otrzymaja od niego osobiste pozwolenie, o które każdy z osobna starać się był powinien. Wojskowym, bez żadnego wyjątku, odmówiono wszystkim, cywilnym zaś urzędnikom tym tylko pozwalano, za których ręczył wyższy ich zwierzchnik. Jednym kobietom z łatwością wydawano pozwolenie. Dla kontrolowania uczęszczających do kaplicy, co niedziela i święto przychodził z początku pułkownik żandarmów, następnie policmajster, a w końcu zdano ten obowiązek na prostego policyanta i tak pozostało aż do końca. Przez kilka pierwszych niedziel miewaliśmy na przemian z ks. Potockim nauki, lecz niebawem przyszło od guberna-

tora ostrzeżenie, że jeśli nie chcę, aby zamknięto całkiem kaplicę, to winienem zaprzestać kazań. Poddałem się więc i temu ograniczeniu. Wszystkie te wszakże surowości nie wychodziły z osobistej inicyatywy gubernatora, lecz były mu nakazane z Petersburga, gdzie znajdowano coraz to nowe powody zażalenia na mnie. Najpierwszem było uczynione w Warszawie odkrycie, że trzy wychowanice Maryjskiego Instytutu, prawosławne z pochodzenia, przyjęły katolicyzm i były przezemnie bierzmowane. Miejscowy kapelan, chcąc uchylić z siebie odpowiedzialność, oświadczył, iż stało się to z mego rozporządzenia i że ja sam dopuściłem je do bierzmowania. Zapytany przez Płatonowa, czy tak było rzeczywiście, odpowiedziałem, iż oddzielony od archiwów i moich pomocników, sprawy tej sobie przypomnieć nie mogę; dziwi mię wszakże, iż w zasadzie poczytują mi to za winę, co jest moim obowiązkiem; odmówienie bowiem przyjęcia do Kościoła osób, które same o to proszą, byłoby grzechem dla katolickiego kapłana, który nikomu przeszkód do zbawienia stawiać nie powinien. A i ze stanowiska nawet państwowego miałem prawo tak postąpić, skoro sam Cesarz mi powiedział, iż za spełnienie kapłańskiego obowiązku nikt nie będzie odpowiadał. Na to odpisał mi Płatonów, że póki ogólne państwowe prawo nie zostało zmienione, niesłusznie jest zsyłać się na słowa Monarchy, które zawsze w duchu prawa tłómaczyć należy.

Niedługo potem zdarzył się nierównie większej doniosłości wypadek. Wyjeżdżając z Warszawy, pozostawiłem rząd dyecezyi ks. oficyałowi Rzewuskiemu, który posiadał całe moje zaufanie, na przypadek zaś usunięcia ks. Rzewuskiego, zostawiłem upoważnienie ks. Szczygielskiemu, a po nim ks Domagalskiemu. Skoro wieść o wywiezieniu mojem do Jarosławia przyszła do Warszawy, Oficyał, stósownie do przepisu prawa kanonicznego, nakazał w całej dyecezyi żałobę kościelną, zasadzającą się na tem, że dzwony przestają dzwonić i organy grać w czasie nabożeństwa. Inni biskupi i rządcy dyecezyj, należących do warszawskiej metropolii,

poszli za przykładem stolicy i takąż żałobę wprowadzili u siebie. Dając to rozporządzenie, wcale mię nie pytano o przyzwolenie, zawiadomiono tylko już po fakcie spełnionym. Należało mi może, wnet po otrzymaniu tej wiadomości, dać rozporządzenie o zniesieniu żałoby, z mego powodu nałożonej, ale postawiony warunek komunikowania się z konsystorzem nie inaczej, jak za pośrednictwem Ministra, utrudniał moje położenie, odejmując mym oficyalnym czynnościom charakter niezależności. Przesłane przez Petersburg podobne rozporządzenie kazałoby sądzić, iż uczyniłem je pod rządowym naciskiem, wolałem przeto pozostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi, spodziewając się, że skoro żałoba okaże się niedogodną, to ci, co ją bezemnie nakazali, bezemnie też i odwołają. Okazało się wszakże inaczej. Rząd i spokojniejsza część ludności życzyli sobie usunięcia kościelnej żałoby, stronnictwo zaś ruchu podtrzymywać ją chciało, jako manifestacyjny objaw nieukontentowania z rządu. Pochwycony między dwa prądy konsystorz nie wiedział, co począć, lękając się nacisku tak z jednej, jak i z drugiej strony, a że strach nie jest zwykle najlepszym doradcą, za poradą przeto Domagalskiego, arcytchórza w konsystorzu, sprobowano, czy nie da się cudzemi rękami wygarnąć z ognia kasztanów. Szlachetny doradca pisze przeto prywatny list do mnie, w którym wystawia konieczność usunięcia żałoby i konkluduje wnioskiem, abym ja drogą urzędową, niby z własnej inicyatywy, rozkazał konsystorzowi zdjęcie żałoby. Oburzony takim brakiem delikatności, odpisałem natychmiast, również prywatną drogą, że jeśli konsystorz ma przekonanie, iż zniesienie żałoby jest potrzebne, to jak sam ją postanowił, nie pytając mię o to, tak też i odwołać beze mnie może, nie narażając mię na poniżenie i nie rzucając, jak wyraziłem się w gniewie, korony wyznawcy pod stopy oprawców.

List ten, noszący wyraźny charakter chwilowego oburzenia i wcale nie w duchu pokory i chrześcijańskiej miłości napisany, nie powinien był przezemnie być wysłanym, ale

tem bardziej nie powinien był nabrać rozgłosu w Warszawie. Ks. Domagalski wszakże innego był zdania; dał go owszem natychmiast do przepisania na wiele rąk w konsystorzu i tak gorliwie zajął się jego propagandą, że wkrótce znalazł się w szpaltach krakowskiego »Czasu«. Po tej dopiero publikacyi odjęto mi zupełnie zarząd dyecezyi i z pensyi pozostawiono to tylko, co sam na moje utrzymanie w Jarosławiu naznaczyłem. Wyrok cesarski, usuwający mię ostatecznie od zarządu archidyecezyą warszawską, podpisany został w początku kwietnia 1864 roku, w lipcu zaś Ojciec Św. Pius IX wydał encyklikę do biskupów polskich, w której uskarżając się przed całym katolickim światem na prześladowania, jakich Kościół polski doznaje ze strony rosyjskiego rządu, wspomina o niesłychanem dotąd pokuszeniu się świeckiej władzy, o odjęcie biskupowi duchownej jurysdykcyi, jak się to stało na mojej osobie. Przyczem Ojciec Św. ogłasza dekret cesarski za nieważny i poleca uznawać mię i nadal za prawego arcybiskupa warszawskiego. Tym sposobem sprawa moja przestała być zwykłem zajściem biskupa z rządem, a przybrała charakter sporu Stolicy Apostolskiej z gabinetem petersburskim, tak, iż tylko na drodze układów z Rzymem załatwiona być mogła. Znając zawziętość i ambicyę rosyjskiego rządu, nie łudziłem się też nigdy nadzieją powrotu na osieroconą przez me wygnanie warszawską stolicę. Przekonanie to moje stwierdził niebawem list biskupa Łubieńskiego, zawiadamiający mię, iż stanowczem jest postanowieniem rządu, nigdy i pod żadnym warunkiem nie zgodzić się na mój powrót do Warszawy. To też ilekroć rozchodziły się o tem wieści, uważałem je zawsze za fałszywe, gdyż chyba przy radykalnej zmianie systemu rządu, moje z nim stosunki mogłyby się stać możebne.

Tymczasem w Warszawie i na całym obszarze polskiej ziemi, zapanowało tak dzikie prześladowanie religii i narodowości naszej, jakiego nie było nawet za czasów Mikołaja. Po uśmierzeniu zbrojnego powstania, nietylko

wieszano i wysyłano na Sybir tych, co w niem udział przyjęli, lecz wysiedlano całe wsie i zaścianki i całą ludność przepędzano jak trzodę w głąb Rosyi dlatego tylko, że była katolicką i polskiego używała języka. Wszystkim urzędnikom katolikom w dawnych polskich prowincyach kazano podać się do dymisyi, a na ich miejsce nasłano rosyjskich. W głębi Rosyi nawet wydalano ze służby wszystkich podejrzanych o polskie sympatye, na wyższe urzędy nie kazano wcale przedstawiać katolików, w wojsku zaś i we wszystkich wyższych naukowych zakładach naznaczono dziesiąty procent, którego Polacy nigdy przewyższać nie powinni. Wszystkim nadto, co przyjęli udział w powstaniu skonfiskowano majątki, wysłanym administracyjnie za proste podejrzenie kazano je sprzedać, i to nie Polakom i nie katolikom; właścicielom zaś polskiego pochodzenia, którym nic zarzucić nie mogli, odjęto prawo nabywania majątków i kazano płacić stałą kontrybucyę, od której rosyjscy właściciele zostali wyłączeni. Żaden Polak nie miał prawa nietylko sprzedać, ale i zapisać nawet swego majątku testamentem, spadek zaś mógł przechodzić tylko drogą dziedzicznego prawa. Jakkolwiek zaś same już prawo było surowe, arbitralność urzędników posuwała się jeszcze dalej. Ks. Czerkaski, pomocnik Berga, jeden z najzawziętszych naszych prześladowców, głośno odzywał się w Warszawie, że dla Polaków niemasz prawa, przeto, że oni sami złamali prawo. Do Królestwa wprawdzie rozporządzenia majątkowe nie stósowały się, ale za to skonfiskowano tam wszystkie majątki, domy i kapitały duchowne, większą część klasztorów całkiem skasowano, w pozostałych zaś zamknięto nowicyaty, tak, że życie zakonne skazane zostało na zamarcie na całym obszarze dawnej polskiej ziemi. Skasowano nadto samowolnie trzy dyecezye: podlaską, kamieniecką, i mińską. Biskupa wileńskiego, Krasińskiego, wywieźli prawie jednocześnie ze mną do Wiatki, niebawem zaś wysłano tamże i unickiego chełmskiego biskupa, Kalińskiego, który wnet po przybyciu na miejsce umarł. Wysłanych z kraju Polaków

liczono na trzykroć sto tysięcy, duchownych zaś z górą tysiąc. A nietylko rząd i jego agenci czynnie przyczyniali się do prześladowania zgnębionego już i tak ludu, przyczyniała się też do tego bardzo skutecznie i cała niemal rosyjska prasa, tak oficyalna jak i niezależna, rozniecając we wszystkich klasach rosyjskiego narodu dziką ku Polakom nienawiść. Też same dzienniki, które najgoręcej broniły prawa do niepodległości Serbów, Bułgarów, Czechów i Chorwatów, co zachęcały te narody do ujęcia za broń, by wyzwolić się z pod obcego jarzma, co nawoływały nawet galicyjskich Rusinów, by strząsnęli z siebie mniemaną przemoc Polaków, ilekroć chodziło o nas, nietylko zapominały tak szumnie głoszonych słowiańskich sympatyi, lecz otwarcie wołały, że nas albo wytępić, albo zmoskwiczyć trzeba. Opinia też całego rosyjskiego narodu, niezdolna do samoistnego sądu, tak dalece oburzyła się przeciwko nam, że wszystkie miejscowe klęski, jak pożary, rozboje i fałszerstwa, Polakom przypisywano. Stąd oprócz nieoddzielnych od wygnania utrapień, zesłani w głąb Rosyi Polacy znosić musieli nieufność, a częstokroć jawnie okazywaną nienawiść miejscowych mieszkańców, podburzonych przez pana Katkowa i godnych jego współzawodników.

W końcu 1864 roku rząd niezadowolony i z zarządu ks. Rzewuskiego, który nie chciał poddawać się jego podkopującym całą kościelną organizacyę planom, wysłał go także do Astrachania. Ferowany nań dekret, we współczesnych gazetach ogłoszony, jest najpiękniejszem świadectwem, oddanem prawdziwie kapłańskim jego cnotom. W czynionych mu zarzutach ani jednego niemasz politycznej treści. Zarzucają mu jedynie stałość w bronieniu praw Kościoła, których jeśliby nie bronił, zdradziłby sprawę Chrystusową. Wywiezienie tego równie świątobliwego, jak światłego, a przytem niezłomnej stałości Pasterza, było niepowetowaną dla warszawskiego Kościoła stratą, gdyż zostawionej przezeń próżni nie było już komu zastąpić. Przeznaczony na jego zastępcę ks. Szczygielski, poczciwy i pobożny kapłan,

nie miał, jak okazało się, ani owej wielkiej wiary, co prowadzi na męczeństwo, ani jasnego kościelnego poglądu, co wyraźnie ukazuje obowiązek, ani tej nawet czysto przyrodzonej energii i roztropności, co choć po ludzku zaradzić sobie potrafi. Ks. Domagalski jeszcze mniej odpowiedział położonemu w nim zaufaniu, gdyż zamiast dodać otuchy trwożliwemu i chwiejnemu, ale dobrej woli Szczygielskiemu, uznał przyjęcie przekazanej im władzy za niemożebne i doradzał niezwłoczne jej zrezygnowanie. Sam Berg, jak dowiedziałem się później, był za pozostawieniem władzy przy Szczygielskim, będąc pewnym, że kapituła nie zgodzi się na obranie innego; ale Czerkaski zaręczył, że przeprowadzi wybór Zwolińskiego, i przyjął tę sprawę na swoją odpowiedzialność. Na wystosowane przezeń do kapituły przedpisanie, aby niezwłocznie obrali administratorem Zwolińskiego, przestraszona kapituła uradziła taki półśrodek, który, zdaniem jej, bronił ją zarówno i wobec Kościoła i wobec rządu, a który rzeczywiście, jak wszelka tranzakcya z wyraźnym obowiązkiem, był tylko jawnym słabości jej dowodem. Odpowiedziano rządowi, że, wobec obsadzonej stolicy biskupiej, kapituła nie ma żadnych praw do sprawowania rządów dyecezyi, a więc i upoważnić do nich nie może nikogo; ponieważ jednak rząd życzy mieć jakiegoś reprezentanta kapituły, to ona te prawa, jakie posiada, przelewa na ks. Zwolińskiego. Rządowi tego tylko i było trzeba. To też, ogłosiwszy wnet w gazetach, że kapituła obrała administratorem ks. Zwolińskiego, oddał mu rządy dyecezyi; obawiając się zaś, by naznaczeni przeze mnie prałaci nie rozmyślili się czasem i nie odwołali się do udzielonej im władzy, kazał wnet wywieźć Szczygielskiego do kazańskiej, Domagalskiego zaś do samarskiej gubernii. Gdyby przyjąwszy nominacyę, śmiało przy niej obstawali, i gdyby ich poparła kapituła, wedle własnych poufnych zeznań Berga, byliby się przy władzy utrzymali; w najgorszym zaś razie spotkałoby ich to samo, ale z tą wielką w sumieniu pociechą, że spełnili swój obowiązek. Teraz zaś owo nie-

spodziane, a tak starannie unikane wygnanie, tem boleśniej ich dotknęło, im mniej doń byli przygotowani. Bogobojna wszakże dusza ks. Szczygielskiego prędzej przyszła do równowagi, tak, że znosił on cierpliwie i z godnością swe kilkoletnie wygnanie, nie używając żadnych heroicznych środków, aby je skrócić. Lecz całkiem inaczej stało się z ks. Domagalskim, którego ambitne, a nie zahartowane serce i słabo z Bogiem zjednoczona dusza, nie były w stanie poddać się pokornie zrządzeniu Opatrzności. Czuł się on z jednej strony tak przygnębionym i zatrwożonym o przyszłość, iż na myśl samą dłuższego pozostania w Buzułuku, truchlał z przerażenia; z drugiej zaś, poczytując mnie za głównego sprawcę swego nieszczęścia, sądził, iż obowiązkiem było moim wszystko poświęcić, byle go wyrwać z tak nieznośnego dlań położenia. W tym duchu, wnet po przybyciu na miejsce, napisał do mnie list błagający, abym go ratował od moralnej i fizycznej zguby, gdyż dostawszy się do miejscowości, gdzie nie może mieć żadnej religijnej pomocy, postrada niezawodnie zdrowie, spokój, a nawet zbawienie duszy. Nie wskazuje mi wszakże, w jaki sposób mogę go ratować. Odpisałem mu, ciesząc go, jak umiałem, i zachęcając do ufności w Opatrzność i cierpliwego znoszenia swego losu. Co się zaś tyczy ratowania go, na to wyznawałem, iż żadnych nie posiadam środków, nie mając już żadnego na rządowe sfery wpływu.

Niebawem otrzymałem drugą odezwę nieszczęśliwego wygnańca, ale już drogą tak dalece oficyalną, że nietylko list był mi wręczony przez policyę, lecz towarzyszyło mu urzędowe wezwanie gubernatora, abym dał formalne z otrzymanego pisma pokwitowanie. Nie był to już list zwyczajny, ale wystylowana i pełna subtelnych argumentów rozprawa, dowodząca naprzód, że duchowieństwo polskie w ogólności, ja zaś w szczególności, nie dopełniliśmy naszych ani pasterskich, ani obywatelskich obowiązków, tolerując rewolucyę, nie dopomagając rządowi do jej uśmierzenia i zapoznając ojcowską dla nas dobroć Monarchy; na-

stępnie przechodzi do konkluzyi i wzywa mię, abym upokorzył się, przyznał się do winy i starał się przejednać słusznie zagniewanego Cesarza. Cała ta elukubracya zajmuje dziewiętnaście ćwiartek dużego pocztowego papieru, drobnym zapisanych charakterem. Przedewszystkiem uderza tu na pierwszy rzut oka ta okoliczność, że imię i tytuły Cesarza pisane są ogromnemi literami, imię zaś Pana Boga zwyczajnemi. Oto są niektóre ustępy, dające miarę ducha, w jakim całość napisana: »Co do rozterek o język narodowy, o zwyczaj kraju, o rozgraniczenia terytoryalne, kapłan dobry mieszać się do nich nie będzie, bo on przedewszystkiem jest obywatelem Królestwa Niebieskiego, a na uwadze mieć powinien: *unum necessarium* — zbawienie dusz... Błagam ze łzami, chciej Wasza Ekscellencya prosić Monarchę o przebaczenie, — o przebaczenie sobie i duchowieństwu. Prośba podobna jest konieczną restytucyą Monarsze, którego rozliczne dobrodziejstwa krajowi udzielone, powstanie zapoznało, śmiem powiedzieć, zapamiętale zdeptało... Prośba o przebaczenie będzie restytucyą koniecznie należną prawu natury za milczenie duchowieństwa na skrytobójstwa i tajne towarzystwa... Wasza Ekscellencya został zesłany do Jarosławia za udzielenie moralnego poparcia powstaniu i towarzystwu tajnemu, powstaniem kierującemu, a wszak i jedno i drugie było najwyraźniejszą obrazą teologii, prawa kanonicznego, prawa natury, wiary, Kościoła, ducha nauki i przykładu Chrystusa«.

Gdyby podobne zarzuty czynił mi obcy jaki kapłan, co nie patrzał z blizka na moje postępowanie, mógłbym sądzić, że mówi w dobrej wierze; ale ks. Domagalski był sam obecny na Synodzie dyecezyalnym, gdzie kwestya skrytobójstw i tajnych towarzystw została wyjaśnioną i droga postępowania wyraźnie ukazana. Asystował też nieraz na moich i ks. Goliana »kazaniach, w których jak najwyraźniej drogę tę potępialiśmy; niepodobna mi przeto przypuścić, aby o tem wszystkiem zapomniał. Jeśli zaś pamiętał, to jakiż inny cel mogą mieć podobne do potępienia siebie

i całego duchowieństwa namowy, jeśli nie zasłużenie się w oczach rządu? Sama droga oficyalna, jaką do wręczenia pisma swego obrał, ukazuje najlepiej, że skierowane ono było właściwie nie do mnie, ale do rządu, którego gniew chciał przebłagać. To też zrozumiał to rząd tak samo jak i ja; bo gdy z mojej strony smutny ten manifest bez żadnej został odpowiedzi, ze strony rządu wywołał pasport za granicę i odpowiednią pensyę z prawem powrotu do kraju. Nie rozszerzałbym się może tak długo nad tą godną politowania historyą, gdyby nie ta okoliczność, że autor owego pisma wystąpił później za granicą z drukowanymi już paszkwilami na polskie duchowieństwo, i to w chwili, kiedy długoletnie już i ciężkie cierpienia pozwoliły najwinniejszym nawet za grzechy swe odpokutować. Dla prześladowców zaś nie ma ani słowa nagany, bo ci pensye i mitry rozdają. O, jakże inaczej postąpił z nami Namiestnik Chrystusowy, jedyny nieomylny tłómacz Jego świętej nauki! Skarcił on wprawdzie, jak na to zasługiwały, zuchwałe i zbrodnicze knowania konspiratorów, lecz nie składa za nie winy na tych, co jawnie je potępiając, nie byli w stanie im przeszkodzić. Nie nakazuje też uciśnionym i prześladowanym, aby z zapoznaniem sumienia i godności człowieka pełzali u nóg okrutnego zwycięzcy, błagając go o przebaczenie, wcale niepopełnionej winy. Owszem, ze stanowczością, jaka przystoi Chrystusowemu Namiestnikowi, który wielkim i małym zarówno obowiązki ich ukazywać winien, w encyklice do polskich biskupów gromi on, wołające o pomstę do Boga, nadużycia, jakich się rząd rosyjski względem Polaków i katolickiego Kościoła dopuścił, monarsze zaś przypomina, iż wedle wyroku Ducha św. panujących cięższy jeszcze sąd czeka, niż ludzi pospolitych: »Gdyż dana jest wam władza od Pana i moc od Najwyższego, który się pytać będzie o uczynkach waszych i myśli badać się będzie. Że będąc sługami Królestwa Jego, nie sądziliście sprawiedliwie, aniście strzegli prawa sprawiedliwości, aniście chodzili według woli Bożej. Strasznie a prędko

ukaże się wam, bo najsroższy sąd będzie tym, co są przełożeni. Bo mały otrzyma miłosierdzie, ale mocarze mocne męki cierpieć będą«. (Mąd. VI, 4, 5, 6, 7.) — Taka nauka poskramia namiętności szaleńców, ale też pociesza i umacnia uciśnionych; podczas gdy jednostronne i przesadzone nawoływanie do bezwarunkowego posłuszeństwa władzy prowadzi albo do bezmyślnego służalstwa, albo do pogardy religii, służącej tylko za narzędzie despotyzmu. Ks. Golian, co miał prawdziwie kapłańskiego ducha, błagał, zaklinał i gromił spiskujących sztyletników, odwodząc ich od drogi obmierzłej Bogu a zgubnej dla społeczeństwa; lecz gdy krwawy dramat się rozegrał, a lud uwiedziony mściwi siepacze wzięli na tortury, nie zalewał on ran ich trucizną niewczesnych wyrzutów, lecz namaszczał je raczej balsamem ufności w Boże miłosierdzie i we wszechmocną opiekę Opatrzności, co skwapliwsza jest jeszcze do litości niźli do karania. Ale też w piersi Goliana odzywało się gwałtowne, ale szczere tętno gorąco miłującego serca, nie zaś spazmatyczne wstrząśnienia dla bojaźni tylko dostępnej natury.

W tymże niemal czasie, kiedy tak uroczyście doręczano mi list ks. Domagalskiego, jako dowód, że postępowanie moje godne jest najsurowszego potępienia, nietylko ze stanowiska państwowego, ale też i z punktu widzenia czysto kościelnego, doszła mię też wieść z Petersburga, iż w Ministeryum rozbierano bardzo pilnie nowy przeciwko mnie dokument. Były to notatki, spisywane z pamięci przez jednego z alumnów petersburskiej Akademii z prywatnych konferencyj, jakie na ich prośbę miewałem w mojem mieszkaniu, objaśniając im najżywotniejsze kwestye kapłańskich obowiązków, a mianowicie: stosunek księdza do Stolicy Apostolskiej, do biskupa, do rządu i do narodu. Notatki te, jakkolwiek niedokładne pod względem formy i niektórych podrzędnych okoliczności, dość wiernie oddawały główne zasady, stawiane w tymże, co i całe kapłańskie życie moje, duchu. Synowskie przywiązanie i niezłomna wierność dla Stolicy Apostolskiej; posłuszeństwo biskupowi w tem wszystkiem, co

się prawu kanonicznemu nie sprzeciwia; uznanie rządów zaborczych za bicz Boży za nasze grzechy, i przeto cierpliwe znoszenie chłosty, przez wzgląd na karzącą rękę Przedwiecznego Ojca; staranie się zasłużyć na to, by Opatrzność zaniechała chłosty, lecz nie łamanie samowolne rózgi; uznanie wreszcie przyrodzonych praw narodu i dopomaganie mu do nabycia tych cnót chrześcijańskich i obywatelskich, co stanowią konieczny samoistnego bytu warunek — oto podstawy zasadnicze tego programu, jaki w konferencyach moich rozwijałem. Notatki te, znalezione przy rewizyi u jednego z moich dawnych uczniów, zostały wydrukowane w rosyjskiem tłómaczeniu w piśmie zbiorowem: Wiestnik Zapadnoj Rosyi, za rok 1865/66, w piątym zeszycie, z dodatkiem, w którym wydawca czyni ze mnie jednego z głównych organizatorów powstania, pomimo, iż w treści nauk wszelkie wystąpienie zbrojne przeciwko istniejącej, chociażby nielegalnej władzy, jak najwyraźniej potępiam i tylko opór bierny, w rzeczach przeciwnych prawu Bożemu i kościelnemu, za godziwy i obowiązujący uważam. Dzięki zasadzie jawności, której stale w postępowaniu mojem trzymałem się, nic rząd nie dowiedział się nowego z owych tajemnych konferencyj; przekonał się owszem raz jeszcze, iż zawsze i wszędzie też same głosiłem zasady. To też nie turbowano mię nawet z powodu tych konferencyj, i tylko gazety pobawiły się czas jakiś moim kosztem, piorunując na jezuityzm księży i niewdzięczność Polaków. Powoli wszakże zaczęto zapominać o mnie i lat kilka przeszło bez żadnych zajść nowych z rządem.

W roku dopiero 1870 spróbowano zmusić mię niedostatkiem do rezygnowania. Począwszy od nowego roku przez pięć miesięcy nie wypłacano mi pensyi, a na trzykrotne zapytanie gubernatora o powód takiej zwłoki, minister nic nie odpowiadał. Nie chcąc żyć nad skalę i zaciągać długów, opuściłem dotychczasowe dość obszerne mieszkanie, sprzedałem wszystkie meble i w odległej części miasta nająłem za dziesięć rubli miesięcznie mały domek, gdzie wszak-

że udało się urządzić publiczną kaplicę, by nie pozbawiać parafian udziału w nabożeństwie. Dopiero, jak się przekonano, że o środki utrzymania prosić nie zamierzam, przy czem postawionoby mi zapewne odpowiednie warunki, poczęto mi wypłacać po dawnemu pensyę. Na rok następny wszakże, kiedy minister Spraw wewnętrznych, Timaszow, przyjechał na dni kilka do Jarosławia, późniejszy jego następca, a wówczas pomocnik, Maków, złożył mi incognito wizytę i zaproponował w imieniu rządu, że jeśli zgodzę się rezygnować, to mi pozwolą wyjechać za granicę z pensyą sześciu tysięcy rubli rocznie. Odrzekłem, że będąc zupełnie odosobniony od publicznego i kościelnego życia, nie jestem w stanie osądzić, czy krok mi proponowany byłby pożyteczny lub nie dla mojej dyecezyi. Ażebym przeto mógł rezygnować, potrzebowałbym naprzód być wolnym i przekonać się, że to, co czynię, będzie istotnie z pożytkiem Kościoła. Stanięcia uprzedniego na stopie zupełnej niezależności od rządu wymaga też i moja godność osobista; gdybym albowiem rezygnował na wygnaniu, rodzona matka moja, gdyby żyła, nie uwierzyłaby, że uczyniłem to dobrowolnie, lecz podejrzywałaby z pewnością moralny przynajmniej przymus. Dodałem wszakże, iż jeśli Ojciec św. uzna, iż rezygnacya moja jest na czasie, to objawienie jego woli dostateczne będzie do uspokojenia mych w tej mierze skrupułów, tak, iż bez najmniejszego wahania się natychmiast zrezygnuję, żadnych nie kładąc nawet warunków co do mego utrzymania, gdyż osobiste potrzeby moje tak są nie wielkie, iż zwykłe posługi kapłańskie w kraju katolickim dostarczą mi dość środków do ich zaspokojenia. Niech przeto rząd traktuje nie ze mną, ale ze Stolicą Apostolską, ja zaś natychmiast zastosuję się do decyzyi Ojca św. »Jeśli tak, rzekł p. Makow, »to rzeczy pozostaną do czasu *in statu quo*«. Odtąd też żadnych już więcej nie otrzymałem propozycyj.

Życie płynęło cicho, jednostajnie; tylko niedziele i święta odróżniały się od dni powszednich uroczystszem nabożeństwem i liczniejszem zebraniem parafian do kaplicy. Sa-

motne przechadzki po dość malowniczych okolicach Jarosławia stanowiły główną rozrywką moją, a kilka serc życzliwych w bliższem kółku znajomych, były jedyną tęsknego życia osłodą. Zrazu z wielkim zapałem wziąłem się do pióra, ożywiony nadzieją, iż pracą literacką wynagrodzę faktyczną bezczynność przymusową. Proces pisania szedł mi łatwo i zwykle w ciągu pracy byłem z niej zadowolony. Dopiero po odczytaniu następowała zawsze reakcya, nieraz tak stanowcza, iż brała mię ochota wrzucić wszystko do ognia. Próbowałem wszystkich prawie rodzajów piśmiennictwa i pod względem formy nigdzie nie natrafiłem na niemożebne do przełamania trudności. Urządziłem się tak, że w gabinecie przy biurku pisałem tylko rzeczy poważne religijnej lub filozoficznej treści; przechadzki zaś poświęcone były dla rymotwórstwa. Z umysłu nie używam wyrazu poezyi, gdyż pobudką do prac tych nie było owo prawdziwie wieszcze natchnienie, co potrzebuje wylać się w szczytniejszej i bardziej harmonijnej formie. U mnie była to raczej potrzeba zajęcia dla umysłu i wyobraźni, serce zaś dawnemi tylko wspomnieniami przychodziło im w pomoc i stąd owa cmentarna, że tak rzekę, cecha tych utworów. Potrzeba odwrócenia myśli od bolesnej teraźniejszości pobudzała mię znowu do przełamywania jak największych trudności w składzie wiersza, żeby ich przezwyciężanie pochłaniało całkowitą uwagę. Stąd zrodziły się te dziwaczne utwory, gdzie w kilkudziesięciu wierszach jedna i ta sama powtarza się końcówka, z środkowym nadto rymem co trzy wiersze; albo przy trzyzgłoskowym wierszu warunek używania tylko słów jednozgłoskowych, co w pierwszej chwili zdawało mi się niemożebnem, a jednak i tę trudność przełamałem. Była to po prostu umysłowa gimnastyka, wywołana potrzebą czynnego z natury, a na bezczynność skazanego ducha. Zwykle, wychodząc na przechadzkę, brałem do kieszeni małą książeczkę do notatek, opatrzoną ołówkiem, i obrawszy przedmiot i formę, układałem w pamięci strofy, które wnet przenosiłem na

papier, a wróciwszy do domu, przepisywałem i ostatecznie wykończałem.

Po kilku latach takiej pracy przesłałem przez pewną okazyę kilka rozmaitego rodzaju utworów, chcąc je pod pseudonimem wydrukować; ale, niestety, zostały odrzucone, bo nie znalazło się nakładcy, coby chciał drukować je swym kosztem. Zawód, wyznaję, był bolesny, gdyż straciłem nadzieję, aby praca moja na co się przydała; nie zraziło mię to jednak wcale do literackich zajęć, których dla własnej potrzebowałem pociechy. Nie taję się wszakże, iż w głębi serca odzywał się głos jakiś, co mi szeptał, że nie na próżno pracuję, że znajdą się kiedyś dusze, dla których głos mój będzie sympatyczny, a może nawet zdoła objaśnić im niejedną prawdę, nie do jednej zagrzać cnoty; czułem bowiem, iż niektóre tajemnice ludzkiego serca pojmuję jaśniej od innych, zwłaszcza zaś najszczytniejsze ducha ludzkiego popędy: nie przeto, bym się nimi zawsze w postępowaniu mojem rządził, lecz że psychiczną naturę ich pojmuję. Może i to miłości własnej złudzenie, ale potrzebne mi ono było do wytrwania w pracy literackiej, która mię od wielu może niebezpieczeństw uchroniła; bez niej bowiem szukałbym zapewne rozrywki w towarzystwie rosyjskiem, które, w początku zwłaszcza mego pobytu w Jarosławiu, zapewne przez ciakawość, wiele czyniło zabiegów, by mię do grona swego pociągnąć, tam zaś bez kart i kieliszka nie pojmują zabawy. W polskiem za to wykształceńszem kółku znalazłem nietylko szczere współczucie, ale gorącą też zachętę i podtrzymanie w mych literackich zajęciach; spragnieni bowiem duchownego pokarmu, a nie zepsuci jego obfitością, z wdzięcznem przyjmowali sercem każdą okruszynę prawdy, w ojczystej podaną im mowie.

Najbliższe kółko moje, z którem dzieliłem się mymi utworami, stanowiły trzy zwłaszcza rodziny, z których dwie pierwsze dzieliły aż do końca moje wygnanie, trzecia zaś opuściła Jarosław w siódmym roku mego tam pobytu; a mianowicie: rodzina Kornów, pochodząca z Litwy; Dumoulin,

pochodzenia francuskiego, ale przez małżeństwa całkiem już spolszczała, i wreszcie Nieławickich, także z Litwy.

Doktor Euzebiusz Korn był niegdyś kolegą moim na uniwersytecie moskiewskim, po ukończeniu zaś kursu medycyny został lekarzem wojskowym, a ożeniwszy się z bardzo zacną i wykształconą Litwinką, osiadł w Jarosławiu, gdzie przeżył większą połowę życia. Drobna w chwili przyjazdu mego dziatwa Kornów wzrosła przy mnie i wychowała się, a nawet dwie starsze córki wyszły za mąż, rodzice zaś razem ze mną posiwieli i zestarzeli się, pozostając do końca w tejże przyjacielskiej zażyłości. Witold Dumoulin, sędzia śledczy przy okręgowym sądzie jarosławskim, ożenił się wkrótce po przybyciu mojem nad brzegi Wołgi i doczekał się także kilkorga dzieci, których religijne wychowanie mojem też odbyło się staraniem. Łącząc francuski dowcip z polską serdecznością i posiadając gruntowne naukowe wykształcenie, stanowił nietylko bardzo miły towarzyski żywioł, ale też mógł udzielić nieraz niezmiernie pożyteczną radę w kwestyach naukowych. Żona zaś jego, prawdziwy typ samorodnej litewskiej natury, pełnej zapału dla wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, wiernie odczuwała piękność i prawdę w sztuce, chociaż teoretycznie sprawy sobie z otrzymywanych wrażeń nie zdawała. Nieławiccy wreszcie, oboje równie wykształceni umysłowo, a do tego głęboko ugruntowani w katolickich wierzeniach swoich, interesowali się zwłaszcza pracą moją na polu religijno-filozoficznem, i stąd najbliżej spokrewnieni byli ze mną duchem. Oboje przytem bardzo muzykalni, zaspakajali tę potrzebę duszy, która, przy ówczesnem odosobnieniu mojem, musiałaby zostać całkiem pominiętą. Jako pułkownik inżynieryi, Nieławicki zajmował w mieście jedną z wydatniejszych posad, i stąd też uwaga rządu więcej nań była zwrócona. To też, gdy dowiedziano się w Petersburgu, że on w kaplicy mojej, w czasie nabożeństwa grywa na organach, poczytano to za nieprzychylną rządowi manifestacyę i omal nie wydalono go za to ze służ-

by. Na szczęście, bezpośredni jego zwierzchnik poręczył za niego i uchylił niebezpieczeństwo.

Aby, nie usuwając nikogo z katolików od mego towarzystwa, nie tracić wszakże zbyt wiele czasu na odwiedziny, tak się urządziłem, że w niedzielę po sumie zapraszałem wszystkich obecnych w kaplicy na herbatę i tu miałem zręczność zetknąć się z całą parafią, bez względu na stosunki osobiste. Toż samo miało miejsce na Wielkanoc, przy wspólnem pożywaniu święconego; na imieniny zaś i w rocznicę mojej konsekracyi cała parafia zbierała się do mnie wieczorem na kolacyę. Dla najbliższego znowu kółka przeznaczyłem wieczory czwartkowe i tu niekiedy odbywały się wspólne czytania, zwykle zaś toczyła się poufna rozmowa o najżywiej zajmujących nas kwestyach. Oprócz wymienionych wyżej trzech rodzin, do kółka tego przyłączały się także osoby, przybywające na krótszy lub dłuższy czas do Jarosławia, które w ciągu lat dwudziestu po kilkakroć się zmieniały. Do tej kategoryi należeli w początkach Duchnowscy i prezes Hryniewicz, następnie Waliccy, z którym w ciągu lat kilku ścisłe łączyły mię stosunki, wreszcie siostra moja i siostrzenica, których pobyt u mnie nie jedną osłodził mi chwilę.

Nie mogę przemilczeć też na tem miejscu o całkiem odrębnego charakteru odwiedzinach, po kilkakroć ponowionych, które nieopisaną były dla mnie pociechą. Chcę mówić o przyjazdach, peryodycznych niemal w ostatnich latach, księdza Feliksa Michałowskiego. Mój blizki krewny, bo urodzony z córki stryja mego Alojzego Felińskiego, stracił on w młodym wieku całą, liczną bardzo i niezmiernie przezeń umiłowaną rodzinę, a złamany bolem i zniechęcony do światowych zajęć, poświęcił się na służbę Kościoła. Uprzedziwszy go o lat kilka na tej drodze, i znacznie starszy wiekiem, przewodniczyłem mu niejako w powołaniu, a piękna i kochająca jego dusza przywiązała się do mnie od pierwszej niemal chwili naszego poznania, które nastąpiło w pierwszym roku wstąpienia mojego do Seminaryum w Żytomie-

rzu. Nie mogłem nie odwzajemniać mu tej życzliwości, a łączące nas związki krwi i powołania, podwójnym węzłem przyjaźń tę naszą umocniły, rodząc zobopólne z obu stron pragnienie pracowania razem w winnicy Chrystusowej. To też gdy podobało się Opatrzności na stolicy warszawskiej mię umieścić, on zaś od roku już był wówczas kapłanem, porozumiawszy się z jego biskupem, wezwałem go do mego boku, zrazu jako kapelana, następnie zaś jako pracownika w parafii św. Aleksandra, gdzie chodziło mi o wynagrodzenie szkód duchownych, wyrządzonych przez ks. Mikuszewskiego. Wyjeżdżając z Warszawy, nie chciałem uwzględnić życzenia jego towarzyszenia mi w podróży, przez wzgląd na pożyteczną pracę jego na parafii; gdy jednak, po czterech latach wygnania, kapelan mój, ks. Potocki, zażądał powrócić do kraju, za uprzedniem porozumieniem, począłem starać się o księdza Michałowskiego, co wszakże odmówionem mi zostało decyzyą samego Monarchy, który postanowił, aby kapelan przy mnie był kapłan z Cesarstwa, a nie z Kongresówki. Nie mogąc przybyć do Jarosławia na stałe mieszkanie, począł się on starać o pozwolenie odwiedzenia mię przynajmniej na wygnaniu, co też przez wpływowe osoby wreszcie otrzymał, z zastrzeżeniem wszakże, iż nie dłużej nad dwa tygodnie u mnie zabawi. Dopilnowanie tego warunku polecone było jarosławskiemu gubernatorowi, któremu i po przyjeździe i przed odjazdem winien się był przedstawić. Wiernie też spełnił to polecenie, i po dwóch tygodniach w asystencyi policyi opuścił Jarosław w kierunku Warszawy. Ale w czasie wspólnych przechadzek napatrzyliśmy w jednej z najbliższych wiosek od miasta ustronne mieszkanie, które wynajęliśmy, tak, że ks. Feliks, odjechawszy parę stacyj koleją, powrócił nazad, ale już nie do Jarosławia, lecz do Mordwinowa, gdzie ja przychodziłem codziennie zrana i cały dzień z gościem moim przepędzałem. Trwało to całe dwa miesiące, aż do słotnej jesieni, a że fortel udał się wybornie, odtąd przeto co roku mój ukochany Filo brał pasport do Samary, na kumys, całe zaś lato przepędzał

w której z wiosek pod Jarosławiem, gdzie ja całodziennym byłem gościem; podstęp zaś nie wydał się ani razu, pomimo że urządzaliśmy kapliczkę, w której on codziennie, przy mojej asystencyi mszę św. odprawiał. Niewielka liczba osób wtajemniczonych znała gościa pod imieniem Filipa z konopi, słudzy zaś i obcy brali go za Włocha, Sconopi; a że wielu mieszkańców Jarosławia mieszkało latem na wsi, brano go przeto za jakiegoś artystę z miasta, tem bardziej, że umyślnie zapuścił wąsiki i bródkę dla odwrócenia od siebie podejrzenia. Przez niego to miewałem dokładne wiadomości z Warszawy i z Rzymu; on też przywiózł mi pierwszą niewątpliwą relacyę o zawiązanych w Wiedniu rokowaniach między nuncyuszem Jacobinim i rosyjskim ambasadorem, na podstawie całkowitego usunienia od zarządu mnie i biskupa Krasińskiego, a przeniesienia dwóch pozostałych, Borowskiego i Popiela na inne dyecezye.

Pertraktacye te ciągnęły się wszakże jeszcze lat parę, aż dowiedziałem się wreszcie stanowczo, że dopiero z powodu koronacyi Aleksandra III otrzymam oficyalne pozwolenie wyjechania za granicę. Było to w końcu 1882 roku; korzystając więc z rozpoczynającej się zimy, zabrałem się do spisania mych pamiętników, które też, dla braku dzieł, niezbędnych do kontrolowania własnej pamięci, pozbawione są w wielu miejscach historycznej ścisłości. Jakkolwiek faktyczna działalność moja na publicznej arenie skończyła się z chwilą wywiezienia mego do Jarosławia, póki jednak w oczach Kościoła pozostawałem arcybiskupem warszawskim, publiczna rola moja nie była jeszcze całkiem skończona. Dopiero z usunięciem mię przez Stolicę Apostolską z zajmowanej posady, powróciłem ostatecznie do życia prywatnego, z którego w tak dziwny sposób przez Opatrzność chwilowo wyrwany zostałem. To też na tej epoce życia mego postanowiłem zakończyć me pamiętniki, które od tej chwili nie mogłyby już mieć publicznego interesu. Koronacya miała się odbyć 16 go maja, wedle starego stylu, 1883 roku, mnie jednak gubernator tygodniem przed tem zawiadomił oficyal-

nie, że mogę bez przeszkody wyjechać za granicę, bylebym ominął w drodze Warszawę. Dawno już urządziłem swe interesa i przygotowałem się do wyjazdu; skoro więc otrzymałem pasport, wyruszyłem po raz ostatni na dłuższą przechadzkę, aby pożegnać najulubieńsze miejsca, gdzie tyle przemarzyłem i tyle przebolałem, a choć to było wygnanie, zrosiłem wszakże łzami te łąki i gaje, co witały mię niegdyś w pełni męskiej siły, a dziś zgrzybiałym starcem żegnały. Za dwa tygodnie kończyło się właśnie dwadzieścia lat mego wygnania! Wieczorem zebrali się u mnie po raz ostatni moi ukochani parafianie, nazajutrz zaś po mszy wyruszyłem przez Moskwę i Brześć Litewski do Lwowa.

SPIS RZECZY.

Str.

Rozdział I. Ogólny stan polskiego duchowieństwa w połowie obecnego wieku 1

» II. Moje duchowne wychowanie 27

Dalszy ciąg Pamiętnika 48